

ANNE HOLT

WYBÓR PANI PREZYDENT

*Dla Amalie Farmen Holt,
maleńkiej źrenicy mego oka,
która powoli staje się duża*

Czwartek, 20 stycznia 2005

1

I got away with it.

Ta myśl kazała jej przez moment się zawahać. Stojący przed nią staruszek opuścił brwi. W styczniowym chłodzie udreńczona chorobą twarz nabrała sinawego odcienia. Helen Lardahl Bentley głęboko odetchnęła i wreszcie powtórzyła słowa, na które oczekiwał mężczyzna:

-I do solemnly swear...

W ponad stuletniej, oprawionej w skórę Biblii tekst był prawie nieczytelny, zatarty przez trzy pokolenia głęboko religijnych Lardahlów. Sama Helen Lardahl Bentley, dobrze ukryta za luterzańską fasadą amerykańskiego powodzenia, należała jednak raczej do wątpiących, dlatego wołała składać przysięgę z prawą dłonią na czymś, w co przynajmniej naprawdę mocno wierzyła: na historii własnej rodziny.

... that I will faithfully execute...

Usiłowała spojrzeć mu w oczy. Chciała wpatrywać się w Chief Justice, tak jak wszyscy wpatrywali się w nią, jak cała ta ogromna masa ludzi, lekko drżących z zimna w bladym słońcu, jak demonstranci, stojący za daleko, by dało się ich usłyszeć na trybunie. Wiedziała jednak, że skandowali *TRAITOR, TRAITOR*, rytmicznie

i agresywnie, dopóki ich słów nie zdusiły stalowe drzwi pojazdów specjalnych, które policja sprowadziła tu wcześniej rano.

- ...*the Office of President of the United States...*

Na Helen Lardahl Bentley spoczywały oczy całego świata. Patrzyły na nią w tej chwili z nienawiścią albo z podziwem, z ciekawością lub nieufnością, a w kilku najspokojniejszych zakątkach ziemi być może z czystą obojętnością. Pod obstrzałem setek kamer telewizyjnych przez te ciągnące się w nieskończoność minuty stała się pepkiem świata i nie mogła, nie wolno jej było, myśleć o tym jednym.

Ani teraz, ani nigdy później.

Mocniej przycisnęła dłoń do Biblii i odrobinę zadarła brodę.

- ...*and will, to the best of my ability, preserve, protect and defend the Constitution of the United States.*

W tłumie wybuchnęła radość. Demonstrantów odwieziono. Goście na trybunie honorowej gratulowali jej uśmiechami, jedni ciepłymi, inni wymuszonymi. Przyjaciele i krytycy, koledzy, rodzina, a także ten czy ów wróg, który nigdy nie pragnął jej dobra, wszyscy formowali ustami słowa, bezdźwięcznie albo głośno i wesoło:

- Gratulacje!

Znów poczuła podmuch lęku, który starała się dławić od ponad dwudziestu lat. W tej chwili, zaledwie kilka sekund po objęciu urzędu czterdziestego czwartego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki, Helen Lardahl Bentley wyprostowała się, zdecydowanie przyglądziła ręką włosy i patrząc na tłum ludzi, podjęła decyzję raz na zawsze:

I got away with it. It's time I finally forgot.

2

Obrazy wcale nie były piękne.

Szczególne wątpliwości miał wobec jednego. Na jego widok dostawał mdłości. Kiedy pochylał się tuż nad płótnem, widział,

ze falujące żółtopomarańczowe pociągnięcia pędzla popękały w nieprzeliczone maleńkie zmarszczki jak wielbłądzie łajno w prażącym słońcu. Odczuwał pokusę pogładzenia palcami groteskowo rozdziawionych ust na pierwszym planie, ale się powstrzymał. Obraz już i tak został uszkodzony w transporcie. Balustrada z prawej strony krzyczącej postaci wywijiała się teraz na pokój, z końca przedartego płótna zwisały smutne frędzle.

Naprawa tak dużego rozdarcia była wykluczona, wymagałaby eksperta. Słynne obrazy wisiały teraz w jednym ze skromniejszych pałaców Abdallaha al-Rahmana na obrzeżach Rijadu, ponieważ on zawsze w miarę możliwości unikał ekspertów. Wolał proste rękodzieło. Nigdy nie widział sensu używania piły elektrycznej, tam gdzie równie dobrą robotę dawało się wykonać za pomocą zwykłego noża. Skradzione obrazy po drodze, jaką przebyły z niezabezpieczonego muzeum w stolicy Norwegii do pozbawionej okien sali treningowej w Arabii Saudyjskiej, przewijały się przez ręce drobnych złodziejasków, którzy nie mieli o nim najmniejszego pojęcia i według wszelkich znaków na niebie powinni trafić do więzienia w swoich ojczyznach, nie umiając powiedzieć nawet jednego rozsądnego słowa o tym, gdzie dzieła sztuki mogły się podziąć.

Abdallahowi al-Rahmanowi bardziej podobał się obraz przedstawiający kobietę, lecz również ona miała w sobie coś odpychającego. Nawet po ponad szesnastu latach spędzonych na Zachodzie, z czego dziesięć w prestiżowych szkołach w Anglii i w USA, wzdrygał się z obrzydzeniem na widok odsłoniętych piersi i wulgarnego sposobu, w jaki kobieta wystawiała na pokaz swoje ciało, obojętny, a zarazem namiętny.

Odwrócił głowę. Miał na sobie tylko obszerne kredowobiałe spodenki. Boso znów wszedł na bieżnię. Sięgnął po pilota. Taśma przyspieszyła. Z głośników rozmieszczonych wokół olbrzymiego ekranu, umieszczonego na przeciwległej ścianie, popłynął dźwięk.

- ...*protect and defend the Constitution of the United States.*

Z trudem to pojmował. Kiedy Helen Lardahl Bentley wciąż jeszcze była senatorem, imponowała mu swoją odwagą. Ukończywszy z trzecią lokatą w swoim roczniku prestiżowy Vassar College, krótkowzroczna, nieco pulchna Helen Lardahl szturmem popłynęła dalej aż do PhD na Harvardzie. Po trzydziestce dobrze wyszła za mąż, a poza tym została przyjęta jako współpartnerka w szóstej co do wielkości kancelarii adwokackiej w Stanach, co samo w sobie stanowiło gwarancję posiadania wyjątkowych kompetencji, a także solidnej porcji cynizmu i sprytu. Poza tym zmieniła się w szczupłą blondynkę bez okularów. Oczywiście elegancką.

Ale kandydowanie na urząd prezydenta to czysta hybris.

Została jednak wybrana, pobłogosławiona i osadzona na tronie.

Abdallah al-Rahman uśmiechnął się, przyciśnięciem klawisza zwiększając prędkość bieżni. Twarda skóra na podeszwach stóp zdawała się płonąć na gumowej taśmie. Znow zwiększył tempo, zbliżając się aż do granicy bólu.

- *It's unbelievable* - westchnął z czysto amerykańskim akcentem, świadom, że nikt na świecie nie usłyszy go przez metrowej grubości ściany i podwójnie izolowane drzwi. - *She actually thinks she got away with it!*

3

- Wielka chwila. - Inger Johanne Vik złożyła dłonie, jakby uznała za konieczne odmówienie modlitwy za nową prezydent Ameryki.

Kobieta na wózku inwalidzkim uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

- Nikt nie może twierdzić, że świat nie posuwa się naprzód - ciągnęła Inger Johanne. - Po czterdziestu trzech mężczyznach... prezydentem jest kobieta!

-... *the Office of President of the United States...*

- Musisz się ze mną zgodzić, że to wielka rzecz - upierała się Inger Johanne, znów wbijając wzrok w ekran telewizora. - Prawdę powiedziawszy, byłam pewna, że zanim zaakceptują kobietę, wybiorą Afroamerykanina.

- Następna będzie Condoleezza Rice. Dwie pieczenie przy jednym ogniu - orzekła druga z kobiet.

Pomyślała, że w zasadzie nie można mówić o żadnym postępie. Biały, żółty, czarny czy czerwony, mężczyzna czy kobieta, urząd prezydenta Ameryki pozostaje zarezerwowany dla facetów, bez względu na pigment czy organy płciowe.

- To wcale nie kobiecość Bentley zaprowadziła ją na szczyt - powiedziała powoli, niemal obojętnie. - A w wypadku Rice z całą pewnością nie chodziło o kolor skóry. Za cztery lata dojdzie do starcia między nimi. To nie będzie ani szczególnie przyjazne dla mniejszości, ani kobiece.

- Bardzo...

- Przecież te panie nie imponują kobiecością czy pochodzeniem od niewolników. Oczywiście wykorzystują to w takim stopniu, w jakim to jest warte. Ale tak naprawdę imponujące jest... - Skrzywiła się i spróbowała wyprostować na wózku.

- Coś nie tak? - zaniepokoiła się Inger Johanne.

- Nie, nie. Imponujące jest to, że... - wsparła się o podłokietniki i zdołała przesunąć ciało odrobinę bliżej oparcia wózka. Roztargnionym gestem wygładziła sweter na piersiach - ...że musiały się na to cholernie wcześniej zdecydować - dokończyła wreszcie.

- Na co?

- Że będą tak ciężko pracować. Pozostaną bez skazy. Nigdy nie zrobią nic złego. Unikną wszelkich potknięć. Nigdy, przynigdy nie zostaną na niczym przyłapane. Właściwie to kompletnie niepojęte.

-Ależ oni zawsze mają coś... jakąś... Przecież nawet ten bardzo religijny George W, on też miał dość na...

Kobieta na wózku uśmiechnęła się nagle, odwracając twarz w stronę drzwi salonu. Przez szparę zaglądała z miną winowajcy półtoraroczna dziewczynka. Kobieta wyciągnęła rękę.

- Chodź do mnie, kochanie. Przecież miałaś spać.

- Zdołała sama wyjść z łóżeczka ze szczebelkami? - spytała Inger Johanne z niedowierzaniem.

- Zasypia w naszym łóżku. Chodź do mnie, Ido.

Dziecko podreptało przez pokój i pozwoliło wziąć się na kolana. Wokół puciołowatych policzków dziewczynki wiły się kruczoczarne włosy, ale oczy miała niebieskie jak lód, z wyraźną czarną obwódka wokół tęczówki. Uśmiechnęła się do gościa, okazując, że go poznaje, i umościła się wygodniej.

- To dziwne, ale ona jest podobna do ciebie - stwierdziła Inger Johanne, wychylając się, żeby pogłodzić dziecko po pulchnej rączce.

- Tylko z oczu - odpowiedziała kobieta na wózku. - Przez ten kolor. Ludzie zawsze dają się zwieść kolorowi oczu.

Znów zapadła cisza.

W Waszyngtonie oddechy zgromadzonych ludzi w zimnym styczniowym powietrzu przypominały szarą parę. Chief Justice wycofał się z czyjaś pomocą. Gdy ostrożnie go prowadzono, przypominał od tyłu czarodzieja. Nowo wybrana pani prezydent była z gołą głową i uśmiechała się szeroko, ciałniej się otulając bladobłękitnym płaszczem.

Za oknami na Kruses gate w Oslo wieczorny mrok gęstniał, śnieg nie padał, a ulice były mokre.

W dużym salonie pojawiła się dziwaczna postać. Mocno powłóczyła jedną nogą niczym karykatura łajdaka w jakimś starym filmie. Suche, rzadkie włosy sterczały na wszystkie strony, wystające spod fartucha łydki w kontraście z kapciami w szkocką kratkę wyglądały jak narysowane ołówkiem kreski.

- Dzieciak powinien już dawno spać - burknęła bez przywitania. - W tym domu nie ma żadnego porządku. Powinna spać

we własnym łóżku, mówiłam to już milion razy. Chodź, moja księżniczko!

Nie czekając na odpowiedź ani kobiety na wózku, ani dziewczynki, wzięła dziecko na ręce, posadziła je sobie na chorym biodrze i kuśtykając, wróciła tam, skąd przyszła.

- Chciałabym mieć taką adiutantkę - westchnęła Inger Johanne.
- To ma swoje dobre i złe strony.

Znów siedziały w milczeniu. Na kanale CNN pojawiali się teraz rozmaici komentatorzy na przemian ze zdjęciami z trybuny, na której zgromadzona elita polityczna właśnie kapitulowała przed zimnem i szykowała się na najokazalsze świętowanie objęcia urzędu prezydenta, jakie kiedykolwiek odbyło się w amerykańskiej stolicy. Demokraci osiągnęli trzy cele. Pokonali urzędującego prezydenta, który powtórnie kandydował, co samo w sobie już było wielkim sukcesem, wygrali z większą przewagą, niż ktokolwiek miał śmiałość przewidywać. I zwyciężyli z kobietą na czele. Taki sukces nie mógł pozostać niezauważony i na ekranie telewizora przelatywały zdjęcia gwiazd Hollywood, albo już obecnych w mieście, albo spodziewanych w ciągu popołudnia. Na cały weekend zaplanowano w stolicy uroczystości i pokazy fajerwerków. Madam President miała chodzić z jednej fety na drugą, przyjmować gratulacje, wygłaszać niekończące się mowy dziękczynne do swoich pomocników, a w międzyczasie prawdopodobnie bez końca zmieniać kreacje. No i oczywiście nagradzać tych, którzy na to zasłużyli, stanowiskami i pozycjami, ważyć wkład pracy i pieniędzy w kampanię wyborczą, oceniać lojalność i mierzyć zdolności, rozczarowywać wielu i sprawiać radość nielicznym, tak samo jak przed nią robiło czterdziestu trzech mężczyzn w ciągu niespełna dwustutrzdziestoletniego istnienia państwa.

- Można po czymś takim zasnąć?
- Słucham?
- Myślisz, że ona zaśnie w nocy? - spytała Inger Johanne.
- Dziwne pytanie. - Druga kobieta uśmiechnęła się. - Oczywiście, że zaśnie. Nie można zająć tak wysoko, nie śpiąc.

To wojowniczką, Inger Johanne. Niech cię nie zwiedzie jej zgrabne ciało i kobiecy strój.

Kobieta na wózku zgasiła telewizor, wtedy z głębi mieszkania dobiegła kołysanka:

- Ajajaj, hau, hau.

Inger Johanne zaśmiała się cicho.

- Moje dziecko, słysząc to, wystraszyłoby się do szaleństwa.

Ta druga podjechała wózkiem do niskiego stolika i sięgnęła po kawę. Wypiła łyk, skrzywiła się i odstawiła filiżankę.

- Powinam już chyba iść do domu - powiedziała Inger Johanne niepewnie.

- Tak - usłyszała w odpowiedzi. - Pewnie tak.

- Bardzo ci dziękuję za pomoc. Za całą pomoc przez te miesiące.

- Nie bardzo jest za co dziękować.

Inger Johanne Vik założyła niesforne włosy za uszy i szczupłym palcem poprawiła okulary.

- Owszem, jest - powiedziała.

- Myślę, że po prostu musisz nauczyć się z tym żyć. Na jej istnienie nie da się zaradzić.

- Ona groziła moim dzieciom. Jest niebezpieczna. Dzięki rozmowie z tobą i temu, że potraktowałaś mnie poważnie, że mi uwierzyłaś, przynajmniej trochę mi ulżyło.

- Minął już prawie rok - przypomniała kobieta na wózku. - To w zeszłym roku sprawa wyglądała naprawdę poważnie. Natomiast to, co działo się tej zimy... Nie potrafię myśleć inaczej, niż że ona... się z tobą drażni.

- Drażni?

- Podsyca twoją ciekawość. Jesteś osobą obdarzoną ogromną ciekawością, Inger Johanne. Dlatego zostałaś naukowcem. To ciekawość angażuje cię w badania, z którymi właściwie nie chcesz mieć do czynienia, i każe ci za wszelką cenę przeniknąć w głąb myśli twojej prześladowczyni. Właśnie ta twoja ciekawość spowodowała cię do mnie. I to...

- Idę już - przerwała jej Inger Johanne, rozciągając wargi w przelotnym uśmiechu. - Nie ma sensu wszystkiego tego po wtarzać po raz kolejny. Ale i tak dziękuję. Nie musisz mnie od prowadzać do wyjścia.

Jeszcze przez chwilę stała. Podziwiała urodę sparaliżowanej kobiety, która była szczupłą, prawie chuda, twarz miała owalną o oczach równie niezwykłych jak dziecko, niebieskich niczym lód, wręcz przejrzystych, z szeroką czarną obrączką na skraju tęczęwki. Usta kształtne, z wyraźnie zaznaczonym łukiem Amora, otoczone drobnymi zmarszczkami, świadczącymi, że musi mieć już dobrze ponad czterdzieści lat. Była ubrana w sweter z wycięciem w szpic z jasnoniebieskiego kaszmiru i džinsy, które prawdopodobnie nie zostały kupione w Norwegii. Na jej szyi kołysał się lekko pojedynczy duży brylant.

- Pięknie wyglądasz!

Kobieta na wózku uśmiechnęła się ostrożnie, niemal zażenowana.

- Pewnie niedługo się zobaczymy - powiedziała i podjechała wózkiem do okna, odwracając się do gościa plecami bez słowa pożegnania.

4

Rozległe pola pokrywał głęboki po kolana śnieg. Mróz utrzymywał się od dawna. Nagie drzewa w zagajniku po zachodniej stronie pokrywała lodowa glazura. Rakiety śnieżne chwilami zapadały się w zmroźony śnieg i Al Muffet o mało nie tracił wtedy równowagi. W końcu się zatrzymał, żeby wyrównać oddech.

Słońce chowało się już za wzgórzami na zachodzie. Ciszę od czasu do czasu przerywał tylko ptasi krzyk. W wieczornym świetle śnieg połyskiwał różowo. Mężczyzna poruszający się na raketach przez chwilę śledził wzrokiem zająca, który wyskoczył z kępy drzew i zygakiem sunął ku strumieniowi po drugiej stronie pola.

Al Muffet oddychał najgłębiej, jak mógł.

Nigdy nie wątpił w słuszność swojej decyzji. Kiedy po śmierci żony został z trzema córkami, ośmio-, jedenasto- i szesnastoletnią, potrzebował zaledwie kilku tygodni na uświadomienie sobie, że karierę na jednym z prestiżowych uniwersytetów w Chicago niełatwo będzie połączyć z samotną odpowiedzialnością za dzieci. Ponadto finanse przemawiały za jak najszybszą zmianą adresu na jakieś spokojne miejsce na wsi.

Trzy tygodnie i dwa dni po tym, jak rodzina znalazła się w swoim nowym domu przy Rural Route nr 4 w Farmington w stanie Maine, dwa samoloty pasażerskie wbiły się w wieże na Manhattanie. Inny uderzył w Pentagon. Tego samego wieczoru Al Muffet, zamknąwszy oczy, gratulował sobie w duchu własnej dalekowzroczności: już jako student pozbył się swojego prawdziwego nazwiska, Ali Shaeed Muffasa. Dzieci nosiły rozsądne imiona, Sheryl, Catherine i Louise, i szczęśliwie odziedziczyły po matce zawadiacko zadarte nosy i popielatoblond włosy.

Teraz, ponad trzy lata później, prawie nie było dnia, by nie cieszył się życiem na wsi. Dzieci kwitły, a on też zadziwiająco szybko znów odnalazł radość w prowadzeniu praktyki. Wyzwania miał różnorodne, leczył małe zwierzęta na przemian z bydłem. Trafiały się chore papuzki, szceniące się suki, a od czasu do czasu agresywny wobec ludzi byk, który potrzebował kulki w łeb. W każdy czwartek Al grał w szachy w klubie. Soboty były zarezerwowane na kino z dziećmi. W poniedziałkowe wieczory zazwyczaj rozgrywał ze dwie partie squasha z sąsiadem, który miał kort w przebudowanej stodole. Dni płynęły jeden za drugim równym strumieniem pełnej zadowolenia monotonii.

Tylko w niedziele rodzina Muffetów różniła się od pozostałych mieszkańców miasteczka. Nie chodzili do kościoła. Al Muffet dawno stracił kontakt z Allahem i nie miał zamiaru zaprzyjaźniać się z żadnym innym bogiem. Początkowo budziło to reakcje, zawołane pytania podczas zebrań rodziców, dwuznaczne komentarze

na stacji benzynowej albo przy automacie z popcornem w kinie w sobotni wieczór.

Ale z czasem i to ucichło.

Wszystko się układa, pomyślał Al Muffet, usiłując dogrzebać się do zegarka zasłoniętego rękawiczką i rękawem puchówki. Musiał się pośpieszyć. Obiad miały dziś przygotować młodsze dziewczynki, a z doświadczenia wiedział, że w takiej sytuacji opłaca się być w domu, inaczej czeka go wystawny posiłek, składający się ze wszystkich frykasów, wyciągniętych z przeznaczonej specjalnie na nie szafki. Poprzednim razem Louise w zwykły poniedziałek zaserwowała czterodaniowy obiad *zfoisgras* i risottem z prawdziwymi truflami, a następnie pieczeń z jelenia upolowanego jesienią i w zasadzie przeznaczonego na doroczny bożonarodzeniowy obiad u sąsiadów.

Teraz gdy słońce zachodziło, mróz kąsał ostrzej. Al Muffet zdjął rękawiczki i przyłożył dłonie do policzków. Po kilku sekundach znów ruszył długimi szerokimi krokami na raketach, na których poruszanie się po wielu próbach zdołał opanować.

Nie śledził uroczystości zaprzysiężenia pani prezydent, ale nie dlatego, że by go bardzo to poruszyło. Kiedy Helen Lardahl Bentley dziesięć lat temu pojawiła się w przestrzeni publicznej, naprawdę się zdziwił. Z nieprzyjemną wyrazistością przypomniał sobie tamto przedpołudnie w Chicago, kiedy leżał w łóżku z grypą i nękania gorączką zmieniał kanały telewizyjne. Helen Lardahl, całkiem inna niż ją zapamiętał, wygłaszała mowę w senacie. Okulary gdzieś zniknęły, szczeniący tłuszczuk, którego nie potrafiła się pozbyć jeszcze w wieku dwudziestu kilku lat, odszedł w zapomnienie. Jedyne gesty, na przykład zdecydowane ukośne przecięcie powietrza otwartą płaską dłonią dla podkreślenia co drugiego zdania, przekonało go, że naprawdę ma do czynienia z tą samą osobą.

Że też ona ma odwagę, pomyślał wtedy.

Od tamtej pory powoli się do tego przyzwyczajał.

Al Muffet znów się zatrzymał, wciągając w płuca lodowate powietrze. Dotarł już do strumienia, w którym pod pokrywą przejrzystego lodu wciąż płynęła woda.

Helen po prostu mu ufała. Musiała dokonać wyboru i uwierzyć w obietnicę, którą kiedyś złożył w innym życiu, w innym czasie i w zupełnie innym miejscu. Dla osoby z jej pozycją niezwykle proste musiało być sprawdzenie, czy on wciąż żyje, czy ciągle mieszka w USA.

A mimo to pozwoliła, by wybrano ją na najpotężniejszą przywódczynię na świecie. W kraju, w którym moralność była cnotą, a podwójna moralność cnotą konieczną.

Przeszedł przez strumień i przeskoczył przez zwał śniegu przy drodze. Puls miał tak szybki, że aż szumiało mu w uszach. Tyle czasu już od tego minęło, pomyślał, zdejmując rakiety. Wziął po jednej w każdą rękę i puścił się biegiem wąską zimową drogą.

- *We got away with it* - szeptał w takt własnych ciężkich kroków. - Można mi było zaufać. Jestem człowiekiem honoru. *Wegot away with it.*

Wiedział, że jest spóźniony. W domu prawdopodobnie już czekają na niego ostrygi i otwarty szampan. Louise oświadczy, że to dla uczczenia pierwszej kobiety, zaprzysiężonej na prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Cztery miesiące później

Poniedziałek, 16 maja 2005

1

- Idiotyczny termin! Kto, do cholery, wybrał akurat tę datę?
SzeF Policyjnej Służby Bezpieczeństwa, PSB, przeciągnął ręką po krótkich rudych włosach.

- Dobrze wiesz - odparła nieco młodsza kobieta, zmrużonymi oczami wpatrująca się w ekran przestarzałego telewizora, który stał na szafce z aktami w kącie pokoju; kolory były wyblakłe, a w dolnej części ekranu migotał czarny pasek. - To decyzja premiera, dobra okazja, sam rozumiesz. Pokazanie starej ojczyzny w całej otoczce narodowego romantyzmu.

- Pijaństwo, awantury i śmieci po horyzont - burknął Peter Salhus. - Niezbyt romantycznie. Siedemnasty Maja był i jest prawdziwym piekłem. I jak, do ciężkiej jasnej... - głos przeszedł w falset, gdy mężczyzna wskazywał na odbiornik telewizyjny - ...oni chcą ochraniać tę kobietę?

Madam President właśnie dotykała stopą norweskiej ziemi. Przed nią szło trzech mężczyzn w ciemnych płaszczach, łatwo było zauważyć charakterystyczne słuchaweczki w uszach. Mimo niskiej

pokrywy chmur wszyscy byli w przeciwsłonecznych okularach, jak gdyby chcieli sami siebie parodiować. Za panią prezydent ze schodków Air Force One schodzili ich bracia bliźniacy, równie potężni, równie ciemni, z takimi samymi twarzami bez wyrazu.

- wygląda na to, że sami dadzą sobie radę - oświadczyła Anna Birkeland cierpko. - Poza tym mam nadzieję, że nikt inny nie usłyszy twojego... pesymizmu, że się tak wyrażę. Właściwie mnie martwisz. Zwykle nie...

Urwała. Peter Salhus też milczał ze wzrokiem wciąż utkwionym w ekran telewizora. Ten gwałtowny wybuch nie był do niego podobny. Przeciwnie - gdy dwa lata wcześniej został mianowany szefem służby bezpieczeństwa, to właśnie jego spokój i zycliwe usposobienie umożliwiły mu, człowiekowi z wojskową przeszłością, objęcie tego stanowiska. Gwałtowne krzyki protestów lewicy odrobinę ucichły, gdy Salhus wyjawiał, że w młodości był socjalistą. Jako dziesięcioletniak poszedł do wojska, „żeby demaskować amerykański imperializm”, jak z uśmiechem wyjaśnił w telewizyjnym wywiadzie. Gdy chwilę później przybrał bardzo poważny ton i w ciągu półtorej minuty przedstawił obraz zagrożenia, z którym zgodzić się mogła przeważająca większość, sprawa była już w zasadzie przesądzona. Peter Salhus z munduru przebrał się w garnitur i przeprowadził do lokali PSB, jeśli nie przy pełnej akłamacji, to przynajmniej z międzypartyjnym poparciem. Cieszył się sympatią pracowników i szacunkiem kolegów z zagranicy. Obcięte po wojskowemu na milimetrowej długości jeża włosy i lekko siwiejąca broda budziły staroświeckie męskie zaufanie. Peter Salhus paradoksalnie stał się lubianym szefem służby bezpieczeństwa.

Teraz Anna Birkeland go nie poznawała.

Światło lampy na suficie odbijało się od spoconej czaszki. Ciało kołysało się w przód i w tył, najwyraźniej bez świadomej intencji. Anna zerknęła na jego mocno zaciśnięte dłonie.

- Co się dzieje? - spytała cicho, jak gdyby nie bardzo chciała usłyszeć odpowiedź.

- To nie jest dobry pomysł.

-To dlaczego tego wszystkiego nie powstrzymałeś? Skoro tak się tym martwisz, to powinieneś być...

- Próbowałem, dobrze o tym wiesz.

Anna wstała i podeszła do okna. Wiosna nie informowała głośno o swojej obecności w bladym popołudniowym świetle. Kobieta przyłożyła dłoń do szyby. Szkło na moment zaszło parą, która zaraz znikła.

- Miałeś wątpliwości, Peter. Szkicowałeś różne scenariusze i podkreślałeś swoje uprzedzenia. To nie to samo co próba powstrzymania.

- Mamy demokrację - powiedział; Anna w jego głosie nie zdołała wychwycić ironii. - To politycy decydują. W sytuacjach takich jak ta jestem jedynie marnym doradcą. Gdybym to ja mógł decydować...

- ...to zamknęlibyśmy drzwi przed wszystkimi? - Odwróciła się gwałtownie. - Przed wszystkimi - powtórzyła teraz już głośniejszym głosem - którzy w jakiś sposób stanowią wyzwanie dla tej idyllicznej wioski, zwanej Norwegią?

- Tak - przyznał. - Być może właśnie tak.

Nie wiadomo, co miał oznaczać jego uśmiech. Na ekranie telewizora panią prezydent prowadzono z ogromnego samolotu ku prowizorycznej mównicy. Mężczyzna w ciemnym ubraniu ustawiał mikrofon.

- Przecież podczas wizyty Billa Clintona wszystko poszło jak po maśle - przypomniała Anna i lekko przygryzła paznokieć. - Paradował po mieście, pił piwo i witał się ze wszystkimi. Wstąpił nawet do cukierni. I to poza wszelkim planem i protokołem.

- To było wcześniej.

- We wcześniej?

- Przed jedenastym wrześniem.

Anna znów usiadła. Uniosła półdługie włosy z karku. Spuściła wzrok i wciągnęła powietrze, jakby chcąc coś powiedzieć, ale tylko

głośno westchnęła. Z korytarza dobiegł śmiech, poniesiony szybkimi krokami ku windzie. Pani prezydent zakończyła już krótką przemowę na milczącym ekranie telewizora.

- To Komenda Okręgowa Policji w Oslo odpowiada teraz za jej osobistą ochronę - odezwała się Anna. - Dlatego, formalnie rzecz ujmując, ta wizyta prezydencka nie jest twoim problemem. To znaczy naszym. Poza tym... - wskazała ręką na szafkę z aktami pod telewizorem - ...niczego nie odnotowaliśmy. Żadnych ruchów, żadnej aktywności. Ani wśród grup, o których istnieniu w kraju wiemy, ani na peryferiach. Żadna z informacji, które dotarły do nas spoza kraju, nie wskazuje, by miałyby to być coś innego niż naprawdę miła wizyta... - jej głos nabrał tonu prezenterki wiadomości - ...pani prezydent, pragnącej uhonorować kraj, z którego pochodzi jej rodzina, będący jednocześnie zaufanym partnerem Stanów Zjednoczonych. Nie ma żadnych oznak, by ktokolwiek miał jakieś inne plany.

- Co jest dość dziwne, prawda? To...

Urwał. Madam President wsiadała do ciemnej limuzyny. Jakaś kobieta zręcznie pomogła jej ułożyć płaszcz, którego poła znalazła się poza samochodem i przytrzasnęłyby ją drzwiczki. Premier Norwegii z uśmiechem machnął do kamer, nieco zbyt przejęty i pełen dziecinnego podziwu dla wizyty tak wspaniałego gościa.

- To obiekt nienawiści numer jeden na świecie - oznajmił Peter Salhus, ruchem głowy wskazując na ekran. - Wiemy, że plany pozbawienia życia tej kobiety układane są codziennie. Każdego cholernego dnia. W USA, w Europie, na Bliskim Wschodzie. Wszędzie.

Anna Birkeland pociągnęła nosem, pocierając go palcem.

- Tak jest już od dawna, Peter. I nie dotyczy tylko jej. My i nasi koledzy na całym świecie ciągle wykrywamy przestępcze plany, nie dopuszczamy, by stały się rzeczywistością. Oni mają najlepszy na świecie wywiad i...

- Akurat na ten temat fachowcy się spierają - przerwał jej.
- ...i najsukuteczniej na świecie działającą organizację policyjną
- ciągnęła niezrażona Anna. - Nie wydaje mi się, żebyś musiał
nie spać w nocy ze zmartwienia o prezydent Stanów Zjednoczo-
nych.

Peter Salhus wstał i wcisnął wyłącznik akurat w chwili, gdy
kamera pokazywała zbliżenie na małą flagę amerykańską na ma-
sce samochodu. Flaga gwałtownie zafalowała czerwienią, bielą i
błękitem, kiedy samochód przyspieszył.

Ekran szerniał.

- Wcale nie o nią się martwię - powiedział Peter Salhus. - Wła-
ściwie nie o nią.

- Teraz już naprawdę nie rozumiem, o co ci chodzi. - Anna
wyraźnie się zniecierpliwiła. - Uciekam. Wiesz, gdzie mnie szukać,
gdybyś czegoś potrzebował.

Podniosła z podłogi grubą teczkę z dokumentami i ruszyła do
wyjścia. Z ręką na klamce w półotwartych drzwiach odwróciła się
do niego i spytała:

- Jeśli nie o Bentley się martwisz, to o kogo?

Peter Salhus przekrzywił głowę i lekko zmarszczył brwi, jakby
nie miał pewności, czy usłyszał pytanie.

- O nas - odparł nagle ostro. - Martwię się o to, co może się
stać z nami.

Klamka wydała się nagle Annie dziwnie zimna, puściła ją. Drzwi
powoli się zamknęły.

- Nie o nas dwoje. - Uśmiechnął się do okna; zdawał sobie
sprawę, że Anna się zaczerwieniła, i nie chciał tego widzieć. - Mar-
twię się o... - dłońmi zakreślił w powietrzu nieregularny kształt
- o Norwegię - dokończył, odwracając się i patrząc wreszcie Annie
w oczy. - Co, do cholery, stanie się z Norwegią, jeśli coś pójdzie
nie tak?

Anna nie była pewna, czy zrozumiała, o co mu chodzi.

2

Madam President wreszcie została sama.

Ból wrył się w tył głowy jak zawsze w podobnych dniach. Usiadła ostrożnie w kremowobiałym fotelu. Ten ból to stary znajomy, pojawiał się stale. Leki nie pomagały, prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie wyjawiała swoich dolegliwości żadnemu lekarzowi, i z tego powodu stosowała wyłącznie środki bez recepty. Ból przychodził nocą, kiedy było już po wszystkim i mogłaby wreszcie zrzucić buty i usiąść z nogami wyżej, niekiedy poczytać książkę albo zamknąć oczy i nie myśleć o niczym, dopóki nie nadejdzie sen. Ale ból na to nie pozwalał. Musiała siedzieć nieruchomo, lekko odchyłona w tył, z rękami odsuniętymi od ciała, a stopami mocno wpartymi w podłogę, z oczami półprzymkniętymi, nigdy całkiem zamkniętymi, bo czerwona ciemność pod powiekami sprawiała, że ból jeszcze się wzmagał. Potrzebowała trochę światła, odrobinę światła przepuszczonego przez rzęsy. Rozluźnione ręce z otwartymi dłońmi. Rozluźnione ciało. Uwagę należało w miarę możliwości odciągnąć od głowy, skierować ją na stopy, z całej siły wciskane w dywan, raz po raz, w rytmie powolnego pulsu. Nie myśleć, nie zamykać całkiem oczu, wciskać stopy w podłogę. Jeszcze raz i jeszcze.

W końcu przy kruchej równowadze między snem, bólem a jawą, szpony zaciśnięte w tyle głowy powoli zwalniały uścisk. Nigdy nie wiedziała, jak długo trwał atak. Z reguły był to kwadrans. Czasami przerażona patrzyła na zegarek i nie mogła pojąć, że wskazuje właściwy czas. Rzadko chodziło tylko o sekundy.

Tak również było teraz, wskazywał to zegarek stojący na nocnym stoliku.

Z wielką ostrożnością podniosła prawą rękę i położyła ją na karku. Wciąż siedziała nieruchomo. Stopy dalej pulsowały na podłodze. Od pięt do palców i z powrotem. Chłód dłoni sprawił,

że skóra na barkach się napięła. Ból naprawdę ustąpił. Całkiem. Odetchnęła głębiej i wstała, tak samo ostrożnie, jak siadała.

Najgorszy w tych atakach był może wcale nie ból, tylko stan rozbudzonej czujności, który następował później. Helen Lardahl Bentley przez blisko dwadzieścia lat przyzwyczała się, że sen to coś, bez czego czasami po prostu musi się obejść. Zdarzały jej się nawet kilkumiesięczne okresy bez bólu, lecz w ostatnim roku seans w fotelu stał się niemal codziennym rytuałem odprowadzającym o północy. A ponieważ była kobietą, która nigdy nie pozwalała, by cokolwiek się zmarnowało, również czas, stale zaskakiwała współpracowników swoim zdumiewająco dobrym przygotowaniem do wczesnych porannych spotkań.

Stany Zjednoczone miały, wcale o tym nie wiedząc, panią prezydent, która zwykle musiała się zadowalać czterema godzinami snu na dobę. I dopóki to zależało od niej, bezsenność miała pozostać tajemnicą, dzieloną wyłącznie z mężem, który po wielu latach nauczył się spać przy zapalonym świetle.

Teraz była całkiem sama.

W podróży nie towarzyszyli jej ani mąż Christopher, ani córka Billie. Powstrzymanie ich wiele kosztowało Madam President. Wciąż kurczyła się w sobie na wspomnienie oczu męża, ciemniejących w pełnym zdumienia rozczarowaniu, gdy podjęła decyzję wyjazdu bez rodziny. Podróż do Norwegii była pierwszą zagraniczną wizytą pani prezydent po objęciu urzędu, miała charakter wyłącznie reprezentacyjny, a poza tym jej cel stanowił kraj, z którego poznania jej dwudziestojednoletnia córka mogłaby czerpać radość i pożytek. Istniało tysiąc dobrych powodów, by przyjechać tu z całą rodziną, jak zresztą pierwotnie planowano.

A mimo to tamci oboje musieli zostać w domu.

Helen Bentley zrobiła kilka kroków na próbę, jakby nie była pewna, czy podłoga wytrzyma. Ból głowy na dobre minął. Kciukiem i palcem wskazującym potarła czoło, rozglądając się po pokoju. Dopiero teraz dostrzegła, jak pięknie urządzony jest apartament.

Utrzymano w nim chłodny skandynawski styl z jasnym drewnem, ręcznie wyrabianymi tkaninami i może odrobinę zbyt wieloma elementami ze szkła i stali. Szczególną uwagę przykuwały lampy, klosze z piaskowanego szkła. Różniąc się kształtem, pasowały do siebie w jakiś niepojęty sposób. Dotknęła dłonią jednego, poczuła delikatne ciepło słabej żarówki.

Oni są wszędzie, pomyślała, wodząc palcem po szkłe. Są wszędzie i mnie pilnują.

Nie mogła do tego przywyknąć. Bez względu na miejsce, okazję, towarzystwo, nie zważając na porę i intymność, zawsze byli blisko. Oczywiście rozumiała, że tak być musi. Z taką samą jednak oczywistością zaledwie po miesiącu sprawowania urzędu zrozumiała, że nigdy nie zaprzyjaźni się z mniej lub bardziej niewidocznymi strażnikami. Ochroniarze towarzyszący jej w ciągu dnia to jedno, ich dość szybko nauczyła się traktować jako element codzienności. Dawało się ich rozróżnić. Mieli twarze, niektórzy nawet imiona, którymi pozwalali się nazywać, chociaż nie wykluczała, że są fałszywe.

gorzej było z innymi. Z tymi niezliczonymi i niewidzialnymi, z tymi uzbrojonymi, ukrytymi cieniami, które zawsze ją otaczały, a ona nie wiedziała nawet, gdzie się znajdują. Czuła się z tym nie-swojo, ogarnięta niestosowną na jej stanowisku paranoją. Przecież oni jej strzegli. Pragnęli jej dobra, przynajmniej w takim stopniu, w jakim w ogóle kierowało nimi cokolwiek oprócz poczucia obowiązku. Sądziła, że jest przygotowana na życie w roli obiektu, aż do chwili, gdy kilka tygodni po zaprzysiężeniu zrozumiała, że na takie życie nie można się przygotować.

Nie w pełni.

W ciągu całej swojej kariery politycznej koncentrowała się na możliwościach i władzy, rozsądnie manewrując, by osiągnąć obydwie te cele. Oczywiście, po drodze napotykała opór, konkretny, polityczny, lecz również sporo złośliwości i szykan, zazdrości i złej woli. wybrała karierę polityczną w kraju o długich tradycjach

personalnej nienawiści, zorganizowanych nagonek, niesłychanych nadużyć władzy, a na dokładkę zamachów. Dwudziestego drugiego listopada 1963 roku jako przerażona trzynastolatka pierwszy raz w życiu widziała płaczącego ojca i przez wiele dni sądziła, że świat się naprawdę zawalił. Wciąż była nastolatką, gdy w tym samym burzliwym dziesięcioleciu zabici zostali Robert Kennedy i Martin Luther King. Mimo to nigdy tak naprawdę nie postrzegала tych ataków w kategoriach osobistych. Dla młodej Helen Lardahl zabójstwa polityczne były niedopuszczalnym zamachem na idee, na wartości i poglądy, które chciwie chłoneła i które po blisko czterdziestu latach wciąż przyprawiały ją o dreszcz wzruszenia za każdym razem, gdy oglądała nagranie przemówienia zaczynającego się od słów: *I have a dream*.

Kiedy we wrześniu 2001 roku porwane samoloty uderzyły w World Trade Center, odebrała to w taki sam sposób jak blisko trzysta milionów jej rodaków: ten atak był zamachem na samą ideę Ameryki. Blisko trzy tysiące ofiar, niewyobrażalne szkody materialne i na zawsze odmieniona *skyline* Manhattanu łączyły się w większą całość, w amerykańskość.

W ten sposób każda ofiara - każdy bohaterski strażak, każde osierocone dziecko i każda zniszczona rodzina - stała się symbolem czegoś o wiele większego niż sam wielki kraj. Dzięki temu straty dało się znieść, zarówno gdy chodziło o naród, jak i o osieroconych krewnych.

Właśnie tak wtedy czuła. Właśnie tak myślała.

Dopiero teraz, odkąd sama grała rolę obiektu numer jeden, zaczęła wietrzyć oszustwo w tym wszystkim. Teraz to ona stała się symbolem. Problem tkwił w tym, że nie uważała się za żaden symbol. W każdym razie nie tylko. Była matką. Była żoną i córką, przyjaciółką i siostrą. Przez blisko dwie dekady pracowała, zmierzając ku temu jednemu celowi: objąć urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pragnęła władzy, chciała mieć możliwości. I to jej się udało.

Ale oszustwo nękało ją coraz bardziej.

W bezsenne noce potrafiło bardzo doskwierać.

Pamiętała pewien pogrzeb, w którym uczestniczyła, tak jak oni wszyscy - senatorowie i kongresmani, gubernatorzy i inni promi-nenci - pragnący wziąć udział w Wielkiej Amerykańskiej Żałobie, w pochówkach i uroczystościach ku czci, dobrze widoczni dla fotografów i dziennikarzy. Chowano kobietę, sekretarkę świeżo zatrudnioną w firmie mieszczącej się na siedemdziesiątym trzecim piętrze Wieży Północnej.

Wdowiec nie mógł mieć jeszcze trzydziestki. W kaplicy zajmował miejsce w pierwszej ławce z dwójką maleńkich dzieci na kolanach. Obok niego siedziała sześć-, może siedmioletnia dziewczynka, raz po raz głaskała ojca po rękę, niemal maniakalnie, jakby już rozumiała, że tata odchodzi od zmysłów, i musiała mu przypominać o swoim istnieniu. Fotografowie koncentrowali się na malcach, na dwu-trzyletnich bliźniętach i na dziewczynce w czerni, kolorze, w jaki nie należy ubierać dzieci. Helen Bentley natomiast, mijając trumnę, patrzyła na ojca. Nie widziała u niego żałoby takiej, jaką sama знаła. Ten mężczyzna miał twarz wykrzywioną rozpaczą i lękiem, czystym, obnażonym strachem. Nie był w stanie pojąć, w jaki sposób świat będzie mógł kręcić się dalej. Nie miał pojęcia, jak zdoła zająć się dziećmi. Nie wiedział, jak zwiąże koniec z końcem, skąd weźmie pieniądze na czynsz i na szkołę, skąd zaczerpnie sił na samotne wychowanie trojga dzieci. Miał swoje pięć minut sławy, ponieważ jego żona znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie i w absurdalny sposób uczyniono z niej amerykańską bohaterkę.

Wykorzystaliśmy ich, pomyślała Helen Bentley, wyglądając na ciemny Oslofjorden przez panoramiczne okno, wychodzące na południe. Niebo wciąż miało dziwny bladoniebieski kolor, jak gdyby zabrakło mu sił, by ściemnieć. Wykorzystaliśmy ich jako symbole, by skłonić ludzi do zwania szeregow. I to nam się udało. Ale

co teraz robi tamten człowiek? Jak mu się ułożyło życie? A dzieci? Dlaczego nigdy nie miałam odwagi tego sprawdzić?

Ochroniarze znajdowali się na zewnątrz. Na korytarzach. W sąsiednich pokojach. Na dachach domów i w zaparkowanych samochodach. Byli wszędzie i pilnowali właśnie jej.

Musiała się położyć. Łóżko wyglądało zachęcająco, z wielką puchową kołdrą, taką jaką zapamiętała z izdebki na poddaszu u babci ze strony ojca w Minnesocie, gdy była dzieckiem i wiedziała jeszcze tak cudownie mało, i gdy mogła odciąć się od świata, naciągając na głowę pierzynę w drobną kratkę.

Tym razem naród nie zewrze szeregów. Dlatego to było gorsze. O wiele, wiele groźniejsze.

Przed zaśnięciem nastawiła jeszcze budzik we własnej komórcie. Było wpół do trzeciej, a za oknem, o dziwo, zaczynało już świtać.

Wtorek, 17 maja 2005

1

Zanim diabeł wyskoczył z pudełka, norweskie święto narodowe zaczęło się tak jak zwykle. Stołeczna policja już przywiozła do aresztu ponad dwudziestu ledwie trzymających się na nogach, ubranych na czerwono nastolatków, którzy teraz odsypiali zamroczenie alkoholowe, czekając, aż ojcowie z wyniosłymi uśmiechami zapłacą za nich mandaty. Reszta wielotysięcznej rzeszy abiturientów szkół średnich starała się, jak tylko mogła, by nikt przypadkiem nie zaspał na obchody. Tanie stare autobusy, wyposażone w drogi nowy sprzęt stereo, z rykiem przemierzały ulice. Tu i ówdzie zobaczyć już można było odświętnie ubrane dzieci; biegały jak małe psiaki za przemalowanymi samochodami. Na cmentarzach zbierały się z roku na rok coraz mniej liczne grupki weteranów wojennych, by w ciszy uczcić pokój i wolność. Ulicami snuły się orkiestry, wygrywając marsze na pół gwizdka. Przenikliwe dźwięki trąbek dbały o to, by każdy, kto wbrew wszelkim przypuszczeniom jeszcze spał, mógł wstać i wypić pierwszą kawę. W miejskich parkach spod koców i plastikowych toreb wypełzły zdezorientowane ćpuny, nie pojmując, co się dzieje.

Pogoda też była taka jak zwykle. Na południu pokrywa chmur nie była jednolita, ale nic nie zapowiadało ciepłego dnia.

Przeciwnie, sądząc po odcieniu nieba na północy, istniały powody, by obawiać się deszczu. Drzewa w większości wciąż były półnagie, chociaż na brzozech pojawiły się już pączki i tłuste od pyłu kotki. W całym kraju rodzice wciągali wełnianą bieliznę dzieciom, które już na długo przed śniadaniem marudziły, dopominając się lodów i kielbasek. Flagi łopotały na ostrym wietrze.

Królestwo było gotowe do świętowania.

Pod jednym z hoteli w centrum Oslo dygotała z zimna policjantka. Stała tu przez całą noc. Coraz częściej zerkała na zegarek, oczywiście bardzo dyskretnie. Już wkrótce ktoś powinien ją zmienić. Od czasu do czasu pozwalała sobie na ukradkową wymianę kilku słów z kolegą stojącym na posterunku pięćdziesiąt metrów dalej, ale i tak noc nieznośnie się dłużyła. Przez pewien czas funkcjonariuszka usiłowała ją sobie skrócić, zabawiając się wyszukiwaniem ochroniarzy. Koło drugiej jednak strumień wchodzących i wychodzących z hotelu ludzi zdecydowanie się zmniejszył. Ochrony na dachach raczej nie było, a odkąd amerykańską prezydent wysadzono i wprowadzono do hotelu tuż po północy, nie przyjechał też żaden z ciemnych, łatwo rozpoznawalnych samochodów z tajnymi agentami. Ale oczywiście musieli tu być. Wiedziała o tym nawet ona, zwykła posterunkowa, która stała tutaj dla ozdoby w wyczyszczonym mundurze i marzła, niechybnie nabawiając się zapalenia pęcherza.

Do głównego wejścia hotelu zbliżyła się kolumna samochodów. Zwykle ulica była tu otwarta dla ruchu, teraz zamknięto ją przenośnym metalowym ogrodzeniem, prowizorycznie zmieniając w podłużny plac przed skromnym wejściem.

Policjantka usunęła dwa elementy ogrodzenia, tak jak jej to nakazano wcześniej, i sama weszła na chodnik. Zrobiła dwa niepewne kroki w stronę hotelu. Może uda jej się zobaczyć panią prezydent z bliska, gdy będą ją zabierać na uroczyste śniadanie. Stanowiłoby to mile widzianą nagrodę za tę piekielną noc. Funkcjonariuszka

wprawdzie nie interesowała się takimi sprawami, ale to, bądź co bądź, kobieta posiadająca największą władzę na świecie.

Nikt jej nie zatrzymał.

W chwili gdy pierwszy samochód zahamował, z obrotowych drzwi hotelu wybiegł mężczyzna z gołą głową i bez płaszcza. Krótkofalówka tkwiła przymocowana do rzemienia przełożonego przez jego ramię, a pod rozpiętą marynarką policjantka dostrzegła kaburę. Twarz miał dziwnie bez wyrazu.

Od strony pasażera z wozu wysiadał właśnie niewysoki krępy mężczyzna w ciemnym garniturze. Ten z krótkofalówką złapał go za ramię. Stali tak przez kilka sekund, wyższy z ręką zaciśniętą na ramieniu niższego. Rozmawiali szeptem.

- *Co? What?*

Mały Norweg nie miał twarzy pokerzysty jak Amerykanin. Na moment rozdziawił usta, nim w końcu wziął się w garść i wyprostował. Policjantka zrobiła kilka kroków w stronę samochodu, ale wciąż nie mogła rozróżnić słów.

Z hotelu wyszło jeszcze czterech funkcjonariuszy. Jeden rozmawiał cicho przez komórkę, wpatrując się w paskudną rzeźbę mężczyzny z błyszczącej stali, czekającego na taksówkę. Trzej inni agenci dali znak komuś, kogo policjantka nie widziała, po czym wszyscy jak na komendę spojrzeli w jej stronę.

- *Hey, you! Officer! You!*

Policjantka uśmiechnęła się niepewnie, w końcu uniosła rękę i z pytającą miną wskazała na siebie.

- *Yes, you* - powtórzył jeden z mężczyzn i trzema susami znalazł się przy niej. - *ID, please.*

Wyciągnęła identyfikator z wewnętrznej kieszonki. Mężczyzna zerknął na norweskie godło. Oddał jej identyfikator, nawet go nie odwracając, żeby sprawdzić zdjęcie.

- *The main door* - syknął, już gotowy, by biec z powrotem.

- *No one in, no one out. Got U?*

- *Yes, yes.* - Policjantka przelknęła ślinę, szeroko Otwierając oczy. - *Yes, sir!*

Mężczyzna był już za daleko, by usłyszeć grzecznościową formułkę, którą w końcu sobie przypomniała. Kolega, jej nocny towarzysz, zbliżał się do głównego wejścia. Najwidoczniej otrzymał takie samo polecenie jak ona, bo sprawiał wrażenie niepewnego. Wszystkie cztery samochody z kolumny nagle dodały gazu, zawróciły na placu i zniknęły.

- Co się dzieje? - szepnęła policjantka, stając przed podwójnymi szklanymi drzwiami; jej kolega wydawał się całkowicie zdezorientowany. - Co tu się, u diabła, dzieje?

- Mamy... Chyba mamy pilnować tych drzwi.

- No tak. Tyle zrozumiałam! Ale dlaczego? Co się stało?

Z głębi hotelu wyłoniła się jakaś starsza pani i usiłowała pchnąć drzwi. Miała ciemnoczerwony płaszcz i dziwaczny niebieski kapelusz z białymi kwiatkami wokół ronda. Do piersi przypięła siedemnastomajową kokardę ze wstążkami sięgającymi niemal podłogi, wreszcie zdołała się wydostać na zewnątrz.

- Bardzo mi przykro, proszę pani. Będzie pani musiała chwilę zaczekać. - Policjantka uśmiechnęła się najżyczliwszym ze swoich uśmiechów.

- Zaczekać! - powtórzyła agresywnie kobieta. - Za kwadrans jestem umówiona z córką i wnuczką! Mam miejsce na...

- To z pewnością nie potrwa długo - uspokajała ją policjantka. - Gdyby tylko pani zechciała...

- Ja się tym zajmę - oświadczył mężczyzna w hotelowym uniformie, który szybkim krokiem nadszedł od strony recepcji. - Zechce pani pójść ze mną i...

- *Oh say, canyou seeeeee, by the dawn's early lllllight...*

Potężny głos nagle rozdarł rześkie powietrze. Policjantka się odwróciła. Od północnego zachodu, tam gdzie zagrodzona ulica biegła w stronę parkingu po południowej stronie Dworca

Centralnego, ukazała się postać potężnego mężczyzny w ciemnym płaszczu. Trzymał mikrofon, za nim kroczyła orkiestra.

-... *what so prouuuuuudly we hailed...*

Policjantka poznała go natychmiast. Co do białych uniformów muzyków również nie można się było pomylić. I nagle przypomniała sobie, że młodzieżowa orkiestra dzielnicy Sinsen i mężczyzna o potężnym głosie mieli dokładnie wespół do ósmej zgodnie z planem stworzyć Madam President przyjemną poranną atmosferę, zanim zostanie przewieziona na śniadanie na zamek.

Odgłos werbla nabrał mocy grzmotu. Pieśniarz nachylił się jakby do skoku i zaczerpnął powietrza.

- *...at the twilighfs lastgleeeeeming.*

Orkiestra usiłowała grać w rytmie przypominającym marsza, solista natomiast miał skłonność raczej do wielkich solowych występów. Stale się opóźniał, a namiętna mowa jego ciała dziwnie kontrastowała z wojskową postawą muzyków.

Madam President nadal się nie pokazywała. Kolumna samochodów dawno zniknęła. Amerykanów, którzy ledwie wydali polecenia, a już pobiegli z powrotem do foyer, również nie było widać przez zamknięte drzwi. Jedyne starsza pani w kapeluszu wciąż stała wściekła za szybą. Ktoś najwyraźniej wyłączył automatyczne otwieranie drzwi. Młoda policjantka została sama i nie miała pojęcia, co robić. Nawet jej kolega zniknął nie wiadomo gdzie. Zaczęła mieć wątpliwości, czy w ogóle słusznie zrobiła, słuchając polecenia cudzoziemca, ale nikt nie przyszedł jej zmienić, chociaż taka była umowa.

Pewnie powinna do kogoś zadzwonić.

Może to z zimna, może ze zdenerwowania i przejęcia tak odpowiedzialnym zadaniem czterdziestu członków orkiestry wraz ze swym gwiazdorem niezrażenie kontynuowało własną interpretację *Star-Spangled Banner* na odgrodzonym od ulicy placu, mając za publiczność samotną policjantkę.

- Cholera, Mariannę! Jasna cholera!

Funkcjonariuszka gwałtownie się odwróciła. Z bocznych drzwi hotelu wyskoczył jej kolega. Był bez czapki. Mariannę zmarszczyła czoło i wymownie sięgnęła do własnego daszka.

- Ona zniknęła, Mariannę! - wyrzucił z siebie, ciężko sapiąc.

-Co?

- Podśledzałem dwóch... Chciałem się tylko dowiedzieć, co się stało, no nie? I...

- Kazali nam tutaj stać! Pilnować drzwi!

- Oni mi nie będą rozkazywać! Nie mają tu władzy nade mną! A nas miał ktoś zmienić już pół godziny temu. Dlatego wszedłem tamtędy... - W podnieceniu pokazał ręką. - A ci z hotelu mnie nie zatrzymali. No wiesz, mundur i w ogóle, więc...

- Kto zniknął?

- Ona! Bentley'. Pani prezydent'.

- Zniknęła - powtórzyła Mariannę bezbarwnym głosem.

- Przepadła jak kamień w wodę. Nikt nie ma pojęcia gdzie! W każdym razie... Słyszałem, jak ci dwaj faceci rozmawiają i... - Urwał i sięgnął po komórkę.

- Do kogo chcesz... - zaczęła Mariannę, ale musiała zasłonić jedno ucho, bo orkiestra osiągała już crescendo. - Do kogo dzwo-nisz?

- Do gazety, do VG - odpowiedział kolega. - To jest warte dziesięć tysięcy. Co najmniej.

Mariannę błyskawicznie wyrwała mu telefon.

- Nigdzie nie zadzwonisz - syknęła. - Musimy się skontaktować... skontaktować... - Zerknęła na komórkę, jak gdyby aparat mógł jej pomóc. - Kogo powinniśmy...

- *...and the laaand of thefreeeeeeee!*

Pieśń wybrzmiała, śpiewak skłonił się niepewnie. Ktoś z orkiestry się zaśmiał, w końcu zapadła całkowita cisza.

Głos policjantki zabrzmiał cienko i piskliwie, gdy podsunęła telefon koledze i dokończyła:

- Z kim... z kim, do diabła, mamy teraz rozmawiać?

Dyrektor sekretariatu ministra sprawiedliwości była w gabinecie sama. Ze stalowej szafki w oddzielnym archiwum wyjęła trzy segregatory. Żółty, niebieski i czerwony. Położyła je na biurku ministra i nastawiła dzbanek kawy. Z szafki z przyborami piśmiennymi wzięła długopisy, ołówki i notatniki i zaniósła je do sali konferencyjnej. Potem sprawnie zalogowała się w trzech komputerach - własnym, ministra i sekretarza stanu. Ze swojego biurka zabrała jeszcze stoper, po czym wróciła do archiwum. Bez większych kłopotów odsunęła na bok jedną z półek. Ukazał się panel z czerwonymi cyframi. Włączyła stoper, wbiła dziesięciocyfrowy szyfr, sprawdziła czas. Trzydzieści cztery sekundy później wstukała kolejny kod. Znowu spojrzała na stoper, czekała. Czekala jeszcze chwilę. Minęło półtorej minuty. Kolejny szereg cyfr.

Drzwiczki się otworzyły.

Sięgnęła po szarą skrzynkę, resztę zawartości zostawiła. Potem zamknęła wszystko według równie skomplikowanej procedury i opuściła archiwum.

Dotarcie dziś do gabinetu zajęło jej dokładnie sześć minut. Razem z mężem jechała do siostrzenicy w Baerum, by spędzić ten dzień na wyścigach z ziemniakiem na łyżce i smażeniu gofrów w Szkole Podstawowej Evje, kiedy zadzwoniła komórka. Gdy tylko zobaczyła numer na wyświetlaczu, poprosiła męża, żeby zjechał z obwodnicy. Zawiózł ją do dzielnicy rządowej, nawet nie pytając dlaczego.

Zjawiała się pierwsza.

Powoli usiadła na krześle i poprawiła włosy.

„Kod numer cztery”, powiedział głos w telefonie.

To mogły być ćwiczenia. Przecież regularnie ćwiczyli te procedury przez ostatnie trzy lata. To oczywiście mogły być ćwiczenia.

Siedemnastego maja? Ćwiczenia w święto narodowe?

Dyrektor sekretariatu drgnęła, gdy drzwi na korytarz otworzyły się głośno. Do gabinetu wkroczył minister sprawiedliwości, nawet się nie witając. Szedł sztywno, krótkimi krokami, jak gdyby musiał się powstrzymać przed biegiem.

- Mamy określone procedury na takie wypadki - powiedział trochę za głośno. - Już zaczęliśmy?

Mówił tak samo, jak szedł. W rytmie staccato, z napięciem. Szefowa sekretariatu nie była pewna, czy pytanie skierował do niej, czy też do jednego z trzech mężczyzn, którzy weszli za nim. Na wszelki wypadek kiwnęła głową.

- To dobrze. - Minister nawet nie przystanął w drodze do swojego gabinetu. - Mamy procedury. Wdrożyliśmy je. Kiedy przyjdą Amerykanie?

Amerykanie, pomyślała dyrektor sekretariatu, czując falę gorąca, uderzającą do głowy. Amerykanie. Odruchowo zerknęła na grubą teczkę z korespondencją dotyczącą wizyty Helen Bentley.

Szef służby bezpieczeństwa, Peter Salhus, nie poszedł za trzema pozostałymi, tylko zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką.

- Dawno się nie widzieliśmy, Beatę. Wolałbym, żebyśmy się spotkali w innych okolicznościach.

Szefowa sekretariatu wstała, przygładziła spódnice i ujęła wyciągniętą dłoń.

- Nie bardzo wiem... - Głos jej się załamał, musiała odchrząknąć.

-Już niedługo - odparł. - Zaraz zostaniesz poinformowana.

Jego dłoń była ciepła i sucha. Kobieta przytrzymała ją odrobinę za długo, jak gdyby potrzebowała bezpieczeństwa, kryjącego się w tym mocnym uścisku. W końcu lekko skinęła głową.

- Przyniosłaś szarą skrzynkę? - spytał.

-Tak.

Podawała mu ją. Wszelka komunikacja w gabinecie ministra mogła być szyfrowana, kodowana i zniekształcana za pomocą kilku prostych chwytów i bez dodatkowego sprzętu. Rzadko bywało to konieczne. Dyrektor sekretariatu nie przypominała sobie, kiedy

ostatnio ktoś o to prosił. Może podczas jakiejś rozmowy z ministrem obrony, tak na wszelki wypadek. Ale w sytuacjach nadzwyczajnych wykorzystywana miała być ta skrzynka. Nigdy nie była potrzebna, chyba że podczas ćwiczeń.

- Tylko parę rzeczy...

Salhus z roztargnieniem ważył skrzynkę w rękę.

- To nie są ćwiczenia, Beatę. Musisz się przygotować na to, że zostaniesz tu przez jakiś czas. Ale... czy ktoś wie, że tu jesteś?

- Mój mąż, oczywiście. My...

- Na razie do niego nie dzwoń. Wstrzymaj się z powiadomieniem go najdłużej, jak możesz. Sprawa i tak niedługo wycieknie... Zwołaliśmy Radę Bezpieczeństwa Narodowego i chcielibyśmy, żeby wszyscy się zebrali, zanim... - Uśmiechnął się samymi ustami.

- Kawy? - spytała. - Mam przynieść coś do picia?

- Sami się tym zajmijmy. - Sięgnął po dzbanek z kawą.

- W gabinecie są filiżanki, szklanki i woda mineralna - wyjaśniła.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, zanim drzwi za szefem służby bezpieczeństwa się zamknęły, był łamiący się głos ministra sprawiedliwości:

- Mamy procedury na takie sytuacje! Czy nikt nie powiadomił premiera? Co? Gdzie, na Boga, podział się premier? Przecież mamy procedury na takie sytuacje!

Potem zapadła cisza. Przez grube szyby nie słyhać było nawet kawalkady samochodów maturzystów, którzy uznali zaparkowanie na samym środku Akersgata tuż przed Ministerstwem Kultury za świetny pomysł.

Tam wszystkie okna były ciemne.

3

Inger Johanne Vik nie mieściło się w głowie, jak zdoła przeżyć ten dzień; zawsze zresztą wydawało jej się, że nie przeżyje

Siedemnastego Maja. Trzymała przed sobą koszulę do stroju ludowego Kristiane. W tym roku przezornie zaopatrzyła córkę w dodatkową, na zmianę. Pierwsza zabrudziła się już w pół do ósmej. Na tej drugiej właśnie pojawiła się plama z dżemu, a do kołnierzyka przykleił się kawałeczek roztopionej czekolady. Po pokoju tańczyła goła dziesięciolatka, drobna i delikatna, o spojrzeniu, które rzadko zatrzymywało się na kimś lub na czymś.

Dochodziło już w pół do jedenastej i musieli się bardzo śpieszyć.

- *Cicha noc* - podśpiewywało dziecko. - *Święta noc. Pokój niesie ludziom wspaniałość. Aniołowie się radują, pod niebiosy wyśpiewują...*

- Trochę ci się pomyliły daty. - Yngvar Stub0 ze śmiechem zmierzwił włosy pasierbicy - Siedemnasty Maja ma swoje własne piosenki. Inger Johanne, masz pojęcie, gdzie się mogły podziać moje spinki do mankietów?

Nie odpowiedziała. Gdyby od razu uprała tamtą pierwszą koszulę i wysuszyła w suszarce, dziecko przynajmniej zaczęłoby przyjęcie w czystym ubraniu.

- Spójrz na to! - poskarżyła się, podsuwając koszulę córki Yngvarowi.

- To chyba bez znaczenia - odparł, nie przerywając szukania spinek. - Kristiane ma przecież kilka białych bluzek.

- Kilka białych bluzek? - Inger Johanne przewróciła oczami. - Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, ile moi rodzice dali za ten przeklęty strój ludowy? Masz pojęcie, jaka mama będzie zawiedziona, kiedy pojawimy się z dzieckiem w zwykłej bluzce z H&M?

- *Przybieżeli do Betlejem pasterze* - nie milkła Kristiane. - *Graj skocznie dzieciąteczku na lirze...*

Yngvar sięgnął po koszulę. Przyjrzał się plamom.

- Załatwię to w pięć minut - oświadczył. - Płyn do naczyń i suszarka do włosów. Poza tym nie doceniasz swojej matki. Mało kto tak świetnie rozumie Kristiane jak ona. Przygotuj Ragnhild, za kwadrans wychodzimy.

Szesnastomiesięczna dziewczynka siedziała w kącie pokoju, głęboko skoncentrowana na kolorowych klockach. Sprawiała wrażenie kompletnie obojętnej na śpiewy i tańce siostry. Z zadziwiającą precyzją układała klocki jeden na drugim i uśmiechnęła się, gdy wieża sięgnęła jej aż do brody.

Inger Johanne nie miała serca przeszkadzać córeczce. W takich chwilach rzucało się w oczy, jak wielka przepaść dzieli obie dziewczynki. Starsza była niezwykle drobna i delikatna, młodsza niewiarygodnie silna. Kristiane tak trudna do zrozumienia, Ragnhild zdrowa jak rydz i wesoła.

Malutka zdjęła górny klocek, zauważyła matkę i uśmiechnęła się, odsłaniając osiem śnieżnobiałych ząbków.

- Mama, buzi. Agni chce buzi. Pats!

- *W źłobie leży* - rozległ się czysty głos Kristiane. - *Któżpobieży kołędować małemu ...*

Inger Johanne pochwyciła starszą córkę. Dziewczynka pozwoliła wziąć się na ręce jak niemowlę. Nagusieńka przytuliła się do matki.

- To nie Boże Narodzenie - powiedziała cicho Inger Johanne, muskając wargami rozgrzany policzek dziecka. - To Siedemnasty Maja, prawda?

- Przecież wiem - odparła Kristiane i przez ulotny moment popatrzyła matce w oczy. Ciągnęła obojętnym tonem: - Święto Konstytucji. Pragniemy uczcić naszą wolność i niepodległość. A ponadto w tym roku przypada setna rocznica oderwania się kraju od Szwecji. Rok tysiąc osiemset czternasty i tysiąc dziewięćset piąty. Właśnie to zamierzamy uczcić.

- Moja kochana - szepnęła Inger Johanne i pocałowała córkę. - Taka jesteś mądra. Musimy cię teraz ubrać, dobrze?

- Yngyar może to zrobić.

Wyślizgnęła się z objęć matki i na bosaka pobiegła do łazienki. Przy telewizorze na chwileczkę się zatrzymała i włączyła odbiornik. Z głośników ryknął hymn, *Tak, kochamy ten kraj*, bo poprzedniego

wieczoru Kristiane podkreśliła głośność na cały regulator. Inger Johanne sięgnęła po pilota i przyciszyła telewizor. Już miała się odwrócić, żeby poszukać odświętnego ubranka dla młodszej córki, gdy nagle coś na ekranie przykuło jej uwagę.

Scena była klasyczna. Morze odświętnie ubranych ludzi przed zamkiem. Małe i duże flagi, emeryci w rzędach nielicznych krzeseł tuż pod królewskim balkonem. Zbliżenie na małą pakistańską dziewczynkę w norweskim stroju ludowym, śmiejącą się do kamery i z zapalonym machającą rączką. W momencie gdy kamera przesuwała się poprzez las flag na wystrojoną reporterkę, coś się wydarzyło. Kobieta chwyciła się za ucho. Uśmiechnęła się niemądrze, zerknęła w bok i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale żadne słowo się z nich nie wydobyło. Dziennikarka lekko się odwróciła, jakby nie chciała, by ją filmowano. Zaraz po tym nastąpiły dwa nagłe, nieuzasadnione, stanowczo zbyt szybkie ujęcia. Widok na czubki wysokich drzew po wschodniej stronie zamku i na rozwrzeszczane dziecko, siedzące na ramionach taty. Obraz był niewyraźny.

Inger Johanne znów pogłośniła. Kamera trafiła wreszcie na reporterkę, która teraz zasłaniała lewe ucho całą dłonią, intensywnie się w coś wsłuchując. Zza jej pleców wyskoczył nagle jakiś chłopak i wrzasnął: „Hurra!”.

- A teraz - odezwała się wreszcie zdezorientowana dziennikarka - na króciutką chwilę żegnamy się z ulicą Karla Johana... Wkrótce znów tu wrócimy, ale najpierw...

Chłopak wystawił rogi z palców nad głową dziennikarki i ryczał ze śmiechu.

- Oddajemy głos do studia na Marienlyst, skąd nadamy specjalne wydanie wiadomości - oznajmiła reporterka trochę za szybko.

Obraz natychmiast ucięto.

Inger Johanne spojrzała na zegarek. Siedem minut po wpół do jedenastej.

- Yngvar - powiedziała cicho.

Ragnhild zburzyła swoją wieżę. Pojawiła się czołówka wiadomości.

- Yngvar! - zawołała Inger Johanne. - Chodź tu natychmiast!

Mężczyzna w studiu był w ciemnym garniturze. Jego gęsta kręcona czupryna wydawała się bardziej siwa niż zwykle. Inger Johanne zauważyła, że przełknął dwa razy ślinę, nim w ogóle otworzył usta.

- Ktoś musiał umrzeć - orzekła Inger Johanne.

- Co mówisz? - Yngvar wszedł do pokoju z ubraną Kristiane na rękach. - Ktoś umarł?

- Cicho! - Inger Johanne wskazała ręką telewizor i położyła palec na ustach.

- Powtarzamy, na razie są to niepotwierdzone wiadomości, ale...

W państwowej telewizji NRK najwyraźniej zrobiło się gorąco. Również doświadczony prezenter dotknął palcem słuchawki w uchu, przez kilka sekund wsłuchując się w informację, nim spojrzał w kamerę i podjął:

- Łączymy się z... - Zmarszczył brwi, zawahał się, w końcu wyciągnął słuchawkę z ucha, nakrył ją dłonią i podjął samodzielnie: - Sprawą zajmuje się kilku naszych reporterów. Jak państwo zapewne rozumieją, mamy pewne problemy techniczne. Za chwilę znów się połączymy, a ja w tym czasie powtórzę: - Prezydent Stanów Zjednoczonych Helen Lardahl Bentley nie pojawiła się na zaplanowanym z okazji Siedemnastego Maja śniadaniu na zamku. Nie podano żadnego oficjalnego powodu jej nieobecności. Nie przybyła również do Stortingu, skąd wraz z przewodniczącym parlamentu JØrgenem Kosmo miała oglądać pochód dzieci...

- Czy ona... czy ona nie żyje?

- Nie żyje, przeszły, wyciąga szyję - wyrecytowała Kristiane.

Yngvar ostrożnie postawił dziewczynkę na podłodze.

- Oni chyba tego nie wiedzą - rzuciła Inger Johanne szybko.

- Ale wygląda na to, że...

Z telewizora dobiegł przenikliwy pisk i na ekranie pojawił się reporter, który nie zdążył zdjąć kokardy wpiętej w klapę marynarki.

- Stoję przed siedzibą Komendy Okręgowej Policji w Oslo
- powiedział zdyszany. Mikrofon wyraźnie drżał mu w ręce. - Jedno nie jest w każdym razie pewne. Coś się wydarzyło. Komendant Okręgowej Policji Bastesen, który zwykle kroczy na czele świątecznego pochodu, właśnie w pośpiechu przeszedł tędy razem z... - odwrócił się, wskazując na łagodne zbocze przed wejściem do budynku policji - ...razem z... innymi. A jednocześnie kilka oznakowanych radiowozów wyjechało z tylnego dziedzińca. Nie które na sygnale.

- Haraldzie! - spróbował nawiązać łączność mężczyzna w studiu. - Haraldzie Hansen, słyszysz mnie?

- Słyszę, Christianie.

- Czy ktoś wyjaśnił, co się stało?

- Nie. Nie można nawet zbliżyć się do wejścia, ale plotki już krążą. Nas, dziennikarzy, jest tutaj dwunastu czy trzynastu, i z całą pewnością wygląda na to, że coś musiało się stać z prezydent Bentley. Nie pojawiła się w żadnym z miejsc, w których miała być przed południem, a na konferencję prasową, zwołaną w kuluarach Stortingu tuż przed wyruszeniem pochodu dzieci, po prostu nie przyszedł nikt! Najwyraźniej rządowe służby prasowe załamały się całkowicie i na razie...

- Co, u diabła? - szepnął Yngyar, przysiadając na oparciu kanapy.

- Cicho!

- Nasi wysłannicy są przy Szpitalu Centralnym i przy Szpitalu Ulleval - ciągnął reporter, z trudem wymawiając słowa do końca.

- Do któregoś z nich naturalnie trafiłaby prezydent Bentley, gdyby jej nieobecność miała przyczyny... zdrowotne. Na razie jednak nic, powtarzam: nic nie wskazuje na jakąkolwiek nadzwyczajną aktywność personelu w tych dwóch lecznicach. Żadnych widocznych

działań, związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa, żadnego wyjątkowego ruchu. Nic. I...

- Haraldzie! Haraldzie Hansen!

- Słyszę cię, Christianie!

- Muszę ci przerwać, bo właśnie otrzymaliśmy...

Na ekranie znów pojawiło się studio. Inger Johanne nie przypominała sobie, by kiedykolwiek w życiu widziała, jak prenterowi wiadomości przekazywano bezpośrednio w studiu kartkę z tekstem. Ręka posłańca wciąż była widoczna, gdy pojawił się obraz, a prenter obmacywał ręką stół, szukając okularów, które do tej chwili nie były mu potrzebne.

- Otrzymaliśmy informację prasową z kancelarii premiera.

- Odchrząknął. - Przeczytam...

Ragnhild zaczęła się drzeć.

Inger Johanne tyłem cofnęła się do kąta pokoju, gdzie dziecko wrzeszczało jak opętane, wyciągając ręce do góry.

- Ona zniknęła - zdumiał się Yngvar oszołomiony. - Ta kobieta, do jasnej cholery, zniknęła.

- Kto zniknął? - Kristiane złapała go za rękę.

- Nikt - odparł prawie szeptem.

- Właśnie że tak - upierała się Kristiane. - Powiedziałeś, że ja-kaś pani zniknęła.

- To nikt znajomy - próbował uciszyć dziewczynkę. - W każdym razie nie mama. Mama jest tutaj. A my idziemy na przyjęcie do babci i dziadka. Mama nigdy nie zniknie.

Ragnhild uspokoiła się, gdy tylko się znalazła na rękach u matki. Wsunęła kciuk do buzi i wtuliła głowę w szyję Inger Johanne. Kristiane wciąż ścisnęła Yngvara za rękę i powoli kołysała się w przód i w tył.

- Dum-di-rum-dum - szepnęła.

- Wszystko w porządku - rzucił w roztargnieniu. - Nie dzieje się nic groźnego, kochanie.

- Dum-di-rum-dum.

Ona się zaraz zamknie w sobie, pomyślała Inger Johanne zrozpaczona. I rzeczywiście, Kristiane już wchodziła do własnego świata, jak zawsze gdy wyczuwała najdrobniejsze zagrożenie lub gdy działo się coś nieprzewidzianego.

- Wszystko w porządku, kochanie. - Pogładziła córkę po głowie.
- Musimy się szykować. Wiesz przecież, że idziemy do dziadków, tak jak zaplanowaliśmy.

Ale sama nie mogła oderwać oczu od ekranu telewizora.

Pokazywano teraz obraz z helikoptera, wolno krążącego nad centrum Oslo. Kamera filmowała ulicę Karla Johana od Stortingu w stronę zamku. Niewiarygodnie wolno.

- Ponad sto tysięcy ludzi - szepnął Yngvar. Stał jak skamieniały i nawet nie poczuł, że Kristiane puściła jego rękę. - Może dwa razy więcej. Jak oni, na miłość boską, zdołają...

W kącie pokoju Kristiane zaczęła walić głową o narożną szafkę. Znów się rozebrała.

- Pani zniknęła - nuciła. - Dum-di-rum-dum. Pani zniknęła.
Wybuchnęła cichym, niepowstrzymanym płaczem.

4

Abdallah al-Rahman był syty. Pogłaskał się po twardym brzuchu. Przez chwilę rozważał odłożenie treningu, bo naprawdę zjadł trochę za dużo. Z drugiej jednak strony, miał sporo zajęć przez resztę dnia. Jeśli nie potrenuje teraz, istnieje groźba, że później nie znajdzie na to czasu. Przeszedł do ogromnej siłowni. Chłodne powietrze owiało go niczym przyjemny oddech. Starannie zamknął drzwi, zanim zaczął się rozbierać. Wreszcie jak zwykle stanął boso, ubrany jedynie w obszerne, nieskazitelnie białe spodenki.

Włączył bieżnię. Najpierw powoli, na program interwałowy trwający ponad czterdzieści pięć minut. To mu pozwoli na ledwie

pół godziny z ciężarkami. Trochę za mało, jak na jego gust i przyzwyczajenia, ale i tak lepsze to niż nic.

Oczywiście, nie otrzymał żadnej wiadomości. Żadnego potwierdzenia, żadnego zaszyfrowanego meldunku, telefonu czy tajemniczego e-maila. Nowoczesna komunikacja była jak obosieczny miecz, skuteczna, a zarazem niebezpieczna. Spotkał się natomiast na śniadaniu z francuskim biznesmenem i odmówił przedpołudniową modlitwę. Podczas krótkiej wizyty w stadninie obejrzał nowe źrebki, urodzone tej nocy i już przepiękne. Nikt nie zakłócił Abdallahowi al-Rahmanowi jego powszedniego dnia. Nie było to zresztą konieczne.

CNN już dawno zapewniło mu potwierdzenie, którego potrzebował.

Wszystko najwyraźniej poszło zgodnie z planem.

5

Wszystko działało.

Uświadomiła to sobie, gdy wreszcie mogła ukraść chwilę na papierosa. Dyrektor sekretariatu ministra sprawiedliwości, Beatę Koss, nie była nałogową palaczką, ale z reguły miała w torebce małą, zawierającą dziesięć sztuk paczkę papierosów. Włożyła płaszcz i zjechała windą do holu. Był zamknięty dla obcych, a przed wejściem po obu stronach stali uzbrojeni strażnicy. Zadrżała lekko i skinęła głową cywilnemu funkcjonariuszowi, który bez słowa przepuścił ją przez blokadę.

Przeszła na drugą stronę ulicy.

Wszystko naprawdę działało. Wszystko, co do tej pory było sztywnymi dyrektywami i czystą teorią, w ciągu kilku przedpołudniowych godzin stało się rzeczywistością. Sprzęt komunikacyjny i procedury powiadamiania zadziałały, jak powinny. Wezwano kluczowy personel, powołano sztab. Nawet minister obrony, który

z okazji święta narodowego był na Svalbardzie, wrócił do swego gabinetu. Wszyscy znali swoje obowiązki i swoje miejsca w ogromnej maszynierii, która raz uruchomiona, zdawała się działać własnym napędem. Może godzinę albo dwie za późno, jak najwyraźniej uważał Peter Salhus, ale Beatę mimo wszystko nie potrafiła się powstrzymać od swoistego poczucia dumy z tego, że uczestniczy w wielkiej, historycznej chwili.

- Wstydź się - mruknęła do siebie i zapaliła papierosa.

Wiadomość o zniknięciu amerykańskiej prezydent na razie jeszcze nie zdołała w widoczny czy słyszalny sposób przyćmić obchodów święta narodowego. Hałas i wiwaty z Karl Johan niosły się słabym echem między budynkami w dzielnicy rządowej. Ludzie, którzy pośpiesznie mijali ją na chodniku, uśmiechali się lub wręcz śmiali. Może nic nie wiedzieli. Chociaż informacja już dawno wyciekła i oba największe kanały telewizyjne przez całe przedpołudnie przerywały program specjalnymi wydaniem wiadomości, naród jakby nie chciał pozwolić, by mu przeszkadzano w dorocznych obchodach swego święta.

Papieros dobrze jej zrobił.

Wahała się chwilę, ale w końcu zapaliła jeszcze jednego. Jej spojrzenie powędrowało od grupki dziennikarzy stojących przed rządowym budynkiem, zwanym Wysokim, do zielonych kuloodpornych szyb w oknach na siódmym piętrze. Wyraźnie się wyróżniały. W głębi ducha często zadawała sobie pytanie, dlaczego minister sprawiedliwości musi mieć kuloodporne szyby w swoim gabinecie, skoro sam chodzi na zakupy do RIMI, a w domu ma założony jedynie zwykły alarm z Securitas. Ale widocznie tak powinno być, pomyślała; zawsze z niezłomną lojalnością i wielkim spokojem przyjmowała, że jest, tak jak jest i jak postanowiono.

Z góry patrzył na nią mężczyzna.

Niepewnie podniosła rękę w geście pozdrowienia. Odmachał jej. To był Peter Salhus, dobry człowiek, taki, któremu można ufać. Zawsze życzliwy wobec niej, poświęcający jej uwagę i uprzejmy,

w odróżnieniu od wielu innych prominentów, którzy przewijali się przez gabinet ministra sprawiedliwości, ledwie zauważając jej obecność.

Beatę Koss rzuciła niedopałek na ziemię i lekko go przydeptała. Gdy znów uniosła głowę, wydało jej się, że widzi, jak Saihus coś mówi, nim zaciągnął zasłony i odwrócił się w głąb pokoju.

Ulicą przejechał policyjny radiowóz, powoli i cicho, ale mrużąc niebieskimi światłami.

- Teraz, kiedy jesteśmy sami... - zaczął Peter Saihus; w gabinecie za zielonymi szybami został już tylko minister sprawiedliwości i komendant okręgowy policji w Oslo - ...muszę wręcz pozwolić sobie na pytanie. - Podrapał się w brodę i przełknął ślinę. - Hotel Opera - powiedział nagle i wbił wzrok w komendanta Bastesena.

- Hotel Opera!

-Tak...

- Dlaczego?

- Prawdę mówiąc, nie całkiem rozumiem pytanie - odparł Bastesen z urazą w głosie i zmarszczył czoło. - To było...

- Przecież mamy Continental i Grand - przerwał mu Saihus, wyraźnie starając się nie podnosić głosu. - Wspaniałe, bogate w tradycje hotele. Mamy piękne apartamenty reprezentacyjne i...

- Jeszcze bardziej zniżył głos i postukał palcem w olbrzymi plan centrum Oslo. - Mieszkali tu królowie, księżniczki i prezydenci, cholerny Albert Einstein... - Odetchnął głęboko. - I Bóg wie, ilu innych celebrytów, gwiazd filmowych i noblistów spało spokojnie i bezpiecznie w swoich łóżkach tutaj. - Omal nie zrobił palcem dziury w planie. - A tymczasem prezydent Stanów Zjednoczonych umieszczono w jakiejś przekłetej budce transformatorowej między dworcem pełnym ćpunów a cholernym placem budowy. Boże kochany...

Wyprostował się skrzywiony. W pokoju słychać było jedynie lekki szum klimatyzacji. Minister i Bastesen wychylili się i uważnie studiowali rozłożony na stole plan, jak gdyby Madam President

mogła się ukrywać wśród nazw ulic i zakreskowanych kwartałów.

-Jak coś takiego w ogóle mogło wam przyjść do głowy?

Minister sprawiedliwości cofnął się o parę kroków. Komendant policji strzepnął z munduru niewidzialny pyłek i powiedział spokojnie:

- Nie ma sensu rozmawiać w takim tonie. I ośmielę się przypomnieć, że to my jesteśmy odpowiedzialni za ochronę. To oznacza pełne zabezpieczenie obiektów zarówno norweskich, jak i zagranicznych. Zapewniam cię, że...

- Terje - przerwał mu Salhus, nadał policzki i powoli wypuścił powietrze. - Przepraszam. Masz rację. Nie powinienem tak się złościć. Ale... Przecież znamy Grand! Mamy doświadczenie w zabezpieczaniu Continentalu. Dlaczego, na miłość boską...

- Pozwól mi odpowiedzieć.

- Proponuję, żebyśmy usiedli - wtrącił spięty minister.

Pozostali dwaj nie zrobili nawet gestu świadczącego o **tym**, że zamierzają go usłuchać.

- W Operze niedawno urządzono apartament prezydencki

- wyjaśnił Bastesen. - Hotel przygotowuje się na napływ elity kulturalnej, na wielkie gwiazdy. Do tej pory słynął jako niezbyt... No cóż, nie był klasy Grandu, jeśli można tak powiedzieć. Ale teraz, kiedy powstała już nowa opera, to jego położenie będzie niezwykle konkurencyjne... - Palcem zakreślił krąg wokół zatoki Bj0rvika.

- Akurat w tej chwili w okolicy panuje straszny ruch i niezbyt tam przyjemnie. To trzeba przyznać. Ale w planie jest... Apartament prezydencki spełnia wszystkie nasze wymagania, zarówno estetyczne, jak i praktyczne, a przede wszystkim dotyczące bezpieczeństwa. Wspaniały widok. Połączono dotychczasowy apartament z dwoma innymi pokojami na dziesiątym piętrze, które... A w dodatku...

- uśmiechnął się - ...po prostu to sprawa mniejszych kosztów.

W gabinecie zapadła cisza. Salhus z niedowierzaniem wpatrywał się w Bastesena, który nie odrywał oczu od planu miasta.

- Mniejszych kosztów! - jęknął w końcu szef służby bezpieczeństwa. - Prezydent Stanów Zjednoczonych przyjeżdża do Norwegii, wymagania związane z zapewnieniem ochrony są ogromne, być może największe, z jakimi kiedykolwiek mieliśmy do czynienia, a wy wybieracie hotel, który jest... tani! Tani!

- Jak z pewnością sam dobrze wiesz - odparł Bastesen, wciąż spokojny - zadaniem szefa każdego resortu jest oszczędzanie środków publicznych, tam gdzie to możliwe. Przeprowadziliśmy pełną analizę, porównując hotel Opera z tymi, które wymieniłeś. Opera okazała się najlepsza. Pod każdym względem. Ponadto pozwolę sobie przypomnieć, że Madam President ma całkiem spory własny aparat bezpieczeństwa. Secret Service oczywiście dokonało inspekcji, drobiazgowej. Niewiele mieli zastrzeżeń, z tego, co wiem.

- Wobec tego dajmy sobie z tym spokój - podsumował minister sprawiedliwości. - Musimy ustosunkować się do rzeczywistości takiej, jaka jest, a nie gdybać, co mogło, powinno lub miało być zrobione inaczej. - Podeszedł do drzwi i otworzył je.

- Gdzie są szkice? - spytał Peter Salhus, patrząc na komendanta policji.

- Plany hotelu? Salhus kiwnął głową.

- Mamy je u siebie. Zaraz dostarczę ci kopie.

- Dziękuję.

Salhus wyciągnął rękę w pojednawczym geście. Bastesen zawahał się, ale ją uściskał.

Minęła już druga. Wciąż nie było żadnych wiadomości. Nie wiedzieli nawet, kiedy dokładnie Helen Bentley zniknęła, a w dodatku ani szef służby bezpieczeństwa, ani komendant okręgowy policji w Oslo nie mieli pojęcia, że plany architektoniczne hotelu Opera, nad którymi siedziano teraz w ponurym, półokrągłym budynku policji przy Gr0nlandsleiret 44, to rysunki, które nie w pełni odpowiadają rzeczywistości.

6

Mężczyzna obudził się z uchem pełnym wymiocin.

Smród zakręcił mu w nosie, próbował więc się podnieść. Ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Zrezygowany położył się z powrotem. A niech to. Zaczął rzygać. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio musiał pozbyć się całego gówna, które w siebie wlewał. Kilkadziesiąt lat nałogu sprawiło, że żołądek uodpornił się na większość z tego, co pijał; z daleka trzymał się jedynie od denaturatu. Denaturat to śmierć. Dwa lata temu po porządnej dawce towaru pochodzącego z przemytu trafił do szpitala razem z dwoma kumplami. U wszystkich stwierdzono zatrucie metanolem. Jeden umarł, drugi oślepl, on sam wstał po pięciu dniach i pomaszerował prosto do domu w dobrej formie. Lekarz uznał, że miał szczęście.

Wprawa, pomyślał. Rzecz w tym, żeby mieć wprawę.

Ale od denaturatu trzymał się z daleka.

Mieszkanie wyglądało koszmarnie, wiedział o tym. Powinien coś z tym zrobić. Sąsiedzi zaczęli się skarżyć. Na smród przede wszystkim. Musi to jakoś zmienić, bo inaczej go wyrzucą.

Znów spróbował wstać.

Cholera, cały świat się kręcił.

Bolało go w pachwinie, miał wymiociny we włosach. Jakby tak spuścić dolną połowę ciała z kanapy na podłogę, może zdołałby się jakoś podnieść. Gdyby nie ten przeklęty rak, poszłoby dobrze. Nie rzygałby. Miałby siły, żeby wstać.

Powoli, oszczędzając resztkę mięśni, jaka jeszcze została na wychudzonym ciele, przesunął nogi w stronę stołu. Wreszcie przyjął mniej więcej siedzącą pozycję, z kolanami na ściągniętym dywanie i górną połową ciała opartą o siedzenie kanapy, jakby się modlił.

Telewizor grał za głośno.

Teraz sobie przypominał. Włączył go rano, po powrocie do domu. Jak przez sen przypominał sobie, że ktoś walił w drzwi,

ze złością, ci cholerni sąsiedzi, którzy nie dawali mu spokoju w dnie i w nocy. Na szczęście nic więcej się nie stało. W taki dzień jak dzisiejszy gliny miały pewnie co innego do roboty niż przychodzić tu, żeby zgarnąć jakiegoś starego biedaka.

- Niech żyje Siedemnasty Maja! - szepnął z wysiłkiem i wreszcie zdołał wciągnąć się na kanapę.

- *Wciąż nie ma pewności, kiedy prezydent Bentley zniknęła z hotelu...*

Dźwięki wdarły się w jego zmęczony mózg. W bałaganie na stole usiłował znaleźć pilota. Cipsy wysypały się z torebki na stare gazety i wykapały w piwie z puszki odwróconej do góry dnem. Pizzą, którą poprzedniego dnia dostał od kumpla z podwórka i zostawił na świąteczny dzień, ktoś się poczęstował. Nie miał pojęcia, kto to mógł być.

- *Z tego, co udało się dowiedzieć Wiadomościom, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych...*

Pod wieloma względami to była cholernie fajna noc.

Prawdziwa gorzała. Nie te siki co zwykle. Dostał połówkę upper ten na własny użytek. Zresztą na tym się nie skończyło, musiał przyznać, bo kiedy uważał, że nikt go nie widzi, częstował się też cudzym przydziałem. I tylko raz doszło do drobnych rękoczynów. Ale właśnie tak powinno być między dobrymi kumplami. A kiedy było już po imprezie, do jego kieszeni trafiło jeszcze kilka małych buteleczek. Harrymarry nie mogła mieć nic przeciwko temu. Porządna dziewczyna. Szczęście się do niej uśmiechnęło, kiedy wzięły ją do siebie ta policjantka i jej cholernie bogata kochanka, wtedy Harrymarry zmieniła się w słodkopierdzącą pomoc domową z zachodniej dzielnicy. Ale Harrymarry nie była z tych, co to zapominają, skąd są. Wprawdzie nie wyściubiła nosa z tego fortu, z mieszkania, w którym się zamurowała, ale przysyłała pieniądze Berit z Mamra dwa razy do roku. Na Siedemnastego Maja i na Boże Narodzenie. Zawsze wtedy było przyjęcie dla wszystkich ze starej bandy, żarcie i prawdziwa gorzała.

Po takim wspaniałym wieczorze naprawdę nie powinien tak fatalnie się czuć.

Ale to nie wódka, to ten przeklęty rak w jajach.

Kiedy nad ranem szedł przez miasto, mogło być koło czwartej, fiord spowijało piękne światło. Oczywiście maturzyści wrzeszczeli i hałasowali, ale w chwilach ciszy pozwalał sobie na odpoczynek. Przysiadł na jakiejś ławce albo na płotku przy koszu na śmieci, w jednym znalazł nawet nieotwartą butelkę piwa.

Wiosną światło było takie piękne. Drzewa wydawały się bardziej życzliwe. Nawet samochody nie trąbiły z taką złością, gdy zdarzyło mu się zachwiać i nieco zbyt gwałtownie wpaść na jezdnię, a kierowca musiał wciskać hamulce z całej siły.

Oslo to jego miasto.

- *Policja prosi wszystkich, którzy mogli coś zauważyć, by...*

Gdzie, do cholery, podział się pilot?

No jest, wreszcie! Schował się pod pizzą. Mężczyzna przyciszył telewizor i z powrotem opadł na kanapę.

- O rany! - wymamrotał nagle zdumiony.

Pokazywali zdjęcia jakichś ubrań. Niebieskie spodnie, jaskrawo czerwony żakiet, no i buty, wyglądające po prostu jak buty.

- *...według informacji posiadanych przez policję właśnie tak musiała być ubrana prezydent Bentley, kiedy zniknęła. Ważne jest, by...*

To było dziesięć po czwartej.

Akurat spojrzął na zegar na wieży przy dawnym Dworcu wschodnim, kiedy się pojawiła. Razem z dwoma mężczyznami. Miała czerwoną marynarkę, ale była za stara na maturzystkę. Jasny gwint! Ależ go piecze w kroku!

Ktoś zaginął?

To była taka wspaniała noc. Czuł się na tyle dobrze, że przeszedł piechotą przez miasto i wrócił do domu przyjemnie syty. Ulice były ozdobione kolorowymi girlandami, zauważył też, jak wszędzie jest czysto.

Smród wymiocin okropnie mu teraz przeszkadzał. Musiał coś z tym zrobić. Powinien tu posprzątać. Umyć wszystko, żeby go nie wyrzucili.

Zamknął oczy.

Przeklęty rak! Ale przecież na coś trzeba umrzeć, pomyślał. Tak to już jest. Miał dopiero sześćdziesiąt jeden lat, ale gdy się głębiej zastanowił, stwierdził, że to właściwie wystarczy. Powoli obrócił się na bok i zasnął głęboko, z uchem znów wciśniętym we własne wymiociny.

7

- ...i tak po prostu jest.

Premier z powrotem usiadł. W wielkiej sali zapadła cisza. W powietrzu zawisł lekki zapach wilgoci, pomieszczenie długo pozostawało zamknięte. Peter Salhus splótł dłonie na karku i omiół wnętrze spojrzeniem. Wzdłuż jednej ściany stał długi, przypominający kontuar mebel, poza nim w pokoju znajdował się olbrzymi stół konferencyjny z czternastoma krzesłami. Na ścianie wisiał plazmowy ekran. Wzmacniacze stały na szklanych półkach przy podłodze. Na przeciwległej ścianie wisiała pożółkła mapa świata.

- A więc mamy mieć tych... - Komendant policji w Oslo Terje Bastesen miał taką minę, jakby chciał powiedzieć „tych goryli”, ale dokończył inaczej: - ...tych agentów uwieszonych u szyi. Mających możliwość wglądu we wszystko, co znajdziemy, we wszystko, co robimy, we wszystko, co tylko przemknie nam przez myśl. No tak.

Zanim premier zdążył odpowiedzieć, Peter Salhus odetchnął głęboko i gwałtownie wychylił się nad stołem, opierając się rękami o blat.

- Uważam, że jedno powinno być dla nas jasne - zaczął ci cho. - A mianowicie to, że Amerykanie w żaden sposób nie pozwolą, by ich prezydent rozplynęła się w powietrzu. Posuną się

do ostatecznych granic, żeby, po pierwsze - uniosł palec do góry - żeby ją znaleźć. Po drugie - kolejny palec wskazał na sufit - żeby złapać tego czy tych, którzy ją uprowadzili. A po trzecie - uśmiechnął się - poruszą niebo i ziemię, a jeśli będzie trzeba, to i piekło, by te osoby ukarać. A to się nie stanie w naszym kraju, jeśli wolno mi przypomnieć. Mam na myśli karę.

Minister sprawiedliwości chrząknął. Wszyscy spojrzeli na niego. Po raz pierwszy podczas tego zebrania zamierzał chyba zabrać głos.

- Amerykanie to nasi przyjaciele i sprzymierzeńcy - oznajmił. W jego głosie dał się słyszeć cień paniki. Peter Salhus musiał za mknąć oczy, by mu nie przerwać. -1, oczywiście, będziemy do ich dyspozycji. Ale musi być absolutnie jasne - minister nieco zbyt mocno uderzył w stół zaciśniętą pięścią - że jesteśmy w Norwegii, a tu obowiązuje norweska jurysdykcja. To norweska policja będzie prowadzić śledztwo, niech to będzie dla wszystkich oczywiste. Kiedy sprawca zostanie schwytany, to norweskie sądy...

Sam usłyszał, że mówi piskliwie, więc urwał i odchrząknął jeszcze raz.

- Z całym szacunkiem... - Głos Petera Salhusa w porównaniu z głosem ministra zabrzmiał głucho. Szef służby bezpieczeństwa wstał, minister sprawiedliwości wciąż siedział z półotwartymi ustami.

- Panie premierze - ciągnął Salhus, nawet nie zerknąwszy na mężczyznę odpowiedzialnego politycznie za norweską policję. - Wydaje mi się, że najwyższy czas na krótkie wprowadzenie w aktualny stan rzeczy.

Komendant główna policji, chuda kobieta w mundurze, która do tej pory tylko się przysłuchiwała, odchyliła się na krześle i założyła ręce na piersi. Prawie przez całe spotkanie sprawiała wrażenie nieobecnej duchem, a dwukrotnie wyszła z pokoju, by odebrać telefon. Teraz utkwiała spojrzenie w szefie służby bezpieczeństwa, jakby bardziej zainteresowana.

- Mam powody- próbował gniewnie minister sprawiedliwości - by zwrócić uwagę na fakt, że...

- Myślę, że do tego jeszcze zdążymy wrócić - przerwał mu premier z gestem, który prawdopodobnie miał podziałać uspokajająco, lecz bardziej przypominał przywołanie do porządku nieposłusznego dziecka. - Mów dalej, Salhus. W co nie jesteśmy wprowadzeni? Co takiego wiesz, czego my do końca nie rozumiemy?

Jego oczy, które już wcześniej wydawały się dziwnie wąskie w okrągłej twarzy, teraz wyglądały jak szpary wycięte skalpelem.

- Czy tylko ja... - zaczął Salhus i rozłożył ręce. - Czy tylko mnie ta sytuacja wydaje się kompletnie absurdalna? - Nie czekał na odpowiedź, ciągnął: - Oprócz Air Force One cała eskadra samolotów, z grubsza licząc, pięćdziesięciu agentów Secret Service. Dwa pojazdy opancerzone. Pies do wykrywania bomb. Grupa specjalnych doradców, czyli po prostu agentów FBI, gdyby ktoś miał jakieś wątpliwości. - Starał się nie patrzeć na ministra sprawiedliwości, który zawzięcie mieszał kawę ołówkiem. - Oto obstawa towarzysząca amerykańskiej prezydent podczas wizyty w Norwegii. I wiecie co? Jest zdumiewająco niewielka! - Teraz pochylił się nad stołem, obiema dłońmi wsparty o blat. - Mała!

Pozwolił, by to słowo zawisło w powietrzu, jak gdyby wypróbowywał terapię szokową.

- Trudno mi pojąć, do czego właściwie zmierzasz - powiedziała spokojnie komendant główna policji. - Wszyscy mamy świadomość, jaką załogę przywiozła ze sobą pani prezydent, i to chyba nie...

- Naprawdę bardzo niewielka - powtórzył Peter Salhus. - Nie ma nic niezwykłego w tym, że amerykańskiemu prezydentowi towarzyszy armia dwustu albo trzystu agentów. Osobiści kucharze, całe kolumny samochodów. Wielka ciężarówka, po brzegi wyposażona sprzętem komunikacyjnym. Ambulans wojskowy, kuloodporne ekrany, wykorzystywane podczas wystąpień publicznych, sprzęt komputerowy, całe sfory psów wyszkolonych do tropienia bomb, śladów, do obrony... - Znów się skrzywił, prostując plecy.

- Ale do nas ta babka przyjeżdża z niewielką grupką ludzi. Przepraszam... - usprawiedliwi się natychmiast, gestem wstrzymując komentarz premiera. - Mam na myśli panią prezydent, Madam President. Na pewno się zastanawiacie, dlaczego tak jest. Dlaczego, na miłość boską, amerykańska prezydent wybiera się w swoją pierwszą zagraniczną podróż z tak ograniczoną ochroną.

Słuchacze raczej nie zastanawiali się głęboko nad tym pytaniem. Przeciwnie, do tej pory niechętnie dyskusje toczyły się raczej wokół przytłaczającej liczebnie grupy amerykańskich funkcjonariuszy, którzy ciągle pukali do drzwi, wchodzili do gabinetów i utrudniali pracę policji norweskiej.

- Ponieważ - tu - jest - bezpiecznie. - Słowa padły z przesadną dobitnością. Peter Salhus powtórzył: - Ponieważ Norwegia jest bezpiecznym krajem. Tak nam się wydawało. Spójrzcie na nas. - Lekko uderzył się w pierś. - To wszystko jest absurdalne - powtórzył cicho. Teraz mógł liczyć na większą uwagę słuchaczy. - Ta maleńka wypustka na mapie. Ten... - Zerknął na mapę. Miała zniszczone rogi, a przy Bałkanach czarny napis „Jugosławia”. Peter Salhus pokręcił głową. - Stara dobra Norwegia. - Powiódł palcem po swojej ojczyźnie z północy na południe. - Przez wiele lat rozmawialiśmy w kółko o tym, w jakiej barwnej wspólnocie żyjemy i jakim wielokulturowym społeczeństwem się staliśmy, po to, by w następnej chwili usypiać się wyobrażeniami o pokoju, niewinności i inności. Przez cały czas powtarzamy, że świat się do nas zbliżył, a jednocześnie czujemy się urażeni przez ten sam świat, jeśli nie postrzega nas dokładnie tak samo, jak my zawsze sami się postrzegaliśmy. Jesteśmy idyllicznym punktem na mapie. Spokojnym zakątkiem świata, zamożni, szczerzy i mili dla wszystkich. - Przygryzł suchą skórkę na wardze. - A my jesteśmy w trakcie gwałtownego, straszliwego starcia sił i chcę, abyście to zrozumieli. Nasz kraj jest przygotowany na różne kryzysy w takim stopniu, jak to w ogóle możliwe. Jesteśmy przygotowani na epidemie i inne katastrofy. Niektórzy uważają nawet, że na wypadek wojny. - Uśmiechnął się

lekką do ministra obrony, który nie odwzajemnił uśmiechu. - Natomiast absolutnie nie jesteśmy przygotowani na *coś* takiego. Na to, co się dzieje teraz.

- Czyli? - spytała ostro, wysokim głosem, pani komendant policji.

- Czyli na to, że zgubiliśmy gdzieś amerykańską prezydent.

Minister sprawiedliwości czknął. Zabrzmiało to jak stłumiony chichot.

- A oni absolutnie się z tym nie pogodzą - ciągnął niezrażony Salhus. - Wprawdzie Amerykanie stracili kilku prezydentów w zamachach, ale nigdy, przenigdy nie stracili prezydenta na obcej ziemi. I zapewniam was wszystkich... - usiadł ciężko - ...że każdy z agentów Secret Service, od których się tu teraz roi i którzy utrudniają życie naszym podwładnym, podchodzi do tego osobiście, bardzo osobiście. *This happened on their watch*. A z czymś takim absolutnie się nie pogodzą. Dla nich to gorsze niż... Dla nich to...

Tu premier wtrącił pytanie:

- Do kogo... do kogo właściwie można by ich porównać?

- Do nikogo.

- Do nikogo? To przecież siły policyjne i...

- Mają wprawdzie również sporo innych zadań, ale to właśnie sprawowanie ochrony osobistej prezydentów stanowi o tożsamości tych oddziałów. Tak jest od czasów zamachu na prezydenta McKinleya w tysiąc dziewięćset pierwszym. A to, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, poważnie tę tożsamość zachwiało. Zwłaszcza że chodzi o olbrzymi błąd. Popołniony przez nich samych.

Filizanka ministra sprawiedliwości wciąż pobrzękiwała, poza tym panowała cisza. Tym razem nikt nie wykorzystał przerwy do zadania pytania.

- Niewłaściwie ocenili sytuację - podjął Peter Salhus. - To bardzo poważny błąd. Nie tylko my uważamy Norwegię za oazę spokoju w niebezpiecznym świecie. Amerykanom też się tak wydawało.

A w całej tej sprawie, oczywiście oprócz samego faktu zaginięcia pani prezydent, najbardziej niepokojące jest właśnie to, że Amerykanie naprawdę uznali Norwegię za bezpieczne miejsce. Oni przecież są w stanie znacznie trafniej niż my ocenić sytuację. Po prostu powinni wiedzieć lepiej, ponieważ...

- Ponieważ mają bez porównania bardziej rozbudowane służby wywiadowcze - dokończyła szefowa policji.

- Otóż to.

- No tak - mruknął premier.

- No właśnie. - Minister obrony pokiwał głową.

- Tak jest - zakończył Peter Salhus.

Zapadła cisza. Nawet minister sprawiedliwości zostawił filiżankę w spokoju. Plazmowy ekran na ścianie świecił na niebiesko i nie miał na razie nic do przekazania. Świetlówka w suficie raptem zaczęła mrugać. Gdy ciszę przerwało leniwe brzęczenie muchy krążącej pod sufitem, Peter Salhus obserwował ją aż do chwili, kiedy uznał, że milczenie stało się zbyt kłopotliwe.

- Czyli że Amerykanie nie mają pojęcia, co się wydarzyło - podsumował szef rządu. Zebrał rozłożone przed sobą papiery w plik, nie było jednak żadnych innych oznak, że chce zakończyć spotkanie. - Mam na myśli, że oni też nie wiedzą.

- Powiedziałbym raczej, że tego nie przewidzieli - oznajmił z wahaniem Salhus. - Wyzwaniem dla nich jest teraz przeanalizowanie ogromnego materiału, jaki zawsze gromadzą. Powtórne przeanalizowanie. Ułożenie kart w inny sposób i sprawdzenie, jaki obraz się wtedy wyłoni.

- Ale problem tkwi w tym - szefowa policji odgoniła muchę, która zrobiła się zbyt natrętna - że mają zbyt dużo kart do rozłożenia.

Salhus pokiwał głową.

- Nawet nie masz pojęcia ile. - Miał piasek w oczach, lekko przygryzł kciuk. - Trudno nam nawet wyobrazić sobie, co oni już mają. I co ciągle dostają. Co minuta, co godzina, na okrągło przez

całą dobę. Po jedenastym września liczba agentów FBI się zwielokrotniła, mają znacznie większy budżet. Stosunkowo tradycyjnie zorganizowana formacja policyjna, mająca jasno określone cele, związane głównie ze sprawami wewnętrznymi, zajmuje się teraz walką z terroryzmem. Działalność antyterrorystyczna pochłania w tej chwili lwią część pieniędzy i ludzi. A to, panie i panowie...

- Sięgnął po leżący na stole oficjalny portret Helen Lardahl Bentley.
- Porwanie pani prezydent w przekonaniu Amerykanów to bez wątpienia akt terroru. Możecie być pewni, że tłumnie tu nadciągną. Jak mówiłem, wśród osób towarzyszących pani prezydent z pewnością już i tak jest sporo ludzi z FBI. *But we ain 't seen nothing yet.* - Uśmiechając się blado, przesunął palcem pod brzegiem kołnierzyka i roztargnionym spojrzeniem przyglądał się zdjęciu pani prezydent.

- Według moich raportów, samolot specjalny wylądował już za trzy godziny - potwierdziła szefowa policji. - Za nim pewnie przylecą następne.

Premier przesunął palcami po blacie, zatrzymując je przy płamie od kawy. Dwie głębokie zmarszczki zarysowały się na jego twarzy; jedynie odbicie światła zdradzało, że między nimi znajdują się oczy.

- Przecież nie mówimy tu o inwazji - oświadczył wyraźnie zirytowany. - W twoich ustach, Salhus, brzmi to tak, jakbyśmy byli całkowicie zdani na Amerykanów. Ale przecież - premier nieco podniósł głos - to wszystko miało miejsce na norweskiej ziemi. Oczywiście nie będziemy szczerzyć wysiłków ani środków, a Amerykanów należy traktować z odpowiednim szacunkiem. Ale to jest sprawa norweska i taką pozostanie. Sprawa norweskiej policji i norweskiego systemu sprawiedliwości.

- Powodzenia! - mruknął Peter Salhus, pocierając dłonią czoło.

- Wypraszam sobie tego rodzaju... - Premier urwał i podniósł do ust szklanekę wody. Dłoń lekko mu drżała. Odstawił szklanekę,

nawet nie próbując się napić. Nim zdążył się odezwać, wychyliła się pani komendant.

- Peter, o co ci właściwie chodzi? Mamy pozostawić całą sprawę Amerykanom? Nasze prawo i suwerenność się nie liczą? Chyba nie mówisz poważnie?

- Oczywiście, wcale tak nie myślę. - Salhus sprawiał wrażenie zdziwionego poufałością kobiety. Zawahał się przez moment. - Uważam... uważam wręcz, że powinno być odwrotnie. Całe nasze doświadczenie - polityczne, zawodowe, historyczne, a także militarne - pokazuje, że w tej sprawie mamy znaczącą przewagę nad Amerykanami.

Ktoś zapukał do drzwi, nad framugą zapaliła się czerwona lampka.

Nikt nie zareagował.

- Jesteśmy Norwegami - ciągnął Peter Salhus. - Znamy kraj. Znamy język. Znamy infrastrukturę, geografię, topografię. Znamy architekturę i miasto. Jesteśmy Norwegami. Oni nie.

Pukanie rozległo się znów, tym razem gwałtowniejsze.

- Podjęliśmy działania. - Salhus wzruszył ramionami. - Wszystko zagrało. Siedzimy tu w komplecie, jak powinniśmy. Jesteśmy w stanie gotowości kryzysowej, wezwano ludzi. Machina już dawno

ruszyła, we wszystkich resortach. Protokołem na razie próbują się zająć Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Ministerstwo Sprawie dliwości. Chodzi mi tylko o to...

Urwał, gdy do pokoju weszła pulchna kobieta w średnim wieku. W milczeniu położyła kartkę przed premierem, który nie okazał zainteresowania. Przeciwnie, skinął głową w stronę Salhusa.

- Mów dalej - powiedział krótko.

- Chodzi mi o to, że musimy zrozumieć, z jakimi siłami mamy do czynienia. Nie wolno nam pozwolić sobie na iluzję, że Amerykanie w takiej sytuacji pozwolą sobą dyrgować. Z pewnością będą przekraczać dopuszczalne granice, i to raz po raz. A jednocześnie musimy przyznać, że to oni mają kwalifikacje, sprzęt i wywiad,

który może okazać się w tej sprawie decydujący. Całkiem po prostu są nam potrzebni. Najważniejsze będzie przekonać ich o tym, że...

- sięgnął po pustą szklanę i spojrzał na nią roztargnionym wzrokiem. Półdechła mucha, usadowiona w środku, lekko poruszyła skrzydłami - ...że oni co najmniej równie mocno potrzebują nas - oznajmił z naciskiem, obracając w dłoniach szklanę. - Inaczej nas stłamszą. Ale jeśli mamy osiągnąć jakiś poziom wzajemnego zaufania, to uważam, że powinniśmy unikać zbyt częstego powtarzania słów takich jak „jurysdykcja”, „terytorium norweskie” i „suwerenność”.

- Mniej więcej tak samo jak Vidkun Quisling - podsumował minister obrony. - W kwietniu czterdziestego piątego.

Zapadła grobowa cisza. Nawet mucha skapitulowała i opadła na dno szklanki z nogami sterczącymi sztywno do góry. Premier nagle przestał przekładać papiery. Komendant główna policji siedziała sztywno na krześle. Minister spraw zagranicznych, który przez całe spotkanie prawie się nie odzywał, zastygł ze zmrużonymi oczami i rozchyłonymi ustami.

- Nie - zaprzeczył wreszcie Peter Salhus tak cicho, że jego słowa ledwie dotarły do premiera na drugim końcu stołu. - Nie tak samo. Absolutnie nie tak samo. - Podniósł się z wysiłkiem.

- Rozumiem, że spotkanie dobiegło końca - dodał, nie patrząc na premiera.

Ruszył do drzwi. W rękę trzymał luźne dokumenty i na nikogo nie patrzył. Wszyscy wpatrywali się w niego. Gdy wyminął ostatnie krzesło, premier pojednawczo położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

- Dziękuję za to, co na razie zrobiłeś.

Salhus nie odpowiedział.

Premier nie cofnął ręki.

- Ty... ty naprawdę podziwiasz tych ludzi z FBI.

Peter Salhus nie mógł pojąć, o co chodzi. Wciąż nie odpowiadał.

- I tych agentów z Secret Service. Naprawdę ich podziwiasz, prawda?

- Podziwiam - powtórzył Peter Salhus z namysłem, jak gdyby nie do końca rozumiał znaczenie tego słowa. Wyswobodził rękę i spojrzał premierowi w oczy. - Być może. - Skinął głową. - Ale przede wszystkim się ich boję. Wszyscy powinniście się ich bać.

Opuścił tajne rządowe centrum kryzysowe. W nozdrzach pozostał mu zapach stęchlizny.

8

Pracownik stacji benzynowej miał tego serdecznie dość. Już drugi rok z rządu musiał pracować Siedemnastego Maja. Wprawdzie był zaledwie dziewiętnastolatkiem, a więc najmłodszym z obsługi, ale mimo wszystko to niesprawiedliwe, że miał się kisić w robocie w dzień, w którym prawie nikt nie potrzebował benzyny. Poza tym stacja leżała zbyt daleko od centrum, by sprzedaż parówek szczególnie się opłacała. Powinni zamknąć cały ten gówniany interes. Przecież jeśli już ktoś za wszelką cenę chciał nabrać paliwa, to były jeszcze dystrybutory na kartę.

-Junior weźmie - burknął szef, gdy przed paroma tygodniami kłócili się o dyżury.

„Junior weźmie”. Tak jakby szef był jego ojcem czy kimś w tym rodzaju.

Na stację wbiegło dwóch dziesięciolatków. Mieli mundurki bordo, czarne czapki i bandolety lakierowane na białą. Bębenki gdzieś zostawili. Dziko za to wymachiwali pałeczkami.

- *En garde!* - krzyknął jeden i zadał celny cios.

- Au! Niech to cholera!

Mniejszy wypuścił pałeczki z ręki i złapał się za bark.

- Przestańcie się drzeć! - warknął sprzedawca. - Chcecie coś czy nie?

Chłopcy bez słowa pognali do zamrażarki z lodami. Była dla nich trochę za wysoka. Jeden wspiął się po półce z czekoladkami jak po drabinie.

- Rożki! - krzyknął ten drugi.

- Zamknij się! - Sprzedawca uderzył pięścią w ladę.

Ten bezczelny gnojek, który się wspiął, to czarnuch.

Mogli się kamuflować w orkiestrowych uniformach i w norweskich strojach ludowych tyle, ile tylko chcieli. I tak byli czarnuchami. Właściwie to idiotyczne, jak próbowali się znorweszczyć. Wcześniej przybył tu cały orszak małych Murzynów. Gadali jeden przez drugiego, hałasowali, roili się po całej stacji, jakby byli u siebie w kraju Tamilów, w Afryce czy gdzieś tam, skąd pochodzili. I nic właściwie nie chcieli kupić, ale kokardy sobie przypięli! Wielkie, czerwono-biało-niebieskie wstążki w klapach marynarek i płaszczyków ze sklepów Armii Zbawienia. Szczrzyli zęby, psując całe święto narodowe.

- Hej, ty! - Sprzedawca otworzył drzwiczki w kontuarze i podszedł do chłopców. Złapał Pakistańczyka za kark. - Zostaw tego loda!

- Zapłacę. Przecież zapłacę!

- Zostaw tego cholernego loda!

- Au! Cholera!

Chłopiec miał teraz cieńszy głos. Sprzedawca gotów był się założyć, że mały zaraz się rozplacze. Puścił go.

- Dzień dobry.

Na stację wszedł jakiś mężczyzna. Zatrzymał się na moment i zdziwiony spojrzął na chłopców. Sprzedawca wymamrotał powitanie.

- Przepraszam, że zaparkowałem tuż przy oknie. - Mężczyzna ruchem głowy wskazał niebieskiego fordka za szybą. - Zobaczyłem znak dopiero, gdy wysiadłem z samochodu, a chciałyby tylko wodę mineralną.

Sprzedawca wskazał mu lodówkę i wrócił na swoje miejsce za ladą. Młodszy z chłopców, ten z jasnymi kręconymi włosami pod czapką, rzucił mu pięćdziesięciokoronowy banknot.

- Dwa lody - syknął przez zęby. - Dwa rożki, już!

Mężczyzna z forda stanął za jego plecami. Chłopiec bez słowa wziął resztę i odwrócił się na pięcie. Jednego loda wyciągnął do kolegi, który czekał w bezpiecznym miejscu tuż przy wyjściu.

- Ty chuju! - szczeknęli chórem w momencie, gdy drzwi się za nimi zamykały.

- Trzy butelki wody mineralnej farris - poprosił dorosły klient.

- Płaci pan kartą? - spytał rozzłoszczony sprzedawca.

- Nie. Proszę.

Mężczyzna dostał resztę z setki i schował pieniądze do kieszeni.

Sprzedawca zerknął na samochód. Ford stał zaparkowany stroną kierowcy przy szybie w odległości mniejszej niż metr. Chłopak dostrzegł kogoś na siedzeniu pasażera. Zobaczył udo i sięgającą po coś rękę. Na tylnym siedzeniu spała kobieta. Głowę miała odchylną w tył, lekko opartą o okno. Żakiet podniósł jej się na ramionach i zmusił ją do wykręcenia szyi, niemal równie czerwonej jak ubranie, pod nienaturalnym kątem.

- Do widzenia. - Mężczyzna naciągnął na czoło czapkę z daszkiem i wyszedł.

Zasrany Siedemnasty Maja. Dochodziła już czwarta. Przynajmniej ktoś przyjdzie go zmienić. Jeśli oczywiście szefowi zechce się ruszyć. Nigdy nic nie wiadomo. Cholerny dzień.

Powoli włożył parówkę w bułkę, dopełnił ją sałatką z krewetek, sosem relish i mnóstwem musztardy. Zaczął jeść. To był już jego dziewiąty hot dog od rana i ani trochę mu nie smakował.

9

- Zamek jest tam - powiedział ambasador George A. Wells, ruchem głowy wskazując na park po drugiej stronie Drammensveien.

- To nie tylko zabytek. Oni tam naprawdę mieszkają. Para królewska. Sympatyczni ludzie. Bardzo sympatyczni.

Mężczyźni byli do siebie podobni. Gdy tak stali plecami obrócenii do pokoju, a twarzami do miasta rozciągającego się za umocnieniami otaczającymi trójkątny budynek, mogliby uchodzić za braci. Ambasador musiał wprawdzie codziennie wysłuchiwać marudzenia żony o tym, że powinien zgubić kilka *pounds* z brzucha, ale obaj mężczyźni stojący przy oknie ambasady amerykańskiej w Oslo i przyglądający się odświętnie ubranym ludziom, którzy z radością na twarzach przechodzili obok stalowego ogrodzenia, na pewno bardzo poważnie traktowali i dietę, i grę w golfa. Prezentowali się dobrze. George Wells dobiegał do siedemdziesiątki, ale zachował gęstą srebrnoszarą grzywę. Jego gość był młodszy, lecz miał tak samo mocne włosy, choć odrobinę mniej zadbane. Obaj stali z rękami w kieszeniach. Marynarki zdjęli już dawno.

- Rodzina królewska wydaje się gorzej chroniona niż my - rzekł gość, ruchem głowy wskazując na zamek. - Czy naprawdę każdy może podejść aż do siedziby króla?

- Nie tylko może, ale i podchodzi. Ten rozwlekły pochód, jaki urządzają co roku Siedemnastego Maja, defiluje tuż pod balkonem, na którym stoi cała rodzina królewska i macha do ludzi. Zawsze kończy się to dobrze, ale też i oni są... - uśmiechnął się z westchnieniem i przegarnął palcami czuprynę - ...odrobinę popularniejsi niż my.

Zapadła cisza. Mężczyźni patrzyli na ulicę. Trudno było stwierdzić, czy ludzie przychodzą czy odchodzą. Nagle jednocześnie dostrzegli chłopczyka z amerykańską flagą, mógł mieć pięć albo sześć lat; ubrany był w granatowe spodnie i czerwony sweter z trójkątnym wycięciem, spod którego wystawała biała koszula. Malec zatrzymał się i zadarł głowę. Nie mógł ich zobaczyć, odległość była zbyt duża, a przyciemnione szyby uniemożliwiły zajrzenie do środka, mimo to mały uśmiechnął się ostrożnie i zamachał flagą. Matka odwróciła się zirytowana i chwyciła go

za rękę. **Chłopiec nie przestawał machać, dopóki nie zniknął im z oczu.**

- Ujdzie mu to na sucho, bo jest taki mały - powiedział ambasador. - Mały, słodki Afroamerykanin, wolno mu więc wymachiwać *the star-spangled banner* Siedemnastego Maja. Za kilka lat będzie gorzej.

Znów milczenie. Gość sprawiał wrażenie zafascynowanego ulicznym życiem i nie odchodził od okna. Ambasador też najwyraźniej nie miał ochoty siadać. Od strony Instytutu Noblowskiego nadciągnęła gromada hałaśliwej młodzieży. Młodzi śpiewali tak głośno i tak fałszywie, że dźwięk przedarł się przez pancerną szybę. Pijaną osiemnastolatkę musieli prowadzić dwaj koledzy. Jeden trzymał rękę na jej piersi, ale dziewczynie najwyraźniej to nie przeszkadzało. Z naprzeciwka nadeszła klasa młodszych dzieci. Szły równiutko, parami. Pierwsza para, dziewczynki z blond warkoczami, wybuchnęły płaczem, gdy jeden z młodych ludzi ryknął im nagle w twarz. Wybiegli wściekli rodzice, najbardziej rozżalsonowemu ojcu młody człowiek w niebieskim kombinezonie wylał piwo na głowę.

Przez tłum usiłował się przedrzeć radiowóz policyjny. W połowie drogi poddał się i stanął. Dwóch chłopaków usadowiło się na masce, jakaś dziewczyna chciała za wszelką cenę pocałować policjanta, który wysiadł, by zaprowadzić porządek. Pojawili się kolejni młodzi ludzie. Cała gromada ubranych na czerwono dziewcząt otoczyła funkcjonariusza w mundurze, chcąc się z nim całować.

- Co to właściwie jest? - mruknął gość. - Co to za kraj?

- Szczerze mówiąc, powinienś to wiedzieć - zauważył ambasador. - Zanim wysłałeś tu Madam President. W taki dzień jak ten.

Gość westchnął głośno, wręcz demonstracyjnie. Podszedł do stolika, na którym stała woda mineralna i szklanki, ustawione na eleganckiej srebrnej tacy. Sięgnął po butelkę, patrząc pytająco na ambasadora.

- Ależ częstuj się, bardzo proszę.

Również ambasador miał już chyba dość norweskiego święta. Wcisnął guzik w pilocie i lekkie zasłony się zasunęły.

- Przepraszam cię za ten komentarz, Warrenie.

Ambasador usiadł, ruchy miał teraz cięższe, jak gdyby ten dzień trwał już zbyt długo, a wiek dawał mu się we znaki.

- W porządku - odparł Warren Scifford. - Oczywiście masz rację. Powinienem był to wiedzieć. Rzecz w tym, że wiem. Wiem wszystko, co da się wyczytać i usłyszeć. Znasz procedury, George, wiesz, jak pracujemy.

Trzymał butelkę farrisa w wyciągniętej ręce, nieufnie przyglądając się etykietce. W końcu wzruszył ramionami i nalał wody do szklanki.

- Pracowaliśmy nad tym dwa miesiące - powiedział. - I prawdę mówiąc, gdy Madam President zaproponowała Norwegię jako cel swojej pierwszej zagranicznej wizyty, uznaliśmy to za dobry pomysł. - Uniósł szklankę, jakby wznosił toast. - Wspaniały! Oczywiście, wiesz dlaczego.

Ambasador się nie odezwał.

- Mamy ranking - wyjaśnił Warren Scifford. - Rzecz jasna, całkowicie nieoficjalny, ale mimo wszystko poważny. I oprócz paru państweczek na Oceanie Spokojnym z kilkoma tysiącami przyjaźnie usposobionych mieszkańców, gdzie jedyne zagrożenie dla pani prezydent stanowiłoby niezapowiedziane tsunami... - napił się i rękawem koszuli otarł usta - ...to Norwegia jest najbezpieczniejszym krajem na taką wizytę. Poprzednim razem - lekko teraz kręcił głową

- prezydent Clinton podczas wizyty w tym kraju zachowywał się, jakby się wybrał z kolegami do Little Rock. To było jeszcze przed tobą i przed... - Gwałtownym ruchem dotknął skroni.

- Wszystko w porządku? - spytał ambasador.

Warren Scifford zmarszczył czoło i chwycił się za kark.

- Męcząca podróż - mruknął. - Właściwie nie spałem całą dobę. Można powiedzieć, że to się wydarzyło dość nagle. Kiedy się zjawi ten facet? I kiedy będę mógł...

Zadzwoił telefon stojący na olbrzymim biurku.

- Tak? - Ambasador trzymał słuchawkę kilka centymetrów od ucha. - Tak - powtórzył i odłożył słuchawkę.

Warren Scifford odstawił szklankę na srebrną tacę.

- On nie przyjdzie. - Ambasador wstał.

-Jak to?

- My mamy iść do nich. - Sięgnął po marynarkę i już zaczął ją wkładać.

- Ale przecież umówiliśmy się...

- Ścisłe mówiąc, to było coś więcej niż umowa - przerwał mu ambasador i wskazał na marynarkę Scifforda. - Rozkaz od nas dla nich. Ubieraj się. Ale oni tego nie zaakceptowali. Chcą, żebyśmy przyszli do nich.

Zanim Warren Scifford zdążył zaprotestować, ambasador ojcowskim gestem położył mu dłoń na ramieniu.

- Ty byś zrobił dokładnie to samo, Warrenie. Jesteśmy w tym kraju gośćmi. Oni chcą grać w piłkę na własnym boisku. I cho cież jest ich niewielu, musisz po prostu być przygotowany na to, że...

Urwał i roześmiał się, trochę rżącym, piskliwym chichotem. Kierując się do drzwi, zakończył:

- W tym kraju jest mało mieszkańców, ale są niewiarygodnie uparci. Wszyscy jak jeden mąż. *You might as well get used to it, son. Get used to it!*

10

- Mamo! To prawda! Możesz spytać Caroline! - Zrezygnowa na położyła się na stole górną połową ciała, lewą ręką uderzając w blat. Oczy miała zaczerwienione, a tusz do rzęs spłynął szarym cieniem na policzki. Włosy, poprzedniego wieczoru upięte i ozdobione kolorowymi wstążkami i sznurówkami w hołdzie dla lat

osiemdziesiątych, teraz opadały na plecy - żalosalne przypomnienie nieco zbyt udanej imprezy. Czerwony kombinezon do połowy już ściągnęła z siebie, rękawami przewiązała się w pasie, a zza dekoltu wystawała jej półlitrowa butelka coli.

- Dlaczego mi nie wierzysz? Nigdy nie wierzysz w to, co mówię!

- Owszem, wierzę - odparła matka spokojnie i wsunęła podłużną blachę do piecyka.

- Nie! Myślisz, że ja piję i się pie...

- Uważaj, co mówisz! - Głos matki zabrzmiał ostrzej, z hukiem zatrasnęła drzwiczki piekarnika. - Jesienią wyprowadzasz się z domu, młoda damo. Wtedy będziesz mogła robić, co zechcesz. Ale do tego czasu...

Kobieta odwróciła się do córki. Położyła rękę na biodrze i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. W końcu jednak je zamknęła i z rezygnacją przyglądała włosy.

- Możesz spytać Caroline - jęknęła córka, sięgając po szklaną kę z mlekiem. - Byłyśmy przy tym obie. Nie wiem, skąd przyszli, ale wsiedli do samochodu. Do jakiegoś niebieskiego samochodu. Mówię prawdę, mam. Prawdę!

- Nie wątpię w to, że mówisz prawdę - zapewniła matka ze sztucznym spokojem. - Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że to nie mogła być amerykańska pani prezydent. Nie pojmujesz tego? Nie rozumiesz... - Z westchnieniem usiadła przy stole i usiłowała wziąć córkę za rękę. - Jeżeli ktoś porwa panią prezydent Stanów Zjednoczonych, to nie prowadzi jej grzecznie i bez żadnego oporu przez parking przy Dworcu Centralnym w biały dzień Siedemnastego Maja na oczach wszystkich. Musisz skończyć z...

Dziewczyna wyrwała rękę.

- Na oczach wszystkich? Wszystkich? Przecież tam, do cholery, nie było nikogo innego. Tylko Caroline i ja, i...

- Skończże wreszcie z tym dramatycznymi opowieściami! Musisz wreszcie zrozumieć...

- Dzwonię do glin. Ta babka była dokładnie tak samo ubrana, jak pokazywali w telewizji. W identyczne rzeczy. Przysięgam. Dzwonię, mammo.

- To sobie dzwoni, skoro chcesz się wygłupić. Tylko pamiętaj, że to się nazywa policja, a nie gliny. No, dzwoni! - Matka wstała. Rozchodził się zapach pieczenia. Uchyliła okno.

- Kto, do cholery, urządza Siedemnastego Maja uroczysty obiad?

- Uważaj, powiedziałam! I skończ z tym niepotrzebnym przeklinaniem.

- Siedemnastego Maja ludzie jedzą świąteczne śniadanie, mammo. Śniadanie, a od biedy elegancki lunch. Wżyciu nie słyszałam, żeby ktoś urządzał cholerny...

Rondel z hukiem wylądował na kuchennym blacie. Kobieta zerwała z siebie fartuch i zrobiła dwa szybkie kroki w stronę córki. Uderzyła dłońmi o stół.

- My urządzamy świąteczny obiad Siedemnastego Maja, Pernil-

le. My, rodzina Schou. Tak jest już od wielu pokoleń, a ty... - Uniosła lekko drżący palec wskazujący. - Ty masz się stawić w jadalni punktualnie o szóstej w o wiele lepszym stanie, niż jesteś teraz. Zrozumiano?

Mamrotanie uznała za zgodę.

- Ale ja naprawdę widziałam panią prezydent - burknęła jeszcze dziewczyna pod nosem. - I wcale, do cholery, nie wyglądała na kogoś, kogo porwano.

11

Makiętę hotelu Opera wykonano w skali jeden do pięćdziesięciu. Stała zamontowana na solidnych nogach i przypominała platformę mieszkalną w miniaturze. Imponowała szczegółami. Maleńkie wejściowe drzwi były ruchome, okna miały cieniutkie

jak listki szyby i nawet zasłony zdobił właściwy wzór. Kiedy Warren Scifford ugiął nogi w kolanach, by zajrzeć do foyer, zobaczył stojące naprzeciwko siebie żółte sofy, rozdzielone maleńkimi stolikami. Lampki świeciły na żółto, a fotele w kolorze królewskiego błękitu wprost kusily, by w nich zasiąść.

- Ta makieta też nie przedstawia aktualnego stanu - mruknął, drapiąc się w brodę.

- Nie - przyznał komendant Terje Bastesen. - Sporządzono ją przy okazji przebudowy. Dyrekcja hotelu jest oczywiście bardzo...

- szukał właściwego angielskiego słowa. - ...życzliwie nastawiona. Dach można zdjąć.

Bastesen miał wielkie dłonie, które teraz lekko drżały. W chwili gdy chciał delikatnie dotknąć palcami dachu, drgnęły gwałtowniej. Zgrzytnięcie przywołało młodego funkcjonariusza, który do tej pory stał w głębi pokoju. Policjant ostrożnie podniósł dach, odsłaniając dziesiąte piętro hotelu.

- No proszę - powiedział Warren Scifford. - A więc to tutaj mieszkała.

Apartament prezydencki położony był od południowej strony w zachodnim skrzydle hotelu. Nawet po zdjęciu dachu szyby w oknach wychodzących na fiord utrzymały się na swoim miejscu. Rozsuwane drzwi prowadziły na taras, obstawiony miniaturowymi doniczkami. Umeblowanie apartamentu było piękne i przemyślane aż po najdrobniejszy szczegół, nieczym w domku dla lalek, należą-cym do rozpieszczonej córki bogacza.

- Wchodzi się tędy. - Bastesen użył laserowego wskaźnika. Czer

wony punkcik drgał i skakał. - Bezpośrednio do pokoju dziennego. Dalej można przejść tutaj... - Kropka przeskoczyła na wschód.

- Do gabinetu. To, zdaje się, coś w rodzaju biura. Mamy tutaj za-równo... - będąc krótkowidzem, musiał nachylić się nad makieta - ...komputer i malutką drukarkę. I jak widzisz, tu, w głębi pokoju dziennego, jest łóżko. Przypuszczamy, że prezy... Madam President spała, kiedy zjawili się porywacze.

- Porywacze - powtórzył Warren Scifford, palcem delikatnie dotykając pościeli. - Z tego, co zrozumiałem, nie ma żadnych informacji o tym, ilu ich było.

Komendant Bastesen kiwnął głową i schował wskaźnik z powrotem do kieszeni na piersi.

- Owszem, to prawda. Opieram się wyłącznie na tej informacji. Napisano w niej: „Skontaktujemy się”. „My”, nie „ja”. *We've got her. We'll be in touch.*

Warren Scifford wyprostował się i wziął do ręki obłożoną w laminat kartkę.

- Zakładam, że to kopia - powiedział.

- Oczywiście. Oryginał jest poddawany dokładnej analizie. To twoi ludzie go znaleźli i... mieli dość rozumu, by go nie ruszać do czasu, aż trafi w odpowiednie ręce.

- Times New Roman - zauważył Scifford. - Najzwyklejsza czcionka ze wszystkich. Przypuszczam, że nie ma żadnych odcisków palców, prawda? A papier jest z rodzaju tych, które można znaleźć w każdym tutejszym biurze i domu.

Nie chciało mu się nawet podnieść oczu na komendanta, gdy ten przyświadczał. Oddał kartkę i znów skupił się na makiecie.

- Poza tym to nie są moi ludzie - oznajmił i zrobił dwa kroki w lewo, by spojrzeć na drzwi do apartamentu prezydenckiego pod innym kątem.

- Słucham?

- Powiedziałeś, że „moi ludzie” znaleźli kartkę.

-Tak...

- To nie są moi ludzie, tylko Secret Service. Ja jestem, jak ci przypuszczalnie wiadomo... - włosy opadły mu na czoło, kiedy się nachylił, przymrużając jedno oko. Przyglądał się korytarzowi prowadzącemu do apartamentu - ...z FBI. To różne organizacje.

Jego głos zabrzmiał chłodno. Scifford wciąż unikał kontaktu wzrokowego z komendantem. Zamiast tego nacisnął wierzchem dłoni jego ramię, jakby chciał przesunąć opornego chłopaczka.

- Zrób mi miejsce - mruknął. Znów zdawał się pochłonięty makieta hotelu. - Czy ta makieta jest naprawdę tak dokładna, jak wygląda?

Komendant nie odpowiedział. Na jego policzkach ukazał się rumieniec. Mężczyzna kilka razy mrugnął, potem strzepnął jakiś pyłek z kurtki munduru i chrząknął.

- Mister Scifford... - zaczął. Głos miał teraz niższy, o ciemniejszej barwie.

- Scifford - poprawił go agent FBI. - Wymawia się „ski”. „Ski” jak narty. Nie „sky” jak niebo. - Wskazał na sufit.

- Przepraszam, będę pamiętał - powiedział wolno komendant Bastesen. -Ale zanim przejdziemy dalej, chciałbym, abyśmy wyjaśnili sobie parę spraw. Po pierwsze...

- Momencik. - Warren Scifford podniósł rękę. - Tb taj jest kamera, prawda? - Z kieszeni marynarki wyjął długopis i wskazał na korytarz.

- Owszem - odparł Bastesen z wahaniem. - I tutaj też. Dokładnie na zakręcie. Dzięki temu monitorowany jest cały korytarz. Kamerę umieszczono jeszcze tutaj... -Wskazał miejsce przy windzie. -I tu, koło schodów, koło wyjścia awaryjnego. Ale zanim posuniemy się dalej, chciałbym...

- Zaczekaj chwilę, momencik.

Scifford krążył wokół makiety głęboko skoncentrowany. Od czasu do czasu się zatrzymywał, przysuwał twarz do zewnętrznej ściany i mierzył coś w korytarzu. Szpakowate, lekko kręcone włosy stałe opadały mu na czoło. Wysunął wargi i cmoknął, zanim przystąpił do kolejnej rundy rozmowy.

- Oczywiście, muszę obejrzeć ten hotel na własne oczy- oświadczył, nie odrywając wzroku od makiety. - Najchętniej dziś wieczorem. Ale masz rację, wygląda na to, że cały korytarz jest w zasięgu kamer. A co z tarasem?

- Przedostanie się tam z zewnątrz jest niemożliwe, chyba że...

- Nie ma *rzeczy* niemożliwych - przerwał mu Warren, okraszając swoje słowa trudnym do odczytania uśmiechem. - Moje pytanie dotyczyło zasięgu kamer.

- No cóż. Madam President nie życzyła sobie kamery w apartamencie. Podobno bardzo się przy tym upierała. Zarówno my, jak i...

Warren Scifford podniósł do góry obie ręce. Komendant Bastesen znów pozwolił sobie przerwać. Młody funkcjonariusz wycofał się z powrotem do kąta przy drzwiach i zdenerwowany wbił wzrok w podłogę. W pomieszczeniu zaczęło się robić bardzo ciepło, wręcz gorąco. Bastesen pocił się w mundurze. Cienkie kosmyki włosów lepiły mu się do czoła. Scifford już dawno zrzucił marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Rozluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk. Oczy miał osadzone głęboko, ciemnobrązowe, o niemal kobiecych rzęsach. Nieco zbyt długie kędziory sprawiały, że przypuszczalnie wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości. Wreszcie spojrzał w oczy komendantowi. Bastesen nie spuścił wzroku.

- Znam moją prezydent - oświadczył Warren Scifford powoli.
- Znam ją bardzo dobrze. Dlatego uważam za zbędne informowanie mnie o jej zwyczajach. Wydaje mi się, że wszystkim nam wyszłoby na korzyść ograniczenie tej... rozmowy... do udzielenia mi informacji, których potrzebuję, czyli po prostu do odpowiedzi na moje pytania. Okej?

Komendant Bastesen odetchnął głęboko i nieoczekiwanie się uśmiechnął. Bez pośpiechu rozpiął i zdjął kurtkę. Duże plamy potu pod pachami najwyraźniej go nie kępowały, gdy podniósł obie ręce, by odgarnąć włosy do tyłu. Potem uśmiechnął się jeszcze szerzej i założył ręce za plecy. Wolno zaczął się kołysać na stopach w przód i w tył, jak staroświecki stójkowy. Buty skrzypiały przenikliwie.

- Nie - oświadczył z uśmiechem. - Nie jest okej.

Warren Scifford uniósł brwi.

- Wydaje mi się, że najważniejsze w tej chwili - ciągnął Bastesen - to abyś ty zrozumiał swoją rolę. I moją. - Przez moment stał

na palcach, a gdy znów opadł na pięty, podjął: -Jestem komendantem policji w Oslo. Przestępstwo miało miejsce w moim mieście, w moim kraju, w Norwegii, suwerennym państwie. Za śledztwo w sprawie tego przestępstwa w pełni odpowiedzialny jestem ja. Przypadek zrzucił, że ofiara to... prominentna obywatelka innego państwa...

Dłonie już mu nie drżały, gdy palcem delikatnie muskał małeńkie doniczki na tarasie apartamentu prezydenckiego. W pokoju było tak cicho, że dało się słyszeć szelest dotykanego papieru.

- ...więc ze zwykłej uprzejmości i z szacunku dla znaczenia, jakie ta sprawa ma dla was, naszych sprzymierzeńców, chętnie będziemy wasze służby o wszystkim informować. I tu docieramy do najważniejszego punktu: właśnie wymiany informacji. Wspomóżcie nas wszelkimi informacjami, niezbędnymi do rozwiązania tej sprawy, jak najszybciej i jak najlepiej. My będziemy was informować o postępach w śledztwie i o tym, co się dzieje. Przynajmniej w takim stopniu, w jakim nie zagrazi to dobru śledztwa!

Nagle podniesienie głosu komendanta sprawiło, że funkcjonariusz w kącie drgnął. Potem zapadła cisza.

Warren Scifford pociągnął się za ucho. Był opalony, szczególnie jak na tę porę roku. Na lewym nadgarstku widoczny był biały pasek w miejscu, gdzie najwidoczniej zegarek osłonił skórę od słońca.

- Rozumiem - rzekł, życzliwie kiwając głową.

- Mam nadzieję - Bastesen tym razem nie odpowiedział mu uśmiechem. - Czy wobec tego mogę przejść do tego, co najważniejsze?

Scifford poprzestał na niemym przytaknięciu.

- Wspominałem, że pani prezydent nie chciała żadnego monitoringu w samym apartamencie. Również z tego powodu skupili śmy się bardziej na korytarzu. - Ponownie włączył laserowy wskaźnik. -I jak już wiesz, kamery nie zarejestrowały żadnego ruchu przy drzwiach do apartamentu w przedziale czasu od za dwadzieścia pierwsza w nocy, kiedy to Madam President wróciła po oficjalnej

kolacji, do dwadzieścia po siódmej, kiedy twoi ludzie... - poprawił się szybko: - ...do dwadzieścia po siódmej rano, kiedy ludzie z Secret Service uznali za konieczne wkroczenie do apartamentu. Pani prezydent powinna była się zgłosić do nich o siódmej. Kolumny, która miała ją zabrać na śniadanie do zamku, oczekiwano punktualnie o pół do ósmej. A jeśli chodzi o taras... - Obszedł makiętę i wskazał na szklane rozsuwane drzwi. - Rzeczywiście trudno było ustawić kamery na tarasie w taki sposób, by nie popaść w konflikt z wyraźnym życzeniem pani prezydent. Mieliśmy więc pewien problem, dlatego wyposażyliśmy drzwi w czujniki. - Bastesen na chwilę zawiesił głos. - Otwarcie drzwi uruchomiłoby alarm. Tak się nie stało. Czujniki oczywiście zostały później sprawdzone, są w najlepszym porządku. Możemy więc uznać, że nikt tamtędy nie wchodził ani nie wychodził.

- Nikt nie wchodził, nikt nie wychodził. - Warren Scifford prze ganiał palcami włosy. - Oczywiście oprócz tego, że pani prezydent zniknęła, a ktoś w jej pokoju zostawił wiadomość.

Gdyby Bastesen lepiej znał angielski, wychwyciłby zjadliwy sarkazm tych słów, ale w dobrej wierze tylko potakująco skinął głową.

- Oczywiście.

- Kanały wentylacyjne - rzucił Warren Scifford rutynowo, nie odrywając wzroku od makiety. - Wyjścia awaryjne. Inne okna.

- Badania trwają. Naturalnie, wszystko zostanie sprawdzone bardzo dokładnie. Ale rozmawialiśmy już z szefem obsługi technicznej hotelu, który wyklucza możliwość wykorzystania kanałów wentylacyjnych do wejścia lub wyjścia z pokoju. Jego zdaniem, są na to za wąskie, a poza tym zablokowane kratkami zamontowanymi na stałe w stosunkowo niedużych odległościach. Jeśli chodzi o okna, to wszystkie są zabezpieczone alarmem. Po prostu nie były otwierane. A wyjścia awaryjne? - Przesunął czerwoną kropkę na drzwi prowadzące z gabinetu na korytarz. - Zamek jest zabezpieczony jedną z tych zielonych plastikowych skrzynek, w których

trzeba zbić szybkę, by dało się otworzyć drzwi. Mechanizm jest nienaruszony. Te drzwi nie były otwierane. A poza tym z zewnątrz pozostają w zasięgu kamer, więc jak mówiłem...

- Nikt nie wchodził - powtórzył Warren Scifford - i nikt nie wychodził.

Ktoś zastukał do drzwi. Funkcjonariusz spojrział pytająco na Bastesena, który kiwnął głową.

- Ambasador Wells i minister spraw zagranicznych czekają na Scifforda - powiedziała młoda kobieta po norwesku. - Chyba bardzo się niecierpliwia.

- Szukają cię - przetłumaczył Bastesen, podając Sciffordowi marynarkę.

Amerikanin jej nie wziął. Zamiast tego jeszcze odrobinę rozluźnił krawat i z tylnej kieszeni spodni wyjął notatnik.

- Proponuję na razie trzy spotkania dziennie - oznajmił, pocierając palcem nos. - Oprócz tego chętnie widziałbym przydzielenie mi łącznika. Jeżeli to... - uśmiechnął się niemal po chłopcemu, jakby przeproszał, że musi to powiedzieć - ...jeśli to pasuje tobie i wam w ogóle. Jeśli uznasz, że to będzie odpowiedni sposób wymiany informacji - dodał.

Bastesen kiwnął głową, wzruszając ramionami. Wciąż trzymał w ręku marynarkę Scifforda.

-W takim razie chciałbym, żeby to była... - Scifford napisał coś na kartce i podał ją komendantowi - ...ona. Znasz to nazwisko?

Bastesen, spojrzawszy na kartkę, zdumiony uniósł brwi.

- Owszem, ale to niemożliwe. Ona u nas nie pracuje. Nigdy nie pracowała, chociaż... - Odwiesił marynarkę na oparcie krzesła. - Od czasu do czasu pomaga policji. Nieformalnie. Ale w zaistniałej sytuacji wykluczone jest korzystanie...

-Jestem zmuszony nalegać - oświadczył Scifford. Jego głos brzmiał teraz inaczej. Arogancja zniknęła. Leniwy, przeciągły sposób mówienia zastąpił ton niemal proszący.

- Nie - zaprotestował Bastesen i podjął kolejną próbę wciśnięcia Amerykaninowi marynarki. - To niemożliwe. Ale niezwłocznie znajdę odpowiednią osobę. Chyba powinieneś już iść. Podobno bardzo się niecierpliwią.

- Chwileczkę. - Scifford naskrobał na następnej kartce jeszcze jedno nazwisko. - Może w takim razie on. Przynajmniej on powinien...

- Ingvar Stubbor - odczytał powoli Bastesen, lekko kręcąc głową. - Nie znam nikogo o tym nazwisku, ale...

- Yngvar Stub0 - rozległo się od drzwi.

Obaj mężczyźni się odwrócili, a młody policjant się zaczerwienił.

- On na pewno ma na myśli Yngyara Stub0 - wydusił. - Tego z Kripos. Miał u nas wykłady...

- Yngvar Stub0? - powtórzył Bastesen, machając pierwszą kartką, którą dał mu Scifford. - Przecież on jest mężem tej kobiety! Znasz ich?

Warren Scifford zapiął kołnierzyk i wreszcie zaczął wkładać marynarkę.

- Stubbora spotkałem dwukrotnie - powiedział - Ale nie znam go. Natomiast Inger Johanne Vik... Inger Johanne znałem kiedyś dobrze. Mogę liczyć na Stubbora?

- Stub0 - poprawił go Bastesen. - Stub0000. Jak w słowie *bird*. Zobaczę, co się da zrobić.

Razem skierowali się do drzwi. Nagle Bastesen przystanął. Położył rękę na ramieniu Amerykanina, a na twarzy odmalowała mu się ciekawość.

- Zgadza się! - zawołał. - Inger Johanne Vik ma jakąś przeszłość

w FBI. Nigdy nie udało mi się zrozumieć, o co dokładnie chodziło. To stąd się znacie?

Warren Scifford nie odpowiedział. Zacisnął tylko węzeł krawata, obciągnął marynarkę i ruszył na spotkanie ze swoim ambasadorem.

Abdallah al-Rahman wciąż był dobrym pływakiem. Ciął wodę długimi wyrzutami ramion. Płynął w powolnym rytmie, ale skuteczność długich rąk i niezwykle dużych dłoni mimo wszystko sprawiała, że posuwał się szybko. Woda była niechlorowana, bo od chemikaliów miewał lekkie mdłości, a ponieważ oprócz niego nikt nie miał zezwolenia na korzystanie z dużego basenu, napełniano go wodą morską. Zmieniano ją na tyle często, że nigdy się nie rozchorował.

Mężczyzna siedzący nad brzegiem w wygodnym fotelu na miękkich poduszkach z uśmiechem przyglądał się pięknym mozaikom w basenie i wokół niego. W maleńkich kafelkach w milionie odcieni błękitu odbijały się płomienie oliwnych lamp umieszczonych wzdłuż całej ściany od wschodu. Wieczorne powietrze wydawało się chłodne w porównaniu z upałem, który dokuczał mu przez cały dzień. Nigdy nie przywykł do upału. Kochał za to jego pozostałości, zmagazynowane słoneczne ciepło, dzięki któremu wieczory były tak przyjemne, a bolące kolano wreszcie przestawało dawać o sobie znać.

Ciało Araba rozcinało tafłę wody. Mężczyzna przy basenie obserwowował przyjaciela, popijając herbatę.

Nazywał się Tom Patrick O'Reilly i urodził się w ubogiej rodzinie w małym miasteczku w Wirginii w 1959 roku. Warunki życia z czasem jeszcze się pogorszyły. Gdy chłopiec miał ledwie dziesięć lat, zniknął ojciec. Pewnego popołudnia pojechał po benzynę. Od tamtej pory rodzina nie słyszała nic ani o nim, ani o dwunastoletnim pick-upie, ich jedynym samochodzie. Matka dosłownie zapracowała się na śmierć, by jakoś utrzymać czworo dzieci. Zmarła, kiedy Tom miał szesnaście lat. Był rok 1975 i Tom już podczas skromnego pogrzebu zdecydował się postawić wszystko na jedyną szczęśliwą kartę, jaką podarował mu los. Z pozycji

zręcznego gracza w miejscowej szkolnej drużynie futbolu zdołał w ciągu ostatnich dwóch lat w high school stać się najbardziej obiecującym quarterbackiem, jakiego stan Wirginia wychował od kilku dziesięcioleci. Dzięki temu dostał stypendium na Uniwersytecie Stanforda i opuścił rodzinne strony z ubraniami w plecaku, trzystoma dolarami w kieszeni i niezłomnym przekonaniem, że jego noga nigdy więcej w miasteczku nie postanie.

Na pierwszym roku strzeliło mu kolano. Więzadło krzyżowe i łąkotka. Tom O'Reilly miał dziewiętnaście lat i nie widział przed sobą żadnej przyszłości. Ponieważ jego akademickie osiągnięcia w najlepszym razie można było uznać za przeciętne, nie istniała żadna inna możliwość ukończenia studiów oprócz płacenia za nie spektakularnymi zagrywkami na boisku.

Siedział w swoim pokoju i płakał, kiedy zjawił się Abdallah. Wszedł bez pukania. Chłopak, z którym Tom rozmawiał wcześniej zaledwie kilka razy, usiadł na krześle i wyglądał przez okno. Milczał.

Tom O'Reilly pamiętał, że w końcu otarł oczy. Uśmiechnął się sztywno i obciągnął bluzę, która robiła się już za ciasna. Od intensywnych treningów Tom miał coraz większe mięśnie, a stypendium wystarczało jedynie na najpotrzebniejsze wydatki, na czesne i skromne życie. Ciuchy były nieosiągalnym luksusem. Młody człowiek, który nieproszony wszedł do jego pokoju i rzucił okiem na skromny bagaż, upchnięty przez Toma w plecaku, miał na sobie drogie dżinsy i jedwabną koszulę. Już same buty pochłonęłyby roczny budżet ubraniowy Toma.

Teraz, gdy Tom siedział w pałacu pod Rijadem, popijając słodką herbatę, ze świadomością, że zarządza majątkiem, o jakim nawet mu się nie śniło, kiedy stał u progu znakomicie zapowiadającej się kariery sportowej, przyszło mu do głowy, że tamto zdarzenie w ciepły wiosenny dzień w 1978 roku było doprawdy niepojęte.

Nie znał Abdallaha. Nikt na Uniwersytecie Stanforda go nie znał, chociaż zapraszany był na najpopularniejsze zabawy,

a na niektórych nawet się pojawiał. Przychodził niedbałym krokiem, z zagadkowym uśmiechem, którego nikt nie potrafił zgłębić. Młody człowiek był nieprawdopodobnie bogaty. Ropa, myśleli wszyscy na widok czarnych włosów i ostrego profilu. I z pewnością była to ropa, ale nikt nie pytał, a Abdallah al-Rahman nie zachęcał do zadawania pytań na swój temat. Owszem, okazywał życzliwość, a poza tym dobrze pływał w uniwersyteckiej drużynie. Chociaż nie szukał towarzystwa rówieśników tak jak inni, nie był też odludkiem. Dziewczyny się za nim oglądały. Szeroki w barach, wysoki, miał niezwykle duże oczy. Ale dziewczynom nic nie wychodziło z ich zabiegów. Pozostawał obcy.

I zdawało się, że o to mu chodzi.

Po czym nagle po prostu pojawił się w studenckim zabałaganionym pokoju, przesiąkniętym zapachem chłopięcych skarpet, i rzucił Tomowi O'Reilly ostatnią deskę ratunku, którą ubogi chłopak z Wirginii chwycił obiema rękami.

Od tamtej pory nigdy jej nie wypuścił.

Herbata była tak słodka, że język wydawał się od niej szorstki. Tom O'Reilly odstawił szklanę. Przeczesał palcami rudoblond włosy i uśmiechnął się do Araba, który jednym pełnym gracji ruchem wyskoczył z wody na brzeg basenu.

- Miło cię widzieć - powiedział Abdallah, wyciągając dłoń.
- Przepraszam, że kazałem ci czekać.

Zawsze ta ręka, pomyślał Tom O'Reilly Nigdy tradycyjne objęcie czy pocałunek. Nigdy nic innego, nigdy nic więcej, tylko ta dłoń. Teraz była mokra i chłodna. Tom O'Reilly lekko zadrżał.

- Za długo siedziałeś na słońcu - rzekł Abdallah, sięgając po ręcznik, żeby wytrzeć włosy. - Jak zwykle. Mam nadzieję, że się nie nudziłeś. Miałem coś do załatwienia.

Tom poprzestał na uśmiechu. - Jak się miewa Judith? I dzieci?

- Dobrze - odpowiedział Tom. - Bardzo dobrze. Garry zaczy na być niezły. Nigdy nie będzie znakomitym ąquarterbackiem, jest

na to za duży i za ciężki. Ale w obronie ma pewne szanse. Staram się pociągać za niektóre nitki.

- Nie ciągnij za mocno. - Abdallah włożył przez głowę olśniewająco białą szatę i usiadł na sąsiednim fotelu. - Dzieci tak naprawdę powinny sobie radzić same. Jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję.

Abdallah napełnił swoją szklankę ze srebrnego dzbanka.

Siedzieli w milczeniu. Tom uświadomił sobie, że obserwuje przyjaciela, kiedy wydaje mu się, że tamten na niego nie patrzy. Arab miał w sobie niesamowity spokój, który nigdy nie przestał go fascynować. Znali się już od blisko trzydziestu lat. Abdallah wiedział o Tomie wszystko, co można było wiedzieć. Amerykanin podzielił się z kolegą swoją smutną historią już tamtego pierwszego wieczoru i odtąd informował go o wszystkich mniejszych i większych wydarzeniach we własnym życiu, o dziewczynach, przelotnych romansach, o pracy, miłości i preferencjach politycznych. Od czasu do czasu, kiedy Tom nie mógł spać, w ciemności patrzył na swoją żonę, leżącą obok niego w łóżku, i myślał, że Abdallah wie o nim więcej niż ona. Nawet po bez mała dwudziestu latach małżeństwa.

Taka była umowa.

Już w tamto ciepłe popołudnie, gdy wiosna wreszcie zagościła na dobre, a Tom otrzymał pismo, że od następnego roku akademickiego stypendium zostaje mu cofnięte, „zważywszy na względy zdrowotne”, poznał cenę owego fantastycznego podarunku.

Abdallah miał wiedzieć o nim wszystko.

I wtedy, i teraz Tom uważał, że to niewygórowana cena. Przebywanie z Abdallahem zawsze sprawiało mu przyjemność. W czasie studiów od czasu do czasu bywali gdzieś razem, ale nigdy nie uchodzili za bliskich przyjaciół. W każdym razie nikt o nich tak nie myślał. Po studiach nigdy się nie spotkali w USA. Ich ścieżki czasami krzyżowały się w Europie. Tom często bywał na spotkaniach w metropoliach, w których, jak się okazywało, również Abdallah

prowadził interesy. Spotykali się na przykład na obiedzie w arabskiej knajpce w Londynie, na spacerze po Polach Marsowych przy wieży Eiffla albo przy filiżance kawy w rzymskiej kawiarni nad Tybrem.

Rzadko się zdarzało, by Toma sprowadzano do Rijadu.

Abdallah dolał sobie herbaty.

- Podróż minęła dobrze?

-Tak.

Tom O'Reilly lubił być w Rijadzie. Zawsze przywożono go w to miejsce, chociaż wiedział o istnieniu innych pałaców. Większych i znacznie bardziej imponujących, o ile dobrze zrozumiał zawoalowane słowa Abdallaha. Zaproszenia przychodziły nagle. Na ogół nie więcej niż trzy godziny przed wyjazdem. Zawsze dzwonił z miejscowego telefonu. Na najbliższym lotnisku czekał prywatny samolot, Tom musiał jedynie się zgłosić. Mogło to być w Madrycie, w Kairze czy Sztokholmie. Obowiązki dyrektora generalnego w firmie ColonelCars rzucały go po całym świecie. Kiedy jeszcze nie zaszedł tak wysoko w karierze, nieoczekiwana zmiana planów mogła nastęrczać pewne problemy. Teraz było już łatwiej, a poza tym zaproszenia napływały coraz rzadziej. Nie spotkali się od półtora roku.

- Widzimy się ostatni raz - oświadczył nagle Abdallah z uśmiechem.

Tom O'Reilly spróbował usiąść prosto w morzu miękkich poduszek. Kolano znów go rozboleło, za długo nie zmieniał pozycji. Nie wiedział, co powiedzieć, ale czuł, że powinien zareagować.

- Szkoda - wypowiadając to słowo, poczuł się jak idiota.

Abdallah al-Rahman uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zęby błysnęły w śniadej twarzy. Jednym łykiem dopił herbatę i ostrożnie odstawił szklankę.

- To była dla mnie radość, Tom, prawdziwa radość.

Miękkość jego głosu zaskoczyła Toma. Abdallah jakby zwracał się do ukochanego dziecka.

- Nawzajem - mruknął Amerykanin, sięgając po szklanke, żeby znaleźć jakieś zajęcie dla rąk.

Znów obaj milczeli. Odległe szczekanie było jedynym odgłosem zakłócającym wielką, nagrzaną ciszę wokół pałacu. Woda w basenie stała się gładka jak lustro, wieczorna bryza, która wcześniej lekko i przyjemnie poruszała powietrze, całkiem ucichła, a przynajmniej nie docierała tu, poza wysokie stare mury, otaczające ogród.

W roku 1978 Tom O'Reilly przyjął szczodłą propozycję Abdalaha bez większych obiekcji. Z jedynym maleńkim zastrzeżeniem, które mogłoby przypominać coś w rodzaju wyrzutów sumienia, prędko się uporał. Doszedł do wniosku, że głupio zadawać pytania, na które i tak się nie dostanie odpowiedzi. W pełni sfinansowano mu studia w zamian za bagatelną przysługę. Nowe stypendium nie tylko pokrywało koszty nauki, lecz również pozwalało na dość swobodne życie. Mógł rzucić wszystkie dorywcze prace i skupić się na studiowaniu. A ponieważ nie poświęcał już czterech godzin dziennie na trening, zaczął osiągać coraz lepsze wyniki w nauce. Ukończył studia z dobrą oceną na dyplomie, cenną siecią kontaktów ze Stanfordu i wolą odniesienia sukcesu, jaką rzadko można spotkać u ludzi, którzy nigdy nie znaleźli się na krawędzi przepaści.

Z upływem lat nachodziło go coraz więcej wątpliwości.

Nie były jednak zbyt dokuczliwe. A mimo to jako trzydziestolatek usiłował dowiedzieć się czegoś więcej o fundacji, która umożliwiła ubogiemu i niezbyt obiecującemu studentowi ukończenie studiów na jednym z najbardziej prestiżowych uniwersytetów. Jako studenta interesowało go w zasadzie tylko to, by każdego roku latem i około Bożego Narodzenia na jego konto wpływała spora suma od darczyńcy o mało mówiącej nazwie Student Achievement Foundation.

Taka fundacja nie istniała.

Zaniepokoiło go to i kosztowało parę bezsennych nocy. Szybko jednak uspokoił się myślą, że przecież mogła zostać rozwiązana.

Nic w tym dziwnego, uznał po zastanowieniu. Nie ma sensu marnować cennego czasu na głębsze rozgrzebywanie tej kwestii.

Tom O'Reilly był inteligentnym człowiekiem. Kiedy Abdallah al-Rahman zaczął kontaktować się z nim w Europie, od razu pojął, że to może zostać źle odebrane. Przez innych. Przez tych, którzy nie rozumieli, że oni naprawdę są dobrymi przyjaciółmi. Kolegami ze studiów. Przez tych, którzy nie wiedzieli, że ich rozmowy są całkowicie niewinne.

- Czy życie ułożyło ci się tak, jak tego oczekiwałeś? - spytał Abdallah spokojnie, prawie obojętnie.

-Tak.

Tom miał wszystko. Dochowywał wierności żonie, chociaż zdarzała się niejedna pokusa. Już jako student poprzysiągł sobie, że nie pozwoli, by dziedzictwo po ojcu rzuciło cień na jego życie. Został pobłogosławiony czwórką dzieci i sytuacją finansową, umożliwiającą zamieszkanie w dwunastopokojowej willi na jednym z najbardziej prestiżowych przedmieść Chicago. Pracował ciężko i dużo, ale zaszedł tak wysoko, że miał do swojej dyspozycji weekendy i święta. Tom O'Reilly był szanowanym człowiekiem. W chwilach spokoju, jak wtedy, gdy dzieci były mniejsze, a on szedł je otulić, zanim sam położył się spać, miał wrażenie, że jest ucieleśnieniem amerykańskiego marzenia. Był zadowolony.

- Tak - powtórzył i odchrząknął. -Jestem bardzo wdzięczny.

- Sam sobie możesz dziękować. Ja ci tylko pomogłem wtedy, gdy system zawiódł. Resztę zrobiłeś sam. Po prostu jesteś dobry, Tom.

- Dziękuję. Ale i tak jestem wdzięczny. Dziękuję.

Zaniepokoił go dobór słów Abdallaha.

System.

Abdallah użył słowa, którego Tom nie lubił. A przynajmniej w tym znaczeniu, jakie miał na myśli Abdallah. Odwoływanie się do systemu w takim kontekście wydawało się...

Abdallah nie jest taki jak oni. On nas rozumie. On działa w obrębie naszego systemu. Naszej ekonomii. I nigdy, ani razu nie powiedział nic, co mogłoby wskazywać, że jest taki jak tamci. Przeciwnie, on mnie szanuje. Szanuje to, co amerykańskie. On jest prawie... Amerykaninem.

- System jest twardy. - Tom kiwnął głową. - Ale sprawiedliwy. W żaden sposób nie chciałbym nie doceniać tego, co dla mnie zrobiłeś. Mówiłem już, że jestem głęboko wdzięczny. Z całym szacunkiem jednak... - zawahał się, zapatrzonej w drobniutki wzorek na szklance z herbatą... - z całym szacunkiem, ale prawdopodobnie i tak bym sobie poradził. Miałem wolę. Byłem gotów ciężko pracować. System nagradza tego, kto ciężko pracuje.

Z twarzy Abdallaha nie dawało się nic wyczytać. Najwyraźniej się rozluźnił. Oczy miał półprzymknięte, na ustach leciutki uśmiech, jak gdyby myślał o czymś przyjemnym, niemającym żadnego związku z tą rozmową.

- Obaj jesteśmy tego przykładem - kiwnął wreszcie głową. - System nagradza tego, kto ciężko pracuje i dąży do wyraźnie określonego celu. Tego, kto wyznacza sobie dalekie cele, a nie myśli wyłącznie o szybkim zysku.

Tom się uspokoił. Z uśmiechem wzruszył ramionami.

- No właśnie.

- Chcę cię teraz prosić o przysługę - powiedział Abdallah, wciąż z tym dalekim wyrazem twarzy, jakby nadal myślał o czymś innym. Gestem przywołał służącego, którego Tom wcześniej nie zauważył, bo mężczyzna stał dwadzieścia metrów dalej, na poły ukryty za trzema palmami w gigantycznej donicy przy wejściu na taras. Służący zbliżył się bezszelestnie i podał Abdallahowi kopertę, po czym równie cicho się oddalił.

- Przysługę - mruknął Tom. - Jaką przysługę?

Nigdy mnie o nic nie prosiłeś, pomyślał. Tylko o moje życie. O informacje o mnie i o tym, co robię. Na tym polegała umowa. Miałem utrzymywać z tobą kontakt, spotykać się z tobą, gdy tego

sobie zażyczyłeś. Taka była umowa. Nic nie mówiłeś o przysługach, Abdallahu. Przez prawie trzydzieści lat dotrzymywałem obietnicy. Nie obiecywałem ci nic oprócz tego, że oddam ci siebie.

- To bardzo prosta sprawa - zapewnił z uśmiechem Abdallah.
- Weźmiesz tę kopertę ze sobą do Stanów i wyślesz. Potem już będziemy kwita, Tom. Spłacisz to, co jesteś mi winien. A żebyś przypadkiem nie myślał, że to coś niebezpiecznego...

Tom siedział nieruchomo jak sparaliżowany, gdy Abdallah otwierał zewnętrzną kopertę. Wewnątrz leżała druga, mniejsza. Niezaklejona. Arab zbliżył do niej nos i wciągnął powietrze. Głęboko. Z uśmiechem podsunął ją Tomowi.

- Tu nie ma trucizny. Wy jesteście... Uważam, że wolno mi tak powiedzieć... Trochę histeryczni, jeśli chodzi o przesyłki pocztowe. A to jest całkiem po prostu list.

Tom dostrzegł jedynie papier, wyglądało na to, że kartek jest kilka, złożonych tekstem do środka. Zwykłe białe arkusze. Abdallah polizał kopertę i zakleił. Wsunął ją do tej większej, którą też zamknął.

- Wszystko, co masz zrobić - wyjaśniał spokojnie - to zabrać ją ze sobą do Stanów. Później wrzucisz ją do skrzynki. Jest mi kompletnie obojętne, w jakim miejscu Stanów Zjednoczonych ta skrzynka będzie się znajdować. Otworzysz tę dużą kopertę, a małą wrzucisz do skrzynki. Duża pójdzie do śmietnika. To wszystko.

Tom O'Reilly nie odpowiedział. Gardło miał zaciśnięte. Czuł się wręcz bliski płaczu. Przełknął ślinę, spróbował odkaslnąć.

- O co chodzi? - wydusił wreszcie.

- Interesy - odparł Abdallah obojętnie. - Nie ufam naszej poczcie, a już ani trochę tej całej nowoczesnej komunikacji. Za dużo uszu i oczu. Wszędzie. Ważne jest, żeby to doszło. Chodzi wyłącznie o interesy.

Jak możesz mi tak kłamać prosto w oczy, pomyślał Tom O'Reilly, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Jak możesz mi w ten sposób ubliżyć? Po trzydziestu latach. Masz do dyspozycji całą eskadrę samolotów i armię pracowników. Ale wybierasz mnie

na kuriera, który ma przewieźć **list**. Co to znaczy? Jak powinienem się zachować?

- Zrobisz to - rzekł spokojnie Abdallah - przede wszystkim dlatego, że jesteś mi to winien, a gdyby to nie wystarczyło...

Pochwyił spojrzenie Amerykanina, nie kończąc zdania.

Wiesz o mnie wszystko, pomyślał Tom, wycierając spocone dłonie. Więcej niż ktokolwiek inny. Rozmawialiśmy przez dwadzieścia osiem lat. Zawsze o mnie, rzadko o tobie. Byłeś moim powiernikiem we wszystkim. Znasz moje zwyczaje, dobre i złe, marzenia i koszmary. Znasz moją żonę, chociaż nigdy jej nie spotkałeś. Wiesz, jak moje dzieci...

- Rozumiem - oświadczył nerwowo, biorąc kopertę. - Rozumiem.

- A więc jesteśmy kwita. Jutro rano będzie czekał samolot, który odwiezie cię do Rzymu. O siódmej. Nie za wcześnie? Nie? To dobrze. Zgłodniałem. Zjedzmy coś, Tom. Jest już dostatecznie chłodno, by się posilić.

Wstał i wyciągnął do Amerykanina rękę, by pomóc mu podnieść się z fotela. Tom odruchowo przyjął tę pomoc. Kiedy już stanął na nogi, Arab objął go za ramiona i pocałował.

- Mieć w tobie przyjaciela to dla mnie ogromna radość - powiedział miękko. - Prawdziwa radość.

A oszołomionego Amerykanina, gdy kulejąc, szedł za nim w stronę szklanych drzwi do pięknego pałacu, po raz pierwszy uderzyła myśl:

Ilu takich Tomów O'Reillych masz, Abdallahu?

Ilu właściwie istnieje takich jak ja?

13

Szef wydziału Yngvar Stub0 pieszo wracał od teściów po zbyt długim i nietypowo zakończonym uczczeniu święta narodowego.

Oczywiście, mógł się zabrać samochodem z Inger Johanne, która o dziesiątej uzyskała wreszcie od matki pozwolenie na powrót do domu. Ragnhild dawno już spała. Miała zostać u dziadków do następnego dnia. Kristiane była kompletnie wyczerpana i rozkojarzona, gdy Isak, jej biologiczny ojciec, przyjechał po nią około siódmej. Chociaż wydarzenia tego dnia wywarły wpływ na wszystkich, Kristiane zniosła je najciężej. Przed południem udało im się ją w końcu uspokoić, mogła więc cieszyć się z udziału w pochodzie dzieci, choć nawet na sekundę nie puściła ręki Yngvara. W miarę upływu czasu sytuacja jednak się pogarszała, zaginięcie kobiety jakby opętało dziewczynkę, która przerażona wczepiła się w matkę i tak to trwało aż do chwili, gdy przyszedł wreszcie jej ojciec i zabrał ją, mając opowieścią o nowej elektrycznej kolejce, którą będzie mogła kierować, całkiem sama.

Yngvar wolał iść pieszo niż jechać samochodem.

Zamiast przejść prosto Kjelsasveien i przeciąć Storo w stronę Tassen, wybrał okrężną drogę przez Grefsenplataet. Powietrze było chłodne i rześkie, a na zachodnim niebie wciąż malowało się blade majowe światło. Kroki chrzęściły na asfalcie; gmina uznała, że nie stać jej na usuwanie wysypanego zimą piasku. W ciągu dnia padało. Z ogrodów dochodził wilgotny zapach gnijących zeszłorocznych liści. Na kwietnikach tulipany gubiły już płatki. W oknach wszystkich salonów migotały telewizory.

Yngvar zatrzymał się przy pomalowanym na biało drewnianym płocie.

Dom był również biały, ale w wieczornym świetle wydawał się niebieskawy. Przez rozsunięte zasłony zobaczył, że dwoje starszych ludzi ogląda telewizję. Kobieta podniosła do ust filiżankę z kawą. Kiedy ją odstawiła, chwyciła mężczyznę za rękę. Tak siedzieli, zniechęceni, trzymając się za ręce i oglądając wiadomości, które prawdopodobnie nie podały nic ponadto, co w ciągu popołudnia mogli usłyszeć już kilkanaście razy.

Yngvar stał. Było mu trochę zimno, i właśnie to sprawiało mu przyjemność. Rozjaśniało myśli. Nie potrafił się przemóc, by ruszyć dalej. Starsi państwo w białym domku z tulipanami pod oknem salonu, oglądający wiadomości w telewizji, stali się symbolem Norwegii w ten dziwny dzień, który zaczął się świętem, a kończył poczuciem zagrożenia o wciąż nieznanym zasięgu.

Paradoksalnie zamach byłby łatwiejszy do zaakceptowania, pomyślał Yngvar. Śmierć oznacza gwałtowny koniec, lecz również początek czegoś innego. Śmierć to żałoba, z którą trzeba się zmierzyć. Zaginięcie to niekończący się czyścowy ogień.

Mężczyzna w salonie podniósł się sztywno. Podreptał do okna, a zawstydzony Yngvar przez chwilę poczuł się widziany, czym prędzej więc cofnął się o dwa kroki. Starszy pan zaciągnął zasłony, ciężką kwiecistą tkaniną odgradzając swój świat od nocy.

Yngvar postanowił iść pieszo aż do Stilla, potem skręcił na ścieżkę wzdłuż rzeki. Poziom wody znacznie się podniósł, a gęsi już dawno przyleciały. Tu i ówdzie widać było kaczki krzyżówki, płynące uparcie pod prąd i nurkujące w poszukiwaniu nocnej przekąski. Yngvar przyspieszył. Starał się dotrzymać kroku wezbranej wiosennie rzece, prawie biegł.

Nie zdecydowali się na zamach, pomyślał zdyszany. Jeśli w ogóle istnieją jacyś „oni”, to nie zdecydowali się na zabójstwo. Czy tego chcieli? Ognia czyścowego? A jeśli chodzi im o próżnię, w której jest tylko chaos, to co zamierzają...

Teraz biegł już tak szybko, jak mógł w butach, garniturze i trochę przyciasnym prochowcu. Chwilami się potykał, ale odzyskiwał równowagę i pędził dalej.

Chciał już być w domu. Biegąc, próbował myśleć o czymś innym. O lecie, które było tuż za rogiem, o koniu, nad którego zakupem się zastanawiał, chociaż Inger Johanne absolutnie nie zgadzała się na więcej zwierząt. Mieli już przecież żółtego śliniatego się kundla, którego Kristiane nazwała Jack, Król Ameryki.

Po co im ta próżnia?

Zbliżała się jedenasta. Inger Johanne Vik była za bardzo zmęczona, żeby wstać z kanapy, i zbyt niespokojna, żeby spać. Próbowwała cieszyć się myślą o nocy i poranku bez marudzącego dziecka, ale nie potrafiła się na niczym skupić. Mogła jedynie bezmyślnie gapić się na wiadomości, które karmiły ludzi bezsensownymi powtórkami i przeżytymi spekulacjami. Jediną rzeczą bezspornie jasną dla opinii publicznej w blisko szesnaście godzin po odkryciu, że prezydent Stanów Zjednoczonych zniknęła z hotelowego pokoju w Norwegii, było to, że wciąż się nie odnalazła. Oficjele norwescy wciąż unikali słowa „porwanie”, ale dziennikarze nie mieli takich oporów. Kolejni komentatorzy prezentowali swoje mniej lub bardziej fantastyczne teorie. Policja zacięła się w milczeniu. Od wczesnego popołudnia nikt z szefów ekipy zajmującej się śledztwem nie wyraził zgody na udzielenie wywiadu.

- Akurat pod tym względem ich popieram - powiedział Yngvar, siadając obok Inger Johanne. - Są jakieś granice. Ile razy można być zmuszonym do powtarzania dokładnie tego samego, czyli w zasadzie niczego? Bastesen naprawdę wyglądał jak ogłupiały.

- Mam nadzieję, że nie mówią prawdy.

- Nie mówią prawdy?

Uśmiechnęła się lekko i usiadła wygodniej

- Że wiedzą więcej, niż chcą wyjawić. Na pewno tak jest.

- Nie bądź zbyt pewna. Rzadko tak wiele znaczących osób pokazuje się podczas...

Inger Johanne przeczuciła program na CNN.

Wolf Blitzer osobiście siedział w studio, w którym tkwił zresztą od czternastu godzin. Program The Situation Room zajął całe pasmo i sądząc po aktywności panującej w studiu, nic nie wskazywało na to, by wkrótce planowano zakończenie transmisji. Prowadzący był jak zawsze nieskazitelnie ubrany, jedynie krawat miał

odrobinę luźniej zaciągnięty niż wcześniej w ciągu dnia. Z wprawą przełączył reportera w Waszyngtonie na Nowy Jork, a potem uprzejmie przerwał i oddał głos Christiane Amanpour. Światowej sławy korespondentka stała na Wzgórzu Zamkowym w Oslo na tle oświetlonego zamku. Była lekko ubrana. Wyglądało na to, że trzęsie się z zimna.

- Imponujące, jak oni szybko działają - mruknął Yngvar. - Potrafią się zorganizować w ciągu kilku godzin.

- Nie bardzo rozumiem, co zamek ma z tym wspólnego. - Inger Johanne stłumiła ziewnięcie. - Ale program jest dobry. Z tym się zgadzam. Wszystko idzie gładziej i szybciej. Biegłeś? Cały jesteś spocony, kochanie.

- Trochę przyspieszyłem pod koniec. Było cudownie. Właściwie taki jogging.

- W garniturze?

Uśmiechnął się rozbrajająco i pocałował Inger Johanne. Splotła palce z jego palcami.

- Właściwie to dziwne... - Zamyśliła się i sięgnęła po kieliszek z winem. - Zauważasz różnicę?

- W czym?

- W przekazach norweskich i amerykańskich. Mam na myśli atmosferę. Amerykanie wydają się bardziej skuteczni, szybcy i niemal agresywni. Nasi - wyczekujący. W pewnym sensie oszołomieni, prawie bierni. Przynajmniej ci, którzy udzielają wywiadów. Jakby przez cały czas się bali, że powiedzą za dużo. I w końcu mówią niemal komicznie mało. To jakaś groteska. Zobacz, o ile sprawniejsi są Amerykanie.

- Ale też mieli więcej okazji, żeby się wprawić. - Yngvar usiłował ukryć cień irytacji, który zawsze się u niego pojawiał, gdy stykał się z dwoistym stosunkiem Inger Johanne do wszystkiego, co amerykańskie.

Z jednej strony, nigdy nie chciała rozmawiać o studiach w Stanach. Przecież znali się już od wielu lat, byli małżeństwem, mieli

wspólne dziecko, kredyt na dom, marzenia i codzienność, a mimo to długi okres życia Inger Johanne pozostawał tajemnicą, której strzegła pilniej niż córek. Wieczorem w przeddzień ślubu wymusiła na nim obietnicę, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie będzie jej wypytywał o to, dlaczego nagle przerwała studia psychologiczne na Akademii FBI w Quantico. Yngvar przysiągł na grób zmarłej córki. Zarówno sama forma tej obietnicy, jak i jej konsekwencje sprawiały, że czuł się nieswojo, gdy ten temat z rzadka wypływał; Inger Johanne miewała zwykle wtedy napady wściekłości, jakiej poza tym nigdy nie okazywała.

Jednocześnie jej fascynacja wszystkim, co amerykańskie, graniczyła z manią. Czytywała niemal wyłącznie amerykańską literaturę, miała też obszerną kolekcję amerykańskich niskobudżetowych filmów, które kupowała przez Internet lub dostawała od przyjaciółki z Bostonu, której Yngvar nigdy nie poznał i o której niewiele wiedział. Półki w domowym gabinecie Inger Johanne były pełne literatury faktu na temat historii, polityki i życia społecznego Stanów. Nie pozwalała mu żadnej z tych książek stamtąd zabierać, a poza tym bardzo mu się nie podobało, że zamyka drzwi do tego pokoju na klucz, gdy zdarza się jej gdzieś wyjechać bez niego.

- Właściwie nie - odezwała się po długiej przerwie.
- Słucham?
- Powiedziałeś, że mieli więcej okazji, by nabrać wprawy.
- Chodziło mi o to...

- Nigdy nie stracili prezydenta poza granicami kraju. Amerykańskich prezydentów zabijają przypadkowi szaleńcy, pochodzący z ich kraju i w ich kraju. Nigdy za granicą. I nigdy w wyniku spisku. Wiedziałeś o tym?

Coś w jej głosie kazało mu milczeć. Znał już ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeśli podejmie rozmowę, Inger Johanne szybko zmieni temat, ale jeśli jej nie przerwie, żona będzie mówić dalej.

- Z czterdziestu czterech prezydentów czterech zginęło w zamachu - ciągnęła Inger Johanne w zamyśleniu, trochę tak, jakby mówiła tylko do siebie. - To blisko dziesięć procent, prawda?

Yngvar wciąż milczał.

- Kennedy. - Uśmiechnęła się lekko, uprzedzając go gestem.

- Zapomnij o tym. Lee Harvey Oswald był dziwnym facetem, który być może wciągnął jakichś dwóch innych szaleńców w swoje plany. Ale raczej nie. W każdym razie o żadnym wielkim spisku nie ma mowy. Inaczej niż w filmach.

Sięgnęła po butelkę z winem, która jednak stała za daleko. Yngvar napełnił jej kieliszek. Telewizor wciąż był włączony. Czoło Wolfa Blitzera wreszcie odrobinę zwilgotniało, a kiedy łączył się z reporterem przed Białym Domem, można było dostrzec cienie pod jego oczami, które prawdopodobnie znikną po następnej przerwie na reklamy.

- Lincoln, Garfield i McKinley - kontynuowała Inger Johanne.

- Wszyscy zostali zabici przez pojedynczych fanatyków. Przez zwolennika Konfederacji, chorego psychicznie i szalonego anarhistę, o ile dobrze pamiętam. Przez zwariowanych rodaków. To samo dotyczy wielu nieudanych zamachów. Niedoszły zabójca Reagana chciał zrobić wrażenie na Jodie Foster, a facet, który zamierzał się na Theodora Roosevelta, wierzył, że pozbędzie się bólów żołądka, jeśli tylko zabije prezydenta. Jedynie ci dwaj Portorykańczycy...

Na ekranie znów pojawiła się Christiane Amanpour. Wreszcie włożyła cieplejszą kurtkę. Futrzany kołnierz miał być może przydać jej relacji odrobinę polarnego klimatu; stale przytrzymywała go przy szyi jedną ręką. Tym razem ustawiono ją przed oświetloną siedzibą policji przy Grønlandsleiret. Na tym froncie również bez zmian. Inger Johanne patrzyła w ekran zmrużonymi oczami. Yngvar przyciszył dźwięk pilotem i spytał:

-Coz tymi Porto...

- Nie zaprzataj sobie tym głowy - przerwała mu. - Nie miałam zamiaru robić ci wykładu z zarysu historii Ameryki.

- A jaki miałaś zamiar?

- Powiedziałeś, że oni są przygotowani. I oczywiście są. Pod wieloma względami. Przynajmniej stacje telewizyjne.

Skinęła głową w stronę odbiornika, wskazując Christiane Amanpour, która miała kłopoty z mikrofonem. Za nią na zboczu opadającym ku Grønlandsleiret pojawiła się grupa spiesźnie kroczących mężczyzn w ciemnych ubraniach. Zasłonili się przed kamerami, podnosząc kołnierze płaszczy, i nie pozwolili się zatrzymać okrzykom może trzydziestu dziennikarzy, którzy najwyraźniej zamierzali obozować w tym miejscu przez całą noc. Yngvar natychmiast rozpoznał komendanta policji. Terje Bastesen odwrócił się i nieregularnie zsunął czapkę głęboko na czoło, zdecydowanie kierując się do samochodów czekających przy ulicy.

- Ale naród amerykański... - podjęła Inger Johanne, skupiając wzrok w jakimś punkcie daleko poza ekranem telewizora... - naród amerykański tak naprawdę nie jest przygotowany na coś takiego. Cała ich historia przekonuje Amerykanów, że to owładniętych szaleństwem rodaków powinni się wystrzegać, gdy idzie o zamach na samego prezydenta. Przypuszczam, że Secret Service naszki cowało szereg scenariuszy, w których zamachowcami są przede wszystkim przeciwnicy aborcji, zacięci mizoginiści i najbardziej zagorzali zwolennicy wojny w Iraku. To wśród nich Helen Bentley ma u siebie najbardziej zatwardziały wrogów. I to tam znajdziesz najlepsze podłoże, z którego wyrasta ten fanatyzm, jakiego po trzeba do dokonania zamachu. Nowsza historia Ameryki... - Za wahała się przez chwilę. - Nowsza historia oczywiście stworzyła inne scenariusze. Przypuszczam, że po jedenastym wrześniu Secret Service najchętniej umieszczałoby prezydentów w betonowych bunkrach i ich stamtąd nie wypuszczała. Chyba od czasu wojny o niepodległość Stany Zjednoczone nie były tak niepopularne jak teraz. A ponieważ w ostatnich latach pojęcie terroru nabrało

zupełnie nowych treści, w każdym razie dla Amerykanów, ich rozumienie zagrożenia prezydenta oczywiście również się zmieniło. Jednak rozpląnięcie się pani prezydent w powietrzu podczas wizyty w małym zaprzyjaźnionym kraju prawdopodobnie przekracza wszelkie ich wyobrażenia. Ale... - kieliszek z winem omal się nie przewrócił, gdy nagle po niego sięgnęła - ...co ja mogę o tym wiedzieć? - dokończyła lekko. - Twoje zdrowie, kochany! Niedługo musimy iść spać.

- Jak wygląda w tej chwili prawdziwy Situation Room, Inger Johanne?

Wysunęła się z jego objęć.

- Skąd mogę wiedzieć? Nie mam pojęcia o...

- Owszem, masz. Jeśli nie skądinąd, to przynajmniej z książki, która nosi właśnie taki tytuł, *The Situation Room*, i która... - teraz to Yngvar nie był w stanie powstrzymać irytacji, powoli zmieniającej się w gniew - ...która leży teraz u ciebie na nocnej szafce! Do diabła, Inger Johanne, musi istnieć jakiś sposób, żebyś mogła podzielić się...

Inger Johanne gwałtownie wstała z kanapy i ruszyła do sypialni. Sekundę później wróciła. Twarz miała czerwoną.

- Proszę - powiedziała. - Źle zapamiętałeś tytuł. Ale jeśli tak strasznie cię to interesuje, to możesz sobie poczytać. To nie jest żadna tajemnica, skoro książka leży przy naszym wspólnym łóżku. Bardzo proszę!

Okulary lekko jej zaparowały. U nasady nosa pojawiły się kropelki potu.

- Inger Johanne - z rezygnacją jęknął Yngvar. - Przestań! Nie możemy przecieżyć...

Zaczynam mieć tego dość, pomyślał. Uważaj, Inger Johanne. Nie wiem, jak długo jeszcze potrafię znosić tę twoją dwoistość. Ten kontrast między moją mądrą, życzliwą i rozsądną żoną a rozwścieconą istotą, która nagle zwija się w kłębek i stroszy kolce bez zrozumiałej przyczyny. To mnie męczy. Masz zbyt wiele tajemnic,

Inger Johanne. Za Wiele dla mnie, zdecydowanie za wiele dla ciebie.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Oboje drgnęli wystraszeni. Inger Johanne upuściła książkę na podłogę, jakby nakryto ją z nielegalną kontrabandą.

- Kto to może być? - mruknął Yngvar, patrząc na zegarek. - Dwadzieścia po jedenastej... - Podniósł się sztywno i poszedł otworzyć.

Inger Johanne zastygła, lekko zwrócona w stronę telewizora. Na ekranie migotały obrazy, które w tej samej chwili oglądano we wszystkich częściach świata w większości krajów, bez względu na strefę czasową i ustrój polityczny, religię i pochodzenie etniczne ludności. CNN nie miało większej publiczności od czasu katastrofy na Manhattanie i wyraźnie postanowiło wykorzystać swoją szansę. Na wschodnim Wybrzeżu dochodziła szósta po południu. Spragnieni wiadomości Amerykanie wracali do domów z pracy, do której pójścia czuli się zmuszeni mimo ponurych wieści porannych, i przekaz telewizyjny aż zgęstniał od przeskoków między reporterami, analitykami, komentatorami i ekspertami. Zdawali się raczej podnieceni niż naprawdę zmęczeni, jak gdyby świadomość, że pora emisji zbliża się do prime time'u przydawała każdemu nowej energii. Przytłoczeni powagą chwili mężczyźni i kobiety z imponującymi tytułami na zmianę dyskutowali o konsekwencjach konstytucyjnych i narodowej gotowości, o scenariuszach kryzysowych, krótko- i długoterminowych, organizacjach terrorystycznych i stale krytykowanej nieobecności wiceprezydenta. O tyle, o ile Inger Johanne się orientowała, ukryto go gdzieś w jakimś samolocie nad Nevadą albo w bunkrze w Arkansas, jak twierdził jeden z ekspertów, trzeci natomiast upierał się, że wiceprezydent jest bezpieczny w amerykańskiej bazie morskiej daleko poza granicami kraju. Dyskutowano nad 25. poprawką do konstytucji i wszyscy jak jeden mąż byli zgodni, że najbardziej skandaliczne ze wszystkiego jest to, że Biały Dom wciąż nie wyjaśnił, czy ją zastosowano.

Właśnie to oglądają w prawdziwym Situation Room, pomyślała Inger Johanne.

Przed oczami stanęły jej ekrany plazmowe na ścianach w ciastnym kompleksie Białego Domu, znajdującym się na parterze w zachodnim skrzydle, z czerwono kwitnącym gefanium w oknach. Ponad sześć tysięcy dwieście kilometrów od jej dwurodzinnego domu na Tasen w Oslo grupa ludzi pracowała w tej chwili, usiłując opanować chaos w kryzysowej sytuacji i czujnym okiem oglądając jednocześnie ten sam program telewizyjny co reszta świata. Musieli zapobiec temu, by planeta nazajutrz nie wyglądała zupełnie inaczej.

Liczne departamenty i biura, związane z bezpieczeństwem narodowym, codziennie otrzymywały ponad pół miliona elektronicznych wiadomości z ambasad, baz wojskowych i innych źródeł wywiadu na całym świecie. Informacje istotne dla bezpieczeństwa państwa i notatki bez znaczenia, których najchętniej nikt by nie czytał. Rutynowe raporty napływały na równi z niepokojącymi wiadomościami o wrogiej aktywności. CIA i FBI, NSA i Departament Stanu, wszystkie te instytucje miały własne centrale operacyjne, których zadaniem było oddzielenie ziarna od plew w nieustającej powodzi informacji. To, co bez znaczenia, przesyłano tam, gdzie było najmniej widoczne. To, co budziło troskę, co ważne i niebezpieczne, przekazywano ludziom wyznaczonym do zajmowania się takimi sprawami: *The Sit Room staff*. Niewielki sztab nadawał rangę informacjom, mógł żądać kolejnych raportów na wybrane tematy i najważniejsze: obsługiwał bezpośrednio prezydenta.

Za czasów Georga Busha ekrany były włączone na Fox News.

Teraz w Situation Room znów oglądano CNN.

Tak robią wszyscy, pomyślała Inger Johanne, z powrotem siadając na kanapie.

Amerykianie pływali w morzu informacji, w którym podwodne prądy stale groziły ściągnięciem ich na dno- W biurach i departamentach, centrach operacyjnych i stacjach zagranicznych,

jednostkach wojskowych i cywilnych, wszędzie strumień informacji w tak kryzysowej sytuacji był nie do ogarnięcia. Cały system amerykański został postawiony na nogi, i w kraju, i poza nim, w Waszyngtonie i w niezliczonych innych miastach. Gdy IngerJohanne zamknęła oczy i poczuła nagle ogromne zmęczenie, które uniemożliwiało ich ponowne otwarcie, wydało jej się, że słyszy daleki szum, przypominający odgłos roju pszczoł latem. Dziesiątki tysięcy amerykańskich urzędników państwowych, mających jeden cel: sprowadzić panią prezydent bezpiecznie do kraju.

Oni wszyscy też oglądają CNN.

Wyłączyła telewizor.

Czuła się bardzo mała. Podeszła do kuchennego okna, które wreszcie wymienili. Nie wiało już chłodem, gdy przesunęła dłonią po parapecie. Na dworze było prawie ciemno, ale nie całkiem. Wiosna niosła ze sobą błogosławione światło, dzięki któremu wieczory stawały się mniej groźne, a poranki łatwiejsze.

Gwałtownie się odwróciła.

- Kto to był?

- Praca - mruknął Yngvar.

- Praca? O północy, Siedemnastego Maja?

Podszedł do niej. Inger Johanne znów wyglądała przez okno. Objął ją powoli. Uśmiechnęła się, czując na plecach przyjemne ciepło jego ciała. Rozluźniła się, przymknęła oczy.

- Chcę spać - mruknęła, palcem dotykając jego przedramienia.

- Zaprowadź mnie do łóżka.

- Warren jest w Oslo - szepnął Yngvar, nie wypuszczając jej z objęć nawet wtedy, gdy poczuł, jak zeszytywniała. - Warren Sciford.

-Co?

- Przyjechał w związku z...

Inger Johanne już go nie słuchała. Głowę miała lekką i daleką, jakby przestała należeć do niej. Fala gorąca przepłynęła przez ramiona do dłoni. Uniosła je i przyłożyła do szyby. Na północy

dostrzegła na niebie światła samolotu. Nie bardzo mogła pojąć, co maszyna robi w powietrzu o tej porze, tego dnia. Zorientowała się, że się uśmiecha, nie wiedziała dlaczego.

- Nie chcę o tym słuchać - powiedziała lekko. - Przecież wiesz. Nie chcę o tym słuchać.

Yngvar jej nie puszczał. Inger Johanne wydawała się teraz mniejsza, jakby wychudzona, i zupełnie sztywna.

Warren Scifford, *The Chief*, był wykładowcą Inger Johanne na Akademii FBI. Kimś więcej niż tylko wykładowcą, tyle Yngvar rozumiał. Inger Johanne była wtedy taka młoda, miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, Warren natomiast musiał już przekroczyć czterdziestkę, i to z dobrym hakiem. Romans całą wieczność temu. Yngvar nie poczuł nawet cienia zazdrości, kiedy dwukrotnie zetknął się z Warrenem. Ostatnio, jakieś trzy czy cztery lata temu, na konferencji Interpolu w Nowym Orleanie zjedli nawet razem obiad. Z jakiegoś powodu, który nie bardzo potrafił wyjaśnić, czuł się nieswojo, gdy Warren zadawał pytania o Inger Johanne. Odpowiadał wymijająco, a przez resztę posiłku trzymali się tematów zawodowych i amerykańskiego futbolu.

Warren Scifford był najistotniejszym elementem wielkiej tajemnicy Inger Johanne. Rozmowa na temat tego mężczyzny była absolutnie zakazana, a zakaz ten zdradził Yngvarowi jedynie to, co oczywiste: Warren musiał ją głęboko zranić.

Takie rzeczy się zdarzają, pomyślał Yngvar, nie wypuszczając Inger Johanne z uścisku. Są przykre i może bardzo trudne, ale można je przeżyć. Poradzić sobie z nimi. Po jakimś czasie. Przecież od tamtej pory minęło już prawie piętnaście lat, najdroższa. Zapomnij o tym. Wyrzuć to z siebie, na miłość boską. A może chodzi o coś jeszcze?

- Porozmawiaj ze mną - szepnął jej do ucha. - Nie możesz mi wreszcie powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

-Nie.

Jej głos był samym tylko oddechem.

- Będę z nim pracował - oświadczył. - Przykro mi.

Wciąż usiłował ją przytrzymać, ale Inger Johanne ze zdumiewającą siłą wyrwała mu się z objęć i odepchnęła go. Przeraził go wyraz jej oczu, gdy pytała:

- Co powiedziałaś?

- On potrzebuje łącznika.

- I musisz być nim ty. Z tych setek... Oczywiście odmówiłeś?

W pewnym sensie wydawała się teraz bardziej obecna, jakby się obudziła, wyswobodziwszy się z jego objęć.

- To rozkaz, Inger Johanne. Pracuję w instytucji, w której obowiązuje system rozkazów. Nie istnieje tam nic takiego jak - narysowałem w powietrzu cudzysłów - odmowa.

Inger Johanne odwróciła się i przeszła do salonu. Wyciągnęła korek z korkociągu i zatkała nim do połowy opróżnioną butelkę. Zabrała kieliszki, zaniosiła wszystko do kuchni i odstawiła na blat. Stwierdziwszy, że zmywarka jest pełna, włożyła tabletkę do pojemnika, zamknęła metalowe drzwiczki i uruchomiła maszynę. Oplukala ściereczkę pod bieżącą wodą i przetarła blat. Starannie wytrzepała ściereczkę nad zlewem, wypłukala ją jeszcze raz, złożyła i powiesiła na kranie.

Yngvar obserwował ją bez słowa.

Wreszcie na niego spojrzała.

-Jedna rzecz musi być jasna, zanim pójdziemy spać - oświadczyła. Mówiła spokojnie i wyraźnie, jakby karciała Kristiane. -Jeżeli zgodzisz się być łącznikiem Warrena Scifforda, to z nami koniec.

Nie był w stanie nic odpowiedzieć.

- Odejdę od ciebie, Yngvarze. Jeśli się zgodzisz, odejdę.

I poszła się położyć.

Święto narodowe wreszcie się skończyło.

Środa, 18 maja 2005

1

Kiedy Warren Scifford się obudził, nie wiedział, czy czuje się tak marnie przez zmianę czasu, zbyt małą ilość snu, czy też czającą się gripę. Przez chwilę leżał, patrząc w sufit. Lekkie, błękitne jak niebo zasłony przepuszczały blask słońca. Łóżko pławiło się w porannym świetle. Kiedy wreszcie znalazł w sobie dość siły, by podnieść głowę i na cyfrowym zegarze w odbiorniku telewizyjnym sprawdzić, która godzina, z niedowierzaniem zmarszczył czoło.

Wpół do piątej.

Dopiero teraz pojął, do czego służą brzydkie, gumowate żaluzje, których nie opuścił, gdy około pierwszej runął do łóżka. Teraz z trudem wstał i podszedł do okna, by zaciemnić pokój. Pomieszczenie spowił półmrok. Jedyne cieniutkie smugi światła sączącego się przez szpary umożliwiały dojrzenie czegośkolwiek.

Zapalił nocną lampkę i położył się, nie naciągając kołdry. Ciało pokryło się gęsią skórką, gdy owionął je strumień powietrza z klimatyzacji. Kark miał sztywny, pod czaszką czaił się już ból głowy. Warren był wyczerpany i w pełni przytomny jednocześnie. Wiedział, że nie będzie mógł dłużej spać. Po kilku minutach znów wstał i włożył jedwabny szlafrok w kolorze pawiego błękitu. Na półce przy telewizorze stał elektryczny czajnik. Trzy minuty

później Warren mieszał w filiżance gorzką i zdecydowanie za mocną rozpuszczalną kawę, którą wypił, najszybciej jak się dało. Trochę to pomogło, ale wciąż czuł się na tyle nieprzytomny, że w innych okolicznościach poważnie by go to zaniepokoiło.

Szybko obliczył, że w waszyngtonie jest za dwadzieścia jedenasta wieczorem. Humor trochę mu się poprawił. Wciąż mógł liczyć na parę bezproblemowych godzin, gdyby koniecznie musiał się z kimś skontaktować. Wprawnie urządził sobie przenośny gabinet na biurku, które załatwił mu hotel. Rokokowy stolik z olbrzymim wazonem, stojący tu wczoraj po południu, kiedy przyszedł, nie nadawałby się do tego. To biurko było proste i bez ozdób, za to kolosalne. Z metalowej walizki, którą ustawił koło łóżka, wyjął ogromny laptop, cztery telefony komórkowe i plik lekko barwionego papieru. Ułożył wszystko w rzędzie z niemal bolesną precyzją. Na papierze w równej odległości umieścił trzy długopisy, czarny, czerwony i niebieski. Cztery komórki były różnych marek i kształtów. Leżały jak na wystawie, po lewej stronie laptopa. Na koniec z trzech wyjętych z walizki luźnych części zmontował niedużą drukarkę. Połączył ją z komputerem i wsunął wtyczkę do kontaktu pod oknem. Laptop natychmiast się włączył. Hotel chlubił się *complementary wireless connection*, on jednak wstukał numer amerykański. Kilka sekund później już zaglądał do tej ze swoich skrzynek, której adres znały zaledwie cztery osoby. Szyfrowanie na moment się zawiesiło, jak zawsze, pokazując mu chaos znaków, ale wreszcie uspokoilo się, zmieniło w znajomy obraz.

Warren Scifford ziewnął i zamrugał, by pozbyć się łez napływających do oczu. Otrzymał odpowiedź na pytanie, które wysłał przed pójściem spać. Kliknięciem otworzył e-mail.

Czytał powoli. Potem przeczytał całość jeszcze raz, a następnie kliknął ikonę wydruku i zaczął na szmer, który powiedział mu, że dokument został przekazany do drukarki i będzie się drukował. Szybko się wylogował i wyłączył laptop. Potem sprawdził, czy łańcuch w drzwiach wciąż jest założony. Nikt go nie ruszał.

Potrzebował prysznic.

Przez kilka minut stał pod lejącą się z góry zbyt gorącą wodą. Początkowo parzyła skórę, ale wreszcie po plecach zaczęło się rozchodzić przyjemne rozluźnienie. Kark nie był już tak sztywny, oddech stał się głębszy. Warren namydlił się starannie i umył włosy. Na koniec zakręcił gorącą wodę i aż dech mu zaparło pod lodowatą kaskadą.

Teraz przynajmniej był przytomny. Szybko się wytarł, wyjął z walizki ubranie, uprzednio zerknąwszy za rolety i jeszcze raz stwierdziwszy, że zapowiada się słoneczny dzień. Ubrał się i położył z trzema poduszkami pod głową i wydrukiem w rękę.

Ślad „Troj” wciąż był gorący, wręcz parzył.

Minęło sześć tygodni, odkąd jeden z agentów specjalnych zjawił się w jego biurze z plikiem papierów i zmarszczką na czole. Gdy pół godziny później mężczyzna wyszedł, Warren Scifford oparł łokcie na stole, dłonie splótł na karku i długo wpatrywał się w blat, w duchu przeklinając własną próżność.

Mógł zostać tam, gdzie było jego miejsce. Wiedział, że jest najlepszy w swoim fachu, że jest prawdziwym ekspertem w dziedzinie psychologii behawioralnej, którą FBI uprawiało i rozwijało od ponad trzech dziesiątków lat. Wciąż mógł być superbohaterem w swoim własnym wszechświecie. W polowaniu na psychopatycznych seryjnych zabójców i zdegenerowanych przestępców było mimo wszystko coś bezpiecznego, podlegającego kontroli. Warren Scifford zajmował się tym od tak dawna i widział tak dużo, że przestępstwa nie robiły już na nim specjalnego wrażenia. Emocje nie zakłócały coraz ostrzejszego widzenia i rosnącej wiedzy.

Był najlepszym myśliwym.

Ale dał się skusić.

Prezydent Bentley zaraz po listopadowych wyborach, na długo przed objęciem urzędu, zadzwoniła do niego osobiście, by go namówić. Warren wciąż pamiętał oszołomienie, które go ogarnęło, gdy się z nim skontaktowała. Słodki smak sukcesu go zmiękczył,

a po skończonej rozmowie śmiał się głośno, triumfalnie wyrzucając nad głowę dłonie zaciśnięte w pięści. Commander in Chief Ameryki nie tylko chciała, by objął ważne stanowisko, ona go wręcz o to błagała. Chociaż Helen Bentley była jego bliską przyjaciółką od ponad sześciu lat, wiedział, że to nie daje mu najmniejszych forów w skomplikowanym pasjansie, który zaczęła układać, gdy George W Bush wreszcie niechętnie wygłosił swoją *concession speech*.

Raczej wprost przeciwnie. Komentatorzy wychwalali Madam President w miarę rozdzielania przez nią stanowisk. Z godną podziwu konsekwencją omijała przyjaciół i wiernych popleczników na korzyść kandydatów posiadających bezdyskusyjne kompetencje i potwierdzoną samodzielność.

Warren okazał się jednym z nich i stał się codziennym gościem w zachodnim skrzydle.

Grupa, którą miał kierować, stanowiła część FBI. Mimo to Warren zobowiązany był składać raporty bezpośrednio pani prezydent, co wywołało poważny konflikt z dyrektorem Biura, jeszcze zanim grupa śledcza została ostatecznie uformowana. Taki sposób postępowania był sprzeczny z wszelkimi utartymi zwyczajami w Biurze. Dyrektor oczywiście musiał ustąpić, ale radość Warrena z prestiżowego zadania ochłodziła, gdy uświadomił sobie, że przestał być uważany za człowieka w pełni oddanego firmie. Przez krótki okres rozważał zmianę decyzji. Szybko zrozumiał, że to nie jest możliwe.

Po 11 września 2001 w FBI zmieniło się niemal wszystko. Biuro w maksymalnie krótkim czasie z organizacji policyjnej, skupiającej się głównie na przestępczości krajowej, przeistoczyło się w grot włóczęgi walczącej z terroryzmem. Reorganizacja, jaką kiedyś trudno by było przeprowadzić w ciągu kilku lat, dokonała się w ciągu tygodni. Burza patriotycznej skuteczności owiała wszystkie instytucje i urzędy państwowe, mające jakkolwiek styczność z bezpieczeństwem narodowym. Procesowi temu pomogły prawie

nieograniczone środki i władza ustawodawcza, która okazała się daleko bardziej elastyczna, niż jakikolwiek Amerykanin to sobie wyobrażał przed katastrofalnym wrześnieowym dniem.

Obraz wroga się zmienił.

Wciąż istniały kraje zagrażające najpotężniejszemu narodowi na świecie. Wprawdzie po degeneracji i późniejszym rozpadzie Związku Radzieckiego lęk przed tradycyjnym zagrożeniem ze Wschodu właściwie całkiem ustąpił, ponieważ jednak Amerykanie prowadzili interesy na całym globie, wciąż należało się koncentrować na nieprzyjaznych narodach i wrogich państwach, które mogły dokonać zamachu na USA z przyczyn ideologicznych, ekonomicznych lub terytorialnych.

I tak też się działo. Jak zawsze.

Ale jedenastego września to nie żadne państwo zaatakowało Stany Zjednoczone. Nie istniał kraj, na którym można by wziąć odwet. Ci, którzy porwali cztery samoloty i celowo rozbili je na amerykańskiej ziemi, to pojedyncze osoby. Jednostki, różnego pochodzenia, z różnym doświadczeniem. Polityczna machina prezydenta Busha skonstruowała klasycznego wroga wzdłuż osi zła i brała odwet na całych narodach, Helen Lardahl Bentley natomiast była przekonana, że agresorzy są znacznie groźniejsi, niż się wydaje.

Byli bowiem ludźmi.

Nie zostali powołani do wojska, by walczyć, w przeciwieństwie do przerażonych żołnierzy, w ciągu dziejów idących na śmierć za honor i ojczyznę, której już nigdy mieli nie zobaczyć. Pola bitwy nie wyznaczali już generałowie, którzy po obu stronach frontu w gruncie rzeczy dokładnie tak samo rozumieli klęskę i zwycięstwo, wiedzieli, czym jest zdobyta ziemia i przegrana bitwa.

Nowi wrogowie Ameryki to byli pojedynczy ludzie, posiadający doświadczenie, znający siłę i słabe strony jednostki. Nie żyli w jednym miejscu, w jednym ustroju i nie występowali pod określoną flagą. Nie wyruszyli wojować na rozkaz, tylko z przekonania. Nie

więzało ich obywatelstwo ani przynależność narodowa, jedynie wiara i niewiara, nienawiść i miłość.

Nowi wrogowie Ameryki znajdowali się wszędzie, a Helen Lardahl Bentley żywiła silne przekonanie, że jedynym sposobem na ich odkrycie i unieszkodliwienie jest ich poznanie. Jej pierwszym posunięciem po zaprzysiężeniu było utworzenie Behavioral Science Counter Terror Unit. Zadanie tej jednostki polegało na przekształcaniu suchych faktów i zebranych przez wywiad luźnych informacji w żywe obrazy. BS-Unit miała widzieć ludzi tam, gdzie pozostała część wielkiego systemu bezpieczeństwa narodowego dostrzegała możliwe źródło ataku i potencjalny terroryzm, bomby i zaawansowany technicznie sprzęt. Dzięki analizowaniu, zrozumieniu i wyjaśnianiu tego, co powoduje ludźmi różnego pochodzenia i różnej narodowości, skłaniając ich do podjęcia decyzji o męczeńskiej śmierci w akcie nienawiści do Stanów Zjednoczonych, Ameryka miała stać się sprawniejsza w uprzedzaniu ich działań.

Warren Scifford mógł wybierać ludzi z najwyższej półki. Wśród blisko czterdziestu agentów specjalnych w grupie znalazło się kilku najlepszych profilerów, jakimi dysponowało FBI. Jego propozycję wszyscy jak jeden mąż przyjęli z zapalem.

Ale Warren zaczął żałować.

Kiedy sześć tygodni temu agent specjalny wszedł do jego gabinetu, szurając nogami, z czterema kartkami w ręku, by ścisłym głosem podzielić się z szefem swoimi wnioskami, Warren Scifford po raz pierwszy w swoim pięćdziesięciosześcioletnim życiu naprawdę się przestraszył.

Atak trojański nie pasował do niczego.

To nie układało się w żaden schemat. Nie było ani spektakularne, ani symboliczne. Nie wywołałoby przerażających, utrwalonych na zawsze w pamięci obrazów, jak samoloty uderzające w World Trade Center. Żadne tłumy nie uciekałyby w płaczu, panice i niedowierzaniu, przykuwając do ekranów telewizyjnych miliony ludzi.

„Troja” nie ściągnęłaby uwagi **na wroga**. Coś **takiego** nie przyniosłoby mu sławy, nawet złej.

Reszta systemu poświęciła wszystkie swoje siły na powiązanie z „Troją” Al-Kaidy lub którejś pokrewnej organizacji. Warren Scif-ford i jego ludzie gwałtownie protestowali. Twardo argumentowali, że to się nie zgadza. Al-Kaida nie działa w taki sposób. Jej członkowie tak nie myślą i bynajmniej nie w ten sposób pragną ukarać USA. Ponieważ na BS-Unit spoglądali już koso wszyscy z wyjątkiem pani prezydent, te protesty były jak rzucanie grochem o ścianę. Ale kiedy po dwóch tygodniach intensywnej pracy, mającej na celu wykrycie powiązań z istniejącą siecią terrorystyczną, nikt nie znalazł nawet najmniejszego cienia takiego związku, mimo wszystko jednogłośnie przyznano rację grupie Warrena Scifforda. Tak, nie stała za tym Al-Kaida. Rozrzucone, niepełne informacje przestały więc być tak bardzo interesujące. Ogromny system wywiadowczy USA otrzymywał przecież tyle różnych danych. Należało się zająć mnóstwem innych spraw. Niejasne i chaotyczne sygnały o bardziej konkretnych atakach napływały codziennie, o każdej porze doby, „Troja” została zepchnięta na boczny tor.

Ale Warren Scifford wciąż się martwił.

Podobnie jak Madam President.

A teraz Warren leżał w łóżku w hotelowym pokoju w Norwegii i czuł ssanie w dołku. Po raz czwarty przeczytał notatki. Potem wstał i wyszedł do łazienki. Z kieszeni wyjął zapalniczkę. Trzymając dokument nad sedesem, podpalił go.

Najbardziej niepokoiło go wrażenie, że ktoś z niego drwi.

Niejasne podejrzenie, że informacje zostały im celowo podsunięte, dręczyło go już od kilku tygodni. Teraz, po zapoznaniu się z dokumentem, z którego wynikało, że wieści o zagrożeniu, któremu nadał nazwę „Troja”, napływały przez ostatnią dobę bez ładu i składu, odbierając całej sprawie sens, kompletnie się pogubił.

Płomienie lizały papier. Na białą porcelanę sfruwały drobne płatki sadzy.

Jeśli to wszystko zostało sfingowane, to celem takiego manewru było zapewne odwrócenie uwagi. A jeśli tak, to prawdziwym obiektem ataku mogła być prezydent. W takim razie mieli do czynienia z wrogiem, o którym nic nie wiedzieli. Nie z Osamą bin Ladenem, nie z którąś z organizacji terrorystycznych, mających bazę w...

- To wykluczone - powiedział Warren na głos, żeby przerwać natłok myśli. - Nikt nie dysponuje tak nieograniczonymi możliwościami. To wszystko jest zbyt spójne.

Musiał wypuścić z palców skrawek kartki, który jeszcze się nie spalił. Spuścił wodę. Do miski klozetowej wciąż lepiły się czarne resztki. Pozbył się wszystkiego, używając szczotki do toalety.

Wrócił do biurka i sięgnął po kopię kartki zostawionej w hotelowym pokoju pani prezydent.

- *We'U be in touch* - mruknął. - *But when?*

Upuścił kartkę, jakby nagle się sparzył.

Musiał coś zjeść.

Zegar na telewizorze powiedział mu, że właśnie zaczęto serwować śniadanie. Potrzebował trzech minut na złożenie swojego biurka i schowanie zamkniętej na klucz walizki do szafy. Na biurku został jedynie stosik barwionego papieru z trzema długopisami, ułożonymi w równiutkim rzędzie.

Jeden telefon wsunął przed wyjściem do kieszeni. Dzwonienie do kogokolwiek i tak okazało się zbędne. Prawdę mówiąc, nie był pewien, do kogo miałby telefonować.

2

Celnik na Gardermoen, porcie lotniczym Oslo, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wprawdzie ta horda Amerykanów przyleciała czarterem, ale to, że w ogóle można z taką arogancją traktować bezpieczeństwo lotów i przepisy innych krajów, kompletnie nie mieściło mu się w głowie.

- Przepraszam! - Podniósł do góry rękę i zrobił dwa kroki w głąb korytarza za kontuarem, przy którym stał i nudził się od półtorej godziny. - Co pan tu ma? - spytał po angielsku z akcentem, który na twarzy Amerykanina wywołał uśmiech.

- To? - Mężczyzna rozchylił marynarkę, odsłaniając kaburę z rewolwerem.

Celnik z rezygnacją pokręcił głową. Nadchodzili już kolejni, wszyscy z tym charakterystycznym wybrzuszeniem na żebrach. Napierali, chcieli go wyminąć, gdy stał z rozłożonymi rękami, wołając:

- Stop! Proszę chwilę zaczekać!

Poirytowany szmer przebiegł przez grupę, w której było piętnastu czy szesnastu mężczyzn i dwie kobiety.

- *Noguns* - oświadczył zdecydowanie celnik, wskazując na niski szeroki kontuar. - Proszę, żeby wszyscy odłożyli broń tutaj. Proszę się porządnie ustawić w kolejce, każdy dostanie pokwitowanie. Oddzielne.

- Niech pan posłucha - odezwał się mężczyzna, który podszedł do niego pierwszy. Mógł mieć około pięćdziesiątki i był o głowę wyższy od niedużego, korpulentnego celnika. - Nasze przybycie zostało ustalone z norweskimi władzami, z pewnością został pan o tym poinformowany. Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że mam się spotkać z którymś z urzędników, gdy tylko...

- To nie ma żadnego znaczenia. - Celnik na wszelki wypadek wcisnął umieszczony pod kontuarem guzik zamykający automatyczne drzwi w korytarzu cztery metry dalej. - Tutaj to ja jestem za wszystko odpowiedzialny. Macie jakieś dokumenty na tę broń?

- Dokumenty? Niech pan posłucha...

- Nie ma papierów, nie ma broni. Proszę stanąć w kolejce, a ja...

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z pańskim przełożonym - oświadczył Amerykanin.

- Nie ma go tutaj - odparł celnik. Miał duże niebieskie oczy i uśmiechał się życzliwie. - Załatwimy to najszybciej, jak się da.

Amerikanin zwrócił się do coraz bardziej zniecierpliwionych kolegów. Zaczęli rozmawiać ściszymi głosami. Jedna z kobiet wyjęła komórkę. Z wprawą zaczęła wybierać numer.

- Tu i tak nie ma zasięgu - oświadczył celnik z zadowoloną miną. - O tym może więc pani zapomnieć.

Kobieta mimo wszystko usiłowała wychwycić jakieś odgłosy życia na drugim końcu linii. Wreszcie wrzuciła ramionami i z rezygnacją popatrzyła na mężczyznę, który najwidoczniej był tu kimś w rodzaju szefa.

- Muszę zaprotestować - zwrócił się do celnika ze spojrzeniem, które powstrzymało niedużego funkcjonariusza od przerwania mu kolejny raz. - Najwyraźniej coś nie zadziało. Pod wieloma względami. Po pierwsze, nasi norwescy koledzy mieli nas spotkać już przy samolocie. Zamiast tego wprowadzono nas do tego... labiryntu, bez żadnego przewodnika i bez informacji, dokąd właściwie mamy się skierować.

- Macie iść tam. - Celnik wskazał na zamknięte drzwi.

- Wobec tego proponuję, żeby pan je otworzył. Teraz. Zaszło nieprzyjemne nieporozumienie z winy waszej strony i mam już tego dość.

- A ja proponuję - zaczął celnik i urwał na krótką chwilę, pozwalającą mu na wskoczenie na kontuar ze zwinnością, o jaką nikt by go nie podejrzewał - .. ja proponuję, żebyście zrobili to, co mówię. Tam... - krzyknął, wskazując na halę przylotów - .. tam decydują inni. Ale tutaj, w tym korytarzu, przy tym stanowisku, przy którym stoicie, to ja egzekwuję przepisy. A przepisy mówią, że do m o j e g o k r a j u w w ó z b r o n i j e s t s u r o w o w z b r o n i o n y .
- Teraz już naprawdę krzyczał. - Konieczne jest zezwolenie! Więc, do diabła, ustawcie się w kolejce!

Ostatnie słowa wyrzucił z siebie po norwesku. Twarz miał czerwona, pocił się. Amerykanie patrzyli po sobie. Ktoś coś mamrotał.

Kobieta z komórką podjęła jeszcze jedną nieudaną próbę wezwania pomocy. Upłynęło pół minuty. Celnik zeskoczył z kontuaru i założył ręce na piersi. Minęło kolejnych trzydzieści sekund.

- Proszę - powiedział nagle szef Amerykanów i położył broń przed sobą. - Zapewniam pana, że to będzie miało konsekwencje.

-Ja tylko wykonuję swoją pracę, sir.

Celnik uśmiechał się od ucha do ucha. Prawie pół godziny zajęło mu wypisanie pokwitowań na wszystkie rewolwery i ułożenie ich w plastikowych pudłach na półce w głębi pomieszczenia. Kiedy skończył, zasalutował, unosząc dwa palce do czoła i wcisnął guzik otwierający drzwi.

- Życzę miłego pobytu - pożegnał ich i roześmiał się, gdy nikt mu nie odpowiedział.

On po prostu wykonywał swoją pracę. Powinni to zrozumieć.

3

Kiedy Inger Johanne się obudziła, pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślała, była praca. Leżała nieruchomo, mrużąc oczy w porannym świetle. Może jednak niemądrze zrobiła, biorąc jeszcze rok urlopu wychowawczego. Ponieważ tuż przed porodem zakończyła projekt badawczy, a nowego jeszcze nie zaczęła, mogła sobie pozwolić na wykorzystanie przysługujących jej dwóch lat urlopu bez szkody dla uniwersytetu i dla niej samej. Ustalili to wspólnie z Yngvarem, gdy - tak jak się tego obawiali - Ragnhild nie dostała miejsca w żłobku. Kiedy się poznali, oboje byli ustabilizowani materialnie, więc kredyt na dom dawało się spłacać, nawet przy dochodach tylko jednej osoby. Żyli umiarkowanie, spokojnie i bezpiecznie. Kristiane robiła postępy Dla wszystkich tak było lepiej.

Lubiła powszedni dzień gospodyni domowej. Przebywanie z dziećmi nabierało innego tempa. Gotowanie zawsze sprawiało

jej przyjemność, a długie przedpołudnia umożliwiały przygotowywanie posiłków. Zrezygnowali z pomocy do sprzątania i nawet dbanie o czystość w domu stało się elementem kontemplacyjnej nudy, którą Inger Johanne nauczyła się cenić. Ragnhild w środku dnia spała dwie godziny, a jej nierzadko przychodziło do głowy, że po raz pierwszy od wielu lat ma czas, żeby naprawdę pomyśleć.

To było dobre życie. Na jakiś czas.

Może ten czas już się skończył.

Myśl o przedpołudniowym spokoju w domu nagle wydała się Inger Johanne nieprzyjemna. Nasłuchiwała gaworzenia Ragnhild, gdy uświadomiła sobie, że malutka została przecież u dziadków. Inger Johanne czuła się dziwnie zeszytniała. Powoli wyciągnęła ręce nad głowę i obróciła się w łóżku.

Yngvara nie było.

To niepodobne do niej spać tak głęboko. Przecież zwykle budziła się kilka razy w ciągu nocy, a najmniejszy dźwięk z pokoju dzieci podrywał ją na równe nogi w ciągu sekundy.

Nagle usiadła. Przekrzywiła głowę i wstrzymała oddech, by lepiej słyszeć. Dotarł do niej jedynie odgłos samochodu na jałowym biegu gdzieś daleko i ćwierkanie podnieconych wiosną ptaków na drzewie za oknem sypialni.

- Yngvar?

Wstała, włożyła szlafrok i poszła do kuchni. Zegar na piekarniku wskazywał 08:13- W domu wciąż panowała zupełna cisza. Na blacie stała filiżanka z niedopitą kawą. Gdy Inger Johanne jej dotknęła, lekkie ciepło zdradziło, że Yngvar musiał wyjść całkiem niedawno.

Obok filiżanki leżała kartka.

Kochana! Na pewno rozumiesz, że muszę wykonywać swoją robotę. Skoro nie możesz podać mi nawet jednego dobrego powodu na to, żebym próbował się wymigać, to nie widzę innego

wyjścia niż stawić się w pracy. Trudno mi powiedzieć, kiedy wrócę do domu. Przecież nie wiem nawet, na czym ma ta praca polegać. Zadzwoń, jak tylko będę mógł. Twój Y.

Inger Johanne uświadomiła sobie, że dopija letnią resztkę kawy.

Yngvar miał być łącznikiem Warrena. Prosiła, żeby się tego nie podejmował. Zagroziła mu nawet tym, co - jak jej się wydawało - byłoby dla niego największą karą. A mimo to wstał, kiedy ona spała, po cichu zaparzył kawę, napisał tę krótką, chłodną wiadomość i wyszedł.

Długo stała z kartką w jednej ręce i filiżanką w drugiej.

Nie mogła przenieść się do rodziców. Matka wpadłaby w histериę, a ojciec chwyciłby się za serce jak zawsze, gdy coś szło wbrew jego woli. Inger Johanne często zastanawiała się nad tym, czy rodzice nie kochają bardziej Yngvara niż jej. W każdym razie to nim matka chwaliła się każdemu, kto tylko chciał jej słuchać. Yngvar nie mógł narzekać na brak sympatii ze strony teściów, i to on zbierał pochwały za każdym razem, gdy Ragnhild popisywała się nowymi słowami czy umiejętnościami.

- Przecież to ja siedzę z nią w domu - wzdychała zwykle Inger Johanne i szybko zasłaniała irytację uśmiechem.

Dom siostry też nie wchodził w rachubę. Perfekcjonizm Marie z biegiem lat stworzył nieprzebyty żywopłot, który je rozdzielał. Była piękna, elegancka i bezdzietna. Już sama myśl o inwazji na mieszkanie przy Aker Brygge z kaszką dla dzieci i brudnymi pieluchami sprawiła, że Inger Johanne wpadła w popłoch.

Jeszcze raz przeczytała krótki liścik. Litery się rozmazywały. Mruganiem usiłowała powstrzymać łzy. Stoczyły się jednak powoli po nosie, więc otarła go rękawem.

Kiedy się kładli poprzedniego wieczoru, była pewna, że Yngvar ją rozumie. Przytulił się do niej w łóżku. Bez słowa. Dłonie miał ciepłe i mocne, takie, jakie zawsze kochała. Rozumiał, że potrzebowała ochrony i że Warrena Scifforda nie wolno dopuścić

w pobliże bezpiecznego, normalnego życia w domu na Hauges vei. Tak, była przekonana, że Yngvar wszystko to rozumie, gdy głaskał ją po włosach, a w jego oczach dostrzegała świadomość, że obecność Warrena zagraża wszystkiemu, co piękne i prawdziwe. Zasnęła cudownie głębokim snem.

Tymczasem Yngvar po prostu wyszedł.

Nie potraktował jej ostrzeżenia poważnie. Nie potraktował poważnie jej samej. Wobec tego teraz się przekona, że mówiła serio.

Spakowała najniezbędniejsze rzeczy. Do niedużej walizki włożyła ubrania na kilka dni dla siebie i młodszej córki.

- Kristiane może zostać u Isaka.

Szepnęła to do siebie, próbując zapanować nad płaczem. Musi pojechać po Ragnhild. Matka natychmiast zauważy jej zaczerwienione oczy, tak jak zawsze zauważała u córki każdą najdrobniejszą zmianę wyglądu czy nastroju.

- Weź się w garść! - syknęła do siebie i pociągnęła nosem.

Nie wiedziała, gdzie się podzieje. Mimo to dalej się pakowała. W końcu walizka już nie dawała się zamknąć. Inger Johanne zakląła siarczyście i z wysiłkiem zasunęła zamek.

Musi poszukać schronienia u kogoś, kto da jej po prostu święty spokój. Nie u rodziny, nie u przyjaciółki. Nie u kogoś, kto będzie jej tłumaczył, jak dziecinnie i nieodpowiedzialnie się zachowuje. Nie chciała widzieć nikogo, kto wyjaśniałby jej rzeczy oczywiste, powtarzał, że za kilka dni sytuacja nie będzie jej się wydawała tak dramatyczna, że nie powinna opuszczać Yngvara, więc najlepiej, jeśli od razu wróci do domu. W żadnym wypadku nie mogła jechać do Linę, swojej gadatliwej przyjaciółki, która natychmiast zorganizuje imprezę, przeświadczona, że nie ma takiego problemu na świecie, którego nie rozwiązałoby smaczne jedzenie, dobrzy przyjaciele i spora ilość alkoholu.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi i poczuła, że wiatr wciąż dmucha chłodem, chociaż ogród zalewa słońce, uświadomiła sobie, że istnieje tylko jedno miejsce, do którego może pójść.

Otarła łzy i wykrzesła uśmiech na widok sąsiadki machającej jej z drogi. Wzięła głęboki oddech i wsiadła do samochodu. Musiała jechać po Ragnhild. Jakies znośne kłamstwo zdoła wymyślić podczas krótkiej jazdy samochodem.

Wprawdzie Inger Johanne nie czuła się wcale mniej przygnębiona, ale przynajmniej wiedziała wreszcie, co zrobić.

4

W Farmington w stanie Maine było wpeł do trzeciej w nocy.

Al Muffet obudził się ze snu, którego nie pamiętał. Nie mógł z powrotem zasnąć. Prześcieradła były wilgotne od potu, a patchworkowa kołdra skłębila się w nogach łóżka. Zmienił pozycję. Nic nie pomagało.

Przez cały dzień oglądał wiadomości w telewizji. Zniknięcie pani prezydent wstrząsnęło nim tak jak całym narodem, ale on dodatkowo czuł lekkie ukłucie dziwnego niepokoju.

Brat dzwonił.

Ostatnio telefonował trzy lata temu. Matka była wtedy umierająca. Wylew krwi do mózgu powalił tę przedsiębiorczą kobietę i wiadomo było, że zostały jej zaledwie godziny życia. Al Muffet poleciał do Chicago pierwszym samolotem. Dotarł za późno. Matka już leżała w otwartej trumnie, pięknie uszmkowana i ubrana w swój najlepszy strój.

Chociaż podobnie jak jej mąż pozostała przy wierze, w której została wychowana, to jednak sprawy religii w rodzinie Muffasów traktowano niezbyt ortodoksyjnie, zwłaszcza że mieszkali na przedmieściu, gdzie prawie nie było innych Arabów. W kościele episkopalnym, znajdującym się o kwartał dalej, pani Muffasa była wysoko cenioną osobą. Najlepsze ciasta na organizowaną przez kościół imprezę z okazji Święta Dziękczynienia pochodziły z jej piekarnika. Prowadziła zajęcia dla dzieci z rodzin, którym gorzej się w życiu

powiodło. Nikt nie potrafił tak jak ona układać kwiatów, a poza tym zajmowała się liczną gromadką maluchów pastora za każdym razem, gdy jego żona wydawała na świat kolejnego potomka i była przez kilka tygodni zajęta wyłącznie noworodkiem.

Ale na nabożeństwa rodzina Muffasów nigdy nie chodziła.

Po cichu starali się pościć w ramadan. Obchodzili święto Id al-Fitr z rodziną z Los Angeles, która zawsze wtedy przyjeżdżała z wizytą. I chociaż pan Muffasa nie był w stanie modlić się z twarzą skierowaną w stronę Mekki pięć razy w ciągu dnia, dość często się zdarzało, że znajdował chwilę na modlitwę podczas spokojnych godzin, gdy warsztat samochodowy pustoszał, a on jeszcze nie zamknął jego bramy przed nocą.

Państwo Muffasa do Koranu odnosili się w najzyczliwszy sposób. Czcili proroka Mahometa i życzyli mu pokoju, co nie przeszkadzało im w ubieraniu choinki, żeby dzieciaki za bardzo się nie wyróżniały spośród rówieśników.

Po śmierci matki dzieci znalazły w szufladzie jej nocnej szafki coś w rodzaju testamentu. Uroczystość żałobna miała się odbyć pod przewodnictwem pastorowej.

Krewni się burzyli, a najstarsza siostra matki łkała histerycznie nad zwłokami, które leżały ze złożonymi dłońmi w trumnie z obu stron ozdobionej krzyżem. Wdowiec jednak pozostawał nieugięty. Jego żona była świadoma tego, co robi, gdy decydowała o wyborze ceremonii, którą miano ją pożegnać. Nikt nie zdołał go powstrzymać przed wypełnieniem jej ostatniej woli. I tak oto pani Muffasa spoczęła w poświęconej ziemi na oczach licznie zgromadzonych chrześcijan.

Na pogrzebie Al Muffet widział swego starszego brata po raz ostatni.

Trzy lata milczenia. I nagle telefon wczoraj wieczorem.

Al Muffet wstał z łóżka i szybko się ubrał. Miał sporo papierkowej roboty, dzięki której mógł zabić czas w bezsensną noc. Wszystko było lepsze od wsłuchiwania się w rosnący niepokój, którego nie rozumiał.

Z Fayedem nigdy nie był blisko. Tolerowali się, tak jak muszą się tolerować bracia, ale nigdy nie rozumieli. Kiedy mały Ali czepiał się matczynej spódnicy, uwielbiany przez wszystkich jej znajomych z kościoła episkopalnego, Fayed włóczył się po ulicach sam, tęskniąc za liczną rodziną w Los Angeles. Tam mógł codziennie chodzić z wujem do meczetu. Dostawał tradycyjne jedzenie i uczył się więcej arabskiego niż tych kilka słów, które sam wychwycił z mamrotania ojca podczas modlitwy. Kiedy dorósł, nie zasługiwał na miano prawowiernego muzułmanina, lecz szanował obyczaje i wziął tradycyjny ślub. A kiedy Ali Shaeed Muffasa w latach siedemdziesiątych zmienił się w Ala Muffeta, Fayed zrobił bratu awanturę, wyrzucając mu, że jest arabskim wujem Tomem. Od tamtej pory prawie ze sobą nie rozmawiali.

Al Muffet nie bardzo mógł pojąć, czego właściwie chce Fayed. Spytał go o to niemal wprost, choć starając się nie okazywać bezpośredniej niechęci. Mimo wszystko byli przecież braćmi, a ponieważ ojciec wciąż żył, Al nie życzył sobie żadnego dramatycznego zerwania. Staruszka by to załamało.

Brat zamierzał przyjechać w odwiedziny.

Fayed, który zajmował kierownicze stanowisko w gigantycznej spółce elektronicznej z główną siedzibą w Atlancie i który prawie w ogóle nie miał czasu na widywanie się z rodzonymi dziećmi, zadzwonił, by powiadomić, że przyjedzie osiemnastego maja. Jedynym wyjaśnieniem, jakie zdołał uzyskać Al, był nieco złośliwy komentarz, że nie powinien się chyba dziwić temu, że brat chciałby zobaczyć, jak on urządził się z dziewczynkami na tym odludziu.

- A więc wpadnę do ciebie - zakończył.

Al Muffet na palcach minął sypialnie córek. Znał ten stary dom i ostrożnie starał się omijać trzeszczące deski w podłodze. Przy schodach zatrzymał się, nasłuchując. Równy oddech Catherine i pochrapywanie Louise kazały mu się uśmiechnąć. Poczul się spokojniejszy. To był jego dom i jego życie. Fayed mógł sobie do niego wpadać, jeśli tego chciał.

Nikt nie skrzywdzi Ala Muffeta i jego córek.

Po cichu zszedł na dół i zapalił wszystkie światła w kuchni. Zanim znalazł teczkę z dokumentami przywiezionymi z gabinetu, nastawił wodę i wyjął ze zmywarki dzbanek do kawy.

- Tatusiu!

W drzwiach stała zdziwiona Louise.

Al drgnął i upuścił dzbanek na podłogę.

- Coś się stało? - spytała córka. Włosy sterczały jej na wszystkie strony, a piżamę miała za dużą.

- Nie, nic, kochanie. Po prostu się obudziłem i już nie mogłem zasnąć.

Przyniósł zmiotkę i szufelkę.

- Dlaczego się ubrałeś?

Louise wydawała się przestraszona, podeszła bliżej.

- Uważaj na szkło - ostrzegł. - Nic złego się nie dzieje, na prawdę. Pomyślałem po prostu, że wykorzystam bezsenną noc na uporanie się z papierzyskami. Podgrzać ci mleko? Możemy chwilę porozmawiać, zanim wrócisz do łóżka, chcesz?

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko i usiadła przy kuchennym stole.

- Fajnie - powiedziała, sięgając po jabłko. - Prawie tak jak wtedy, kiedy byłem mała. Muszę ci opowiedzieć, co się stało, kiedy Jody i ja dostałyśmy...

Al Muffet, zmiatając odłamki szkła, słuchał córki jednym uchem. Louise w każdym razie się uspokoiła. Chciałby móc powiedzieć to samo o sobie.

5

Młody prokurator miał dość. Od blisko trzech godzin nakładał grzywny, żeby opróżnić przepelniony areszt. Połowę zatrzymanych stanowili młodzi ludzie, których organizmy wciąż jeszcze

pamiętały świętowanie Siedemnastego Maja. Po kolei stawali teraz przed nim skacowani, ze wzrokiem wbitym w podłogę, wyjąkując grzecznościowe formułki i obiecując poprawę. Dwóch dobrze już posuniętych w latach pijanych kierowców próbowało się awanturować, ale uciszyła ich groźba dalszego zatrzymania w areszcie, a później sprawy sądowej i wyroku.

Resztę stanowili starzy znajomi. Większość w gruncie rzeczy ceniła sobie bezpłatny pobyt w lokalu, w którym przynajmniej było ciepło i sucho. Prokurator nigdy nie zrozumiał sensu karania grzywną tych, którzy po pieniądze na jej zapłacenie musieli chodzić do opieki społecznej, mimo to wykonywał swoją pracę, zbliżając się powoli do końca listy.

- No i co tam słysząc?

Wyciągnął rękę do Królika Bugsa. Zwykle witał aresztantów jedynie skinieniem głowy, ale Królik był kimś wyjątkowym. Z zawodu włamywacz, swego czasu naprawdę niezły. W latach siedemdziesiątych nieudane wysadzenie w powietrze sejfu pozbawiło go palców u lewej ręki, a później alkohol rozprawił się z resztą wychudzonego ciała. Kiedy wciąż jeszcze miał zęby, były takie długie, że nadano mu od nich przydomek; przylgnęło do niego na dobre. Teraz poprzestawał na kradzieżach towarów z samochodów dostawczych, które zostawiono otwarte, na włamywaniu się do piwnic zamkniętych na proste zamki, a od czasu do czasu na zwęczeniu czegoś w sklepie. Zawsze go wtedy łapano. Na nowoczesnym sprzęcie monitorującym ani trochę się nie wyznawał. Zrezygnowany stał z trefnym towarem pod pachą, wsłuchany w wycie alarmu, aż przybiegała ochrona.

Królik Bugs nigdy nie tknął drugiego człowieka nawet palcem.

- Nie najlepiej - poskarżył się, ostrożnie siadając na rozchwianym krześle.

- I nie najlepiej wyglądasz - stwierdził prokurator.

- Rak. Tam, na dole. Naprawdę paskudny.

- Otrzymujesz jakąś pomoc?
- No... nie bardzo da się na to zaradzić.
- A dlaczego próbowałaś włamać się do apteki?
- Bo to boli. Cholernie boli.
- Nie dasz sobie rady z apteką, Króliku. Alarmy i inne cuda. A silne środki są zamknięte w szafce, której z pewnością nie dałbyś rady, nawet gdybyś dostał się do środka. Po prostu głupio zrobiłeś.

Królik jęknął i okaleczoną lewą ręką potarł kark.

- Wiem - mruknął. - Ale to boli jak cholera.

Prokurator zakołysał się na krześle. W ciasnym pokoju było cicho, tylko z izby zatrzymań dochodziły ostre głosy. Ktoś płakał, chyba młoda kobieta. Prokurator przyjrzał się twarzy Królika Bugsa i gotów był przysiąc, że dostrzeża łzy w oczach zniszczonego człowieka.

- Trzymaj - powiedział nagle, wyjmując z marynarki portfel.
- Dzisiaj monopolowy znów jest otwarty. Kup sobie coś mocniej szego.

Podał mu przez stół pięćsetkoronowy banknot. Królik z niedowierzaniem otworzył bezzębne usta. Zerknął jeszcze na umundowanego funkcjonariusza przy drzwiach, tamten tylko się uśmiechnął i odwrócił głowę.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję - szepnął Królik. - Wy to jesteście wyjątkowi.

- Ale tego nie mogę odłożyć na półkę - ostrzegł prokurator, kładąc rękę na dokumentach. - Przypuszczam, że stawisz się w sądzie jak zwykle.

- No pewnie. Przecież odpowiadam za swoje czyny. Zawsze. Dziękuję.

Nie przestawał gładzić banknotu.

- Wobec tego możesz już iść. Skończ z tymi włamaniami. I tak nie dasz rady, okej?

Królik podniósł się równie ostrożnie, jak siadał. Schował pieniądze do kieszeni. Zwykle wychodził z aresztu najszybciej, jak były w stanie go ponieść chude nogi, teraz jednak stał, lekko się kołysząc, jakby zagubiony gdzieś we własnym świecie.

- To było dziesięć po czwartej - oświadczył nagle. - Wtedy ta cała pani prezydent wsiadła do samochodu.

- Słucham?

- Oglądałem wczoraj telewizję. Zrozumiałem, że ta facetka, którą widziałem rano, to ta sama, co jej szukacie.

Prokurator spojrział na Królika Bugsa zmrużonymi oczami, jakby nie całkiem pojmował, co usłyszał. Umundurowany policjant w kącie zrobił krok w stronę aresztanta.

- Siadaj - powiedział prokurator.

- Mówił pan, że mogę iść.

- Siadaj, siadaj, Króliku. Chwilę o tym porozmawiamy.

Stary niechętnie usiadł.

- Powiedziałem już to, co miałem do powiedzenia - próbował się wykręcić.

- Musisz mi to opowiedzieć dokładniej. Gdzie byłeś wczoraj rano?

- Na imprezie u Berit z Mamra. Ona mieszka na Skippergata. Musiałem jakoś wrócić do domu. Kiedy mijałem wieżę zegarową na Dworcu Centralnym, to zobaczyłem, że jest dziesięć po czwartej. Wtedy przez plac przeszła ta babka, z dwoma facetami. Wsiadli do samochodu. To była blondynka, ale nie taka młoda. Farbowana. Miała czerwony żakiet. Identyczny jak ten, co pokazywali w telewizji.

Prokurator nic nie powiedział. Sięgnął po puszkę ze snusem i wsunął porcję do ust. Potem podsunał Królikowi, który umieścił na zniszczonych dziąsłach połowę puszeki. Policjant w mundurze położył mu rękę na ramieniu, jakby chciał go powstrzymać przed ucieczką.

-1 to było **wczoraj - powiedział prokurator powoli**. - Siedem-nastego Maja.

- No tak - zirytował się Królik i splunął na czarno. - Jestem chory, ale nie na głowę, i pamiętam o święcie narodowym!

-1 godzina była dziesięć po czwartej. Rano. Jesteś tego najzupełniej pewien?

- No przecież mówię, że tak. A teraz, do cholery, chciałbym wreszcie pójść do monopolowego.

Wyjął pięćsetkę. Położył ją na kolanie i rozprostował, potem delikatnie złożył i ostrożnie wsunął do drugiej kieszeni. Prokurator porozumiał się wzrokiem z policjantem.

- Niestety, myślę, że to nie pójdzie tak szybko - westchnął. -Ale tymczasem postaramy się załatwić ci coś przeciwbólowego.

Kiedy sięgnął po telefon, miał kłopoty z trafieniem w odpowiednie klawisze.

6

- Zaczynają **być wściekli**. -

Kto?

- FBI czy kim tam są ci Amerykanie.

Szef służby bezpieczeństwa Peter Salhus zmarszczył nos.

- O co znów chodzi?

- Mam wrażenie, że o wszystko.

Komendant okręgowy policji Bastesen wzruszył ramionami i podniósł do góry filizankę.

- Zdaje się, że na Gardermoen doszło do jakiegoś incydentu. Najpierw nieporozumienie co do spotkania z dwudziestką agentów, którzy przylecieli dziś rano. Potem... - Zaśmiał się. Ponieważ jednak Salhus nawet się nie uśmiechnął, Bastesen zasłonił usta dłonią zwiniętą w pięść, lekko odkaszlnął i ciągnął już z powagą. - Pewien bardzo drobiazgowy celnik odebrał im całą podręczną

broń, co zresztą samo w sobie było w pełni słuszne. Na co im broń u nas? Ci chłopcy z Secret Service cały czas są uzbrojeni i zobacz, na ile się to zdało. Jednakże ten celnik, zdaje się, zachował się odrobinę... niedyplomatycznie.

Sala gimnastyczna w budynku policji nie miała okien. Komendant już zaczął rozluźniać kołnierzyk. Około pięćdziesięciu osób siedziało w głębokim skupieniu przy stolikach ustawionych w podkowę wokół ogromnego okrągłego stołu po środku. Na przykręconych do ścian drabinkach wisiały tablice i mapy. Wydawały przykry zapach kurzu, który mieszał się z odorem potu i często używanych tenisówek.

- Z lokali też nie są zadowoleni. - Bastesen opróżnił filiżankę jednym łykiem. - Oddaliśmy im trzy pokoje na trzecim piętrze w czerwonej strefie. Z tego, co widzę, nie korzystają z nich. Mnie tam wszystko jedno. 1) zebrałiśmy twoich ludzi z PSB, najlepszych z Nowej Kripos i moich chłopów. To...

- I kobiety - przerwał mu Salhus.

-1 kobiety. - Bastesen kiwnął głową. - Tak tylko mi się powiedziało. Chodzi o to, że ci Amerykanie nie mogą się wszędzie kręcić i nam przeszkadzać. Nie widzę, żeby to przynosiło jakikolwiek pożytek śledztwu. Już same problemy językowe... Na razie tak naprawdę niczego nam nie dali. Milczą jak grób.

- Raporty wskazują, że postanowili zorganizować sztab w ambasadzie - rzekł Salhus. - Tak jak się spodziewaliśmy. Ruch wchodzących i wychodzących na Drammensveien znacznie się zwiększył,

a jednocześnie zamknęli całą obsługę ludności. W ambasadzie robią, co chcą. My pewnie postąpilibyśmy tak samo. A jeśli chodzi o ich milczenie... - Odwrócił się do komendanta. Po krótkiej chwili wahania położył mu dłoń na ramieniu w nieoczekiwaniu przyjaźliwym geście. - Amerykanie nie dadzą nam nic, jeśli to im nie przyniesie korzyści - oświadczył. - A już na pewno muszą mieć zaufanie do rozmówcy. Szczerze mówiąc, do pewnego stopnia rozumiem, że to zaufanie akurat w tej chwili nie jest bezgraniczne.

Nie czekając na odpowiedź, szedł z przypominającego katedrę podwyższenia w południowym rogu sali. Wciąż z filiżanką w ręku przystanął obok mniej więcej czterdziestoletniego otyłego mężczyzny, który podparłszy brodę na rękach, nie odrywał wzroku od ekranu komputera.

- Wciąż nic? - spytał Salhus cicho.

- Nic. - Funkcjonariusz potarł zaczerwienione oczy. Sięgnął po wodę mineralną, wypił połowę zawartości, stłumił beknęcie i zakorkował butelkę. - Obejrzałem wszystkie nagrania trzy razy. Wolno, szybko i w czasie rzeczywistym. Nic się nie dzieje. Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi. Kobieta musiała wyfrunąć przez okno.

- Nie - odparł Salhus spokojnie. - Tego zrobić nie mogła. Secret Service miało, jak wiadomo, posterunek... tutaj. - Na ścianie za monitorem wisiało lotnicze zdjęcie okolicy hotelu Opera. Salhus wskazał na dach sąsiedniego budynku. - Technicznie wszystko w porządku? Nikt przy tym nie majstrował? *Nie* ma żadnych cięć ani luk?

-Jeśli tak, to musiało zostać zrobione perfekcyjnie - westchnął policjant, drapiąc się w kark. - Całkiem po prostu niczego tu nie można znaleźć. Nie pojmuję...

Podniósł głowę, wyraźnie zdziwiony gniewnym stukaniem obcasów. W tej prowizorycznie urządzonej sali wszyscy starali się poruszać cicho. Większość chodziła niemal na palcach. Nawet szum sprzętu tłumiły wyściełane skrzynki i gumowe podkładki.

Przez salę biegła rudowłosa kobieta. Radośnie wymachiwała telefonem, jakby dostała go w nagrodę.

- Świadkowie! - zawołała, gdy dotarła do komendanta Bastesena, który przyszedł za Salhusem i teraz stał ze wzrokiem wbitym w pusty korytarz na dziesiątym piętrze hotelu Opera. - Nareszcie nadchodzą zgłoszenia, i to całkiem sporo!

- Świadkowie - powtórzył Bastesen powątpiewająco. - Świadkowie czego?

Zdyszana kobieta odgarnęła rude włosy za ucho.

- Urowadzenia - odpowiedziała bez tchu.

Korpulentny funkcjonariusz patrzył na nią z taką miną, jakby mówiła w obcym języku.

- Nie ma żadnych świadków - burknął agresywnie, wskazując na ekran. - Przecież tu, do cholery, nie ma żywej duszy!

- Nie tu - odparta kobieta. - Na zewnątrz. To znaczy później. Poza hotelem.

- Gdzie?

Salhus położył jej rękę na ramieniu, ale zaraz ją zdjął, widząc, że kobieta zmarszczyła czoło.

- Dziewczyna - wyjaśniła już spokojniej. - Maturzystka... Sie działa z koleżanką na parkingu przy Dworcu Centralnym od strony morza, kiedy dwóch mężczyzn i kobieta, której rysopis odpowiada Helen Bentley, nadeszli... - szybko rozejrzała się dokoła i pochyliła nad zdjęciem lotniczym - ... stąd. Wsiedli do niebieskiego forda.

- Aha - powiedział tylko komendant Bastesen. - Ach tak?

Założył ręce na piersi, patrząc w jakiś nieokreślony punkt na ścianie. Peter Salhus lekko pociągnął się za ucho. Policjant przy komputerze nie zdołał ukryć uśmiechu.

- Tak nam się wydaje, tra la la - mruknął.

- Ona nie jest jedyna - dodała szybko kobieta. - To znaczy, ona i jej przyjaciółka. Dziś w nocy zwinęto jednego ze stałych klientów dołka. Kiedy się rano obudził i przesłuchiowano go przed wypuszczeniem, okazało się, że facet był w tym samym miejscu o tym samym czasie. Powtarza dokładnie to samo.

- W tym samym czasie? - Peter Salhus puścił ucho. - Czyli kiedy?

- Około czwartej. Tak mówią dziewczyny Ten pijacek twierdzi, że dziesięć po czwartej, bo właśnie spojrzął na wieżę zegarową. No i jeszcze... - Z ożywieniem zaczęła szukać notesu w kieszeni. - Troje świadków niezależnych od siebie zadzwoniło z informacją o niebieskim fordzie z dwoma mężczyznami i śpiącą kobietą

w czerwonym żakiecie. Jechali w stronę Svinesund. Widziano ich w... - Przerzuciła stronę.

Teraz zebrał się już wokół nich cały krąg słuchaczy. Nikt nie mówił. Rudowłosa polizała palec i przewróciła jeszcze jedną kartkę.

- ...na E6, koło Moss. Na stacji benzynowej. Na przydrożnym parkingu pod Fredrikstad i... - urwała nagle i z namysłem pokręciła głową - ...i w Larvik - dokończyła zawiedziona. - W Larvik. To przecież nie jest po drodze do Szwecji?

- Raczej nie. - Mężczyzna przy komputerze zachichotał.

- Do takich rzeczy jesteśmy przyzwyczajeni - skwitował Bastesen. - Część świadków naprawdę coś zauważyła, innym chodzi wyłącznie o naszą uwagę, a jeszcze inni coś źle zapamiętali. W każdym razie mamy nad czym pracować. Muszę sam zobaczyć te relacje.

Zachęcająco poklepał kobietę po ramieniu i wyprowadził ją z sali gimnastycznej. Peter Salhus został. Z twarzą bez wyrazu wpatrywał się w monitor, podczas gdy policjant cofał obraz sprzed drzwi apartamentu prezydenckiego do godziny czwartej rano.

- Pusto - powtórzył, rozkładając ręce. - Czy to jakiś odcinek *Star Treka*?. Mogła się teleportować na parking?

- Przewiń do godziny... Kiedy pani prezydent wróciła do swojego pokoju? Za dwadzieścia pierwsza?

Policjant kiwnął głową i wstukał godzinę.

Prezydent wydawała się zmęczona. Szła wolno. Czekając, aż drzwi się otworzą, dotknęła głowy z tyłu. Szybki uśmiech, który posłała dwóm mężczyznom, nie zdążył objąć oczu. Przytaknęła czemuś, co jeden z nich powiedział, i weszła do środka. Drzwi się za nią zamknęły. Agenci coraz bardziej zbliżali się do kamery, w końcu zniknęli. Został pusty korytarz.

- Czy to coś ci mówi?

-Co?

Peter Salhus drgnął.

- Czy te obrazy coś ci w ogóle mówią?

Dwie maturzystki i pijak, pomyślał Salhus. Świadkowie dzwoniący ze stacji benzynowych i z przydrożnego parkingu po obu stronach Oslofjorden. Wszyscy widzieli to samo, zupełnie niezależnie od siebie. Niebieskiego forda, dwóch mężczyzn i kobietę w czerwonym żakiecie.

Nagle zrozumiał, że dzwoniących będzie więcej. I nie tylko z regionów Ostfold i Vestfold. Zgłoszą się kolejni świadkowie. Jedni wiarygodni, inni żądni sensacji, ale wszyscy będą przysięgać, że widzieli dwóch mężczyzn i ubraną na czerwono kobietę w niebieskim fordzie. Gdy to sobie uświadomił, zrobiło mu się gorąco. Powietrze wydało się duszne i lepkie. Rozluźnił krawat i zaczął oddychać szybciej.

- Mówi ci to coś? - powtórzył policjant.

- Nie - odparł Peter Salhus. - Mąci mi się w głowie od całej tej sprawy. - Wetknął krawat do kieszeni i poszedł rozejrzeć się za kolejną kawą i dwiema tabletkami paracetamolu.

7

Małeńka Ragnhild zasnęła w samochodzie. Inger Johanne minęła wolne miejsce parkingowe tuż przy furtce w niskim murze. Kwartał dalej, na Lille Frogner allé, dostrzegła kolejną możliwość i wjechała na miejsce zwolnione przez samochód dostawczy z popsutym układem wydechowym. Ragnhild westchnęła cicho, kiedy gaźnik strzelił, ale się nie obudziła.

Inger Johanne czuła się jednocześnie pewna i niepewna.

Wiedziała, że będzie mile widziana. W tym mieszkaniu panowała niezwykła atmosfera życzliwości i odosobnienia, niczym na słonecznej wyspie, oddalonej od lądu. Mieszkanki na ogół chyba przebywały w domu. Dziwna stara gosposia podobno dosłownie nigdy nie wychodziła, a Inger Johanne miała wrażenie,

że zakupy są dostarczane pod drzwi. W ostatnim półroczu bywała tam dość często, mniej więcej co trzy tygodnie. Początkowo przychodziła, bo potrzebowała pomocy, z czasem wizyty na Kruses gate stały się miłym zwyczajem. Były czymś, co miała tylko dla siebie, chwilą oddechu bez Yngyara i reszty rodziny. Ragnhild zawsze zajmowała się gospośią. Dwie kobiety miały więc spokój.

Siadywały jak stare przyjaciółki i poruszały różne poważne tematy.

Inger Johanne zawsze czuła się tam mile widziana. Teraz jednak się wahała. Bagaż mogłaby zostawić w samochodzie, dzięki temu nie wyda się aż tak natrętna. Może spróbuje najpierw wybać sytuację, uda, że to tylko krótka wizyta, i wysonduje atmosferę. Przekona się, czy może wparować z małym dzieckiem i zostać u osób, które właściwie poznała całkiem niedawno.

Nagle podjęła decyzję. Zgasiła silnik i wyciągnęła kluczyk ze stacyjki. Ragnhild się obudziła jak zawsze, kiedy robiło się cicho. Uśmiechała się, gdy matka wyjmowała ją z fotelika.

- Agni spała - oświadczyła zadowolona i bez oporu pozwoliła się wziąć na ręce.

Inger Johanne szybkim krokiem przeszła wzdłuż kamiennego muru. Za furtką spojrzała w górę na najwyższe piętro. W salonie zasłony do połowy rozsunięto, światło się nie paliło, ale przecież był środek dnia. Ostre cienie wielkich dębów padały na asfalt. Gdy zbliżała się do kamienicy, na moment oślepiło ją odbicie słońca w jednej z szyb.

Wjechała windą na górę i bez wahania zadzwoniła do drzwi.

Upłynęła cała wieczność, zanim ktoś otworzył. Wreszcie jednak Inger Johanne usłyszała szcęk łańcucha.

- Ach, jest moja ślicznotka!

Gospośia nawet nie przywitała się z Inger Johanne. Od razu wyciągnęła ręce po Ragnhild i posadziła ją sobie na biodrze, nie przestając zagadywać do dziecka, które sięgnęło do naszyjnika

z dużych drewnianych kolorowych koralii. Marry pokuśtykała do kuchni i zamknęła drzwi, wciąż nie zamieniwszy ani słowa z Inger Johanne.

W głębi wielkiego holu cała ściana była przeszklona. Z salonu wyjechała kobieta na wózku, zmieniając się w czarny kontur na tle dziennego światła, wpadającego przez nagie szyby.

- Cześć - powitała ją Inger Johanne.
- Cześć. - Kobieta na wózku podjechała bliżej.
- Mogę tu trochę zostać?
- Możesz. Wejdz.

- Chodzi mi o to... - Inger Johanne przełknęła ślinę. - Czy ja i Ragnhild... mogłybyśmy tu pomieszkać? Tylko kilka dni.

Kobieta podjechała jeszcze bliżej. Koła wózka lekko zaskrzy-piały, a może to tylko guma zapiszczała na parkiecie. Gospodyni sięgnęła do panelu na ścianie i zasłony zasunęły się z lekkim szme-rem. Hol spowił przytulny półmrok.

- Oczywiście, że możecie - powtórzyła. - Wejdz i zamknij drzwi.

- Tylko parę dni.
- Zawsze jesteście tu mile widziane.
- Dziękuję.

Inger Johanne czuła kulę w gardle i nie mogła się ruszyć. Kobieta na wózku wyciągnęła rękę.

- Zakładam, że nikt nie umarł - powiedziała spokojnie.
- Bo wtedy byś tu nie przyszła.

- Nikt nie umarł. - Inger Johanne rozpląkała się cicho. - Nikt nie umarł.

- Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Ale żeby tak się stało, musisz wejść i zamknąć drzwi. Co do mnie, jestem głodna i mam właśnie zamiar coś zjeść.

Hannę Wilhelmsen obróciła wózek i powoli ruszyła w stronę kuchni, skąd dobiegał radosny śmiech Ragnhild.

Spojrzenie Warrena Scifforda przewędrowało od prehistorycznego odbiornika telewizyjnego z pokojową anteną na korkową tablicę w pękniętej ramie. Oczy zatrzymały się na biurowym krześle. Brakowało mu jednego podłokietnika. Warren delikatnie wciągnął powietrze nosem. W kubie na śmieci leżały trzy zbrązowiałe ogryzki jabłek.

-Jestem odrobinę przesądny - oświadczył Peter Salhus. - Miałem dwadzieścia kilka lat, kiedy podjąłem tę ryzykowną pracę. Nigdy jednak nie zdarzyło się nic naprawdę złego. Dlatego zachowałem to krzesło. A jeśli chodzi o pozostałe wyposażenie...

- Wzruszył ramionami. - W czerwcu cała instytucja przenosi się do nowych lokali. Nie ma sensu marnować energii na urządzenie tego pokoju. Siadajcie!

Warren Scifford wciąż się wahał, jakby się bał, że ubrudzi kosztowny garnitur. Na siedzeniu krzesła widniała plama w kształcie nerki. Zanim usiadł, delikatnie przesunął po niej wierzchem dłoni. Yngvar Stub0 siedział obok, obracając w palcach srebrne etui na cygaro.

- Widzę, że zachowałeś ten swój brzydki zwyczaj - uśmiechnął się Warren.

Yngvar pokręcił głową.

- Nie, właściwie nie. wypalam jedno w Wigilię i parę razy za ciągam się w urodziny, to wszystko. Ale każdy ma swoje marzenia. Wąchanie wciąż jest legalne. - Otworzył etui i przesunął cygaro pod nosem. Z głośnym westchnieniem skrzył obie metalowe połówki futerału i schował go do wewnętrznej kieszonki. - Ci świadkowie... - zwrócił się do Petera Salhusa, który nalewał farrisę do trzech szklanek, nie pytając, czy ktoś ma ochotę się napić

- ...słyszałeś coś o nich od policji?

Szef służby bezpieczeństwa posłał Yngvarowi spojrzenie trudne do odczytania. Może kryło się w nim ostrzeżenie, a może nie.

-Jestem najzupełniej pewien, że **mister Scifford...**

- Warren, mów mi Warren.

Scifford zachęcająco wyciągnął rękę, jakby ofiarował Peterowi Salhusowi cenny podarunek. Szef służby bezpieczeństwa usiadł. Szklanki wciąż stały nietknięte na dużym biurku. Było tak cicho, że do ich uszu docierał syk banieczek gazu.

- Cieszę się, że masz tego łącznika, którego chciałeś - odezwał się wreszcie Peter Salhus. - Yngvar Stub0 z pewnością będzie ci pomocny. Poza tym musisz wiedzieć, że w pełni rozumiem twoje... zniecierpliwienie. Problem w tym...

- Problemem jest brak rezultatów - przerwał mu Warren Scifford, ale przywołał na twarz uśmiech. - Poza tym wydaje się, że śledztwo jest kierowane w sposób przypadkowy, absolutnie nieskoordynowany, a na dodatek... - Uśmiech zniknął. Warren odsunął odrobinę krzesło w tył i poprawił wąskie okulary. - Na dodatek doświadczam wrogości ze strony policji, a to trudno zaakceptować.

W pokoju znów zapadła cisza. Peter Salhus wziął z biurka wypolerowany kamień w kształcie jaja. Przez chwilę trzymał go w dłoni, gładząc kciukiem gładką powierzchnię. Yngvar chrząknął i zmienił pozycję. W końcu szef służby bezpieczeństwa podniósł głowę i popatrzył na Amerykanina.

- Fakt, że jesteś teraz w moim biurze - zaczął życzliwie - to dowód na to, że robimy bardzo dużo, by zaspokoić żądania twoje i twoich ludzi. Rozmowa z tobą nie jest moim obowiązkiem i w zasadzie nie mam na nią czasu. Ale ty sobie jej życzyłeś. Uznałem, że spełnię to życzenie. Oczywiście, mógłbym ci zrobić *crash course* ze struktury norweskiej policji i służby bezpieczeństwa...

- Nie mam...

- Chwileczkę! - Peter Salhus podniósł głos akurat na tyle, by móc dokończyć. -I być może nie byłoby to wcale takie głupie. Lecz żeby uprościć sprawę i uspokoić cię... - Zerknął na zegarek. Lekko poruszył ustami, bezdźwięcznie, jakby coś obliczał. - Minęło

zaledwie dwadzieścia siedem godzin od chwili, gdy odkryto zniknięcie pani prezydent. - Pochylił się nad stołem. - Nieco więcej niż doba. W ciągu tej doby udało nam się zorganizować machinę śledczą, jakiej ten kraj nigdy w swojej historii nie widział. Policja z Oslo oddała do dyspozycji wszelkie siły i środki, jakimi dysponuje, i jeszcze więcej. - Salhus podwinął rękawy koszuli, po czym prawą ręką odgiął lewy palec wskazujący. - Ściśle współpracuje z nami. Jako że istnieje powód, by się obawiać, że ta sprawa może mieć związek z naszą codzienną pracą i zakresem odpowiedzialności. Ponadto... - Odgiął drugi palec. - Zaangażowana jest też Centrala Policji Kryminalnej, Kripos, posiadająca specjalne kompetencje, zwłaszcza gdy chodzi o techniki kryminalistyczne. Innymi słowy, wszystko, co się rusza, przydzielono do tej sprawy. To bardzo kompetentna ekipa, jeśli wolno mi rzecz nieskromnie ocenić. Dodatkowo rząd jest w pełnej gotowości kryzysowej, przygotowany na wszelkie konsekwencje, jakie się z tym wiążą, także dla resortów i urzędów bezpośrednio niewspółpracujących z policją. Utrzymywany też jest bezpośredni kontakt na najwyższym szczeblu między naszymi rządami. Na najwyższym.

-Ale...

Warren Scifford poprawił krawat. Uśmiechał się teraz serdeczniej. Peter Salhus powstrzymał go gestem uniesionej ręki.

- Nie zjawi się żaden filmowy Jack Bauer - oświadczył z powagą. - Jego termin upłynął - znów zerknął na zegarek - trzy godziny temu. Musimy zaufać dobrej i nowoczesnej, choć może nie aż tak spektakularnej pracy policji. Pracy norweskiej policji.

Cisza trwała przez kilka sekund. W końcu Warren Scifford zaczął się śmiać. Ten śmiech był ciepły, głęboki i zaraźliwy. Yngvar też się roześmiał, a Peter Salhus szeroko uśmiechnął.

- Poza tym się mylisz - dodał. -Jak zostaniesz poinformowany na spotkaniu z komendantem policji za niespełną godzinę, poczyniono zdecydowane postępy w śledztwie.

- Ach tak?

- Pytanie tylko, czy...

Szef służby bezpieczeństwa odchylił się na krześle i splótł dłonie na karku. Wydawało się, że obserwuje jakiś punkt na suficie. Trwało to tak długo, że Yngvar też podniósł wzrok, by sprawdzić, czy rzeczywiście coś tam jest. Czuł się tu nieprzyjemnie zbyt czysty.

Nikt właściwie mu nie wyjaśnił, co ma robić. Komendant policji robił wrażenie nieobecnego duchem, gdy godzinę temu pobieżnie przedstawiał sobie Yngvara i Warrena, najwyraźniej zapominając, że się już znają. Po paru minutach wyszedł, nie udzielivszy żadnych bliższych instrukcji. Yngvar miał wrażenie, że on sam funkcjonuje jako alibi. Kawał mięsa rzuconego Amerykanom, żeby ich uspokoić.

Nie miał czasu zatelefonować do domu.

- Pozostaje pytanie, czy mam mówić wprost - dokończył nagle Peter Salhus, wbijając wzrok w Amerykanina.

Warren się poddał. Nawet nie mrugnął.

- Cóż - podjął wreszcie Peter Salhus. - Wydaje mi się, że tak. - Podsunął Warrenowi jedną ze szklanek, Amerykanin jej nie tknął.

- Przede wszystkim - kontynuował Salhus - muszę podkreślić, że mam pełne zaufanie do policji z Oslo. Terje Bastesen pracuje w resorcie od prawie czterdziestu lat. Był funkcjonariuszem, zanim został prawnikiem. Może się wydawać... - Przekrzywił głowę, szukając odpowiedniego określenia.

- .. .bardzo norweski - podsunął Warren.

- Być może - potwierdził szef służby bezpieczeństwa bez uśmiechu. -Ale nie można go nie doceniać. Uważam, że w tej sprawie musimy wiązać nadzieje z policją. Tu, w PSB, w ciągu ostatniej doby przejrzelismy wszystkie informacje, zebrane przez wywiad przed wizytą pani prezydent. Obróciliśmy na wszystkie strony każdy raport i analizę, sprawdzając, co mogliśmy przeoczyć, do czego nie przywiązaliśmy należytej wagi, co mogłoby nam jeszcze coś zasugerować. Co mogłoby nas ostrzec. Z całej Europy ściągnęliśmy

wszelkie istotne informacje o znanych grupach, niejasnych powiązaniach i pojedynczych osobach... - Położył dłonie płasko na głowie. - I nic. Przynajmniej na razie.

Warren Scifford zdjął okulary i z kieszeni wyjął ściereczkę do szkieleł. Zaczął je czyścić powoli, niemal z czułością.

- My coś mieliśmy - powiedział cicho. - Przed jedenastym września. Ta informacja istniała. Była tam, a my nic z nią nie zrobiliśmy. Po prostu jej nie zauważyliśmy. Informacja, która mogła ocalić życie niemal trzem tysiącom ludzi, utonęła wśród całej reszty.

Wśród tego wszystkiego, co...

Włożył okulary, nie kończąc zdania.

- Tak to już jest w tej branży. - Salhus pokiwał głową. - Muszę przyznać, że wczoraj przed południem najbardziej ze wszystkiego bałem się jednej rzeczy: chwili, gdy któryś z moich pracowników przyjdzie do mnie z informacją, którą przeoczyliśmy. Z kawałeczkiem puzzli, odłożonym przez nas na bok, ponieważ nie pasował do obrazka. Byłem pewien, że coś takiego się znajdzie. Ale na razie... - Rozłożył ręce i powtórzył: - Nic. - Po chwili przerwy dodał jakby na próbę: - A co u was? Znaleźliście coś? - Pytanie zabrzmiało życzliwie.

Warren zareagował nieznacznym uniesieniem brwi. W końcu sięgnął po szklanekę z wodą, ale nie uniósł jej do ust.

- Wspomniałeś chyba o świadkach - powiedział, patrząc na Yng-vara Stub0.

- To znaczy, że coś macie - stwierdził Salhus.

Warren wreszcie zaczął pić. Nie śpieszył się. Kiedy skończył, wytarł usta chusteczką i odstawił szklanekę. Twarz miał bez wyrazu, gdy podnosił wzrok na szefa służby bezpieczeństwa.

- Świadkowie - przypomniał.

- Apelowalem o wzajemne zaufanie.

- Ufam ci.

-Nie.

-Ależ tak. Absolutnie. W naszej branży jest bardzo wielka różnica między zaufaniem a gadulstwem. Dobrze o tym wiesz. W chwili gdy zobaczę, że potrzebne wam są informacje, które ewentualnie będziemy posiadali, dostaniesz je. Ty. Osobiście. To mogę ci obiecać. Akurat w tej chwili ja muszę się dowiedzieć, o co chodzi z tymi świadkami.

Salhus wstał i podszedł do okna. Poranek zapowiadał się obiecująco, ze słońcem i pojedynczymi, lekkimi wiosennymi chmurkami. Teraz jednak chmury pociemniały i szykowały się do ataku od południa. Salhus już widział welon deszczu nadciągającego znad Oslofjorden. Długo stał, przyglądając się niebu.

U Yngvara świadomość, że jest zbędny, stała się tak dominująca, że zastanawiał się, czy się nie wycofać. Już dawno powinien był zadzwonić do domu. Podejmując rano decyzję, miał silne przekonanie, że jedynym słusznym krokiem jest usłuchanie rozkazu. Kiedy się obudził i po cichu wstał z łóżka, ogarnął go niezwykle gniew. Żołądek miał zaciśnięty w supeł, nie mógł jeść, a nie przypominał sobie, by kiedykolwiek dobrowolnie zrezygnował z posiłku. Teraz burczało mu w brzuchu. Najbardziej chciał stąd wyjść. Wrócić do domu. Ta sprawa przerastała wszystko, z czym do tej pory miał do czynienia, i czuł, że w żaden sposób nie może pomóc. A jeśli miał po prostu pełnić funkcję przewodnika Warrena Scifforda w jego wędrówce od jednej norweskiej instytucji do drugiej, to zadanie było upokarzające.

Liścik pozostawiony Inger Johanne też mógł chyba mieć cieplejszy ton. Trzeba niedługo zadzwonić do domu.

- Stub0! - powiedział nagle szef służby bezpieczeństwa, od wracając się. - To coś dla ciebie.

Yngyar podniósł głowę. Zaskoczony wyprostował się na krześle jak uczeń przyłapany w środku lekcji na marzeniu o niebieskich migdałach.

- Tak?

Peter Salhus poświęcił pięć minut na omówienie zgłoszeń od świadków. Z policją skontaktowało się blisko trzydzieści osób i wszystkie zauważyły to samo: dwóch mężczyzn, kobietę przypominającą Madam President, niebieski samochód. Mniej więcej połowa uważała, że to ford. Pozostali byli pewni jedynie co do koloru. Wszyscy bez wyjątku twierdzili, że kierowca niebieskiego samochodu najwyraźniej nie podejmował żadnych szczególnych wysiłków, by go nie zobaczono.

- I tu mamy problem - zakończył, wskazując na mapę, którą narysował.

Szkic Norwegii przypominał zniszczoną rękawicę z jednym palcem, powieszoną do suszenia. Peter Salhus odłożył długopis i skrzyżował ręce na piersi. Dwaj pozostali mężczyźni pochylili się nad rysunkiem.

- To nie może być prawda - orzekł Yngvar.

- Ale jest - odparł Salhus. - Tak to wygląda. - Odchylił się i dodał: - Takie informacje otrzymaliśmy od ludzi. No cóż, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę zwykle zastrzeżenia, że niektóre z tych zgłoszeń mogą być mylne, a część jest wręcz kłamliwa, to i tak nie może być prawda. Pod tym względem masz całkowitą rację.

Yngvar jeszcze raz przebiegł wzrokiem poszczególne punkty na uproszczonej mapie. Szef służby bezpieczeństwa przy czerwonych punkcikach naskrobał godziny, w których dokonano obserwacji.

-A więc to jest droga E6 w kierunku Szwecji. - Yngvar przesunął palcem po regionie Ostfold. - A to E18 w stronę Kristiansand. I tutaj... - Palec przeniósł się w stronę Trondheim.

- To nie należy do mnie - powiedział Salhus cicho, drapiąc się w brodę. - Policja sama to sprawdzi. Nie wiem, może już to zrobiła. To przecież oczywiste.

- To ślepy ślad! - zawołał Yngvar. - Wszystko to jedna wielka bzdura!

- No właśnie.

Warren Scifford nie odezwał się ani słowem, gdy Salhus rysował i wyjaśniał. Teraz prawą ręką sięgnął po mapę i wpatrując się w sznurek koralików zaznaczonych na terenie całej południowej Norwegii, powiedział:

- Znasz odległości. Obliczyłeś, o ilu fordach z ubranymi na czerwono kobietami może tu być mowa?

- Co najmniej o dwóch - odparł Salhus. - Przypuszczalnie o trzech. Istnieje możliwość dojechania stąd - pokazał na mapie

- dotąd, licząc niezbędny margines. Między tymi dwoma miastami - palec przesunął się z Larvik na Hamar - też da się przejechać w ciągu trzech i pół godziny. Nie jest to łatwe, ale ponieważ było święto i ruch niewielki, można to uznać za możliwe.

- A więc dwa wozy - mruknął Warren Scifford. - Przypuszczał nie trzy.

- Które jeździły po Norwegii i bardzo się starały, żeby ktoś je zobaczył - uzupełnił Yngvar. - Dlaczego ktoś, na miłość boską, miałby uruchamiać taką akcję? Wiadomo przecież, że odkrycie tego to jedynie kwestia czasu.

Światło dzienne nie było już tak ostre. Zerwał się wiatr i nagle deszcz uderzył o szyby. Na parapecie przysiadła mewa. Czarne jak węgiel oko intensywnie gapiło się na coś w pokoju. Nagle ptak otworzył dziób do krzyku.

- No właśnie - powiedział głośno Salhus. - Chcą marnować nasz czas i wywołać dezorientację.

Mewa uniosła się w powietrze i zniknęła, nurkując w stronę ziemi. Z nieba sypnęło gradem. Lodowe kulki miały wielkość ziarenek pieprzu, głośno waliły w szybę.

- Ale wszystko ma swoją dobrą stronę - podjął nagle Salhus z udawaną wesołością. - Mamy kilka pięknych zdjęć kierowcy. Albo kierowców. Przynajmniej z dwóch stacji benzynowych, z tego

co słyszałem. I chociaż w całym tym manewrze chodzi o *look-alike* na wycieczce samochodowej, bardzo interesujące byłoby wiedzieć, kto ich na tę wycieczkę wyprawił. Będziesz musiał o to spytać

komendanta policji, Warrenie. Jak już mówiłem, to nie moja działka. Rozmawiaj z policją. Ale zanim wyjdziecie... - Peter Salhus przygryzł wargę i zawahał się przez chwilę, nim spytał: - Właściwie dlaczego tu jesteś?

Warren Scifford spojrział na niego, lekko unosząc brwi.

- Dlaczego wysłali akurat ciebie? - uściślił Salhus. - Z tego, co zrozumiałem, kierujesz czymś w rodzaju... jednostki antyterrorystycznej, działającej w oparciu o psychologię behawioralną. To się zgadza?

Amerikanin obojętnie kiwnął głową.

- Nie jesteś więc z kierownictwa FBI. Nie dowodzisz żadną grupą operacyjną. A mimo to przysyłają...

- Tu się mylisz. Prowadzimy działania operacyjne, jak najbardziej.

- Mimo wszystko nie mogę zrozumieć - upierał się, pochylony nad biurkiem Peter Salhus. - Dlaczego nie przysyłają kogoś...

- Znakomita uwaga - przerwał mu Warren Scifford. - Bardzo dobra. Oczywiście macz rację.

Yngvarowi po raz pierwszy wydało się, że dostrzeżę u tego pewnego siebie mężczyzny cień bezradności. Jego wzrok na moment uciekł, a ściągnięcie ust sprawiło, że wydał się starszy, wręcz stary. Nic jednak więcej nie powiedział. Grad ustał równie nagle, jak się pojawił.

- Co do czego? - spytał cicho Peter Salhus.

- Że moi koledzy nie wierzą, by odpowiedź na tę zagadkę kryła się w Norwegii - odpowiedział Warren i odetchnął głęboko.

- Rzecz w tym, że wysłali mnie, ponieważ nie chcieli mnie w kraju. Są przekonani, że możemy znaleźć rozwiązanie w chaosie własnych informacji, które już posiadamy, należy je tylko połączyć z prowadzonym obecnie śledztwem. Ono jest... intensywne, łagodnie mówiąc. Wy, Europejczycy, pewnie powiedzielibyście: bezwzględne. - Sięgnął po szklanke, zawahał się i odstawił ją. Była pusta.

- FBI uważa, że zniknięcie pani prezydent to atak terrorystyczny,

z którym poradzić sobie mogą tylko Stany Zjednoczone - ciągnął.

- Norwegia w tym kontekście jest malutkim... bardzo malutkim i nie nieznaczącym państwem... - Uśmiechnął się przelotnie, niemal przepraszająco, i wzruszył ramionami. - Na pewno to rozumiecie. A ponieważ ja i moi ludzie mamy nieco inną niż kierownictwo opinię o tym, kim jest terrorysta, co terroryści chcą osiągnąć i w jaki sposób... - Znow urwał. Wyprostował się na krześle, potarł marynarkę na piersi, potem się nachylił i spojrzał Salhusowi w oczy.

- Wewnętrzne konflikty w FBI raczej cię nie interesują, prawda?

- zapytał retorycznie. - A ja też nie widzę potrzeby, by o nich dyskutować. Ale chyba nie zdradzę za wiele, jeśli powiem, że podejrzenia Stanów Zjednoczonych w tej sprawie kierują się tylko w jedną stronę. W stronę Al-Kaidy. Oni mają pieniądze. Mają siatkę. Mają motyw. I, jak wiadomo, już wcześniej nas atakowali.

- Ale nie twoje - powiedział Salhus.

- Słucham?

- Twoje podejrzenia nie kierują się w stronę Al-Kaidy. Warren Scifford nie odpowiedział. Palcami przecesał włosy.

Zapachniało szamponem.

- Ty jesteś szefem służby bezpieczeństwa - rzucił wreszcie nieco

za głośno. - Co o tym myślisz?

Teraz to Peter Salhus nie chciał puścić pary z ust. Stukał długopisem o blat biurka.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Warren Scifford.

- Nic nie mówiłem.

- Owszem. Obaj wiemy, że to bardzo dalekie od Al-Kaidy. Osama bin Laden pragnie siać strach. Al-Kaida to święci bojownicy, napędzani płomienną nienawiścią. Dążą do spektakularnych scen czystego terroru. To terroryści w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

- Terror - Salhus schował długopis do szuflady - w przybliżeniu definiuje się jako nielegalne działanie, w którym ofiara przemocy lub gróźb nie jest głównym celem, tylko środkiem ataku

na większą grupę ludzi. Terror to, krótko mówiąc, zastraszenie. Czy porwanie amerykańskiej prezydent nie jest więc działaniem terrorystycznym? Z tego, co widzę w wiadomościach... - Ruchem głowy wskazał na stary odbiornik telewizyjny. - To właśnie strach zapanował teraz w twojej ojczyźnie.

- Albo niepewność. - Yngvar chrząknął. - Obezwładniająca nie pewność. To może być jeszcze gorsze. Osobiście nie kojarzę tego z terrorem. To mi wygląda raczej, jakby ktoś... - nabrał powietrza, szukając właściwego słowa, wpatrzony w narysowaną przez Salhusa mapę Norwegii, upstrzoną czerwonymi punkcikami - ...jakby ktoś się z nami bawił - dokończył wreszcie. - Jakby ktoś z nas drwił. Niezbyt to pasuje do stylu Osamy bin Ladena.

Dwaj pozostali mężczyźni popatrzyli na Yngvara. Salhus zaskoczony pokiwał głową i wzruszył ramionami. Chciał coś dodać, ale Warren Scifford nagle wstał.

- Musimy już iść.

Yngvar wciąż czuł się niepewnie, gdy w drzwiach ścisnął wyciągniętą rękę Salhusa. Amerykanin z komórką przy uchu już szedł do windy.

- Masz całkowitą rację - powiedział Salhus ścisłym głosem po norwesku. - Oni się z nami bawią. Ktoś ma motyw, środki i możliwości, żeby z nas drwić. A mnie, do cholery, wydaje się, że ten twój kumpel podejrzewa, kto to może być. Jeśli tylko wpadniesz na najdrobniejszy ślad, o co w tym wszystkim może chodzić, kontaktuj się ze mną. Natychmiast, dobrze?

Yngvar lekko skinął głową i ze zdumieniem uświadomił sobie, że dłoń szefa służby bezpieczeństwa jest zimna i lepka.

9

Abdallah al-Rahman pokochał nowo narodzone źrebę. Klaczka była kruczoczarna jak jej matka, ale bledsza plamka między

oczami pozwalała żywić nadzieję, że odziedziczy po ojcu białą strzałkę. Nogi miała nieproporcjonalnie długie, takie jakie powinny być u jednodniowego źrebięcia. Tułów był zgrabny, sierść lśniąco gładka. Zwierzę cofnęło się chwiejnie, gdy wolnym krokiem wszedł do boksu z wyciągniętą ręką. Klacz parsknęła agresywnie, ale szybko ją uspokoił kilkanaście szeptanymi słowami i pogładzeniem po pysku.

Abdallah al-Rahman był zadowolony. Wszystko szło według planu. Wciąż nie miał z nikim żadnego bezpośredniego kontaktu, nie uważał tego za konieczne. W całym swoim dorosłym życiu nie zrobił ani jednego zbędnego kroku. Życie było odmierzonym fragmentem czasu, należało zachowywać równowagę, realizować określoną strategię. Przypominało fantastyczne kobierce, zdobiące podłogi w trzech pałacach, których na razie potrzebował.

Tkaczka zawsze ma plan, nie pracuje na chybił trafił. Wie, jak się posuwać naprzód, i wie, że to wymaga czasu. Niekiedy pod wpływem natchnienia potrafi łączyć najpiękniejsze wzory i barwy, wiedzona impulsem. Perfekcja ręcznie tkanego kobierca tkwi jednak w niedoskonałościach, w małych odstępstwach od tego, co zostało z góry zaplanowane, w połączeniu z zachowaniem surowej symetrii i porządku.

Najpiękniejszy ze wszystkich kobierców leżał w sypialni Abdallaha. Utkanie go zajęło matce osiem lat. Kiedy dzieło zostało ukończone, trzynastoletni Abdallah dostał prezent. Nikt wcześniej nie widział takiego kobierca. Złociste tony mieniły się w zależności od kąta padania światła i utrudniały stwierdzenie, jaki to naprawdę kolor. Nikt nigdy nie widział równie gęstych węzełków ani nie wyczuwał wprost niepojętej miękkości i pełni jedwabiu.

Źrebię podeszło bliżej. Oczy miało czarne jak węgiel, otworzyło je szeroko. Zatoczyło się na bok, musiało podrzucić głowę, by utrzymać równowagę. Parsknęło bezradnie, przyciskając się do boku matki, ale na próbę zrobiło jeszcze jeden krok w stronę mężczyzny.

Życie Abdallaha przypominało kobierzec. Po śmierci brata zdecydował, jak będzie wyglądało. Z latami wprowadził kilka zmian, delikatnych poprawek, ale właściwie nigdy nie wyszedł poza to, co robiła jego matka. Nieco ciemniejsza nitka tu i ówdzie albo jakiś nowy odcień, ponieważ był piękny i doskonale pasował.

Starszego o trzy lata brata zabito na Brooklynie, dwudziestego sierpnia 1974 roku. Wracał do domu od amerykańskiej przyjaciółki, o której rodzice nic nie wiedzieli. Było bardzo późno. Gdy nazajutrz znalazła go jakaś starsza kobieta, jego organy płciowe w wyniku ciosów i kopniaków były zmienione w krwawą masę. Ojciec chłopców natychmiast pojechał do Stanów, a miesiąc później wrócił już jako stary człowiek.

Zabójstwa nigdy nie wyjaśniono. Mimo wysokiej pozycji ojca w rodzinnym kraju i jego bezdyskusyjnego autorytetu nawet wobec amerykańskich władz, śledczy odpowiedzialny za wykrycie sprawy po dwóch tygodniach wrzucił ramionami i nie patrząc mu w oczy, z ubolewaniem stwierdził, że winni raczej nigdy nie zostaną ujęci. Tyle było zabójstw, tylu młodych chłopców nie rozumiało, że powinni się trzymać z daleka od niebezpiecznych dzielnic i wracać do domu przed północą. Poskarżył się, że organy ścigania mają bardzo mało środków, i na dobre zamknął cienką teczkę z aktami sprawy.

Ojciec znał człowieka, który dużo później miał zostać pierwszym prezydentem Bushem. Wyświadczył mu niejedną przysługę, a teraz wreszcie nadszedł czas, by domagać się czegoś w zamian. Nie udało mu się jednak skontaktować ze swoim wpływowym przyjacielem. Kilka dni wcześniej Richard Nixon został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska. Nowym prezydentem USA został Gerald Ford. I tego samego wieczoru, gdy młodego cudzoziemca skopano na śmierć w jakiejś ciemnej uliczce na Brooklynie, prezydent Ford oznajmił, że do Białego Domu jako czterdziesty pierwszy wiceprezydent Stanów Zjednoczonych wejdzie Nelson Rockefeller. Głęboko rozczarowany George Bush senior miał inne

problemy niż myślenie o dawnym arabskim znajomym i jeszcze tego samego roku wyjechał do Chin lizać polityczne rany.

Abdallah tej jesieni gwałtownie wydorósł. Miał zaledwie szesnaście lat, natomiast ojciec nigdy już na powrót nie stał się sobą, chociaż nadal prowadził interesy. Otaczali go przyzwoici ludzie i mimo że pierwsza połowa lat siedemdziesiątych to w branży naftowej były burzliwe czasy, majątek rodzinny systematycznie rósł.

Tak, ojciec już nie był ten sam. Coraz częściej oddawał się medytacjom religijnym, prawie nie jadał. Nie potrafił nawet zaprotestować, gdy Abdallah opuścił rodziców i sześć sióstr, by zdobyć na Zachodzie wykształcenie, pierwotnie przewidziane dla starszego brata.

Spółkami, których z czasem było coraz więcej, kierowali zdolni ludzie. Abdallah im ufał, lecz już jako dwudziestolatek wtrącał się niemal we wszystko. Bywał w domu tak często, jak tylko mógł. Gdy skończył dwadzieścia pięć lat, ojciec zmarł z żalu za synem, zmarłym prawie dziesięć lat wcześniej.

Abdallah się tego spodziewał i zawarł ten element w planie swojego kobierca życia, w którym nic nigdy nie miało go zaskoczyć. Stał się głową i jedynym właścicielem koncernu, o którym nikt nie posiadał dostatecznej wiedzy, by móc ocenić jego wartość, tylko on sam był w stanie dokonać ostrożnych szacunków, lecz nigdy nikomu ich nie ujawnił.

Zaskoczyło go wyłącznie to, że nie odczuwał gniewu.

Pół roku po śmierci brata był rzeczywiście wyczerpany strasliwym gniewem. Rozchorował się. W szwajcarskim sanatorium przywrócono mu równowagę i wściekłość zastąpił wykalkulowany spokój, z którym żyło mu się o wiele łatwiej. Podczas gdy gniew odbijał się na wszystkim i wszystkich, a ponadto zżerał go od środka, tak jak ojca pożerała żaloba, wyrachowany cynizm był czymś, nad czym Abdallah mógł panować. Odkrył wartość dalekowzrocznego planowania i przemyślanej strategii. Podarunek od matki przeniósł

do sypialni, aby móc przyglądać się kobiercowi przed zaśnięciem i w chwilach, gdy z rzadka budził się w nocy ze snu o bracie.

Żrebię było najpiękniejsze, jakie widział w życiu. Miało idealnie kształtny pysk o niezwykle małych, drgających chrapach. Z oczu zwierzęcia zniknęło już przerażenie, a długie rzęsy przypominały skrzydła motyla. Żrebak podszedł do niego, gdy usiadł na beli słomy, w oczekiwaniu na zaufanie płochliwego stworzenia.

- Ojczy!

Abdallah wolno obrócił głowę. Nad przegrodą dostrzegł włosy najmłodszego syna, który próbował podciągnąć się na rękach, żeby zobaczyć nowego żrebaka.

- Zaczekaj chwilę - powiedział ojciec łagodnie. - Zaraz wyjdę.

Bardzo delikatnie pogładził żrebiątko po szyi. Nachyliło się, drząc leciutko. Abdallah z uśmiechem dotknął pyska. Zwierzę cofnęło się przestraszone. Mężczyzna wstał, powoli wyszedł z boksu i zamknął drzwi.

- Ojczy! - powtórzył rozpromieniony chłopiec. - Mieliśmy dziś oglądać film. Obiecałeś!

- Nie wolałbyś raczej trochę pojeździć konno? W hali, tam jest chłodno.

- Nie. Mówiłeś, że obejrzymy film! We dwóch!

Abdallah wziął sześciolatka na ręce i ruszył w stronę wielkich drzwi stajni. Ponieważ w Arabii Saudyjskiej nie było legalnie działających kin, Abdallah urządził własną, dziesięcioosobową salę projekcyjną z ekranem typu *silver screen*.

- Obiecałeś, że będę mógł obejrzeć - marudził chłopiec.

- Później. Obiecałem, że to będzie wieczorem.

Pachnące czystością włosy chłopca łaskotały go w nos. Uśmiechnął się i pocałował synka, zanim postawił go na ziemi.

Najmłodszy miał na imię Rashid po zmarłym stryju. Do żadnego z jego czterech starszych braci nie pasowało to imię. Wszyscy odziedziczyli rysy po rodzinie ze strony matki. W końcu na świat przyszedł piąty syn. Zaraz po jego urodzeniu Abdallah zauważył

u dziecka mocną bródkę z maleńkim dołkiem. Kiedy chłopiec miał dwa dni i wreszcie otworzył oczy, okazało się, że lewym leciutko zezuje. Abdallah roześmiał się uszczęśliwiony i nazwał go Rashidem.

Abdallah nigdy nie myślał o pomszczeniu śmierci brata, przynajmniej odkąd pierwsza fala wściekłości minęła i wrócił ze Szwajcarii. Nie wiedział, na kim miałby się mścić. Sprawców nigdy nie schwytano. Jako młody Arab nie mógłby na własną rękę prowadzić śledztwa w sprawie zabójstwa w Stanach Zjednoczonych, bez względu na to jakimi możliwościami finansowymi by dysponował. Śledczy, który umorzył sprawę, sam był ofiarą systemu i z pewnością ukaranie go byłoby tylko marnowaniem czasu i środków.

Nienawiść, jedyną prawdziwą nienawiść, jaką Abdallah al-Rahman długo pozwalał sobie żywić, kierował pod adresem Geoga Busha seniora. Człowiek, który został później szefem CIA, był wtedy, w roku 1974, winien ojcu przysługę, a posiadał przecież znaczne wpływy. Wystarczyłby jeden telefon, by umorzono śledztwo wznowiono. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że Rashid został zabity przez gang młodocianych rasistów, nieakceptujących kontaktów „arabusa” z blondynkami, nadanie toku sprawie nie powinno nastęrczać zbyt wielu problemów. Gdyby tylko ktoś zechciał, znalazłyby się siły i możliwości, by potraktować ją priorytetowo.

Ale George'a Herberta Walkera Busha bardziej zaprzętało pielęgnowanie urazy z powodu nieotrzymania stanowiska wiceprezydenta niż odpowiadanie na kolejną próbę nawiązania kontaktu przez znajomego od interesów, o którym postanowił zapomnieć.

W miarę jak czas płynął, Abdallah coraz lepiej rozumiał, że z okoliczności towarzyszących śmierci brata powinien wyciągnąć najważniejszą naukę, a mianowicie, że jedna przysługa nie jest warta drugiej. Chyba że ma się coś w zanadrzu. Coś, co unieвозмоżliwia zapomnienie o długu, czy się tego chce, czy nie. Wielu ludzi miało więc wobec niego spore długi, bo Abdallah okazywał

szczodrość przez blisko trzydzieści lat, nigdy nie oczekując **nic** wielkiego w zamian.

Czas na to jeszcze nie nadszedł. Dopiero Helen Lardahl Bentley przyniosła mu ostateczne potwierdzenie zdobywanego całe życie doświadczenia: nigdy, przenigdy nie ufaj Amerykaninowi.

- Mogę obejrzeć jakiś film akcji, ojcze? Mogę?

- Nie możesz, dobrze wiesz. To nie są filmy dla ciebie.

Abdallah zmierzwił synkowi włosy. Chłopczyk zrobił obrażoną minę, a potem ze spuszczoną głową, szurając nogami, poszedł szukać braci. Przyjechali z Rijadu poprzedniego wieczoru i mieli zostać w pałacu przez cały tydzień.

Abdallah obserwował syna, dopóki chłopiec nie zniknął za rogiem wielkiego budynku stajni. Dopiero potem skierował się do cieniściego ogrodu. Miał ochotę popływać.

10

Hannę Wilhelmsen żyła bez przyjaciół.

Takie życie wybrała, ale nie zawsze tak ono wyglądało.

Miała czterdzieści pięć lat; dwadzieścia z nich przepracowała w policji. Jej kariera zakończyła się między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem 2002, gdy została postrzelona w czasie zatrzymania poczwórnego mordercy. Rewolwerowa kula dużego kalibru utkwiała między dziesiątym a jedenastym kręgiem piersiowym. Z przyczyn, których lekarze nie potrafili do końca pojąć, tam się zatrzymała. Gdy ciało obce usunięto, chirurga tak zafascynowały przypominające kaszę szczątki tego, co kiedyś było sprawnie funkcjonującymi nerwami, że kazał je sfotografować. W duchu myślał, że nigdy w życiu nie widział większego koszmaru.

Komendant błagał Hannę, by została w policji. Często ją odwiedzał w okresie rekonwalescencji, mimo że stawiała się coraz bardziej odpychająca. Proponował odpowiednie przystosowanie

stanowiska pracy i szczególne warunki. Mogłaby wybierać zlecenia z najwyższej półki, nie brakowałyby jej żadnej pomocy, ani technicznej, ani ludzkiej.

Ale Hannę nie chciała. Dwa miesiące po operacji złożyła wypowiedzenie.

Nikt nigdy nie podawał w wątpliwość wyjątkowych zdolności Hannę Wilhelmsen. Zwłaszcza młodszy funkcjonariusze uważali ją za wzór. Nie znali jej i jeszcze nie zdążyli mieć dość jej dziwnego, pełnego dystansu zachowania, które uniemożliwiało bliższy kontakt. Aż do tamtej katastrofalnej strzelaniny wybierała sobie na ogół do współpracy kogoś w rodzaju protegowanych. Lubiła podziw, bo podziw oznaczał dystans, a właśnie dystans Hannę Wilhelmsen stawiała na pierwszym miejscu. Była też dobrą nauczycielką.

Ale jej rówieśnicy i starsi koledzy już dawno przestali tolerować tę wyniosłość. Również oni przyznawali, że Hannę jest jedną z najlepszych śledczych, jakich kiedykolwiek zatrudniała komenda w Oslo, ale jej samowola i cicha niechęć do współpracy z innymi z czasem zaczęła być męcząca. I chociaż cały resort był wstrząśnięty tym, że koleżanka podczas zatrzymania przestępcy odniosła groźne dla życia obrażenia, to jednak szeptano po kątach, że dobrze będzie pozbyć się tego babska. Szepty w końcu umilkły i większość kolegów o niej zapomniała, tak jak prędzej czy później odchodzą w zapomnienie wszyscy, których się nie widuje.

W ciągu lat spędzonych w policji Hannę miała tylko jednego prawdziwego przyjaciela. Ocalił jej życie, gdy nieprzytomna leżała w domku letniskowym w Nordmarka, wykrwawiając się niemal na śmierć- Olbrzym czuwał nad nią w szpitalu przez trzy doby, dopóki nie zaczął cuchnąć tak, że pielęgniarka dosłownie wypchnęła go za drzwi, mówiąc, że najlepiej przysłuży się wszystkim, jeśli wróci do domu i się umyje. Kiedy stało się jasne, że Hannę przeżyje, uczeplił się jej ręką i płakał jak dziecko.

Hannę odrzuciła również jego.

Minął rok, odkąd zajrzał do niej ostatnio, by przekonać się, czy została choćby jeszcze jakaś nikła resztką przyjaźni, na której dałoby się odbudować kontakty. Gdy kwadrans później za jego szerokimi zgarbionymi plecami zatrzasnęły się drzwi, Hannę Wilhelmsen upiła się szampanem i zamknięta na klucz w sypialni, pocięła policyjny mundur na paski, które później spaliła w kominku.

Hannę Wilhelmsen po raz pierwszy w swoim dziwnym, zwichrowanym życiu czuła się naprawdę dobrze.

Związała się z kobietą, która z czasem zaakceptowała własne podwójne życie. Nefis miała swoją pracę na uniwersytecie, swoich przyjaciół i toczące się poza mieszkaniem na Kruses gate jedno życie, w którym jej partnerka była całkowicie nieobecna. W drugim, w domu, czekała na nią Hannę, zawsze zasypująca ją pytaniami, zawsze tak samo spokojna i uradowana tym, że ją widzi.

Łączyło je też to szczęście, że miały Idę.

- Gdzie Ida? - spytała Inger Johanne. Usiadła na kanapie z podwiniętymi nogami. Na wielkim plazmowym ekranie zaczęło się właśnie specjalne wydanie wiadomości telewizji państwowej NRK.

- Jest w Turcji razem z Nefis. Pojechali odwiedzić dziadków.

Inger Johanne o nic więcej nie spytała.

Hannę ją polubiła, ponieważ Inger Johanne nie była przyjaciółką i wcale się nie domagała przyjaźni. Nie wiedziała o Hannę nic oprócz tego, co musiała usłyszeć od innych. Oczywiście, mogły to być różne rzeczy, ale ona nigdy nie próbowała grzebać, drażnić ani pytać. Dużo mówiła, ale nigdy o Hannę. Ponieważ Inger Johanne była osobą najbardziej szczerą w swojej ciekawości, z jaką Hannę kiedykolwiek się zetknęła, jej pozorny brak zainteresowania należało uznać za nie lada osiągnięcie, które dowodziło niezbicie, że kobieta zna się na swoim fachu. Jest prawdziwą profilerką.

Inger Johanne rozumiała Hannę Wilhelmsen i zostawiała ją w spokoju. Najwyraźniej też ceniła sobie jej towarzystwo.

- Och, nie! - Inger Johanne z westchnieniem zamknęła oczy.
- Tylko nie ona!

Hannę, która czytała książkę, zerknęła na ekran.

- Nie zejdzie z ekranu, żeby cię zjeść - powiedziała spokojnie i wróciła do czytania.

- Ale dlaczego oni zawsze muszą... - zaczęła Inger Johanne z rezygnacją, ciężko wzdychając. - Dlaczego akurat ona stała się wyrocznią w sprawach wszystkich przestępców i przestępstw?

- Dlatego że ty nie chciałaś. - Hannę uśmiechnęła się; kiedyś Inger Johanne w proteście opuściła studio telewizyjne podczas debaty nadawanej na żywo, i więcej jej już nie zapraszano.

Wencke Bencke była najsłynniejszą autorką powieści kryminalnych w kraju. Przez szereg lat żyła jako niedostępna i niesympatyczna ekscentryczka, ale w zeszłym roku zdecydowała się wejść w światła rampy. Ginęli kolejni sławni ludzie, a policja nie była w stanie rozwikłać sprawy. Inger Johanne wbrew swojej woli została wciągnięta w śledztwo, lecz również jej te zabójstwa długo wydawały się pozbawione motywu i powiązania. Wencke Bencke stała się ulubioną ekspertką mediów, brylowała wiedzą na temat charakteru i absurdalnej logiki rozumowania przestępców, jednocześnie z ironią odcinając się od wysiłków policji. W telewizji wypadało to naprawdę efektownie.

Jesienią tamtego roku wydała swoją ósmą, najlepszą powieść. Bohaterką była autorka powieści kryminalnych, mordująca z nudów. W ciągu trzech miesięcy sprzedano sto dwadzieścia tysięcy egzemplarzy, a prawa do publikacji zakupiły natychmiast wydawnictwa z ponad dwudziestu krajów.

Jedynie garstka ludzi, wśród nich Inger Johanne i Yngvar, wiedziała, że książka tak naprawdę opowiada o Wencke Bencke. Nie byli w stanie niczego jej udowodnić, ale wiedzieli wszystko. Pisarka sama o to zadbała. Pozostawione przez nią ślady nie nadawały się do wykorzystania jako dowody, Inger Johanne Vik jednak wystarczyły. Uważała zresztą, że właśnie ją autorka chciała podrażnić w ten sposób.

Wencke Bencke uniknęła kary za zabójstwa.

Od czasu do czasu, w bezsennej noc po ujrzeniu szerokiego uśmiechu Wencke Bencke podczas przypadkowego spotkania nad ladą chłodniczą w supermarkecie lub późnym wieczorem pod domem na Hauges vei, gdzie tamta machała jej beztrzesko, Inger Johanne wciąż nie mogła uwolnić się od myśli, że te zabójstwa zostały popełnione po to, by ją dreczyć. Nie potrafiła jedynie pojąć dlaczego. Poprzedniej jesieni, kiedy jechała do domku letniskowego, z obydwójgiem dzieci na tylnym siedzeniu, na skrzyżowaniu przy Ullernchaussen zbliżył się do niej jakiś samochód. Kierowca podniósł kciuk, zatrafił przeciągle i skręcił w prawo. To była Wencke Bencke.

- Przypadek - powtarzał za każdym razem zrezygnowany Yngvar. Mówił, że Oslo to małe miasto, a Inger Johanne powinna wreszcie zapomnieć o tej przeklętej sprawie.

Ona jednak zamiast tego poszła do Hanne Wilhelmsen. Początkowo przyciągnęła ją ciekawość. Hanne była legendą wśród tych, którzy wciąż o niej mówili. Jeśli ktokolwiek mógł pomóc Inger Johanne zrozumieć wencke Bencke, mogła to być tylko Hanne Wilhelmsen. Spokojna, wręcz obojętna postawa byłej komisarz działała uspokajająco. W przeciwieństwie do impulsywnej Inger Johanne, która kierowała się intuicją, Hanne zawsze analizowała wszystko na zimno, nie dawała się sprowokować, zachowywała chłód i opanowanie. No i umiała słuchać. Zawsze miała na to czas.

- Policja utknęła w miejscu - oświadczyła teraz autorka powieści kryminalnych w studiu i poprawiła okulary. - Rzadko można zobaczyć policjantów tak totalnie pogubionych. Z tego, co wiem, to mają problem rodem raczej ze staroświeckiej powieści kryminalnej niż z prawdziwego życia.

Prowadzący lekko się wychylił. Ujęcie się zmieniło, pokazywało teraz oboje. Zbliżyli się do siebie, jakby mieli się podzielić tajemnicą.

- Ach tak - powiedział mężczyzna z zachętą.

- Pani prezydent znajdowała się, rzecz jasna, pod pełną ochroną. Jak mogliśmy zobaczyć w licznych reportażach w ciągu ostatniej doby, podjęto wszelkie środki bezpieczeństwa. Między innymi kamery w korytarzach wokół...

- Nie przejmuj się - rzuciła Hannę cicho. - Możemy to wyłączyć.

Inger Johanne sięgnęła po poduszkę, na której odruchowo zacisnęła dłoń.

- Nie - odparła lekko. - Chcę posłuchać.

- Na pewno?

Inger Johanne kiwnęła głową, nie odrywając wzroku od ekranu. Hannę przez kilka sekund jej się przyglądała, w końcu ledwie dostrzegalnie wzduszyła ramionami i wróciła do książki.

- ...innymi słowy coś w rodzaju „tajemnicy zamkniętego pokoju” - ciągnęła z uśmiechem Wencke Bencke. - Nikt stamtąd nie wychodził, nikt nie wchodził.

- Skąd ona to wie? - spytała Inger Johanne. - Skąd ona, na miłość boską, zawsze wie, co robi policja? Przecież oni jej nie cierpią i...

- Policja cieknie jak durszlak z Ikei. - Hannę jakby wreszcie zainteresowała się rozmową w telewizji. - Zawsze tak było.

Inger Johanne przyłapała się na tym, że ją obserwuje. Hannę zamknęła książkę, która powoli zaczęła zsuwać jej się z kolan. Nie zważała na to, tylko podjechała wózkiem trochę bliżej i sięgnęła po pilota, żeby pogłościć fonię. Lekko wychylała się do przodu, jakby nie chciała stracić najmniejszego szczegółu z wyvodu pisarki. Powolnym gestem zdjęła okulary do czytania, nawet na chwilę nie odrywając oczu od ekranu.

Taka właśnie musiała być kiedyś, pomyślała Inger Johanne. Czujna i skupiona. Zupełnie inna od tej obojętnej postaci, która tkwi dobrowolnie uwięziona w ekskluzywnym mieszkaniu w zachodniej dzielnicy i czyta książki. Hannę wydawała się teraz znacznie młodsza, wręcz młoda. Oczy jej błyszczały, zwilżyła wargi

i powoli odgarnęła włosy za ucho. Zalśnił brylant, na który padło światło z okna. Gdy Inger Johanne otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, Hannę ostrzegawczo, choć prawie niezauważalnym gestem, podniosła palec.

- Łączymy się teraz z siedzibą rządu - oznajmił wreszcie prowadzący i skinął głową, dziękując pisarce. - Premier ma się spotkać...

- Musisz zadzwonić - oświadczyła Hannę Wilhelmsen, gasząc telewizor.

- Zadzwonić? Do kogo?

- Musisz zadzwonić na policję. Wydaje mi się, że zrobili głupstwo.

-Ale... ty sama zadzwoń. Przecież ja nie wiem co... nie znam...

- Posłuchaj! - Hannę odwróciła wózek w jej stronę. - Zadzwoń do Yngyara!

- Nie mogę.

- Pokłóciliście się. Tyle zrozumiałam, skoro przyszłaś tutaj szukać azylu. Musi chodzić o coś poważnego, inaczej nie zabrałabyś dziecka. Ale to nie moja sprawa. Nie interesuje mnie to.

Inger Johanne zorientowała się, że ma szeroko otwarte usta, zamknęła je czym prędzej.

- To w każdym razie jest ważniejsze - ciągnęła Hannę. -Jeżeli Wencke Bencke jest właściwie poinformowana, a istnieją wszelkie powody, by zakładać, że tak jest, to policja popełniła tak wielkie głupstwo, że...

Zawahała się, jakby sama nie miała odwagi uwierzyć w swoją teorię.

- To ty znasz policję z Oslo - zauważyła Inger Johanne nieśmiało.

- Nie. Nie znam nikogo. Ty musisz zadzwonić. Zatelefonuj do Yngyara, on już będzie wiedział, co zrobić.

- No dobrze, mów - zgodziła się Inger Johanne niepewnie i odłożyła poduszkę. - Co jest takie ważne? Co zrobiła policja?

- Raczej czego nie zrobiła - odparta Hanne. - A zaniechanie na ogół bywa gorsze.

11

Yngvar Stub0 stał przy drzwiach windy na czwartym piętrze siedziby policji i czuł się bardzo nieswojo. Wciąż nie miał możliwości zatelefonowania do żony. Poczucie, że zrobił coś złego, wymykając się z domu pogrążonego w porannej ciszy bez rozmowy z Inger Johanne, z każdą upływającą godziną dręczyło go coraz bardziej.

Warren Scifford musiał pochłonąć potężne śniadanie. Dwa razy odrzucił propozycję lunchu, a Yngvarowi żołądek przyrastał do kręgosłupa. Tym bardziej irytowała go ta przynajmniej pozornie pozbawiona jakiegokolwiek planu wędrówka Amerykanina między różnymi gabinetami przy Gr0nlandsleiret 44. Scifford coraz rzadziej się komunikował ze swoim norweskim łącznikiem. Od czasu do czasu mówił, że musi gdzieś zadzwonić, ale wtedy oddalał się na tyle, że Yngvar z takiej rozmowy nie był w stanie nic wychwycić. Ponieważ nie miał pojęcia, jak długo Warren będzie zajęty, nie mógł skorzystać z szansy na porozumienie się z Inger Johanne.

- Muszę iść - oświadczył Warren, zamykając komórkę prawie w biegu.

- A dokąd idziemy?

Yngvar czekał na niego prawie kwadrans. Mimo to usiłował okazywać życzliwość.

- Nie potrzebuję cię. Nie w tej chwili. Muszę wracać do hotelu. Jak mogę się z tobą skontaktować?

Yngvar wyjął wizytówkę.

- Tu masz numer komórki - pokazał. - Dzwoń, kiedy uznasz, że mogę ci się przydać. Odwieźć cię? Załatwić ci samochód?

- Ambasada już wysłała - odparł Warren lekko. - Dziękuję za pomoc. Na razie!

Pobiegł w stronę schodów i zniknął.

- Yngvar? Yngvar Stub0?

W jego stronę szła niewysoka, szczupła kobieta. Yngvar natychmiast zwrócił uwagę na jej buty. Obcasy były tak wysokie, że nie mógł pojąć, jak utrzymuje się na nogach. Twarz jej się rozjaśniła, gdy poznała, że to naprawdę on. Wspięła się na palce i lekko pocałowała go w policzek.

-Jak miło. - Yngvar uśmiechnął się szczerze. - Dawno się nie widzieliśmy, Silje. Co tam słychać?

- Uch... - Wydeła policzki i powoli wypuściła powietrze. - Mnóstwo roboty. Na pewno wiesz. Wszyscy jak jeden mąż pracują nad tą sprawą. Jestem tu już od ponad doby i będę miała bardzo dużo szczęścia, jeśli nie upłynie jeszcze pół dnia, zanim wrócę do domu. A u ciebie?

-Dziękuję. Ja...

Silje S0rensen popatrzyła nagle na niego tak, jakby dostrzegła coś zupełnie nowego w potężnej postaci, która wydawała się wciśnięta w nieco przyciasną marynarkę. Yngvar urwał i zakłopotany dotknął czubka nosa.

- Pracowałeś nad sprawą kradzieży obrazów Muncha - powiedziała szybko. - Prawda? I nad tym napadem na NOKAS.

- I tak, i nie - odparł Yngvar, rozglądając się dokoła. - Przy Munchu owszem, ale bezpośrednio przy NOKAS nie. Ale...

- Znasz środowisko włamywaczy, Yngvarze. Lepiej niż większość innych policjantów, prawda?

- No tak, pracowałem z...

- Chodź!

Sierżant Silje S0rensen pociągnęła go za rękaw. Poszedł za nią, choć właściwie wcale tego nie chciał. Poczucie, że jest traktowany jak bezpieczeństwa pies, stawało się coraz silniejsze. Wprawdzie kiedyś

pracował w tym budynku, ale wcale nie czuł się tu jak u siebie w domu i nie był pewien, dokąd Silje go prowadzi.

- Co u nas robisz? - spytała zdyszana, pośpiesznie sunąc w głąb korytarza i głośno stukając obcasami.

- Szczerze mówiąc, sam nie jestem do końca pewien.

- W ostatnich dniach nikt nie jest pewien niczego. - Uśmiechnęła się.

Wreszcie dotarli do niebieskich bezimiennych drzwi. Silje S0rensen zapukała i otworzyła, nie czekając na odpowiedź. Yngvar wszedł za nią. Przed trzema monitorami i czymś, co wyglądało na stół mikserski w studiu nagraniowym, siedział mężczyzna w średnim wieku. Odwrócił się na moment, mruknął „cześć” i zaraz znów skupił się na pracy.

- To naczelnik wydziału z Kripos, Yngvar Stub0 - przedstawiła go Silje.

- Z Nowej Kripos - z uśmiechem poprawił ją Yngvar.

- Śmieszna nazwa - burknął mężczyzna przy stole mikserskim. - Jestem Frank Larsen, sierżant.

Nie wyciągnął ręki, a oczy wciąż miał wbite w monitor. Czarno--białe zdjęcia ze stacji benzynowej, przedstawiające wchodzących i wychodzących klientów, migały z wściekłą szybkością na ekranie.

- Mało kto zna środowisko włamywaczy w Oslo lepiej niż Yngvar - oznajmiła Silje, przyciągając dwa krzesła do dużego stołu. - Siadaj!

Sierżant Larsen zdawał się teraz bardziej zainteresowany. Uśmiechnął się przelotnie do Yngvara, podczas gdy jego palce błyskawicznie przelatywały po klawiaturze. Ekran zgasł, po kilku sekundach ukazał się nowy obraz. Jakiś mężczyzna wychodził przez otwarte rozsuwane drzwi. Kamera musiała zostać zamontowana na suficie, bo pokazała go od góry. Mężczyzna omal się nie zderzył ze stojakiem na gazety i naciągnął na czoło czapkę z daszkiem.

- Nie zdążyliśmy jeszcze usystematyzować przesłuchań świadków - powiedziała Silje cicho, gdy Larsen manipulował przy komputerze, starając się uzyskać wyraźniejszy obraz. -Ale na razie przy najmniej jedna rzecz mnie dziwi. Ten facet, chyba jeden z dwóch, chciał być zauważony przez pracowników stacji. Rozmawiał z nimi,

zwracał na siebie uwagę. Ale przed kamerą się ukrywał. Nie mamy ani jednego wyraźnego zdjęcia jego twarzy.

Frank Larsen wrzucił inne ujęcie na sąsiedni monitor.

- Zobacz tutaj - pokazał. - On najwyraźniej wie, gdzie są umiesz

czony kamery. Tu naciąga czapkę.

Wszyscy troje patrzyli teraz na monitor oznaczony literą A.

- A tu odwraca głowę.

Monitor B ukazywał mężczyznę podchodzącego do kasy niemal bokiem.

- Jeśli wiedzą, gdzie są kamery, to znaczy, że byli tu już wcześniej. - Yngvar mówił cicho, bacznie wpatrując się w monitor C, na którym niewyraźne, ziarniste zdjęcie mężczyzny stopniowo nabierało ostrości. Zrobiono je z ukosa od tyłu. Czapka z daszkiem przesłaniała większą część twarzy, ale wyraźnie dało się dostrzec jej dół i duży nos. Było jeszcze za wcześnie, by coś powiedzieć, Yngvarowi jednak wydało się, że widzi zarys krótko przyciętej brody.

- A jeśli wcześniej przeprowadzili rozpoznanie - ciągnął - to powinny być jakieś lepsze zdjęcia z poprzedniej wizyty.

- Nie ma - odparł Frank Larsen z kwaśną miną, jak gdyby sama myśl o przeglądaniu kolejnej porcji materiału wprawiała go w przygnębienie. - Stacje benzynowe na ogół kasują nagrania po dwóch tygodniach. Wie o tym każdy przeklęty łobuz. Ci z pewnością także. Wystarczy wy badać wszystko z odpowiednim wyprzedzeniem i sprawa załatwiona. Tak samo tutaj. - Pulchnym palcem dotknął monitora C.

Mężczyzna na ekranie miał szerokie bary i krótką wypięlegnowaną brodkę. Czoła i oczu nie było widać, ale spod daszka czapki

wystawał niezwykle duży, garbaty nos. Włosy miał chyba ostrzyżone na jeża, a w prawym uchu tkwiło nieduże, lecz grube złote kółeczko.

- Wydaje mi się, że gdzieś go już widziałam - powiedziała Silje.

- I coś mi mówi, że on ma związek z napadami, ale to...

- Ostrzygł włosy. - Yngvar przysunął się bliżej razem z krzesłem.

- I zapuścił brodę. Ten kolczyk w uchu też jest nowy. Problem w tym... - teraz uśmiechnął się szeroko i dotknął palcem ekranu

- .. że takiego nosa nie da się schować.

- Wiesz, kto to jest? - spytał Frank Larsen z niedowierzaniem.

- Przecież faceta prawie wcale nie widać!

- To Gerhard Skröder. - Yngvar odchylił się na krzesło. - Mówią o nim Kanclerz. Tyle gadał na mieście, że przez jakiś czas uważaliśmy, że był zamieszany w ten napad na NOKAS. Ale okazało się, że to tylko przechwałki. Natomiast jeśli chodzi o kradzieże Muncha...

Yngvar mówił, a Frank Larsen nie przestawał pracować. Drukarka w kącie pokoju zamruczała.

- Nigdy nic na niego nie znaleźliśmy, ale moim zdaniem, ma цаł w tym palce.

Silje S0rensen przyniosła wydruk, przez chwilę mu się przyglądała, w końcu podała go Yngvarowi.

- Ciagle jesteś tego pewny?

Zdjęcie rzeczywiście nie było najlepsze, ale po starannej obróbce komputerowej stało się w każdym razie wyraźne. Yngvar kiwnął głową i wskazał palcem. Przy tym kolosalnym nosie, złamanym w 2000 roku podczas bójki w więzieniu i nastawionym podczas przepychanek z policją dwa lata później, nie mogło być mowy o pomyłce.

Gerhard Skröder pochodził z dobrego domu i był notorycznym przestępcą. Ojciec szefował w dużym publicznym urzędzie. Matka zasiadała w parlamencie z ramienia lewicowej partii SV Siostra Gerharda była adwokatką zajmującą się sprawami

biznesowymi, a młodszy brat został właśnie powołany do lekkoatletycznej kadry narodowej. Sam Gerhard natomiast usiłował uciekać przed policją, odkąd skończył trzynaście lat, na ogół bez powodzenia.

Dokonany mniej więcej przed rokiem napad na centralę rozliczeniową NOKAS w Stavanger był największym w historii Norwegii i kosztował życie policjanta. Nigdy wcześniej nie zaangażowano takich sił i środków w jedną sprawę, co przyniosło rezultaty. Zapowiadało się na to, że po Bożym Narodzeniu rozpocznie się proces. Na Gerharda Skr0dera długo kierowano światła reflektorów, ale pod koniec zimy wyszedł z ich zasięgu. Śledztwo w sprawie NOKAS wiązało się jednak z rozpracowaniem całego środowiska włamywaczy, więc nazwisko Gerharda pojawiło się również w innych, równie interesujących kontekstach. Gdy w sierpniu 2004 roku w biały dzień skradziono z muzeum dwa obrazy Muncha, *Krzyk* i *Madonnę*, Gerhard Skr0der odpoczywał na Mauritiusie z osiemnastoletnią blondynką o czystej kartotece. To się dało udowodnić. Ale Yngvar był przekonany, że ten człowiek odegrał główną rolę podczas planowania kradzieży. Tego udowodnić się nie dało.

- Pokaż! - Frank Larsen wyciągnął rękę po zdjęcie. Długo mu się przyglądał. - Postanawiam ci uwierzyć - zdecydował wreszcie, przecierając oczy kostkami palców. - Ale czy możesz mi wytłumażyć, dlaczego facet ze złodziejskiego środowiska jest zamieszany w operację przykrywkową, związaną z porwaniem amerykańskiej prezydent? - Zaczerwienionymi oczami popatrzył na Yngvara. - No co, możesz mi to wyjaśnić? Porwanie prezydent Stanów Zjednoczonych to robota daleko wykraczająca poza codzienne zajęcia tych chłopaków, prawda? Oni myślą tylko o jednym, a mianowicie o szmalu. Z tego, co wiem, nie pojawiło się żadne cholerne żądanie, żadne przekleństwo...

- Mylisz się - przerwał mu Yngvar. - Oni nie myślą wyłącznie o szmalu. Chodzi im też o... prestiż. Ale w jednym punkcie

prawdopodobnie masz rację. Ja wcale nie uważam, że to oni porwali panią prezydent. Według mnie, Gerhard Schröder nie ma zielonego pojęcia o sprawie. Po prostu przyjął doskonale opłacone zlecenie. Ale o to możecie go przecież zapytać. Ci chłopcy... - jeszcze raz zerknął na fotografię - ..tak ułożyli sobie życie, że wiemy dokładnie gdzie są, o każdej porze. Zwinięcie go nie zajmie wam więcej niż godzinę. - Skrzywiony poklepał się po brzuchu i dodał: - Muszę wreszcie coś zjeść. Powodzenia!

Zadzwoił jego telefon. Zerknął na wyświetlacz i wybiegł na korytarz, żeby odebrać, nie rzucając nawet słowa na pożegnanie.

12

Do jeziora zbliżała się starsza pani. Nie była odpowiednio ubrana na tę pogodę. Szare niebo zaczęło o wodę i zaledwie sto metrów od brzegu bieleły się fale. Poranek zapowiadał się pogodnie, postanowiła więc zaryzykować i nie wkładać wełnianej bielizny. Az do schroniska Ullevåseter szło jej się dobrze, ale teraz żałowała, że z powrotem wybrała okrężną drogę przez Oyungen.

Miała dojść do Skar, gdzie zaparkowała swojego fiacika. Syn na próżno starał się ją odwieźć od jeżdżenia samochodem. Starsza pani niedawno obchodziła osiemdziesiąte urodziny. Po przyjęciu zorientowała się, że kluczyki do samochodu zniknęły ze swojego haczyka nad półką w przedpokoju. Oczywiście syn chciał dobrze, mimo to była zła, że tak się rzucił, uznając się za lepszego eksperta od jej zdrowia niż ona sama. Na szczęście w szkatułce z biżuterią trzymała zapasową parę kluczyków.

Czuła się rześka i zwinna jak żrebak, a to dzięki wędrownkom po lesie i górach. Mikroudary, które zdarzały jej się od czasu do czasu, sprawiały, że pamięć odrobinę szwankowała, ale nogom nic nie dolegało.

Teraz okropnie przemarzła i bardzo jej się chciało siusiu.

Załatwianie się w lesie to niby nic takiego, ale myśl o ściągnięciu spodni na nieprzyjemnym wietrze kazała jej przyspieszyć. Chciała tego uniknąć.

Czuła jednak, że dłużej nie wytrzyma. Musiała znaleźć ustronne miejsce.

Tuż przed tamą zбочyła z drogi w brzozowe zarośla, pełne kotków i jasnozielonych lepkich listków. Naturalny rów utrudniał dalszą drogę. Starsza pani ostrożnie postawiła nogę w ciężkich turystycznych butach na kępie trawy i przytrzymując się gałęzi, zeszła w półtorametrowy dół. Już miała rozpiąć spodnie, gdy go zobaczyła.

Spokojnie leżał i spał. Jedną ręką zasłaniał twarz. Mech pod nim był głęboki i miękki, a niskie gałęzie brzoź zdawały się go okrywać jak kołdra.

- Halo! - zawołała, zapominając o swojej potrzebie. - Halo, proszę pana!

Mężczyzna nie odpowiedział.

Starsza pani z trudem wyminęła olbrzymi głaz i wdepnęła w kałużę. Gałąź sieknęła ją w twarz, kobieta zdławiła krzyk, jak gdyby nie chciała zakłócać spokoju człowiekowi leżącemu pod drzewami. Wreszcie, ciężko dysząc, stanęła przy nim.

Puls jej przyspieszył. Poczuła, że kręci jej się w głowie, ale odsunęła jego rękę z twarzy. Spojrzały na nią piwne oczy. Były szeroko otwarte, przy jednym kręciła się mucha.

Starsza pani kompletnie nie wiedziała, co robić. Telefonu komórkowego, mimo nieustannego upominania syna, nie miała. Takie nowomodne wynalazki zakłócają przyjemność przebywania na świeżym powietrzu, a poza tym można od nich dostać raka mózgu.

Mężczyzna miał na sobie ciemny garnitur i eleganckie buty, bardzo brudne. Staruszka z trudem hamowała płacz. Był taki młody, na pewno nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat. Twarz miał spokojną, łuki brwi przypominały ptaka w locie nad wielkimi

otwartymi oczami. Usta lekko posiniały. Przez moment rozważała, czy nie podjąć reanimacji. Pociągnęła za poję marynarki, żeby dotknąć okolic serca mężczyzny, nie bardzo wiedząc, co miałaby dalej zrobić. Z wewnętrznej kieszeni coś wypadło. Chyba portfel. Podniosła go. Potem się wyprostowała, jakby wreszcie zrozumiała, że zimnych zwłok nie uratuje już żaden masaż serca. Wciąż jeszcze nie zauważyła otworu po kuli w skroni mężczyzny.

Nagle poczuła silne mdłości. Wolno uniosła prawą rękę, która, nie wiadomo dlaczego, wydała jej się nagle bardzo daleka, poza wszelką możliwością kontroli. Lęk obudził pragnienie, by znaleźć się daleko stąd, na drodze. Na leśnej drodze, którą stale chodzili inni ludzie. Odruchowo wsunęła niedużą czarną skórzaną książeczkę do kieszeni kurtki i zaczęła się wspinać po ścianie rowu. Prawa noga zawiodła, jakby zdrętwiała, i staruszka wydostała się z krzaków na szutrową ścieżkę wyłącznie żelazną siłą woli, która utrzymywała ją w zdrowiu przez osiemdziesiąt lat i pięć dni.

Na drodze kolana się pod nią ugięły i straciła przytomność.

13

- Nie **ma o czym** dyskutować - **oświadczyła Inger Johanne.**

-Ale...

- Przestań! Ostrzegałam cię, Yngvarze. Powiedziałam ci to wczoraj wieczorem. Byłam pewna, że zrozumiałeś, że mówię poważnie, ale ty się tym nie przejąłeś. Zresztą nie dlatego dzwonię.

- Nie możesz tak po prostu zabrać...

- Nie zmuszaj mnie do podnoszenia głosu. Ragnhild się wystraszy.

To było czyste kłamstwo. Nie słyszał gaworzenia w tle, a córeczka z wyjątkiem tych chwil, kiedy spała, nigdy nie zachowywała się cicho.

- Naprawdę odeszłaś? Mówisz poważnie? Czyś ty kompletnie oszalała?

- Może trochę.

Miał wrażenie, że usłyszał w jej głosie cień uśmiechu, i nieco lżej odetchnął.

-Jestem strasznie rozczarowana - ciągnęła Ingerjohanne spokojnie. - I wściekła na ciebie. Ale o tym możemy porozmawiać później. W tej chwili musisz wysłuchać...

- Mam prawo wiedzieć, gdzie jest Ragnhild.

-Jest ze mną i ma się dobrze, wysłuchaj mnie teraz, a damę ci słowo honoru, że zadzwonię do ciebie później, żeby porozmawiać o całej tej sprawie. A moje obietnice są więcej warte niż twoje. O tym już wiemy.

Yngvar zacisnął szczęki. Dłoń zwinął w pięść i uniósł ją, żeby w coś uderzyć. Znalazł jedynie ścianę. Jakiś umundurowany student Wyższej Szkoły Policji stanął na jego widok jak wryty w odległości trzech metrów w korytarzu. Yngvar opuścił rękę, wzruszył ramionami i wykrzesał uśmiech na twarzy.

- Czy to prawda, co Wencke Bencke powiedziała w telewizji? - spytała Ingerjohanne.

- O nie! - jęknął cicho Yngvar. - Znów zaczynasz swoje! Prze stań, bardzo cię proszę.

- Słuchaj, co mówię!

- Dobrze.

- Zgrzytasz zębami.

- O co ci chodzi?

- Czy to prawda, że kamery pokazują, że w apartamencie pani prezydent nie było żadnego ruchu? Nikt nie wchodził ani nie wychodził od czasu, gdy się położyła, do chwili odkrycia jej nieobecności?

- Na to nie mogę odpowiedzieć.

- Yngvar!

- Mam obowiązek zachowania tajemnicy, dobrze wiesz.

- A czy przejrzelście filmy, na których widać, co się działo później ?

- Ja nic nie przeglądałem. Jestem łącznikiem Warrena, a nie śledczym zaangażowanym w sprawę zaginięcia pani prezydent.

- Czy ty słyszysz, co do ciebie mówię?

- Tak, ale nie mam żadnego związku z...

- Kiedy na miejscu zdarzenia panuje największy chaos, Yngvarze, powiedz?

Yngvar przygryzł kciuk. Głos Inger Johanne brzmiał inaczej, ton doznanej krzywdy w nim ucichł, prawie zniknął. Inger Johanne mówiła teraz tak, jak kobieta, którą naprawdę była, która nigdy nie przestała go fascynować swą niemal sokratejską umiejętnością skłaniania go do spojrzenia na rzeczy świeżym wzrokiem i z innego punktu widzenia, niż nauczyła go blisko trzydziestoletnia praca w policji.

- Gdy przestępstwo zostaje odkryte - odparł krótko.

-I...

- I zaraz po tym - dodał z wahaniem. - Zanim otoczenie zostanie zabezpieczone, a obowiązki rozdzielone. Wtedy panuje kompletny chaos.

Przelknął ślinę.

- No właśnie - powiedziała cicho Inger Johanne.

- Cholera! - zaklął cicho Yngvar.

- Pani prezydent wcale nie musiała zniknąć nocą. Mogła przepaść później. Po siódmej. Kiedy wszyscy byli pewni, że jej już nie ma.

- Ale... Przecież jej tam nie było. Pokój był pusty, leżała tylko kartka od porywaczy...

- O niej Wencke Bencke też wiedziała. A teraz wie już cała Norwegia. Jaką rolę odegrała ta karteczka, jak myślisz?

-Informacji, że...

- Taka wiadomość oszukuje mózg, każe mu wyciągać wnioski - przerwała Inger Johanne. Mówiła teraz szybciej. - Każe nam

wierzyć, że coś już się wydarzyło. Przypuszczam, że chłopcy z Secret Service ledwie rzucili okiem dookoła, kiedy ją przeczytali. To wielki apartament, Yngvarze. Przypuszczalnie sprawdzili łazienkę, może otworzyli ze dwie szafy. Ale ta wiadomość to było więcej niż dość, by ich stamtąd wypłoszyć. I to jak najszybciej. A jeśli w zwykłym miejscu podobnego zdarzenia panuje chaos, to mogę jedynie sobie wyobrazić, jak to wyglądało wczoraj rano w hotelu Opera. Gdy zaalarmowano władze dwóch krajów...

Zapadła cisza.

Wreszcie Yngvar mógł usłyszeć Ragnhild. Córeczka się zaśmiała, ktoś do niej mówił, ale nie był w stanie rozróżnić słów. Po głosie nie dawało się nawet określić płci tej osoby. Był szorstki i niski, a jednak niekoniecznie musiał należeć do mężczyzny.

- Yngvar?

-Jestem, jestem.

- Musisz im powiedzieć, żeby sprawdzili nagrania od godziny podniesienia alarmu. Przypuszczam, że coś musiało się wydarzyć w ciągu piętnastu-dwudziestu następnych minut.

Nie odpowiedział.

- Słyszysz?

- Tak - odparł. - Gdzie jesteś?

- Zadzwoń wieczorem. Obiecuję.

Rozłączyła się.

Yngvar jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w telefon. Głód przestał mu dokuczać, już go nie czuł.

14

Chociaż Fayed Muffasa był o cztery lata starszy od brata, ich podobieństwo zdumiewało. Fayed miał krótsze włosy, i ubranie elegantsze niż Al Muffet, który był w dzinsach i kraciatej flanelowej koszuli. Właśnie wsiadał do samochodu, żeby odwieźć najmłodszą

córkę do szkoły, gdy zjawił się Fayed. Wskoczył z wynajętego auta szeroko uśmiechnięty.

On jest taki do mnie podobny, pomyślał Al, wyciągając rękę. Stale zapominam, jak bardzo jesteśmy podobni.

- Witaj - powiedział z szacunkiem. - Przyjechałeś wcześniej, niż przypuszczałem.

- To bez znaczenia - odparł Fayed takim tonem, jakby to jemu ktoś sprawił kłopot. - Zaczekam tu, aż wrócisz. Cześć, Louise!

- Nachylił się do samochodu i zajrzał do środka. - Ależ urosłaś!

- zawołał, dając dziewczynce znak, żeby opuściła szybę. - To ty jesteś Louise, prawda?

Dziewczynka otworzyła drzwi i wysiadła.

- Cześć - rzuciła zawstydzona.

-Jakaś ty śliczna! - zawołał Fayed i rozłożył ręce. -I tak tu pięknie! Co za powietrze! - Odetchnął głęboko, uśmiechnięty.

- Dobrze nam się tu żyje - przyznał Al. - A ty... - Zawrócił w stronę domu, zabręczały klucze. Otworzył drzwi na oścież i zapraszającym gestem wskazał wewnątrz. - Rozgość się! I weź sobie coś do jedzenia, jeśli jesteś głodny. W termosie jest jeszcze kawa.

- Świetnie. - Fayed uśmiechnął się. - Zabrałem coś do czytania. Usiądę sobie w fotelu i odpocznę. Kiedy wrócisz?

Al zerknął na zegarek.

- Za niecałą godzinę. Muszę odwiedzić Louise, ale mam jeszcze drobną sprawę do załatwienia w mieście. Myślę, że za trzy kwadransy będę z powrotem.

- No to do zobaczenia. - Fayed wszedł do środka.

Siatkowe drzwi się za nim zatrzasnęły.

Louise już zdążyła wsiąść z powrotem do samochodu. Al Muffet wolno przejechał zwirową alejką i skręcił na szosę.

- Chyba jest bardzo miły - zauważyła Louise.

- Na pewno.

Marnej drogi wciąż jeszcze nie załatano po zimowych zniszczeniach. Ałowi Muffetowi było w zasadzie wszystko jedno. Nierówna

nawierzchnia zmuszała przypadkowych podróżnych do zmniejszenia prędkości. Okrążył pagórek odległy o kilkaset metrów od swojej posiadłości i stanął.

- Co robisz, tato?

- Muszę się wysuszać. - Uśmiechnął się przelotnie i wysiadł.

Dał krok nad rowem i skierował się w gęste zarośla, ciągnące się aż do szczytu pagórka. Powoli przedzierał się przez krzaki, cały czas pilnując, by znajdować się pod osłoną potężnych klonów, rosnących przy głazie na krawędzi niewielkiego urwiska.

Fayed wyszedł z domu. Stał na ścieżce w połowie drogi do szosy i rozglądał się dokoła. Wyglądał tak, jakby się wahał, nim w końcu zdecydował się ruszyć do bramy. Chorągiewka na skrzynce pocztowej pozostawała opuszczona, listonosz jeszcze dziś nie zaglądał. Fayed dokładnie obejrzał skrzynkę, którą Louise w zeszłym roku pomalowała na jaskrawy czerwony kolor, a po bokach ozdobiła rysunkiem niebieskiego konia w galopie.

Fayed wyprostował się i zawrócił w stronę domu. Szedł teraz bardziej zdecydowanie, przyśpieszył kroku. Przy swoim aucie zatrzymał się i wsiadł do środka. Siedział w nim, nie zapalając silnika. Wyglądało na to, że rozmawia przez komórkę, ale z takiej odległości trudno było coś stwierdzić z całą pewnością.

- Tatusiu, idziesz?

Al powoli skierował się do samochodu. -Już, już - mruknął, przedzierając się przez krzaki. - Idę. Otrzeptał się z paprochów i drobnych gałązek, wsiadł do wozu.

- Spóźnię się! - jęknęła Louise. -Już drugi raz w tym miesiącu, i to przez ciebie!

-Już dobrze, dobrze - bąknął Al Muffet roztargniony i wrzucił bieg.

Brat pewnie wyszedł po prostu rozprostować nogi. Może nie był głodny. To naturalne, że po długiej podróży chciał zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale dlaczego wsiadł z powrotem do samochodu?

Po co w ogóle przyjechał? I dlaczego po raz pierwszy, odkąd Al sięgał pamięcią, okazywał mu raptem taką życzliwość?

- Uważaj, jak jedziesz!

Mocno skręcił kierownicą w prawo i o mało nie wypadł z drogi. Samochodem rzuciło w drugą stronę, Al odruchowo wcisnął hamulec. Tylne koło wpadło do głębokiej wyrwy. Puścił hamulec i samochód wystrzelił do przodu, nim wreszcie stanął w poprzek szosy.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła Louise.

To tylko mały atak paranoi, pomyślał Al Muffet, próbując ponownie uruchomić auto.

- W porządku, kochanie - uspokoił córkę. - Nie denerwuj się. Teraz wszystko będzie dobrze.

15

Amerykańska prezydent zupełnie nie wiedziała, jaka może być pora doby.

Usiłowała skoncentrować się na czasie.

Kiedy wsiedli do samochodu, tamci zabrali jej zegarek i naciągnęli kaptur na głowę. Nastąpiło to tak niespodziewanie, że nawet nie próbowała się opierać. Dopiero gdy silnik zaskoczył, opamiętała się i zaczęła liczyć. Jazda trwała nieco krócej niż pół godziny. Mężczyźni przez ten czas nie odezwali się ani słowem, mogła więc liczyć w spokoju. Ręce związali jej z przodu, a nie za plecami. Ponieważ siedziała z tyłu sama, mogła posługiwać się palcami. Za każdym razem, gdy dochodziła do sześćdziesięciu, odginała kolejny palec. Kiedy zabrakło jej palców, zadbanym, dość długim paznokciem zrobiła ślad na wierzchu dłoni. Minęło dziesięć minut. Ból pomógł jej zapamiętać. Trzy zadrapania. Trzydzieści minut. Mniej więcej pół godziny.

Oslo nie jest dużym miastem. Milion mieszkańców? Więcej?

Dostrzeżenie czegokolwiek w pomieszczeniu umożliwiała jedynie słaba czerwonawa żarówka, zamontowana chyba bezpośrednio w ścianie tuż nad zamkniętymi na klucz drzwiami. Helen Bentley utkwiała spojrzenie w tej czerwieni, starając się głęboko oddychać.

Musiała tu przebywać już dość długo. Spała? Swoje potrzeby załatwiała w kącie pomieszczenia. Ze związanymi dłońmi trudno jej było zsunąć spodnie, ale jakoś się udawało. Jeszcze bardziej męczyła się z ich podciąganiem. Ile razy podchodziła do kartonowego pudła pełnego starych gazet? Próbowwała sobie przypominać, liczyć, zdobyć jakieś pojęcie o czasie.

Pewnie spała.

Oslo nie jest duże.

Nie duże. Niecały milion mieszkańców.

Szwecja jest większa. Sztokholm jest większy.

Skup się, oddychaj i myśl. Potrafisz. Wiesz.

Oslo jest małe.

Pół miliona? Tak, pół.

Uważała, że nie mogła zasnąć w samochodzie. Ale później?

Ciało wydawało się jak z ołowiu. Każdy ruch sprawiał ból. Musiała zbyt długo siedzieć w jednej pozycji. Ostrożnie spróbowała rozsunąć uda. Zdumiona stwierdziła, że narobiła w spodnie. Odór nie był zbyt dokuczliwy, właściwie nic nie czuła.

Oddychaj. Spokojnie. Spałaś. Skup się.

Pamiętała przylot.

Miasto wspinało się na otaczające je wzgórza. Fiord wcinął się aż w centrum.

Helen Lardahl Bentley zamknęła oczy, izolując się od czerwonego półmroku. Próbowwała odtworzyć uczucia z tych chwil, gdy Air Force One zbliżał się do lotniska położonego na południe od Oslo.

Na północ. Lotnisko położone było na północ od miasta. Wreszcie to sobie przypominała.

Zamknięcie oczu pomogło.

Lasy otaczające stolicę wcale nie wyglądały na tak dzikie i przerażające, jak opowiadały rodzinne sagi, których słuchała, siedząc na kolanach u babci. Noga staruszki nigdy nie powstała w starej ojczyźnie, lecz obraz, który odmalowywała dzieciom i wnukom, był bardzo żywy. Norwegia to piękny, ale straszny kraj, pełen groźnych, dzikich gór.

To nie była prawda.

Przez okno Air Force One Helen Bentley dostrzegła coś zupełnie innego. Przyjazny krajobraz, zaokrąglone łagodnie wzgórza z resztkami śniegu na północnych zboczach. Drzewa zaczynały się zielenić, miały jasny odcień, charakterystyczny dla tej pory roku.

Jak duże może być Oslo?

Nie zajechali bardzo daleko.

Hotel, o ile zdążyła się zorientować, znajdował się w samym środku miasta. W ciągu pół godziny nie pokonali raczej długiej drogi.

Wielokrotnie skręcali. Może były to konieczne manewry, a może tylko służyły zmyleniu jej orientacji. Wciąż mogła być w centrum.

Ale mogła też się pomylić. Źle policzyć. Spała? Czy przypadkiem nie zasnęła po drodze?

Nie, w samochodzie nie spała. Starła się zachować zimną krew i liczyć sekundy. Gdy wykręciła teraz dłonie, koniuszkiem palca wymacała trzy zadrapania. Trzy zadrapania to trzydzieści minut.

Kaptur, który naciągnęli jej na głowę, był lepki i dziwnie pachniał.

Zasnęła?

Oczy zaszły jej łzami. Otworzyła je. Nie wolno płakać. Ale kropelka oderwała się od kącika oka i po nosie spłynęła do ust.

Nie wolno płakać.

Myśleć. Otworzyć oczy i myśleć.

-Jesteś prezydentem Ameryki - szepnęła do siebie i zacisnęła zęby. -Jesteś prezydentem Stanów Zjednoczonych, *goddammit!*

Trudno było trzymać się jednej myśli. Wszystko jej uciekało, jak gdyby mózg zawiesił się pośród bezsensownych, niepowiązanych ze sobą obrazów w coraz bardziej mylącym kolażu.

Odpowiedzialność, pomyślała, przygryzając język do krwi. Ja ponoszę odpowiedzialność. Muszę wziąć się w garść. Lęk to coś, co znam. Strach nie jest mi obcy. Dotarłam najwyżej, jak może dotrzeć człowiek, a często się bałam. Nigdy nikomu tego nie okazywałam, ale wrogowie budzili we mnie przerażenie. Nieprzyjaciele zagrażali wszystkiemu, czym jestem i co reprezentuję. Nigdy nie pozwoliłam się złamać. Lęk wyostrza rozum. Pozwala myśleć jaśniej i mądrzej.

Czuła w ustach słodycz krwi, smak ciepłego żelaza.

Helen Bentley miała wprawę w opanowywaniu strachu.

Ale nie paniki.

Panika ją otępiała. Nawet znajomy żelazny szpon, wbijający jej się teraz w tył głowy, nie potrafił bólem wydobyć jej ze stanu paralizującego lęku, który zrodził się w niej, w chwili gdy zabrali ją z hotelowego apartamentu. Adrenalina nie wystrzyła jej umysłu, jak się to działo zwykle podczas wystąpień czy ważnych debat w telewizji. Przeciwnie, kiedy mężczyzna przy łóżku szeptem przekazał jej swoje krótkie przesłanie, życie na moment zatrzymało się w bólu tak przeszywającym, że tamten człowiek musiał pomóc jej wstać.

Tylko jeden raz wcześniej czuła coś podobnego.

To było bardzo dawno temu i miało zostać zapomniane.

Powinno zostać zapomniane. Wreszcie zapomniałam.

Teraz już płakała, cicho szlochając. Słone łzy mieszały się z krwią wyciekającą z poranionego języka. Światło nad drzwiami zdawało się rosnąć i rzucać dookoła groźne cienie. Nawet gdy znów zacisnęła oczy, czuła się spowita niebezpiecznym, czerwonym mrokiem.

Muszę myśleć. Muszę myśleć jasno.

Spała?

Całkowita utrata poczucia czasu wprawiała ją w dezorientację większą, niż można sobie wyobrazić. Przez chwilę wydawało jej się, że nie pamięta kilku dni, nim zdolność myślenia powróciła, a ona podjęła jeszcze jedną próbę logicznego rozumowania.

Słuchaj. Nasłuchuj dźwięków.

Skoncentrowała się.

Nic. Dookoła panowała cisza.

Premier Norwegii podczas późnej kolacji powiedział jej, że to święto będzie hałaśliwe, że cały naród spontanicznie się bawi.

- *This is the children's day* — oznajmił.

Rekonstrukcja prawdziwego wydarzenia była czymś, czego mogła się uchwycić. Czymś, o co mogła zaczepić myśli, by nie rwały się i nie ulatywały z wiatrem. Chciała pamiętać. Otworzyła oczy i zapatrzyła się w czerwoną lampę.

Premierowi mówienie po angielsku szło opornie, musiał korzystać z kartki.

- *We don't parade our military forces* - powiedział z silnym akcentem. - *As other nations do. We show the world our children.*

Odkąd znalazła się w tym pustym bunkrze ze strasznym czerwonym światłem, nie słyszała głosu żadnego dziecka, żadnych fanfar. Otaczała ją absolutna cisza.

Ból głowy nie dawał się odpędzić. Ponieważ ręce miała skrepowane cienkimi plastikowymi zaciskami, wrzynającymi się w skórę na nadgarstkach, nie była w stanie odprawić swojego zwyczajowego rytuału. Z rozpaczą stwierdziła, że może jedynie dopuścić ból do siebie i liczyć na jego łaskę.

Warren, pomyślała apatycznie.

Zasnęła w samym środku najgorszego ataku, jaki kiedykolwiek przeżyła.

Tom Patrick O'Reilly stał na rogu Madison Avenue i East 67th Street. Czuł tęsknotę za domem. Lot był długi, a jemu nie udało się zasnąć. Z Rijadu do Rzymu leciał sam. Miał wrażenie, że jest transportowany przez robota. Dopiero gdy wylądowali w Rzymie, pilot wyszedł z kabiny i przed otwarciem drzwi kiwnął mu głową. Do następnego odlotu rejsowym samolotem do Newark zostało dokładnie dwadzieścia minut. Tom O'Reilly był pewien, że nie zdąży. Pojawiła się jednak nie wiadomo skąd kobieta w mundurze i w magiczny sposób przeprowadziła go przez wszystkie służby bezpieczeństwa.

Podróż z Rijadu do Nowego Jorku trwała równo czternaście godzin, a różnica czasu oszołomiła Toma i popsuła mu nastrój. Nie potrafił jakoś nigdy do tego przywyknąć. Ciało wydawało się cięższe niż zazwyczaj, nie przypominał sobie też, kiedy ostatnio kolano bolało go tak mocno. Na próżno usiłował odwołać parę spotkań, które zgodnie z planem miał odbyć w Nowym Jorku tego samego dnia po południu.

Pragnął jedynie znaleźć się w domu.

Ostatni posiłek spożył z Abdallahem w milczeniu. Jedzenie było smaczne, jak zawsze. Arab uśmiechał się tym swoim nieodgad-nionym uśmiechem, systematycznie pałaszując potrawy. Rodziny Abdallaha nie było. Siedzieli tylko we dwóch, w narastającej ciszy. Po podaniu owoców zniknęli również służący. Świece się dopaliły, jedynie duże terakotowe lampy pod ścianami rzucały poświatę na pokój. W końcu Abdallah wstał i opuścił Toma, cicho życząc mu dobrej nocy. Następnego ranka obudził go służący i przyjechała po niego limuzyna. Gdy wsiadał do samochodu, pałac sprawiał wrażenie kompletnie opustoszałego.

Nie obejrzał się za siebie. A teraz stał na rogu Upper East Side i ścisnął w rękę kopertę. Czuł dziwną obawę, wręcz strach.

Przerażający orzeł na skrzynce pocztowej wyglądał tak, jakby zaraz miał się rzucić do ataku. Tom odstawił walizkę.

Oczywiście, mógł otworzyć ten list.

Próbował się rozejrzeć, ale tak, by nie rzucało się to w oczy. Na chodnikach roilo się od ludzi. Samochody trąbiły ze złością. Jakaś staruszka z pieskiem na rękę o mało na niego nie wpadła. Była w ciemnych okularach, mimo zachmurzonego nieba i drobniutkiej mżawki w powietrzu. Po przeciwnej stronie ulicy zauważył troje młodych ludzi, zajętych ożywioną rozmową. Wydało mu się, że patrzą na niego, poruszali wargami, ale hałas wielkiego miasta nie pozwalał usłyszeć słów. Dziewczyna uśmiechnęła się, gdy napotkał jej spojrzenie. Pchała dziecięcy wózek i była za lekko ubrana na taki chłodny dzień. Obok Toma zatrzymał się mężczyzna. Zerknął na zegarek i rozłożył gazetę.

Nie wpadaj w paranoję, pomyślał Tom, gładząc się po brodzie. To zwykli ludzie. Wcale cię nie pilnują. To są Amerykanie, zwyczajni Amerykanie. Jesteś we własnym kraju. To twoja ojczyzna i powinieneś się tu czuć bezpieczny. Nie wpadaj w paranoję.

Mógł otworzyć tę kopertę.

Mógł ją wyrzucić.

A może należało pójść na policję?

Ale z czym? Jeśli przesyłka jest nielegalna, zostałyby zamieszany w nie wiadomo jakie śledztwo i oskarżony o jej przywóz do kraju. A jeśli wszystko okazałoby się w porządku, a Abdallah mówił prawdę, zawiódłby człowieka, który okazywał mu troskę przez wiele lat.

Powoli otworzył zewnętrzną kopertę. Wyjął ze środka wewnętrzną. List nie był zapieczętowany, tylko zwyczajnie zaklejony. Z tyłu nie napisano nazwiska nadawcy. Już odwracał kopertę, żeby spojrzeć na nazwisko adresata, gdy nagle znieruchomiał.

To, czego się nie wie, nie boli.

Wciąż mógł wyrzucić tę kopertę. Kilka metrów dalej stał kosz na śmieci. Mógł wyrzucić ten list, udać się na swoje spotkania i próbować o wszystkim zapomnieć.

A nigdy nie zdołałby zapomnieć, bo przecież wiedział, że Abdallah nigdy nie zapomni jego.

Zdecydowanym ruchem wsunął list do niebieskiej skrzynki. Wziął walizkę i ruszył przed siebie. Gdy mijał kosz na śmieci, wrzucił do niego zmiętą zewnętrzną, bezimienną kopertę.

W wysłaniu listu nie może być nic złego.

Wyświadczenie przysługi przyjacielowi to żadne przestępstwo. Tom wyprostował plecy i odetchnął głęboko. Chciał jak najszybciej mieć te spotkania za sobą i zdążyć na wczesny wieczorny samolot do Chicago. Chciał wrócić do Judith i dzieci. No i przecież nie zrobił nic złego.

Tylko był tak strasznie zmęczony.

Przy przejściu dla pieszych zatrzymał się, czekając na zielone światło.

Trzy taksówki trąbiły gniewnie, kierowcy kłócili się o wewnętrzny pas na Madison Avenue. Ostro zaszczekał pies, opony zapiszczały na asfalcie. Mała dziewczynka głośno zaprotestowała, gdy matka pociągnęła ją za rękę. Kobieta, mijając Toma, uśmiechnęła się przepraszająco. Wyrozumiałe pokiwał głową i zrobił dwa kroki w stronę jezdni.

Zaledwie kilka minut później na miejsce zdarzenia przyjechała policja. Relacje świadków różniły się od siebie jak zwykle. Matka z dziewczynką była bliska hysterii i nie potrafiła powiedzieć, jak doszło do tego, że wysokiego mężczyznę w średnim wieku zmiotł z drogi zielony taurus. Ścisnęła tylko dziecko i nie przestawała płakać. Kierowca taurusa też był bliski płaczu, powtarzał tylko w kółko „nagle”, „wszedł na jezdnię na czerwonym świetle”. Kilkoro przechodniów wzruszyło ramionami, mrużąc, że nic nie widzieli. Ukradkiem zerkali na zegarki i ruszyli w swoją stronę, gdy tylko zezwoliła im na to policja.

Dwóch świadków mówiło jednak przejrzyście. Jeden, mężczyzna koło czterdziestki, który stał po tej samej stronie ulicy co Tom

O'Reilly, przysięgał, że mężczyzna zachwiał się i zanim zablęśło zielone światło, runął na jezdnię. Źle się poczuł, twierdził świadek, cmokając znacząco. Chętnie podał swoje nazwisko i adres zagonionej policjantce, nie przestając zerkać na nieruchomą postać, leżącą na środku skrzyżowania.

- Nie żyje? - spytał cicho.

Odpowiedzią było potakujące skinienie głowy.

Drugi ze świadków, młody mężczyzna w garniturze i krawacie, stał po drugiej stronie 67 Ulicy. Podał opis zajścia zaskakująco spójny z pierwszym. Policjantka zanotowała również jego dane i z ulgą mogła uspokoić przejętego kierowcę, że sprawa rzeczywiście wygląda na tragiczny wypadek. Kierowca odetchnął swobodniej, a dzięki dwóm bystrym obserwatorom kilka godzin później znów był wolnym człowiekiem.

Nieco ponad godzinę po śmierci Toma O'Reilly miejsce zdarzenia uprzątnięto. Ciało szybko zidentyfikowano i zabrano. Przywrócono ruch. Ślady krwi na asfalcie przyciągały, co prawda, wzrok tego czy owego przechodnia, ale oberwanie chmury około szóstej po południu splukało ostatnie ślady tragedii.

17

- Skąd wytrzasnąłeś ten pomysł?

Policjant, który siedział przed monitorem w sali gimnastycznej siedziby policji i od półtorej doby przeglądał filmy pokazujące wyłącznie pusty korytarz, z powątpiewaniem popatrzył na Yngvara Stub0.

- To przecież nielogiczne - dodał agresywnym tonem. - Komu przyszłoby do głowy, że na filmie nagrany już po zniknięciu tej kobiety może być coś interesującego?

- Owszem - zaprotestował komendant Bastesen. - To jak najbardziej logiczne, a poza tym kompromituje nas, że sami na to nie

wpadliśmy. Ale co się stało, to się nie odstanie. Zobaczmy lepiej, co możesz nam pokazać.

Warren Scifford wreszcie wrócił. Yngvarowi odnalezienie go zajęło pół godziny. Amerykanin nie odbierał komórki, a w ambasadzie nikt nie odpowiadał. Kiedy w końcu przyszedł, z uśmiechem wzruszył ramionami, nie tłumacząc się, gdzie był. Po drodze do sali gimnastycznej zdjął płaszcz, bo panowała tu już nieznosna duchota.

- *Fili me in* - rzucił, sięgając po wolne krzesło, na którym usiadł przy stole.

Palce policjanta biegały po klawiaturze. Na ekranie migotała szarość, ale w końcu obraz się wyostrzył. Już tyle razy oglądali ten klip: dwóch agentów Secret Service podchodzi do drzwi apartamentu. Jeden z nich puka.

Cyfrowy licznik na górze z lewej strony ekranu pokazywał 07.18:23.

Agenci stali przez kilka sekund, w końcu jeden na próbę położył rękę na klamce.

- Dziwne, że drzwi były otwarte - mruknął policjant z palcami zawieszonymi nad klawiaturą.

Nikt mu nie odpowiedział.

Agenci weszli do środka i znaleźli się poza zasięgiem kamery.

- Niech ten film leci dalej - zarządził szybko Yngvar i zanotował godzinę.

07.19:02. 07:19:58. Dwaj mężczyźni

wybiegli na korytarz.

- W tym momencie kończyliśmy - oświadczył zafrasowany policjant. - Tłitaj zatrzymywałem i cofałem do dwadzieścia po dwu nastęj.

- Pięćdziesiąt sześć sekund - podsumował Yngvar. - Byli w apartamencie przez pięćdziesiąt sześć sekund, po czym wybiegli i podnieśli alarm.

- Mniej niż minuta na ponad sto metrów kwadratowych - zauważył Bastesen, pocierając brodę. - Niewiele jak na przeszukanie.

- *Would you please speak English* - odezwał się Warren Sciford, nie odrywając oczu od ekranu.

- *Sorry* - przeprosił Yngvar. - Jak widzisz, nie przeprowadzono zbyt dokładnego przeszukania. Zobaczyli pozornie pusty apartament, przeczytali wiadomość, i tyle. Ale zaczekajcie. Zobaczcie... Spójrzcie!

Nachylił się nad ekranem i pokazał coś palcem. Policjant przy klawiaturze przewinął film do miejsca, w którym na dole ekranu można było dostrzec jakiś ruch.

- Czy to... pokojówka?

Warren zmrużył oczy.

- Pokojowiec - poprawił Yngvar. - Jeśli w ogóle jest coś, co się tak nazywa.

Sprzątacznik był stosunkowo młodym człowiekiem. Ubrany w służbowy uniform, pchał przed sobą duży wózek z półkami na butelki ze środkami czystości i inne drobiazgi, a z przodu z zamocowanym głębokim, pozornie pustym koszem na brudną pościel. Przez moment się zawahał, po czym otworzył drzwi do apartamentu i wszedł, popychając wózek przed sobą.

- 07:23:41. - Yngvar wolno odczytał liczby. - Wiemy, co się dokładnie wtedy działo w pozostałej części hotelu?

- Nie całkiem - odparł Bastesen. - Ale i tak mogę cię zapewnić, że zapanował chaos. Najważniejsze, że nikt nie obserwował ekranów ochrony. Ogłoszono pełny alarm i mieliśmy problemy z...

- Nawet wasi ludzie? - przerwał Yngvar i pytająco spojrzął na Warrena.

Amerikanin nie odpowiedział. Oczy miał wbite w ekran. Licznik wskazywał 07:25:32, kiedy sprzątacznik wyszedł z apartamentu. Nie mógł przeciągnąć wózka przez próg. Koła się zaparły i przód

wózka na kilka sekund **znieruchomiał, nim wreszcie pozwolił się wypchnąć na korytarz.**

Kosz był pełny. Na górze leżało prześcieradło albo duży ręcznik. Przez krawędź zwieszał się róg tkaniny. Wózek podjechał bliżej kamery i twarz sprzątacza ukazała się wyraźnie.

- Czy on tam pracuje? - spytał cicho Yngvar. - To znaczy, czy naprawdę tam pracuje? Jest zatrudniony?

Bastesen kiwnął głową.

- Nasi ludzie już po niego poszli - szepnął. - Ale ten facet tam...

Wskazał na mężczyznę idącego za młodym Pakistańczykiem, człowieka o potężnej sylwetce, w garniturze i ciemnych butach, z gęstymi, krótko obciętymi włosami. Położył rękę na plecach Pakistańczyka, jakby chciał go pośpieszyć. Tamten niósł coś, co przypominało niedużą składaną drabinę.

- ...o nim na razie nic nie wiemy. Ale dopiero dwadzieścia minut

temu zobaczyliśmy to po raz pierwszy, więc praca z...

Yngvar nie słuchał. Wpatrywał się w Warrena Scifforda. Twarz Amerykanina była bladoszara, a czoło pokryło się lekką warstwą potu. Przygryzał palec i wciąż nic nie mówił.

- Coś nie tak? - spytał Yngvar.

- *Sbit!* - zaklął Warren wściekły i poderwał się, o mało nie przewracając krzesła.

Zabrał płaszcz z oparcia, przez chwilę się wahał, w końcu powtórzył tak głośno, że wszyscy na sali się obejrżeli:

- *Shit! Shit!*

Złapał Yngvara mocno za ramię. Kręcone włosy zaczęły mu się lepić do spoconego czoła.

- Muszę jeszcze raz obejrzeć ten pokój w hotelu. Natychmiast.

Skierował się do wyjścia. Yngvar wymienił spojrzenia z komendantem Bastesenem, po czym wzruszył ramionami i pobiegł za Amerykaninem.

- W końcu nie powiedział, kto mu podsunął ten pomysł - rzu cił ze złością policjant przy monitorze. - O tym, żeby sprawdzić późniejsze nagrania. Załapałaś, co to za cholerny geniusz?

Siedząca przy sąsiednim biurku kobieta spojrzała na niego obojętnie.

- W każdym razie zasłużyłem na odpoczynek - oświadczył po licjant i poszedł szukać czegoś, co przypominałoby łóżko.

18

Helen Lardahl Bentley mocno spała. Nie miała pojęcia, jak długo, ale pamiętała, że kiedy ból zaatakował, siedziała na krzeselku pod ścianą. Teraz leżała na podłodze, na boku. Mięśnie ją paliły. Gdy spróbowała usiąść, poczuła, że prawą rękę i bark ma obite. Opuchlizna na skroni nie pozwalała otworzyć oka.

Powinna była się obudzić przy upadku, ale uderzając głową o podłogę, chyba straciła przytomność. Prawdopodobnie zemdłała na długo, bo teraz nie mogła się podnieść, ciało jej nie słuchało. Musiała sobie przypominać, że ma równo oddychać.

Myśli wirowały. Żadnej nie udawało się zatrzymać. Na moment przed oczami stanęła jej córka jako dziecko. Mała jasnowłosa trzylatka, najpiękniejsza ze wszystkich. Ale obraz zaraz zniknął. Billie została wciągnięta w światło na ścianie niczym w ciemnoczerwoną dziurę, a Helen Bentley myślała o pogrzebie swojej babci i o róży, którą położyła na trumnie. O czerwonej, martwej róży. Tak strasznie rażącej w oczy.

Oddychaj. Wdech. Wydech.

Pomieszczenie było dziwnie pozbawione dźwięków. Nienaturalnie ciche. Próbowała krzyczeć, ale wydobyła z siebie jedynie jęk, który zaraz ucichł, jakby stłumiony grubą poduszką. Od ścian nic się nie odbiło.

Powinna oddychać. Oddychać regularnie.

Myśli plątały się ze sobą. Wydawało jej się, że wszędzie dookoła widzi liczby i cyferblaty. Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na całe mnóstwo wskazówek w kształcie strzał.

- Chcę wstać! - krzyknęła ochryple i wreszcie udało jej się usiąść.

Noga od krzesła wbiła się Helen w plecy.

- *I do solemnly swear...* - powiedziała głośno, przekładając prawą nogę nad lewą - *...that I will faithfully execute...*

Obróciła się. Mięśnie ud zdawały się pękać, gdy wreszcie uklęknęła. Przyłożyła głowę do ściany, żeby się o nią oprzeć, i oszołomiona skonstatowała, że ściana jest miękka. Wsparła się o nią barkiem i ostatnim wysiłkiem zdołała się podnieść.

- *...the Office of President of the United States.*

Musiała zrobić krok w bok, żeby nie upaść. Plastikowe zaciski coraz mocniej wbijały się w skórę nadgarstków. Głowa nagle wydała się dziwnie lekka, jakby czaszka opróżniła się ze wszystkiego i pozostało w niej wyłącznie echo uderzeń serca. Ponieważ Helen stała w odległości zaledwie kilku centymetrów od ściany, mogła się wyprostować.

W pomieszczeniu były tylko jedne drzwi. Znajdowały się w przeciwległej ścianie. Musiała przejść na drugą stronę.

Warren ją zdradził.

Wiedziała, że powinna się dowiedzieć dlaczego, ale w głowie miała pustkę. Nie potrafiła myśleć, a poza tym musiała przejść na drugą stronę. Drzwi były zamknięte, przypomniała sobie teraz, że sprawdzała to już wcześniej. Miękkie ściany chłoneły wszelki dźwięk, jaki potrafiła z siebie wydobyć, a drzwi nie dawały się otworzyć. Były jednak i tak jej jedyną nadzieją, bo za drzwiami zawsze istnieje jakaś inna możliwość. Ktoś inny. Musi wydostać się z tej bezdźwięcznej skrzyni, która wysysa z niej życie.

Ostrożnie wysunęła jedną stopę przed drugą i ruszyła po ciemnej, kołyszącej się podłodze.

Yngvar Stub0 zaczął nareszcie rozumieć, dlaczego Warren Scifforda nazywano *The Chief*.

Niezbyt przypominał Geronimo. Miał wprawdzie mocno zarysowane kości policzkowe, ale oczy były osadzone głęboko, nos wąski, a zarost tak uparty, że na jego twarzy już rysował się mocny szary cień, chociaż rano Warren był świeżo ogolony. Stalowski włosy wyla się miękko, opadając na czoło.

- Nie - powiedział Warren Scifford, zatrzymując się przed drzwiami do apartamentu prezydenckiego w hotelu Opera. - Nie wiem, kim jest ten człowiek na filmie z kamer ochrony.

Twarz miał nieruchomą, a szczere spojrzenie niczego nie zdradzało. W jego słowach nie dźwięczał nawet cień urazy wywołanej pytaniem, nie było w nim żadnego udawanego czy naturalnego zdziwienia niestosownością aluzji Yngvara.

- Tak mi się wydawało - nie ustępował Yngvar, obracając w palcach klucz. - Miałem wrażenie, jakbyś go znał.

- W takim razie wrażenie było mylne - odparł Warren bez mrugnienia okiem. - Wchodzimy?

W wybuchu Amerykanina na sali gimnastycznej niewiele było indiańskiego spokoju, ale teraz najwyraźniej wziął się w garść. Z rękami w kieszeniach wszedł do apartamentu i stanął na środku. Długo nie ruszał się z miejsca.

- Zakładamy, że prezydent znajdowała się w koszu na brudną bieliznę, gdy facet stąd wyjechał - podsumował w końcu, trochę tak, jakby rozmawiał sam ze sobą. - Co oznacza, że musiała być gdzieś ukryta, gdy ci dwaj agenci weszli tu po siódmej.

- Albo że się ukryła - dodał Yngvar.

- Słucham? - Warren odwrócił się do niego i uśmiechnął zdziwiony.

- Mogła zostać ukryta, ale równie dobrze sama mogła się scho-
wać - wyjaśnił Yngvar. - Zachować się mniej lub bardziej biernie.

Warren podszedł do okna i stanął przy nim, odwrócony plecami
do Yngyara. Oparł się ramieniem o framugę, jakby kontemlował
widok na Oslofjorden.

- Więc uważasz, że ona mogła dobrowolnie w tym uczestniczyć
- odezwał się nagle, nie odwracając się. - Że prezydent Stanów
Zjednoczonych brała udział w zainscenizowaniu własnego znik-
nięcia w obcym kraju. Aha.

- Wcale tak nie powiedziałem. Chodziło mi o to, że istnieje
wiele wyjaśnień. Że w takim śledztwie wszystkie możliwości należy
brać pod uwagę.

- To wykluczone - odparł spokojnie Warren. - Helen nigdy nie
postawiłaby swojego kraju w takiej sytuacji. Nigdy.

- Helen? - powtórzył zdumiony Yngvar. - Znasz ją aż tak do-
brze?

-Tak.

Yngvar czekał na bliższe wyjaśnienie, ale nic takiego nie nastą-
piło. Warren zaczął krążyć po wielkim apartamencie, wciąż nieco
nonszalanckim krokiem, z rękami w kieszeniach. Trudno było się
zorientować, czego szuka, ale spojrzeniem omiatał każdy kąt.

Yngvar ukradkiem zerknął na zegarek; pokazywał wpół do szó-
stej. Chciał wrócić do domu. Chciał zadzwonić do Inger Johanne i
dowiedzieć się, o co chodzi z tą jej ucieczką, a przede wszystkim,
gdzie jest. Gdyby niedługo udało mu się stąd wyjść, miał szansę na
sprowadzenie i jej, i Ragnhild do domu przed wieczorem.

- Możemy założyć, że agenci jedynie pobieżnie sprawdzili po
kój, zanim stąd wybiegli - zaczął, by skłonić Amerykanina do więk-
szej rozmowności. - W takim razie możliwych kryjówek jest wiele.
Na przykład te szafy. Przesłuchaliście w ogóle tych ludzi? Pytaliście,
gdzie konkretnie sprawdzali?

Warren zatrzymał się przed dwudrzwiową szafą z jasnego dębu.
Nie otwierał jej.

- To rzeczywiście pięknie urządzone pokój - rzekł. - Skandynawowie potrafią wykorzystać walory drewna. I widok... - Zatoczył łuk prawą ręką, znów zbliżył się do okna. - Wspaniały. Oprócz tego placu budowy na dole. Co to będzie?

- Opera. - Yngvar zrobił kilka kroków w jego stronę. - Stąd nazwa hotelu. Posłuchaj mnie, Warrenie. Taka tajemniczość nikomu nie służy. Rozumiem, że ta sprawa może mieć dla USA implikacje inne niż te, o których wiemy, ale...

- Przekazujemy wam informacje, których potrzebujecie. Możesz być spokojny.

- Akurat! - syknął Yngvar.

Warren gwałtownie się odwrócił. Uśmiechnął się, jakby wybuch Yngvara go rozbawił.

- Nie możesz nas nie doceniać. - Yngvarowi z gniewu aż za czerwieniły się policzki. - Bo popełnisz głupstwo. Nie wolno ci nie doceniać mnie. Powinieneś to wiedzieć.

Warren wzruszył ramionami i otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

- Rozpoznałeś tego człowieka na filmie - nie dopuścił go do głosu Yngvar. - Żaden z nas, stojących blisko ciebie, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. I nie trzeba być policjantem przez prawie trzydzieści lat, żeby zrozumieć, że facet spędził w tym pokoju całą noc. Ty wcale nie szukasz kryjówki pani prezydent. Ona mogła być gdziekolwiek, pod łóżkiem, w szafie. - Yngvar wskazywał na poszczególne miejsca w pokoju. - Równie dobrze mogła się ukryć choćby za zasłoną. Zwłaszcza zważywszy na to, jak złą... - Kropelki śliny spadły na twarz Warrena. Amerykanin nie skrzywił się jednak, a Yngvar podszedł jeszcze o krok bliżej, nabrał powietrza i ciągnął: - ...jak niewiarygodnie złą robotę wykonali na miejscu ci wasi superagenci. Prezydent mogła wisieć na lampie, a oni i tak by jej nie odkryli!

- Wystraszyli się - powiedział Warren.

- Kto?

- Agenci. Sami tego nie powiedzą, ale **właśnie tak się stało**. A ludzie, którzy się boją, źle wykonują pracę.

- Boją się? Boją? Chcesz mi powiedzieć, że agenci najlepszej służby bezpieczeństwa na świecie... że ci twoi Gurkhowie się przestraszyli?

Warren cofnął się o krok. Obojętność na jego twarzy na chwilę musiała ustąpić wyrazowi niepewności. Yngvar odczytał to jednak jako arogancję.

- To do ciebie niepodobne - odezwał się Amerykanin.

- Nie znasz mnie.

- Ale znam twoją opinię. Jak myślisz, dlaczego poprosiłem właśnie o ciebie jako łącznika?

- Akurat nad tym poważnie się zastanawiam - odparł Yngvar już spokojniej.

- Gurkhowie byli żołnierzami. Secret Service to nie armia.

- *Whateter* - mruknął Yngvar.

- Rzeczywiście, masz rację. Chcę *się* dowiedzieć, gdzie mógł się ukrywać ten mężczyzna w garniturze.

- No to, do cholery, szukajmy

Warren wzruszył ramionami i wskazał na przyległy pokój. Yngvar skinął głową i skierował się ku otwartym drzwiom. Poczekał, aż Warren wejdzie pierwszy. Amerykanin zatrzymał się na środku pokoju, wpatrzony w jakiś punkt na suficie.

- Kanał wentylacyjny już sprawdzano - zniecierpliwiał się Yngvar. - Dwa metry w głąb rury metalowa kratka zamyka dalszą drogę. Nikt przy niej nie grzebał.

- W przeciwieństwie do tej kratki - odparł Warren, mocno odchyliwszy głowę do tyłu. - Na śrubach są wyraźne ślady, widzisz? - Oczywiście, że są ślady. - Yngvar zatrzymał się przy drzwiach do gabinetowej części apartamentu. - Policja ją zde montowała, żeby sprawdzić, czy system rur umożliwiał drogę ucieczki.

- Ale teraz jesteśmy mądrzejsi. - Warren przyciągnął sobie krzesło. - Teraz nie szukamy już drogi ucieczki, tylko kryjówki, prawda?

Wszedł na krzesło, ostrożnie ustawił stopy na podłokietnikach i z kieszeni marynarki wyjął szwajcarski scyzoryk.

- Czy Secret Service nie korzysta z psów? - spytał Yngvar.

- Owszem. - Warren wysunął z czerwonego scyzoryka mały śrubokręt.

- A psy nie zareagowałyby, wyczuwając zapach człowieka na suficie?

- Madam President ma alergię - wysapał Warren, odkręcając jedną z czterech śrub, przytrzymujących metalową płytkę na suficie. - Secret Service przeszukuje pomieszczenia z psami na dłuższy czas przed jej przybyciem, tak żeby zdążono potem odkurzyć. Pomóż mi, proszę.

Odkręcił ostatnią śrubę. Ledwie zdołał utrzymać kwadratową metalową kratkę, mniej więcej pół na pół metra, gdy nagle się poluzowała.

- Weź. - Podał ją Yngvarowi. - Przypuszczam, że odciski palców i inne tego rodzaju ślady już dawno zabezpieczono.

Yngvar kiwnął głową. Warren Scifford zręcznie zeskoczył na podłogę.

- Potrzebuję czegoś wyższego, na czym mógłbym stanąć - powiedział, rozglądając się. - Wolałbym niczego tam na górze nie dotykać.

- Spójrz tutaj - odezwał się Yngvar cicho. Przyniósł metalową płytkę do zmrużonych oczu. - Popatrz na to.

Amerikanin nachylił się, ich głowy lekko się dotknęły. Warren patrzył sponad brzegu okularów.

- Klej? Taśma?

Schował śrubokręt, a zamiast niego wysunął ze scyzoryka szpi-kulec. Delikatnie podłubał w prawie przezroczystej, z wyglądu

lepiej masie. Nie mogła mieć więcej niż milimetr grubości i może pół centymetra długości.

- Ostrożnie - upomniał go Yngvar. - Prześlę to do analizy.

- Klej - powtórzył Warren, poprawiając okulary. - A może resztki dwustronnie klejącej taśmy.

Yngvar odruchowo spojrzął na otwór w suficie, obramowany emaliowanym metalem. Oświetlenie w pokoju uniemożliwiało zajrzenie w głąb kanału. Jedyne lekkie odbicie światła z biurkowej lampy pozwalało stwierdzić, że sama rura wentylacyjna jest z matowego aluminium. Ale Yngvara bardziej zainteresowały dwie maleńkie plamki na białej ramie niż przestrzeń za nią.

- Musimy mieć coś, na czym można będzie stanąć. - Warren już szedł do sąsiedniego pokoju. - Może dałoby się...

Końcówka zdania zmieniła się w niezrozumiałe mamrotanie.

- Zadzwoń po ludzi - oświadczył Yngvar. - To należy do obowiązków policji z Oslo i...

Warren nie odpowiedział.

Yngvar przeszedł za nim do mniejszego pokoju. Pośrodku lekko na ukos ustawiono biurko. Na blacie stał tylko elegancki bukiet kwiatów i leżała skórzana teczka, zawierająca, jak się Yngvar domyślał, papier do pisania. Pod szklanymi drzwiami na taras pysznił się szezlong z pięknymi jedwabnymi poduszkami w różnych odcieniach różu. Pasowały do zasłon i ścian pokrytych tapetą w japoński wzór.

Na przeciwległej ścianie za niedużym kompletem wypoczynkowym stała solidna drewniana półka. Mogła mieć mniej więcej półtora metra wysokości. Amerykanin spróbował ją poruszyć.

- Nie jest przykręcona - ucieszył się i zdjął z niej kilkanaście książek i szklaną misę. - Pomóż mi.

- To nie nasza robota. - Yngvar już wyjął komórkę.

- Pomóż mi - powtórzył Warren. - Chcę tylko zobaczyć, niczego nie będę dotykał.

- Nie. Dzwonię po ludzi.

- Yngvar! - Scifford zrezygnowany rozłożył ręce. - Sam przecież powiedziałeś. Ten apartament został przeszukany wzdłuż i wszerz. Zabezpieczono wszystkie ślady. A mimo to... ktoś przeoczył mały szczegół. Obaj jesteśmy doświadczonymi policjantami, niczego nie popsujemy. Chcę tam tylko zajrzeć, dobrze? Potem ci twoi ludzie mogą przyjść i robić swoje.

- To nie są moi ludzie - mruknął Yngvar.

Warren uśmiechnął się i zaczął ciągnąć półkę. Yngvar wahał się jeszcze chwilę, nim niechętnie ujął mebel za drugi koniec. Wspólnymi siłami przenieśli regał do głównego pokoju i ustawili go tuż pod otwartym kanałem.

- Przytrzymasz?

Yngvar kiwnął głową. Warren na próbę postawił nogę na najniższej półce. Utrzymała go, więc opierając się prawą ręką o bark Yngvara, wspiął się na samą górę. Musiał odchylić głowę, żeby przyjrzeć się plamkom.

- Tu też jest klej - powiedział, nie dotykając go. - Chyba ta sa ma substancja co na kratce. - Wsunął głowę do kanału. - Sporo miejsca - stwierdził. Jego głos zabrzmiał głucho i niewyraźnie, zniekształcony echem odbijającym się od metalowych ścianek. - Całkiem możliwe, że...

Dalszego ciągu nie dało się usłyszeć.

- Co powiedziałeś?

Warren wysunął głowę z otworu w suficie.

- Tak jak myślałem. Tu jest dostatecznie dużo miejsca, żeby zmieścić się dorosły mężczyzna. A ci twoi przyjaciele... - Ugiął nogi w kolanach i zeskoczył na podłogę. - Mam nadzieję, że zabezpieczyli ślady w samym kanale, zanim weszli głębiej, żeby zbadać blokadę.

- Z całą pewnością.

- Ale to przeoczyli.

Warren znów pochylił się **nad kratką**.

- Właściwie tego nie wiemy.

- Gdyby to odkryli, zabraliby ją chyba do zbadania?
- Yngvar nie odpowiedział.
- A to? - Warren szczyrykiem wskazał miejsce na środku płyty.
- Widzisz? Zadrapania?
- Yngvar, mrużąc oczy, dostrzegł ledwie widoczną smugę na białym metalu. Coś powierzchownie zadrapało emalię.
- To genialne w swojej prostocie - orzekł cicho.
- Owszem - przyświadczył Warren.

- Ktoś odkręcił płytę, przeciągnął kawałek drutu czy sznurka przez środkowy otworek, do brzegów płyty przylepił dwustronnie klejącą taśmę...
- ...i wspiął się na górę - dokończył Warren. - Pozostawało tylko umocować kratkę, przyciągając ją do siebie. Tam się schował. I to wyjaśnia, dlaczego niósł tę drabinkę. - Kciukiem wskazał na sufit. - Wystarczyło stamtąd wyjść, kiedy...
- Ale w jaki sposób, do diabła, w ogóle zdołał się tu dostać?
- przerwał mu Yngvar. - Potrafisz mi wyjaśnić, w jaki sposób ktokolwiek mógł się dostać do apartamentu, z którego ma korzystać prezydent Ameryki, przygotować to wszystko... -wskazał na sufit, a potem na płytę leżącą na stole - ...umościć się wygodnie w kanale wentylacyjnym, potem się z niego wydostać, zabrać panią prezydent i jeszcze stąd wyjść? - Chrząknął i podjął ściszym, zrezygnowanym tonem: - I wszystko to w hotelowym pokoju, który został drobiazgowo przeszukany przez policję norweską i przez amerykańską Secret Service zaledwie na kilka godzin przed udaniem się pani prezydent na spoczynek. Jak to możliwe? Jak to w ogóle możliwe?
- Sporo tu luźnych nitek. - Warren położył dłoń na ramieniu Norwega. Yngvar nieznacznie drgnął, Scifford więc szybko colhał dłoń.
- Musimy się dowiedzieć, kiedy włączono kamery - powiedział szybko. - I czy kiedykolwiek je wyłączano. Trzeba zbadać, kiedy ostatni raz sprawdzano ten pokój przed powrotem Madam President z kolacji. Musimy...

- Nie my. - Yngvar znów wyjął komórkę. - Już dawno powinienem był wezwać ekipę. To zadanie śledczych. Nie twoje ani nie moje.

Czekając, aż ktoś odbierze, nie spuszczał wzroku z Warrena. Twarz Amerykanina pozostawała równie obojętna jak w chwili, gdy weszli do apartamentu niespełna pół godziny wcześniej. Gdy Yngvar uzyskał połączenie, odwrócił się i powoli podszedł do okien wychodzących na fiord, ściszone głosem prowadząc rozmowę.

Warren Scifford ciężko usiadł w fotelu. Zapatrzył się w podłogę, ręce zwiesił, jak gdyby nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Jego garnitur przestał już wyglądać tak elegancko, źle leżał, a węzeł krawata się poluzował.

- Coś nie tak? - spytał Yngvar. Zakończył już rozmowę telefoniczną i gwałtownie się odwrócił.

Warren prędko poprawił krawat i wstał. Otepienie minęło tak szybko, że Yngvar nie był pewien, czy naprawdę coś zobaczył.

- Wszystko - roześmiał się krótko Warren. - Wszystko ostatnio jest nie tak. Idziemy?

- Nie. Zaczekam tu na przybycie kolegów. To nie powinno potrwać długo.

- Wobec tego mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że ja już sobie pójdę - Warren lekko otrzepał rękaw marynarki.

- Ależ skąd. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebował.

Miał ochotę spytać Warrena, dokąd idzie, ale coś go powstrzymało. Jeśli Amerykanin dalej miał ochotę bawić się w sekrety, to niech się bawi w spokoju.

Yngvar miał co innego na głowie.

20

- Mam zupełnie inne sprawy, którymi muszę się zająć - oświadczył, przekładając telefon z prawej ręki do lewej i jednocześnie

zajmując miejsce pasażera w służbowym samochodzie Komendy Okręgowej Policji w Oslo. - Byłem w pracy wpół do ósmej rano, a teraz muszę wracać do domu.

- Ty jesteś najlepszy - rozległ się głos na drugim końcu linii. - Jesteś najlepszy, Yngvarze, a my wreszcie mamy coś konkretnego.

-Nie.

Yngvar Stub0 z całkowitym spokojem na moment zasłonił dłonią dolną część telefonu i szepnął do kierowcy:

- Hauges vei cztery, bardzo proszę. Od Maridalsveien, tuż przed dojazdem do Nydalen.

- Halo? - zniecierpliwiał się głos na drugim końcu.

-Jestem, jestem. Jadę do domu. Zleciliście mi zadanie łącznika, które staram się realizować, najlepiej jak potrafię. To po prostu... nieprofesjonalne tak nagle wciągać mnie w...

- Przeciwnie, to bardzo profesjonalne - oświadczył komendant Bastesen. - Ta sprawa wymaga od nas wykorzystania najlepszych sił w kraju o każdej porze, bez względu na listy dyżurów, stopień i przepracowane nadgodziny.

-Ale...

- Oczywiście, wszystko zostało uzgodnione z twoimi zwierzchnikami. Masz to traktować jak rozkaz. Przyjeżdżaj.

Yngvar zamknął oczy i powoli wypuścił z płuc powietrze. Otworzył oczy, gdy kierowca gwałtownie zahamował na rondzie przy Oslo City. Młody chłopak w starym volkswagenie zajechał im drogę z dużą prędkością.

- Zmiana planów - oznajmił Yngvar z rezygnacją, zakończywszy rozmowę. - *Jedź* do komendy. Są tacy, co uważają, że ten dzień nie był jeszcze dostatecznie długi.

Jego słowom towarzyszyło głośnie burczenie. Yngvar poklepał się po brzuchu i przepraszająco uśmiechnął do kierowcy.

-A po drodze zatrzymaj się na stacji benzynowej - dodał. - Muszę zjeść jakiegoś hot doga, albo i dwa.

Abdallah al-Rahman był głodny, ale wciąż miał parę rzeczy do zrobienia przed ostatnim tego dnia posiłkiem. Najpierw chciał zajrzeć do najmłodszego syna.

Rashid spał głęboko z pluszowym konikiem pod pachą. Chłopczyk wreszcie obejrzał film, o który tak się dopominał, i teraz leżał na plecach z rozsuniętymi nogami i miną wyrażającą pełne zadowolenie. Koc dawno zrzucił. Kruczoczarne włosy za bardzo już mu urosły. Kędziory wiły się na białym jedwabiu niby pasma tłustej ropy.

Abdallah uklęknął i delikatnie okrył chłopca. Pocałował go w czoło i poprawił konika.

Obejrzelili *Szklaną pułapkę* z Bruce'em Willisem.

Rashid uwielbiał ten amerykański film sprzed prawie dwudziestu lat. Żaden z jego starszych braci nie pojmował dlaczego. Dla nich *Szklana pułapka* już od dawna była archaiczna, efekty specjalne żałosne, a główny bohater nie miał nawet cech twardziela. Sześćioletniemu Rashidowi sceny akcji idealnie przypominały komiks, były nierzeczywiste, a przez to nie wywoływały prawdziwego strachu. Poza tym w roku 1988 terroryści pochodzili z Europy Wschodniej, Arabowie jeszcze nie zdążyli się nimi stać.

Abdallah spojrzał na wielki plakat z filmu nad łóżkiem. Nocna lampka, którą Rashidowi wciąż pozwalano zostawiać zapaloną, ponieważ bał się ciemności, rzuciła słabe czerwone światło na poturbowaną twarz Bruce'a Willisa. W połowie zasłaniała ją Nakatomi Plaża, wieżowiec stojący w płomieniach. Usta aktora były otwarte, niemal rozdziawione, a spojrzenie nieruchomo wbite w obraz, który nie mieścił się w najśmielszej wyobraźni: atak terrorystyczny na drapacz chmur.

Abdallah na chwilę zatrzymał się jeszcze w drzwiach. W półmroku usta Bruce'a Willisa zmieniły się w wielką czarną dziurę.

Abdallahowi wydało się, że w jego oczach dostrzega żółtoczerwone refleksy gwałtownej eksplozji, rodzącą się wściekłość.

Właśnie tak zareagowali, pomyślał. Właśnie tak. I to trzynaście lat po nakręceniu tego filmu. Szokiem i niedowierzaniem. Bezsilnością i strachem. A potem, kiedy społeczeństwo amerykańskie zrozumiało, że to, co nie do pomyślenia, stało się rzeczywistością, pojawiła się wściekłość.

Atak 11 września 2001 był dziełem szaleńców. Abdallah zrozumiał to od razu. Kiedy zadzwonił do niego zszokowany współpracownik z Europy, zdążył jeszcze zobaczyć, jak United Airlines Flight 175 wbija się w Południową Wieżę. Północna już stała w ogniu. W Rijadzie było trochę po szóstej, a Abdallah nie był w stanie usiąść.

Przez dwie godziny stał przed telewizorem. Gdy wreszcie oderwał się od ekranu, żeby odpowiedzieć na wiadomości nagrane na automatyczną sekretarkę, pojął, że atak na World Trade Center może być równie brzemienny w skutki dla świata arabskiego, jak atak na Pearl Harbor dla Japończyków.

Zamknął drzwi do pokoju synka. Przed posiłkiem musiał jeszcze coś zrobić. Skierował się w stronę biurowej części pałacu, wschodniego skrzydła, oświetlanego na początku dnia pracy przez poranne słońce, zanim jeszcze stawało się zbyt gorące.

Teraz budynek był pogrążony w ciemności i ciszy. Nieliczni pracownicy, których obecność uznawał za konieczną, przebywali w niedużym kompleksie mieszkaniowym, wzniesionym dwa kilometry bliżej Rijadu. Po godzinach pracy w pałacu mogła przebywać wyłącznie prywatna służba, ale nawet ona miała swoje kwatery w pewnym oddaleniu, w niskich budynkach piaskowego koloru przy bramie.

Abdallah przeciął wewnętrzny dziedziniec. Noc była pogodna. Jak zawsze zatrzymał się na chwilę przy sadzawce z karpiami, żeby popatrzeć w gwiazdy. Pałac stał z dala od świateł wielkiego miasta i niebo tu wyglądało niby podziurkowane milionami białych

punkcików. Niektórych maleńkich i mrugających, innych dużych, jasno świeących. Przysiadł na niskiej ławce i poczuł na twarzy wieczorny powiew.

Abdallah w kwestiach religijnych był pragmatykiem. Rodzina przestrzegła tradycji muzułmańskich, dbał też o to, by synowie oprócz zdobywania trudnego akademickiego wykształcenia poznawali Koran. Wierzył w słowa Proroka, odbył *hadż* i z dumą płacił *zakat*, jałmużnę. Wiarę uważał jednak mimo wszystko za sprawę osobistą, wyłącznie między nim a Allahem. Modlił się pięć razy dziennie, ale nie wtedy, gdy miał mało czasu. Powtarzało się to coraz częściej, ale wcale go nie martwiło. Abdallah al-Rahman żył w przekonaniu, że Allah o tyle, o ile w ogóle zawraca sobie tym głowę, rozumie, że dbanie o interesy może być ważniejsze niż ściśle przestrzeganie reguł *salat*, modlitwy.

Zdecydowanie sprzeciwiał się też mieszanemu polityki z religią. Czczenie Allaha jako jedyne Boga i uznawanie proroka Mahometa za jego wysłannika należało do sfery duchowej. Polityka zaś, a co za tym idzie, również interesy nie były sprawą ducha, lecz rzeczywistości. Zdaniem Abdallaha, rozdzielenie polityki od religii służyło nie tylko polityce. Powinno się chronić to, co czyste i wyższe w wierze, przed cynizmem, a często wręcz brutalnością polityki.

W interesach był niewiernym. I nie miał innych bogów oprócz siebie samego.

Kiedy Al-Kaida tak ciężko doświadczyła Stany Zjednoczone we wrześniu 2001 roku, był równie poruszony jak większość z sześciu miliardów mieszkańców Ziemi.

Uznał atak za ohydny.

Abdallah al-Rahman uważał się za wojownika. Jego pogarda dla USA była równie silna jak nienawiść terrorystów do tego kraju. Poza tym akceptował zabójstwo jako środek prowadzący do celu i czasami z niego korzystał. Należało go jednak stosować precyzyjnie i wyłącznie w razie najwyższej konieczności.

Uderzenie na oślep nigdy nie przynosiło nic dobrego. Osobiście znał kilka ofiar tragedii na Manhattanie. Trzy z nich znajdowały się na liście opłacanych przez niego osób. Oczywiście o tym nie wiedziały. Większość jego amerykańskich spółek stanowiła własność holdingów, powiązanych z kolei z międzynarodowymi koncernami, co skutecznie skrywało prawdziwe stosunki własności. Zwykłą okreśną drogą Abdallah zadbał o finansowe zabezpieczenie rodzin ofiar. Wszyscy byli Amerykanami i nie mieli pojęcia, że szczodre czeki od pracodawcy zmarłych pochodziły tak naprawdę od mężczyzny, którego ojczyzną był ten sam kraj, co Osamy bin Ladena.

Uderzenie na ślepo było nie tylko złe, lecz również bezgranicznie głupie.

Abdallah nie mógł pojąć, jak inteligentny i wykształcony człowiek może się skłaniać ku bezsensownemu terrorowi. Sam dobrze znał przywódcę Al-Kaidy. Obaj urodzili się w Rijadzie i byli w podobnym wieku. Dorastając, obracali się w tych samych kręgach, w grupie synów bogaczy, skupionych wokół niezliczonych książy z saudyjskiej rodziny królewskiej. Abdallah lubił Osamę, życzliwego, łagodnego chłopaka, skupionego i znacznie mniej hałaśliwego niż inni młodzi ludzie, pławiący się w dobrobycie i rzadko choćby kiwający palcem, by w jakikolwiek sposób zadbać o rodzinne fortuny, które wyrastały z ogromnych pustynnych obszarów kraju. Osama był zdolny i bystry, obaj chłopcy wielokrotnie zaszywali się w kącie, zajęci przyciszoną rozmową na temat filozofii, polityki, religii i historii. Po śmierci Rashida, kiedy skończyło się beztrudne życie młodszego syna, Abdallah stracił kontakt z Osamą. Może i dobrze się stało. Późniejszy przywódca terrorystów pod koniec lat siedemdziesiątych doznał polityczno-religijnego przebudzenia, co zaważyło na jego działaniach, gdy Związek Radziecki postanowił dokonać inwazji na Afganistan.

Ich drogi się rozeszły i od tamtej pory nigdy się nie widzieli.

Abdallah wstał z ławki. Wzniósł ręce ku niebu i napiął mięśnie do granic wytrzymałości. Powiew wieczornego wiatru chłodził go przyjemnie.

Wolnym krokiem ruszył do wschodniego skrzydła.

Atak Al-Kaidy na USA był dziełem czystej nienawiści, pomyślał, nie przestając się dziwić brakowi znajomości stosunków na Zachodzie u przyjaciela z dzieciństwa.

Abdallah znał ograniczenia nienawiści. Podczas rekonwalescencji w Szwajcarii po śmierci brata zrozumiał, że nienawiść to uczucie, na które nigdy nie może sobie pozwolić. Już jako szesnastolatek pojął, że najważniejszą bronią każdego wojownika jest racjonalne myślenie i działanie. A rozsądku nie da się połączyć z nienawiścią.

Poza tym nienawiść sama się zwielokrotnia.

Zniszczenie trzech budynków, czterech samolotów i zabicie blisko trzech tysięcy ludzi wystarczyło, by wywołać u przeciwnika nienawiść i lęk tak kolosalny, że ludzie zaczęli akceptować niestychane poczynania władz. W nadziei, że już nigdy nie doświadczy podobnego cierpienia, naród amerykański zgodził się na naruszenie własnej konstytucji, myślał Abdallah. Amerykanie przystali na podsłuchy i przypadkowe aresztowania, na przeszukania i kontrolę prywatności w stopniu, jaki przez ponad dwieście lat był nie do pomyślenia w ich kraju.

Amerykanie zwarli szeregi, pomyślał Abdallah. Tak jak bywało zawsze na przestrzeni dziejów: ludzie jednoczyli się przeciwko zewnętrznym wrogom.

Otworzył wielkie, pięknie rzeźbione drzwi do gabinetu. Lampka na biurku się paliła, rzucając złotą poświatę na kobierce pokrywające podłogę. Sprzęt komputerowy lekko szumiał, a delikatny zapach cynamonu kazał Abdallahowi otworzyć szafkę przy oknie. Na srebrnej podstawce stał parujący dzbanek, o który zawsze dbał ostatni służący, opuszczający skrzydło biurowe. Abdallah nalał sobie herbaty.

Tym razem nie zewrą szeregów.

Uśmiechnął się lekko na tę myśl i wypił pół szklanki napoju, nim usiadł przy komputerze. Wejście na stronę ColonelCars zajęło mu zaledwie kilka sekund. Mógł tam przeczytać notatkę zarządu z wielkim żalem informującego, że dyrektor generalny Tom Patrick O'Reilly zginął w tragicznym wypadku. Zarząd wyrażał głębokie współczucie rodzinie dyrektora i zapewniał, że rozległa międzynarodowa działalność spółki będzie kontynuowana w duchu planów zmarłego, a rok 2005 już się zapowiada na rekordowy.

Uzyskawszy potwierdzenie, Abdallah wyłączył komputer.

Już nigdy więcej nie wracał myślą do swego dawnego kolegi ze studiów, Toma O'Reilly.

22

Mężczyzna, który właśnie odebrał ze szpitala rzeczy zmarłej matki, zamknął za sobą drzwi na klucz i wszedł do salonu. Przez chwilę stał nieporadnie, patrząc na torbę z ubraniami i plecakiem. Wciąż trzymał ją w ręce i nie bardzo wiedział, co z nią zrobić.

Lekarz poświęcił mu dużo czasu. Pocieszał, że wszystko stało się bardzo szybko; matka ledwie zdążyła się zorientować, że coś jest nie tak, gdy już straciła przytomność. Znalazł ją inny turysta, ale starszka, niestety, zmarła przed przyjazdem do szpitala. Lekarz uśmiechał się ciepło i serdecznie, mówiąc, że sam życzyłby sobie takiego spotkania ze śmiercią - przy zdrowych zmysłach, wśród przyrody w majowy dzień, jako sprawny osiemdziesięcioletek.

Matka miała osiemdziesiąt lat i pięć dni, pomyślał syn i wierzchem dłoni otarł oczy. Nikt nie mógł narzekać, dożywszy takiego wieku.

Odłożył torbę na stół. Rozpakowywanie jej uważał w pewnym sensie za nieprzyzwoite, wydawało się to złamaniem obowiązującej w dzieciństwie zasady numer jeden: nie grzeb w cudzych

rzeczach. Trzeba było jednak przełamać niechęć do przejrzenia prywatnych *rzeczy* matki.

Na wierzchu leżał plecak. Mężczyzna ostrożnie go otworzył. Na samej górze zobaczył blaszane pudełko na kanapki. Kiedyś na pokrywce był obrazek przedstawiający fiord Geiranger w blasku słońca z luksusowym parowcem na środku. Teraz pozostały jedynie skrawki brudnoniebieskiego morza i szarawego nieba. Kilka lat temu podarował matce nowe pudełko z jaskrawoczerwonego plastiku; natychmiast poszła je wymienić na ręczny mikser, bo przecież nie było sensu zastępować czymś nowym całkiem przyzwoitego jeszcze przedmiotu.

Uśmiechnął się na wspomnienie chmurnej miny matki, gdy tylko usiłował wcisnąć jej coś nowego. Wysypał resztę zawartości starego szarego plecaka na stół. Termos, papierek po czekoladzie, zniszczona mapa lasów Nordmarka. Kompas, który z całą pewnością nie wskazywał północy. Czerwona strzałka kołysała się raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby opiała się spirytusowi, w którym była zanurzona.

Kurtka leżała pod plecakiem. Wyjął ją i przyłożył do twarzy. Zapach starej kobiety, przemieszany z zapachem lasu, znów przypawił go o łzy. Delikatnie strzepnął z kurtki liście i drobnutki gałązki, które przyczepiły się do rękawa.

Coś wypadło z kieszeni.

Starannie złożył kurtkę i położył ją przy przedmiotach wyjętych z plecaka. Dopiero potem się nachylił i podniósł tę rzecz z podłogi.

Portfel?

Skórzany, dziwnie nieduży. A mimo to wydawał się w dłoni jakiś ciężki.

Mężczyzna otworzył go i zorientował się, że głośno się śmieje.

A przecież nie powinien się śmiać. Usiłował się opanować, pociągając nosem i szeroko otwierając oczy, żeby się nie rozpląkać ze śmiechu.

Ale śmiech nie dawał się powstrzymać. W końcu mężczyźnie zabrakło tchu.

Jego osiemdziesięcioletnia uparta matka stanęła w obliczu śmierci z identyfikatorem Secret Service w kieszeni.

Portfelik otwierał się jak nieduża książeczka. Prawą stronę zdobiła złota metalowa odznaka, na której orzeł rozpościerał skrzydła nad herbową tarczą z gwiazdą pośrodku. Przypominała gwiazdę szeryfa, którą dostał od ojca pod choinkę, kiedy miał osiem lat. Ale teraz już się przestał śmiać.

Z lewej strony w przezroczystą kieszonkę wsunięty był identyfikator. Należał do człowieka nazwiskiem Jeffrey William Hunter. Przystojny facet, sądząc po zdjęciu. Miał krótko obcięte gęste włosy i wyraz powagi w dużych oczach.

Mężczyzna w średnim wieku, który właśnie stracił matkę, był kierowcą taksówki. Jego zmiana już dawno się zaczęła, ale samochód wciąż stał beczynnie przed domem, a on nie zgłosił niedyspozycji. Uznał, że jazda po mieście będzie równie dobra, jak siedzenie w domu i rozpamiętywanie. Teraz nie był już tego taki pewien. Uważniej przyjrzał się starannie wykonanemu emblematowi. Obracał go na różne strony, choć i tak nie mógł pojąć, skąd matka wzięła coś takiego. Przyszło mu jedynie do głowy, że musiała to znaleźć w lesie. Ktoś pewnie to zgubił.

W mieście było wielu agentów. Sam ich widział wokół twierdzy Akershus podczas kolacji w wieczór przed świętem narodowym.

Jeszcze raz przyjrzał się twarzy nieznajomego. Agent był na zdjęciu bardzo poważny, wręcz smutny.

Kierowca poderwał się zdecydowanie. Rzeczy matki zostawił na stole i sięgnął po kluczyki do samochodu, wiszące na haczyku przy drzwiach wejściowych.

Identyfikatora Secret Service nie można wysłać pocztą. To może być coś ważnego. Postanowił pojechać na policję.

Od razu.

- Jesteś i będziesz kimś wyjątkowym - powiedział Yngvar Stub0.

Gerhard Skr0der bardziej leżał, niż siedział na krześle. Nogi miał szeroko rozrzucone, głowę obojętnie odchyłoną w tył, a wzrok utkwiony w coś na suficie. Ciemne koła pod oczami brzydoko kontrastowały z bladą skórą, sprawiając, że nos wydawał się jeszcze większy. Człowiek nazywany Kanclerzem nie tknął ani filiżanki z kawą, ani butelki z wodą mineralną, które Yngvar przed nim postawił.

- Ciekaw jestem - ciągnął szef wydziału, lekko drapiąc się za uchem - naprawdę jestem ciekaw, czy wy, chłopaki, zdajecie sobie sprawę, jak idiotyczna jest tak naprawdę ta rada. Nie huśtaj się!

Nogi krzesła stuknęły o podłogę.

-Jaka rada? - spytał Skr0der niechętnie. Złożył ręce na piersi, zezując na podłogę; do tej pory obaj mężczyźni nie nawiązali kontaktu wzrokowego.

- Ta brednia, którą karmią was wasi adwokaci. O tym, żeby na przesłuchaniu zawsze trzymać gębę na kłódkę. Nie pojmujesz, jakie to głupie?

- Wcześniej działało - zachichotał Skr0der i wzruszył ramionami, nie prostując się na krześle. - Poza tym, do cholery, nie zrobiłem nic złego. Nie ma zakazu jeżdżenia po Norwegii.

- Sam widzisz! - Yngvar roześmiał się.

W oczach Gerharda Skr0dera po raz pierwszy błysnęło coś, co można by uznać za zainteresowanie.

- Co ty, do cholery, wygadujesz? - spytał, sięgając po butelkę z wodą.

Teraz patrzył wprost na Yngvara.

- Zawsze trzymacie gębę na kłódkę. Wtedy wiemy, że jesteście winni. Ale to nas tylko rozkręca. Nigdy nie dostajemy od was nic gratis, lecz tym bardziej się staramy. I widzisz... - Nachylił się nad starym zniszczonym stołem, który ich oddzielał. - W sprawach takich jak ta, kiedy naprawdę fantazjujesz, że nie zrobiłeś nic karalnego, nie jesteś w stanie na dłuższą metę powstrzymać się od gadania. Potrzeba było... - zerknął na zegar na ścianie - ..dwudziestu trzech minut, żebyś dał się podpuścić i się odezwał. Nie rozumiesz, że my już dawno złamaliśmy ten wasz idiotyczny kod? Ten, kto jest niewinny, zawsze mówi. Ten, kto mówi, często jest winny. Ten, kto milczy, jest winny na bank. Ja wiem, jaką strategię bym wybrał, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Gerhard Skr0der potarł nos brudnym palcem. Paznokcie miał siny i obgryziony. Znów zaczął się huścić na krześle. Wyraźnie się zaniepokoił, bo naciągnął czapkę z daszkiem na oczy. Yngvar sięgnął po blok kartek formatu A4, wyjął flamaster i zaczął coś gryzmolić w milczeniu.

Gerharda Skr0dera nietrudno było złapać. Umiał sobie czas z litewską dziwką w kamienicy na Griinerl0kka, w mieszkaniu wpisanym do obszernego policyjnego rejestru miejsc pobytu przestępców z Oslo, i wysłany patrol trafił na niego przy trzeciej próbie. Zaledwie kilka godzin po tym, jak został rozpoznany przez Yngvara na niewyraźnym filmie z kamery monitoringu całodobowej stacji benzynowej, już siedział w areszcie. Miękł tam godzinę czy dwie, nim wreszcie głośno zaklął na widok Yngvara Stub0, który po niego przyszedł.

Od tamtej pory milczał. Aż do teraz.

Cisza była najwyraźniej trudniejsza do zniesienia niż wszystkie pytania i oskarżenia Yngyara czy aluzje do filmu z kamery. Gerhard Skr0der ogryzał paznokcie, z którego prawie nic już nie pozostało. Jedno udo mu się trzęsło. Chrząknął i otworzył butelkę z wodą.

Yngvar dalej rysował psychodeliczny wzór z krwistoczerwonych kresek i gwiazdek.

- Tak czy owak zaczekam na swojego adwokata - oświadczył wreszcie Gerhard i usiadł normalnie na krześle. - A poza tym mam prawo wiedzieć, co złego, waszym zdaniem, zrobiłem. Po prostu trochę sobie pojeździłem, wożąc pasażerów. Odkąd to zabronione, co?

Yngvar starannie zatknął skuwkę i odłożył flamaster. Nadal się nie odzywał.

- Gdzie, do cholery, podziewa się Ove R0nbeck? - rozżłościł się Gerhard, który najwyraźniej porzucił swoją pierwotną strategię. - Nie wolno ci ze mną rozmawiać pod nieobecność mojego adwokata.

- Owszem - odparł Yngvar. - Wolno. Mogę cię na przykład zapytać, czy chciałbyś, żebym ci przyniósł świeżą kawę. Tej nie tknąłeś i wystygła.

Gerhard z ponurą miną pokręcił głową.

- Mogę ci też wyświadczyć inną przysługę - powiedział Yngvar, wstając. Zrobił kilka kroków wzdłuż stołu, w końcu przysiadł na nim, lekko odwrócony od Gerharda.

-Jaka? - mruknął arestant do butelki.

- A to w porządku, że ci wyświadczę przysługę, zanim przyjdzie twój adwokat?

- Niech to cholera, Stub0, o czym ty gadasz?

Yngvar pociągnął nosem i przejechał po nim rękawem koszuli. W pokoju było dziwnie chłodno. Klimatyzacja musiała być niewłaściwie nastawiona, może zrobiono to celowo, żeby orzeźwić tę masę funkcjonariuszy pracujących w budynku na okrągło przez całą dobę. Nawet teraz, w pół do ósmej, gdy zwykle korytarze z szeregiem drzwi pustoszały, słychać było trzaski i kroki, głosy i podzwanianie kluczy niczym w pracowite piątkowe przedpołudnie w czerwcu.

Jego marynarka wisiała na oparciu krzesła. Zsunął się ze stołu i sięgnął po nią. Włożył ją i uśmiechnął się zyczliwie.

- Nigdy cię nie lubiłem, Gerhardzie.

Mężczyzna bez słowa dalej drapał strup.

- Może dlatego - Yngvar wygładził kłapy marynarki - jestem wyjątkowo bardzo zadowolony, że nie chcesz gadać.

Gerhard poprawił czapkę i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Zmienił zdanie odrobinę za późno i słowo zmieniło się w dziwaczne mruknięcie, zanim zacisnął zęby. Znow rozwalił się na krześle, zawzięcie drapiąc się w krocze.

- Bardzo zadowolony - powtórzył Yngvar, kiwając głową. Stał teraz odwrócony do aresztanta plecami, jak gdyby zwracał się do jakiejś trzeciej osoby. - Ponieważ cię nie lubię. A skoro tak się zachowujesz, mogę cię po prostu wypuścić. - Odwrócił się gwałtownie, ręką wskazując zapraszająco na zamknięte drzwi. - Mogę cię puścić. Bo tamci mają zupełnie inne środki niż te, z których mnie wolno skorzystać. Zupełnie inne.

Zaśmiał się cicho, jak gdyby myśl o zwolnieniu Gerharda Skrodera szczerze go rozbawiła.

- O co ci chodzi?

- Chyba już się zdecydowałem. - Yngvar znow jakby mówił do kogoś innego. - Będę mógł zakończyć te bzdury, wrócić do domu i odpocząć. - Poklepał się po marynarce, jakby przed wyjściem chciał się upewnić, czy ma portfel i kluczyki. - Już nigdy więcej cię nie zobaczę. Będzie mniej o jednego łotra, na którego policja traci siły i środki.

- O czym ty, do diabła, gadasz? - Gerhard obiema pięściami uderzył w stół.

- Powiedziałeś, że mamy zaczekać na twojego adwokata. - Yngvar uśmiechnął się. - Możesz tu siedzieć i czekać. Sam. Ja zadbam o uproszczenie mu zadania. Zostaniesz zwolniony, gdy tylko załatwimy całą papierkową robotę. Przyjemnego wieczoru, Gerhardzie. - Podszedł do drzwi, przekręcił klucz i już miał je otworzyć.

- Zaczekaj! Zaczekaj!

Yngvar nie zdejmował dłoni z klamki.

- O co chodzi? - spytał.

- Kogo ty masz na myśli? Jacy tamci... O czym ty, do cholery, mówisz?

- Ależ, Gerhardzie. Nazywają cię Kanclerzem, prawda? Sądziłem, że z takim tytułem masz pewną wiedzę o stosunkach międzynarodowych .

- Cholera, ja...

Błada twarz pokryła się potem i Gerhard po raz pierwszy zerwał z głowy czapkę. Włosy miał przyklepane i tłuste, kosmyk spadł mu na oczy. Próbował go zdmuchnąć.

- Myślisz o Amerykanach? - spytał.

- Bingo! - rzucił z uśmiechem Yngvar. - Powodzenia! - Naciśnął klamkę.

- Zaczekaj! Słyszysz, Stub0! Czekać! Amerykanie, do cholery, nie mają żadnego prawa, żeby...

Teraz Yngvar śmiał się już głośno. Z odrzuconą w tył głową wręcz zanosił się śmiechem. Wśród nagich ścian pokoju ten śmiech zabrzmiał ostro, złowieszczo.

- Amerykanie i prawo? Amerykanie? - wydusił.

Śmiał się tak, że ledwie mógł mówić. Puścił klamkę, złapał się za brzuch, kręcił głową i czał.

Aresztant przyglądał mu się z otwartymi ustami. Miał długie doświadczenie z policją. Stracił już rachubę, ile razy siedział na przesłuchaniu u jakiegoś gliniarza idioty. Ale z czymś takim nigdy jeszcze się nie zetknął. Puls mu przyśpieszył. Krew dudniła w uszach, gardło się ścisnęło. Przed oczami zawirowały czerwone plamy. Miętosił czapkę w dłoniach. Kiedy Yngvar Stub0 musiał oprzeć się ręką o ścianę, żeby się nie zgąć wpool w ataku śmiechu, Gerhard Skr0der gorączkowo obmacywał kieszenie w poszukiwaniu inhalatora. Była to jedyna rzecz, jaką pozwolono mu zatrzymać po przeszukaniu i odebraniu wszystkich rzeczy osobistych. Drżącymi dłońmi przyłożył go do ust.

- Dawno nikt mnie tak nie rozbawił - rzucił Yngvar, ocierając oczy.

- Ale co Amerykanie mogliby mi zrobić? - spytał Gerhard Skr0der wysokim, prawie dziecięcym głosem. - Przecież jeste śmy w Norwegii...

Chciał schować inhalator do kieszeni, ale nie trafił. Inhalator upadł na podłogę, Skr0der schylił się po niego. Kiedy się wyprostował, Yngvar Stub0 stał z pięściami wpartymi w stół i twarzą nachyloną w odległości dziesięciu centymetrów od niego. Spory brzuch i niezwykle szerokie bary sprawiały, że policjant przypominał jasnowłosego goryla, a w jego niebieskich oczach nie było teraz ani cienia rozbawienia.

- Wydaje ci się, że jesteś mistrzem świata - szepnął Yngvar. - Masz się za gwiazdę. Wyobrażasz sobie, że jesteś ważny tylko dlatego, że poruszasz się na obrzeżach rosyjskiej mafii. Wierzysz, że dasz sobie radę. Że jesteś dość twardy, żeby sobie radzić z cholernymi kryminalistami z Albanii i innym bałkańskim diabelstwem. Zapomnij o tym. To teraz... właśnie teraz - podsunął palec pod sam nos aresztanta i podniósł głos - się przekonasz, jakim jesteś głownem. Jeśli przez moment wydaje ci się, że Amerykanie będą siedzieć cicho i spokojnie patrzeć, jak wypuszczamy takiego drania jak ty, to się cholernie mylisz. Codziennie, wielokrotnie w ciągu dnia informujemy ich o przebiegu śledztwa. Wiedzą, że tu jesteś. Wiedzą, co zrobiłeś, i będą...

- Ale ja przecież nic nie zrobiłem. - Skr0der oddychał ze świstem, miał wyraźne kłopoty z mówieniem. - Ja... ja przecież... tylko...

- Oddychaj spokojniej - nakazał Yngvar. - Zażyj więcej tego lekarstwa. - Odsunął się nieco i opuścił rękę. - Chcę wiedzieć wszystko - oznajmił, gdy aresztant wdychał zawartość okrągłego niebieskiego pojemnika. - Chcę wiedzieć, kto ci to zlecił. Kiedy, gdzie i jak. Chcę wiedzieć, ile za to dostałeś, gdzie są teraz te pieniądze, z kim jeszcze o tym rozmawiałeś. Chcę znać nazwiska i rysopisy, wszystko.

- Oni nie mogą - wydusił z **trudem Gerhard**. - **Chyba** nie mogą zabrać mnie do Guantamo.

- Gauntanamo - poprawił go Yngvar i przygryzł wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem, tym razem szczerym. - Kto wie? Kto to, do cholery, wie w dzisiejszych czasach? Stracili swoją prezydent, Gerhardzie. Z powodów pragmatycznych uznają cię za... terrorystę.

Yngvar gotów był przysiąc, że Gerhardowi rozszerzyły się źrenice. Przez moment wydało mu się, że zatrzymany całkiem przestał oddychać. Ale Skr0der zaraz zachłysnął się powietrzem i zaczął je łapać wielkimi haustami. Wierchem dłoni pocierał czoło, jak gdyby sądził, że to złowieszcze słowo zostało na nim wypisane wielkimi literami.

- Terrorysta - powtórzył Yngvar i cmoknął. - Niezbyt miła pieczętka od USA.

- Będę mówił - oświadczył Gerhard Skr0der bez tchu. - Po-
wiem wszystko, ale pod warunkiem, że tu zostanę. Zatrzymacie
mnie, prawda?

- Oczywiście. - Yngvar życzliwie poklepał go po ramieniu. -
My pilnujemy swoich, dopóki chcą współpracować. A teraz zro-
bimy sobie przerwę.

Zegar na ścianie wskazywał jedenaście minut po wpół do
ósmej.

- Do ósmej - zdecydował z uśmiechem. -Wtedy twój adwokat
na pewno już zdąży przyjechać i w spokoju sobie porozmawiamy,
dobrze?

- Dobrze - mruknął Gerhard Skr0der. Oddychał już lżej. -Ale
zostanę tutaj. U was.

Yngvar kiwnął mu głową i wyszedł. Wolno zamknął drzwi za so-
bą.

- No i co? - spytał komendant Bastesen. Stał oparty o ścianę i
przeglądał jakąś teczkę, którą na widok Yngvara natychmiast
zamknął. - To samo co zawsze? Nic nie mówi?

- Skąd. Będzie śpiewał. Powie nam wszystko o ósmej.

Bastesen zaśmiał się i w geście zwycięstwa podniósł dłoń zaciśniętą w pięść.

-Jesteś najlepszy, Yngvarze. Naprawdę najlepszy.

- Zdaje się, że tak - mruknął Yngvar. - Przynajmniej w odgrywaniu przedstawień. Ale teraz zdobywca Oscara koniecznie musi coś zjeść.

Kiedy szurając nogami, szedł korytarzem, był już tak głodny, że nie zauważył nawet, iż w miarę, jak na wieść o tym, że Gerhard Skr0der pękł, mijani koledzy zaczynają mu klaskać.

Inger Johanne jeszcze nie zadzwoniła.

24

Kobieta, która kuśtykała długim piwnicznym korytarzem, pomrukując pod nosem na przemian to przekleństwa, to modlitwy, i podzwaniając kluczami, żeby odpędzić złe duchy, była niegdyś najstarszą dziwką w Oslo. Nazywano ją Harrymarry i w jakiś cudowny sposób utrzymywała się przy życiu od ponad pół wieku.

-Wszystkie dobre moce, przyjdźcie mi z pomocą - mamrotała, powłócząc niesprawną nogą. Musiała dojść aż na sam koniec tego bezkresnego korytarza. - A wy, wszystkie diabły, schowajcie się. Do piekła z wami!

Od styczniowej nocy 1945 roku, gdy przyszła na świat na pace ciężarówki w udręczonej wojną Finlandii, Harrymarry opierała się wszystkim upartym próbom losu, który za wszelką cenę chciał ją złamać. Nie miała rodziców, a w przybranej rodzinie, w której umieszczono ją wbrew jej woli, nigdy nie zaznała spokoju. Po paru latach w sierocińcu uciekła do Oslo z postanowieniem, że sama będzie sobie radzić. Miała wtedy dwanaście lat. Z umiejętnością czytania na poziomie sześciolatka i wyglądem odstrasającym większość ludzi wybór kariery Harrymarry był oczywisty. Cztery razy

wydała na świat dziecko, za każdym razem **jako wypadek** przy pracy. Dzieci odbierano jej zaraz po urodzeniu.

Na przełomie tysiącleci szczęście uśmiechnęło się do Harrymarrы po raz pierwszy.

Spotkała Hannę Wilhelmsen.

Harrymarrы była kluczowym świadkiem w pewnej sprawie o zabójstwo i z powodów, których żadna z obu kobiet nie potrafiła później wyjaśnić, sprowadziła się do policjantki. I nigdy już nie pozwoliła się stamtąd ruszyć. Wróciła do swego prawdziwego imienia i stała się solidną pomocą domową i kucharką. W ramach zapłaty domagała się trzech rzeczy: metadonu, wygodnego łóżka i jednej paczki tytoniu papierosowego tygodniowo. Nic więcej. Tak było, dopóki Ida nie przysłała na świat, bo wtedy Marry zgasiała ostatniego papierosa i zamiast tytoniu zażądała wizytówek. Na złotym kartoniku z ozdobnie wyciętym brzegiem widniał napis:

Sama wybrała czcionkę. Na wizytówce nie było ani numeru telefonu, ani adresu. Wcale ich zresztą nie potrzebowała, bo w ogóle nie wychodziła i nigdy nie przyjmowała żadnych gości. Plik wizytówek leżał na nocnej szafce i co wieczór brała tę z wierzchu, całowała ją lekko, a potem przyciskała płasko dłonią do serca i z zamkniętymi oczami mamrotała swoją stałą wieczorną modlitwę:

- Dzięki Ci, Panie w niebiosach, dzięki za Hannę, Nefis i za Idę, moją małą księżniczkę. Ktoś mnie potrzebuje. Bardzo Ci za to dziękuję. Dobranoc, Panie Boże.

Z tymi słowami ciężko zasypiała, zawsze na osiem godzin. Teraz Marry zbliżała się wreszcie do właściwej piwnicy. Klucz trzymała w pogotowiu.

- Co za bzdura! - złażała samą siebie. - Taka stara baba, a boi się piwnicy. To ci dopiero! - Machnęła chudą ręką, jakby chciała w ten sposób odpędzić strach.

- Teraz po prostu wejdiesz do środka - mówiła dalej do siebie przenikliwym głosem - i weźmiesz stamtąd kordkę i inne rzeczy dla Inger Johanne. Co tu mogą być za strachy? Chyba to rozumiesz, Marry? Miałaś do czynienia z gorszymi upiorami niż te, które mogłyby tu mieszkać.

Wreszcie trafiła kluczem do dziurki.

- Że też tu musi być tak pięknie - ciągnęła, otwierając drzwi.

- Nie mogliby tutaj, po zachodniej stronie, mieć takich zwykłych piwnic? Ale nie... - Po omacku odszukała przełącznik światła.

- Tu muszą je zamykać prawdziwymi drzwiami i ścianami. Nie podobają im się boksy z siatki, jak w kurniku, i kłódki.

Piwnica miała ponad dwadzieścia metrów kwadratowych. Była prostokątna. Dłuższe ściany od podłogi do sufitu pokrywały półki, wypełnione kartonami, walizkami i kolorowymi pudłami z Ikei do przechowywania rzeczy, starannie oznakowanymi. To Marry je uporządkowała. Litery nie były wprawdzie jej mocną stroną, ale w liczbach i w logicznym myśleniu zawsze dostrzegała sens. Ponieważ z reguły myliły jej się znaki alfabetu, rzeczy leżały ułożone według ważności. Najbliżej drzwi stały skrzynki z konserwami i suchymi artykułami spożywczymi o długim terminie ważności. Na wypadek wojny atomowej. Dalej były zimowe ubrania w pudłach z dużymi otworami, zapewniającymi odpowiednią wentylację. Niemowłące ubranka maleńkiej Idy zmieściły się w różowym pudle z wizerunkiem misia na pokrywce. Zapachniało lawendą, gdy Marry uchyliła wieko i wsunęła pod nie palce, dotykając miękkiej tkaniny.

- Moja kochana dziewczynka. Mój koteczek.

Teraz szeptała. Zapach ubranek Idy trochę ją uspokoił. Pokuśtykała dalej i zatrzymała się przy krótszej ścianie, gdzie obok sanek Idy stały narty Nefis, zamocowane w specjalnym uchwycie.

KORDŁA DLA GOSICI.

wyciągnęła wielkie pudło i podniosła pokrywę. Kołdra była zrolowana i ściśnięta dwiema szerokimi czerwonymi opaskami.

Many wsunęła ją pod pachę, zamknęła pudło, umieściła je na swoim miejscu i podreptała z powrotem do drzwi.

- No już - powiedziała z ulgą. - Teraz trzeba tylko wrócić do ciepłego mieszkania.

Właśnie miała zamknąć drzwi na klucz, kiedy wydało jej się, że usłyszała jakiś dźwięk.

Nagły zastrzyk adrenaliny kazał jej wstrzymać oddech.

Nic.

Teraz znów.

Głuchy huk, jakby uderzenie. Daleki, lecz wyraźny. Marry wypuściła koldrę z rąk i przerażona złożyła ręce.

- Panie Boże mój i Stwórcu, Jezusie! - zawołała.

Dźwięk znów się powtórzył.

Głęboko w mózgu Marry tkwiły ostatnie obrazy tamtego życia, jakiego doświadczała przez prawie pięćdziesiąt pięć lat, zanim los wreszcie się do niej uśmiechnął. Marry, ten słaby, brzydki bękart, opierała się wszelkim przeciwnościom losu, ponieważ była bystra. Młoda, pyskata Marry zdołała przeżyć na ulicach Oslo jako prostytutka w latach sześćdziesiątych dzięki swojemu sprytowi. Stara dziwka Harrymarry przetrzymała upokorzenia i ciężkie narkotykowe otępienie z jednej prostej przyczyny: po prostu nie dawała się złamać.

Teraz bała się tak, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Zakręciło jej się w głowie. Właściwie miała już ochotę usiąść i pozwolić, by straszdyło wreszcie ją dopadło. Niechby diabeł w końcu po nią przyszedł, bo w głębi ducha uważała, że właśnie na to zasługuje.

- O cholera, nie! Jeszcze nie!

Przełknęła ślinę i zacisnęła zęby. Znów *ten* odgłos.

Brzmiało to tak, jakby ktoś próbował walić w drzwi, ale jakoś bardzo słabo. Brakowało rytmu i siły. Uderzenia nie wydawały się ani trochę agresywne. Marry podniosła koldrę z betonowej podłogi.

- Tutaj wreszcie znalazłam szczęście - powiedziała do siebie.
- I nikomu nie wolno straszyć starej baby do szaleństwa.

Skierowała się w stronę schodów.

Łup. Łup. Łup.

Teraz Marry miała już pewność. Dźwięk dochodził zza drzwi, przy których stała. Były czerwone, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, standardowo białych. Na wysokości twarzy położyła już taśmą przyklejono kawałek tektury, w połowie zerwanej, a napis na niej był w zasadzie nieczytelny. Przynajmniej dla Marry.

wydało jej się, że słyszy czyjś głos. Ale może to tylko złudzenie.

O dziwo, już się nie bała. Strach został zastąpiony przez wściekły gniew. To był jej dom i jej piwnica. Wybrała życie w odosobnieniu na Kruses gate, żeby trzymać się z dala od starych demonów, i nic ani nikt, żywy czy umarły, nie odbierze jej spokoju.

Ani teraz, ani nigdy.

- Halo? - zawołała głośno, pukając do czerwonych drzwi. - Halo, jest tam kto?

Chuda ręka szarpnęła za klamkę. Nastąpiła chwila ciszy, ale zaraz walenie znów się rozległo, tak nagle, że musiała cofnąć się o krok.

Głos zdawał się dochodzić gdzieś z bardzo daleka. Słów nie dało się odróżnić.

- A to dopiero! - Marry podrapała się w brodę, zanim przyłożyła ucho do drzwi. - To chyba najdziwniejsze drzwi w mieście.

— Otwórz drzwi! - wrzasnęła. - Wystarczy przekreślić zamek.

Walenie nie ustawało.

Marry zmrużonymi oczami przyjrzała się zamkowi. Tak jak przy innych drzwiach, tu też potrzebny był klucz, by wejść. Od środka jednak powinna być zamontowana blokada, uniemożliwiająca zastrzaśnięcie się w piwnicy. Albo zamknięcie kogoś od zewnątrz.

Te drzwi musiały w jakiś sposób zostać przerobione. Marry nie miała wątpliwości, że ktoś za nimi jest. Z pokładów pamięci zaczęły

wyłaniać się wspomnienia przeżyć, które usiłowała zostawić na zewnątrz, w tamtym świecie, do którego nigdy nie próbowała wracać i którego częścią nigdy nie chciała na powrót się stać.

Bycie tanią dziwką to nie tylko prostytutka. Znacznie gorsze jest być zdany wyłącznie na ulicę. Marry zamknęła oczy przed cisnącymi się obrazami śmietników i piwnic, oślizgłych materacy gdzieś w zaułkach i drewniach, szybkiego obciążania w brudnych samochodach, cuchnących tytoniem i zjełczałym tłuszczem.

Marry straciła rachubę, ile razy została zgwałcona. W miarę jak spadała coraz niżej w hierarchii prostytutek, odebrano jej własny róg ulicy i klientów, opluwały ją dziwki z importu, przekłete Rosjanki. Wyśmiewali się z niej młodzi chłopcy i opuszczali ją rówieśnice. Wymierały jedna po drugiej, a w roku 1999 Harrymarry też właściwie była żywym trupem. Brała zlecenia, których żadna inna nie chciała się podjąć, nawet Litwinki, psujące rynek szybkimi numerkami bez prezerwatywy za pięćdziesiąt koron.

Harrymarry pamiętała pewną piwnicę. Pamiętała mężczyznę.

- Nie chcę niczego pamiętać! - krzyknęła i uderzyła rękami w czerwone drzwi. - Wyciągnę cię stamtąd, kochaneczko! Zaczekaj, Marry zaraz ci pomoże!

Pokuśtykała do własnej piwnicy i przyniosła stamtąd olbrzymią skrzynkę z narzędziami. Nefis stale dokładała do niej jakieś nowe przyrządy, których przeznaczenia nikt do końca nie rozumiał.

-Już idę! - wrzasnęła Marry, ciągnąc całą skrzynkę pod czerwone drzwi. -Już idę, kotku!

Marry Olsen była samą skórą i kośćmi, ale siły jej nie brakowało. A teraz na dodatek powodowała nią wściekłość. Najpierw za pomocą dłuta usunęła listwy futryny, rzucając zniszczone drewno na podłogę. Potem młotkiem zaatakowała kłamkę, jak gdyby w ten sposób rozliczała się z własną przeszłością.

Kłamka się ułamała, ale drzwi dalej były tak samo zamknięte.

- Cholera! - warknęła Many i wysmarkała się w dwa palce, które wytarta w kwiciastą spódnicę. - Tu potrzeba czegoś mocniejszego.

Wysypała zawartość skrzynki na podłogę. Odgłos metalu uderzającego o beton był ogłuszający. Kiedy ucichł, zza drzwi znów dobiegło słabe echo walenia.

- Już do ciebie idę. - Marry sięgnęła po olbrzymi łom, który przedtem leżał na samym dnie skrzynki.

Z wielką siłą wepchnęła rozdwojony koniec pod futrynę przy zamku. Młotkiem wbiła go jeszcze głębiej, po czym stanęła tyłem do schodów, obiema rękami chwyciła narzędzie i pociągnęła.

Drewno zatrzeszczało, ale nic poza tym się nie stało.

-Jeszcze raz! - syknęła Marry.

Poleciały drzazgi, drzwi jednak dalej się trzymały.

- Może z drugiej strony - mruknęła do siebie Marry i powtórzyła cały manewr.

Zamek ustąpił, drzwi zaczęły odstawać od futryny. Były spazczone. Marry jeszcze raz wsunęła łom w szczelinę. Teraz znacznie głębiej, dzięki czemu możliwy był skuteczniejszy ruch.

- Raz, dwa, trzy i ciągniemy! - krzyknęła i wzdrygnęła się przestraszo na, gdy drzwi gwałtownie się uchyliły na kilkanaście centymetrów.

Łom wypadł jej z rąk, a w uszach aż zadzwoniło, gdy uderzył o podłogę. Marry mocno ujęła drzwi i szarpnięciem otworzyła je szerzej.

-Już dobrze, dobrze - powiedziała do osoby siedzącej na podłodze tuż za drzwiami. -Ja wiem, jak to jest. Teraz...

- *Help!* - wydusiła z siebie ochryple kobieta.

Rosyjska dziwka, pomyślała Marry, kręcąc głową.

- Tak, tak, zaraz ci pomogę. - Nachyliła się, by objąć w pasie zmaltretowaną kobietę. - Facetom nie wolno robić tego, co im się żywnie podoba. Ten twój musiał być naprawdę okropny. I jeszcze cię związał! Zaczekaj!

W stosie narzędzi wyszukała fiński nóż i przecięła nim plastikowe zaciski, krępujące ręce kobiety. Z wielkim wysiłkiem pomogła

jej stanąć na nogi. Odór moczu i odchodów aż kręcił w nosie. Marry zerknęła na drzwi od środka. Blokady w zamku nie było.

- Cholernie przebiegli ci faceci - mruknęła, delikatnie gładząc kobietę po zakrwawionej twarzy. - Zaraz będziesz mogła się wykąpać, kochana. Chodź ze mną!

Kobieta próbowała iść, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

- Okropnie cuchniesz, kochaneczko. Ale chodź z Marry.

- *Help* - szepnęła kobieta. - *Help me!*

- Przecież właśnie ci pomagam. Nie rozumiesz, co mówię. Ale ja to znam. Też byłam tam, gdzie ty teraz jesteś...

Marry nie przestawała mamrotać przez całą drogę do schodów, po których musiała niemal wnieść nieznaną kobietę, żeby dotrzeć do windy. Kiedy winda przyjechała, Marry uśmiechnęła się uszczęśliwiona i wpakowała tamtą do środka.

- Oprzyj się o to! - Wskazała na stalową poręcz. - Za chwilę będziemy w domu. Rany boskie, jak ty wyglądasz!

Dopiero teraz, w ostrym świetle jarzeniówek na suficie, Marry mogła się przyjrzeć twarzy kobiety. Olbrzymi guz na skroni nadał siny odcień całej twarzy, a oko było zalepione. Aż po szyję ciągnęła się smuga zakrzepłej krwi.

-Ale koniecznie chcą, żeby się dla nich elegancko stroić. - Marry z pewnym niedowierzaniem dotknęła czerwonego żakietu. - Nie dostałaś tego od Armii Zbawienia, to jest pewne.

Drzwi windy się otworzyły.

- No, a teraz bądź grzeczna i mocno złap się Marry!

Kobieta stała apatycznie, z rozchylonymi ustami. Oczy **miała** kompletnie pozbawione życia. Marry zbliżyła chude palce do jej twarzy i pstryknęła.

- Hej, jesteś tu? Obudź się!

Obejmując kobietę w pasie lewą ręką, a prawą trzymając za ramię, pociągnęła ją do drzwi mieszkania. Nie chciała jej puścić, więc zamiast szukać kluczy, łokciem nacisnęła dzwonek.

Minęły długie sekundy.

- *Help!* - jęknęła kobieta.
- Już, już! - Marry zniecierpliwiona zadzwoniła jeszcze raz.
- Marry - ucieszyła się Inger Johanne, otwierając drzwi. - Tak długo cię nie było, że...
- Znalazłam w piwnicy tę dziwkę - oświadczyła Marry. - Chyba Rosjanka czy coś takiego. Ale i tak musimy jej pomóc. Biedaczka. Jakiś kutas nieźle ją urządził.
- Inger Johanne osłupiała.
- Odsuń się - poprosiła Marry.
- Hannę! - zawołała Inger Johanne cicho, nie odrywając oczu od kobiety. - Musisz tu przyjść!
- Hannę nie jest z tych, co wyrzucą pobitą dziwkę - obruszyła się Marry. - Odsuń się, Inger Johanne.
- Hannę! - powtórzyła teraz Inger Johanne o wiele głośniej.
- W głębi holu, na tle wielkich przeszklonych ścian, na które roszące za oknem drzewa rzucały wieczorny cień, pojawił się wózek. Hannę powoli podjechała do drzwi. Gumowe kółka lekko zaskrzypiały na drewnianej podłodze.
- Ona potrzebuje tylko kąpieli - wyjaśniła Marry błagalnie.
- I może czegoś do jedzenia. Proszę cię, Hannę, przecież ty masz takie dobre serce.
- Hannę Wilhelmsen podjechała bliżej.
- Madam President* - powiedziała, na moment pochylając głowę.
- *Co me in, please. Lefs see what we can do to helpyou.*

25

- A zatem podsumujmy dla uniknięcia wszelkich nieporozu-
mień.

Yngvar przegarnął palcami włosy, zanim usiadł tyłem na krze-
śle, z brzuchem przy oparciu. W dwóch palcach trzymał czerwony
flamaster.

- Dzwoni do ciebie człowiek, którego nigdy wcześniej nie spotkałeś.

Gerhard Skr0der kiwnął głową.

- I nie wiesz, skąd jest ani jak się nazywa. I, oczywiście, nie wiesz, jak wygląda.

Gerhard podrapał się w kark, z zakłopotaniem wbijając oczy w stół.

- To akurat nie był wideotelefon.

- Siedzisz więc tutaj - Yngvar przesadnie przeciągał słowa

- i twierdzisz, że otrzymałeś zlecenie od faceta, z którym tylko rozmawiałeś przez telefon, i nie wiesz, jak się nazywa. Nigdy się z nim nie spotkałeś.

- To przecież nic niezwykłego.

Adwokat Ove R0nbeck ostrzegł klienta ledwie widocznym uniesieniem dłoni.

- Chodzi mi o to, że to nic dziwnego...

- A ja uważam, że tak. Jak on brzmiał? -

Jak brzmiał?...

Gerhard wiercił się na krześle niczym nastolatek przyłapany na migdaleniu się z dość niechętną tym zalotom dziewczyną. -Jakim językiem mówił?

- Chyba był Norwegiem.

- Aha. - Yngvar powoli wypuścił powietrze. - To znaczy, że mówił po norwesku?

-Nie.

- Nie? Skąd więc wniosek, że był Norwegiem?

Adwokat R0nbeck uniosł rękę i otworzył usta, ale natychmiast się wycofał, gdy Yngvar gwałtownie się do niego odwrócił.

- Ma pan prawo tu przebywać - powiedział. - Ale nie przeszkadzać. Nie muszę przypominać, jak poważna jest ta sprawa. I wyjątkowo niezbyt mnie interesuje pański klient. Chcę jak najwięcej wiedzieć o tym twoim anonimowym zleceniodawcy!

- ryknął do Gerharda, który aż się cofnął. Teraz jego krzesło stało

już przy samej ścianie, co uniemożliwiło irytujące kołysanie się. Uciekał wzrokiem, ale Yngvar wychylił się i ściągnął mu z głowy czapkę.

- Matka cię nie nauczyła, że w pomieszczeniu trzeba zdjąć czapkę? - spytał. - Dlaczego uważasz, że to był Norweg?

Gerhard drapał się w krocze coraz bardziej zawzięcie.

- Powinieneś iść z tym do lekarza - doradził Yngvar. - Prze stań się drapać. - Wstał i podszedł do stolika przy drzwiach. Siegnął po ostatnią butelkę wody mineralnej, otworzył ją i wypił połowę jednym haustem. - Wiesz - zaczął nagle i krótko się zaśmiać.

- Tak się przyzwyczaiłeś do kłamstw, że nie jesteś w stanie opowiedzieć rozsądnie prawdziwej historii nawet wtedy, kiedy sam tego chcesz. To dopiero choroba zawodowa. - Odstawił butelkę i z powrotem usiadł na krześle. Z rękami na karku odchylił się i przymknął oczy. - Opowiadaj! Mniej więcej tak, jakbyś miał opowiedzieć bajkę dziecku. Jeśli potrafisz sobie w ogóle wyobrazić coś takiego.

- Mam dwóch siostrzeńców - odparł Gerhard ze złością.

- Wiem, do cholery, jakie są dzieci.

- Znakomicie. Wspaniale. Jak się nazywają?

-Co?

-Jak się nazywają twoi siostrzeńcy? - powtórzył Yngvar, wciąż z zamkniętymi oczami.

- Atle i Oskar.

- No to ja jestem Atle, a R0nbeck Oskar. Masz nam opowiedzieć o tym, jak wujek Gerhard dostał płatne zlecenie od człowieka, którego nigdy nie widział na oczy.

Gerhard nie odpowiedział. Palcem wskazującym wydłubywał dziurę w zielonych wojskowych spodniach.

- Pewnego razu... - zachęcił Yngvar. - No dalej! Pewnego razu wujek Gerhard...

- ...miał telefon - dokończył Gerhard.

Zapadła cisza.

Yngvar zachęcił go gestem.

- Z niezidentyfikowanego numeru. Numer się nie wyświetlił. Odebrałem. To był jakiś facet, który mówił po angielsku. Ale mówił tak, jakby... jakby nie był Anglikiem. To brzmiało tak jakby trochę... po norwesku.

- Mhm - mruknął Yngvar.

- W każdym razie to brzmiało raczej dziwnie. Powiedział, że ma cholernie prosty interes do zrobienia. I że można zarobić mnóstwo kasy.

- Pamiętasz, jakiego słowa użył, mówiąc o kasie?

- Chyba... *money*. Tak, *money*.

- I to było... - Yngvar zajrzał do notatek - ...trzeciego maja? - Spojrzał pytająco na Gerharda, który kiwnął głową i dalej rozwierał dziurę w spodniach. - We wtorek trzeciego maja po południu. Weźmiemy biling z twojego telefonu, więc pewnie godzina się nam potwierdzi.

-Ale to jest...

-Nie możecie...

Adwokat R0nbeck i jego klient zaprotestowali chórem.

- Spokojnie - mruknął Yngvar. - Biling to akurat twój najmniejszy problem. Jeszcze do tego wrócimy. Opowiadaj dalej! Nie bardzo ci to jakoś wychodzi. Skup się teraz.

Adwokat i Gerhard wymienili spojrzenia, w końcu R0nbeck kiwnął głową.

- Powiedział, że mam dać sobie spokój ze wszystkim szesnastego i siedemnastego maja - mruknął Gerhard Skr0der.

- Dać sobie spokój?

- Tak. Niczego nie planować. Nie pić. Nie wyjeżdżać z Oslo. No, być w pogotowiu.

- I nie znałeś człowieka, który dzwonił?

-Nie.

- Ale mimo wszystko się zgodziłeś? I to tylko dlatego, że jakiś obcy poprosił cię o to przez telefon? Ciekawe.

- Była mowa o pieniądzach. Cholernie dużych.

- Jak dużych?

Długa przerwa. Gerhard sięgnął po czapkę leżącą na stole i odruchowo chciał ją włożyć, ale zmienił zdanie. Wciąż nic nie mówił. Nieruchomy wzrok wbił w zniszczone spodnie.

- No dobrze - powiedział w końcu Yngvar. - O kwocie porozmawiamy później. Czego więcej się dowiedziałeś?

- Niczego. Miałem po prostu czekać.

- Na co?

- Na telefon. Szesnastego maja.

- Zadzwoił?

-Tak.

- O której?

- Po południu. Dokładnie nie pamiętam. Może koło czwartej. Tak, trochę po czwartej. Miałem się spotkać z kumplami na Lokka, chcieliśmy *iść na piwo przed meczem*. Enga-Fredrikstad na JllevOil. Facet zadzwonił tuż przed moim wyjściem.

- I co powiedział?

- Właściwie nic. Chciał tylko wiedzieć, co będę robił.

- Co będziesz robił?

- No tak... Jakie mam plany na wieczór. Czy trzymam się umowy, nie piję i w ogóle. Kazał mi wrócić do domu najpóźniej o jedenastej. Powiedział, że to mi się bardzo opłaci, więc... - Wzruszył ramionami.

Yngvar gotów był przysiąc, że Skr0der się zacerwienił.

- Wypiłem jedno czy dwa piwka z chłopakami, obejrzałem mecz i wróciłem do domu. Wynik 0:0, więc nie bardzo było co oblewać. Dotarłem do domu przed jedenastą i...

Jego niepokój był już teraz całkiem wyraźny, drapał się po ramieniu pod swetrem, przesuwając pośladkami po krześle. Prawe udo wyraźnie mu drgało, a w dodatku nie przestawał mrugać.

- No i zadzwonił. Koło jedenastej.

- Co mówił?

- Przecież powtarzałem to już milion razy. Jak długo to jeszcze będzie trwało?

- Na razie powtórzyłeś dwa razy, a ja chcę usłyszeć trzeci. Co dokładnie powiedział?

- Że mam przyjść pod wieżę zegarową na Dworcu Centralnym za kilka godzin. O czwartej rano. Stać tam, aż przyjdzie jakiś facet z babką, razem przejdziemy do samochodu i odjedziemy. W schowku na rękawiczki będzie kartka z trasą i połowa pieniędzy. I ja tam byłem, miód i wino piłem. Koniec bajki.

- Na razie jeszcze nie - powstrzymał go Yngvar. - Nie uważasz, że to zlecenie było trochę dziwne?

-Nie.

- Każą ci jeździć po południowej Norwegii z dwójgiem pasażerów, których nie znasz, i zostać zauważonym przez personel na różnych stacjach benzynowych, ale ukrywać się przed kamerami monitoringu. Nie każą ci nic robić, nie kraść, po prostu jeździć. Potem masz zaparkować samochód w lasku koło Lillehammer, pociągiem wrócić do Oslo i o wszystkim zapomnieć. Uznałeś, że to zupełnie w porządku.

- O rany, tak.

- Nie wściekaj się, Gerhard, uspokój się. Znałeś kogoś z tej dwójki? Kobieta albo faceta?

-Nie.

- To byli Norwegowie?

- Nie mam pojęcia.

- Nie masz pojęcia?

- Nie! Nie rozmawialiśmy!

- Przez cztery godziny?

- Tak. To znaczy nie. Cały czas mieliśmy zamknięte gęby.

- Nie wierzę. Niemożliwe.

Gerhard przechylił się nad stołem.

- Przysięgam! Ja coś do nich powiedziałem, ale facet tylko po kazał na schowek. Otworzyłem, a tam była wiadomość. Tak jak

powiedział ten gość przez telefon. Informacja, gdzie mam jechać, i w ogóle. No i że mamy ze sobą nie gadać. W porządku, pomyślałem. Niech to cholera, Stub0. Przecież mówiłem ci, że wszystko powiem. Uwierz mi.

Yngvar złożył ręce na piersi i zwilżył językiem wargi. Nie spuszczał oczu z przesłuchiwanego.

- Gdzie jest ta wiadomość?

- Została w samochodzie.

- A gdzie samochód?

- Mówiłem ci to już trylion razy. W Lillehammer. Tuż przy skoczni. Tam gdzie idzie...

- Tam go nie ma. Już sprawdzaliśmy.

Yngvar wskazał na notatkę, którą przyniósł dziesięć minut temu młodszy funkcjonariusz.

Gerhard wzruszył ramionami.

- No to ktoś go zabrał - podsumował.

- Ile za to dostałeś?

Yngvar wyjął z kieszonki na piersi etui z cygarem i wolno toczył je w dłoniach. Gerhard milczał.

- Ile dostałeś? - powtórzył Yngvar.

- To bez znaczenia - rozzłościł się Gerhard. -1 tak już nie mam tych pieniędzy.

-Ile?

Ponieważ Gerhard uparcie wpatrywał się w stół, nie zamierzając odpowiedzieć, Yngvar wstał. Podszedł do okna. Ledwie zaczęło się ściemniać. Szyby były brudne, parapet pokryty kurzem. Kilka zdechłych owadów przypominało ziarenka pieprzu.

Na trawniku między budynkiem policji a aresztem wyrosło całe miasteczko. Dwie zagraniczne stacje telewizyjne wjechały swoimi wozami transmisyjnymi na trawę. Yngvar naliczył osiem namiotów imprezowych i szesnaście logo różnych mediów, zanim zrezygnował z dalszego liczenia. Uniósł rękę w życzliwym pozdrowieniu,

jakby zobaczył kogoś znajomego. Uśmiechnął się i kiwnął głową. W końcu się odwrócił i wciąż uśmiechnięty podszedł do aresz-tanta i nachylił się nad nim. Przysunął usta tak blisko jego ucha, że Gerhard aż drgnął.

Yngvar zaczął coś mówić syczącym szeptem.

- To wbrew przepisom. To niezgodne z prawem! - zawołał adwokat R0nbeck, podrywając się z krzesła.

- Sto tysięcy dolarów - prawie krzyknął Gerhard. - Dostałem sto tysięcy dolarów!

Yngvar poklepał go po ramieniu.

- Sto tysięcy dolarów - powtórzył z namysłem. - Rozumiem, że wybrałem niewłaściwą branżę.

- Pięćdziesiąt tysięcy leżało w schowku i tyle samo dostałem w kopercie od tego faceta, gdy skończyliśmy. Od tego, który ze mną jeździł.

Nawet adwokat z trudem ukrywał zdziwienie. Z powrotem opadł na krzesło i gorączkowo pocierał szczęki, jakby próbował wymyślić coś rozsądnego, ale nie powiedział nic. W końcu zaczął grzebać po kieszeniach i wyjął pastylkę na gardło. Szybko wsunął ją do ust, jakby była środkiem uspokajającym.

- Gdzie są teraz te pieniądze? - spytał Yngvar. Jego ręka wciąż ciężko spoczywała na ramieniu Gerharda.

- W Szwecji.

- W Szwecji. Ach tak. Gdzie w Szwecji?

- Nie wiem. Dałem je facetowi, u którego miałem dług.

- A więc byłeś komuś winien sto tysięcy dolarów - podsumował Yngvar, przesadnie wolno wymawiając słowa. Coraz mocniej zaciskał dłoń na ramieniu Gerharda. - I już zdążyłeś je oddać wierzycielowi. Kiedy to się odbyło?

- Dzisiaj rano. Zjawił się u mnie w domu. Cholernie wcześniej. A z tymi chłopakami z Góteborga nie ma co...

- Chwileczkę. - Yngvar podniósł ręce do góry w geście rezygnacji. - Poczekaj. Masz rację, Gerhardzie.

Aresztant podniósł głowę, wydawał się teraz mniejszy, jakby się zapadł w sobie, i był wyraźnie zmęczony. Jego niepokój objawiał się wyraźnym drżeniem. Oczy miał załzawione, kiedy je podniósł i cienkim głosem spytał:

- Rację w czym?

- Że musimy cię u nas zatrzymać. Wygląda na to, że jeszcze sporo masz nam do powiedzenia, ale tym się już zajmą inni. Powinieneś odpocząć. - Zegar na ścianie wskazywał za kwadrans dziewiątą. - I ja także.

Zebrał swoje notatki i wsunął je pod pachę. Etui z cygarem upadło na podłogę. Yngvar zerknął na nie, zawahał się, w końcu je zostawił. Gerhard Skröder podniósł się sztywno i posłusznie ruszył z przywołanym funkcjonariuszem do mieszczącej się w piwnicy celi.

- Kto płaci sto tysięcy dolarów za taką robotę? - spytał cicho adwokat Rönbeck, pakując swoje rzeczy.

Zdawało się, że mówi do siebie.

- Ktoś, kto dysponuje nieograniczonymi środkami i chce mieć sto procent pewności, że robota zostanie wykonana - odparł Yngvar. - Ktoś, kto ma takie pieniądze, że w ogóle go nie obchodzi, ile coś kosztuje.

- Przeróżające - rzekł Rönbeck. Usta miał okrągłe i otwarte jak otwór skarbonki.

Ale Yngvar Stubø nie odpowiedział. Wyjął komórkę, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś nieodebranych połączeń. Nie było.

26

- Kto zadzwoni na policję, ty czy ja? - szepnęła Inger Johanne Vik, sięgając po telefon.

- Nikt - odparła Hannę Wilhelmsen cicho. - Na razie jeszcze nie.

Prezydent Stanów Zjednoczonych siedziała na czerwonej kanapie ze szklanką wody w ręce. Bijący od niej odór moczu, kału i przesyconego strachem potu był tak silny, że Marry bez pardonu otworzyła na oścież okno w salonie.

- Kobieta powinna się wykąpać - burczała. - Nie rozumiem, dlaczego musi tu siedzieć w tym smrodzie. Przecież to prezydent i w ogóle, a my ją tak upokarzamy.

- Uspokój się! - nakazała zdecydowanie Hanne. - Oczywiście, że będzie mogła się wykąpać, a za jakiś czas na pewno też zgłodnieje. Przygotuj coś ciepłego, dobrze? Może zupę? Nie sądzisz, że to będzie najlepsze? Jakaś pożywna zupa?

Marry, szurając nogami, wyszła z salonu. Przez całą drogę do kuchni mamrotała coś pod nosem. Nawet kiedy zamknęła za sobą drzwi, spośród odgłosów garnków i rondli, gniewnie uderzających o stalowy blat, chwilami dobiegał jej szczekliwy głos.

- Musimy zadzwonić - powtórzyła Inger Johanne. - O Boże... Cały świat czeka...

- Dziesięć minut w jedną czy w drugą stronę nie ma najmniejszego znaczenia - zapewniła Hanne, podjeżdżając do kanapy. - Przecież nie ma jej od półtorej doby. Uważam, że kto jak kto, ale prezydent musi mieć prawo do pewnych decyzji. Możliwe na przykład, że nie chce, by ktokolwiek oglądał ją w takim stanie. Oprócz nas, oczywiście.

- Hanne! - Inger Johanne położyła dłoń na oparciu wózka, żeby ją zatrzymać. - To ty przecież pracowałaś w policji - przypomniała, starając się mówić ściszym głosem. - Ona nie może się umyć ani przebrać, dopóki nie zostanie zbadana! Jest przecież chodzącą górą materiału dowodowego. Nic nie wiemy, mogła zostać...

- Chrzanię policję - przerwała Hanne. - Ale nie ją. I nie zamierzam zatrzeć choćby najmniejszego śladu dowodu.

Podniosła głowę. Oczy miała bardziej niebieskie, niż kiedykolwiek Inger Johanne widziała. Czarna obwódka wokół tęczówki sprawiała, że wydawały się za duże w wąskiej twarzy. Wyraz

stanowczości zatarł zmarszczki wokół ust i w jednej chwili ją odmłodził. Popatrzyła Inger Johanne w oczy i wystarczyło leciutkie uniesienie prawej brwi, by ta puściła wózek, jakby się sparzyła. Po raz pierwszy, odkąd się poznały pół roku wcześniej, Inger Johanne dostrzegła cień tej Hanne, o której opowiadano niesamowite historie, a z którą sama nigdy się nie zetknęła: przenikliwie bystrą, chłodno analizującą i na wskroś samowolną policjantkę śledczą.

- Dziękuję - powiedziała Hanne cicho i podjechała do kanapy.

Pani prezydent siedziała zupełnie nieruchomo, wyprostowana, z rękami na kolanach i wzrokiem utkwionym w ogromny obraz na ścianie. Szklanka z wodą, z której wypita ledwie łyk, stała przed nią na stole.

- *Who areyou?* - spytała nieoczekiwanie, gdy Hanne się zbliżyła.

Były to pierwsze słowa, jakie wymówiła od chwili, gdy Marry niemal wniosła ją do mieszkania.

-*I'm Hanne Wilhelmsen, Madam President. I'm a retiredpolice officer.* A to jest Inger Johanne Vik. Może pani jej zaufać. Kobieta, która znalazła panią w piwnicy, to Marry Olsen, moja pomoc domowa. Chcemy pani dobra, Madam President.

Inger Johanne nie wiedziała, co ją najbardziej zdumiało. Czy to, że amerykańska prezydent w ogóle może mówić w tym stanie, to, że Hanne nazwała ją, Inger, osobą, której można zaufać, czy też że język, którego używała, wydawał się bardzo podniosły, trochę tak, jakby sama Hanne Wilhelmsen czuła respekt wobec prezydent Stanów Zjednoczonych - bez względu na to, w jak katastrofalnym stanie ta się znajdowała.

Inger Johanne nie bardzo też wiedziała, jak ma się zachować. Uważała, że raczej nie powinna siadać, chociaż czuła się śmiesznie, stojąc na środku pokoju niby przypadkowy obserwator intymnej rozmowy. Sytuacja wydawała jej się tak absurdalna, że nie potrafiła zebrać myśli.

- Oczywiście, wezwiemy odpowiednie władze - dodała Hanne cicho. - Ale pomyślałam, że może zechce pani najpierw doprowadzić się do porządku. Sądzę, że znajdę jakieś ubrania w odpowiednim rozmiarze. Jeśli, naturalnie, pani sobie życzy. Bo jeśli nie...

- Proszę tego nie robić - przerwała jej Helen Bentley, wciąż nieruchoma i spoglądająca w abstrakcyjny obraz na przeciwległej ścianie. - Nikogo nie wzywajcie. Co z moją rodziną? Z moją córką... jak...

- Z rodziną wszystko w porządku - odparła Hanne Wilhelmsen spokojnie. - Media donoszą, że znajduje się pod nadzwyczajną ochroną w sekretnym miejscu, ale wszystko jest w porządku, oczywiście, o tyle, o ile to możliwe w zaistniałej sytuacji.

Inger Johanne stała jak skamieniała.

Kobieta na kanapie miała brudne ubranie, zapuchnięte oko i cuchnęła. Z groteskowym guzem na skroni i zakrzepłą krwią, sklejącą włosy, wyglądała jak nieszczęśnice, z którymi i Hanne, i ona miały okazję, niestety, nazbyt często się stykać. Pani prezydent przypominała jej o czymś, o czym Inger Johanne nigdy nie myślała. Nigdy nie chciała myśleć. Na chwilę zakręciło jej się w głowie.

Po blisko dziesięciu latach badań nad przemocą prawie zdołała zapomnieć, dlaczego w ogóle zajęła się tym problemem. Jej siłą napędową przez cały czas było szczere pragnienie zrozumienia, głęboka potrzeba wiedzy o czymś, co w zasadzie uważała za niewyjaśnialne. Nawet teraz, po doktoracie, dwóch książkach i ponad tuzinie artykułów naukowych nie czuła się o wiele bliższa prawdy o tym, dlaczego mężczyźni wykorzystują swoją fizyczną przewagę wobec kobiet i dzieci. I kiedy postanowiła przedłużyć urlop wychowawczy, ubrała swoją decyzję w podświadome kłamstwo: względy rodzinne.

Miała zostać w domu jeszcze przez rok z uwagi na dzieci.

Prawda jednak była taka, że dotarła do krańca drogi. Zabrnęła w naukową ślepą uliczkę i nie wiedziała, co dalej robić. Poświęciła swoje dorosłe życie na próbę zrozumienia przestępców, ponieważ

nie potrafiła pogodzić się z konsekwencjami bycia ofiarą. Nie była w stanie znieść wstydu, wiernego sprzymierzeńca przemocy. Ani własnego, ani cudzego.

Helen Bentley nie wyglądała na zawstydzoną, czego Inger Johanne nie umiała pojąć. Nigdy w życiu nie widziała pobitej kobiety tak pełnej dumy i godności. Pani prezydent podbródek miała wysunięty do przodu, nie opuszczała głowy. Ramiona wyprostowane. Ani śladu zakłopotania, przeciwnie.

Zdrowe oko nagle przesunęło się na Inger Johanne, wbiło się w nią. Patrzyło mocno i zdecydowanie, jakby pani prezydent w niezrozumiały sposób wiedziała, że to właśnie ona chce wezwać pomoc.

- Nalegam - powiedziała Helen Bentley. - Mam powody, by nie chcieć, żeby mnie odnaleziono. Na razie. Ogromnie byłabym wdzięczna za kąpiel...

Próba uprzejmego uśmiechu sprawiła, że spuchnięta warga pękła, gdy znów zwracała się do Hanne:

- A czyste ubranie też przyjmę z przyjemnością.

- Zaraz się tym zajmę, Madam President. Spodziewam się jednak, że pani zrozumie, że muszę znać powód, dla którego nie miałabym informować nikogo o tym, że pani tu przebywa. Ścisłe mówiąc, popełniam wykroczenie, nie powiadamiając policji...

Inger Johanne zmarszczyła brwi. Tak ad hoc nie potrafiła sobie przypomnieć ani jednego paragrafu, zabraniającego pozostawienia pobitej kobiety w spokoju. Ale nic nie powiedziała.

- Dlatego muszę nalegać na wyjaśnienie. - Hanne uśmiechnęła się lekko i dodała: - A przynajmniej na jakiś jego mały fragment.

Pani prezydent usiłowała wstać. Zachwiała się, Inger Johanne natychmiast skoczyła w jej stronę, by ją podtrzymać, ale zatrzymały ją słowa:

-No, thanks. I'm fine.

Helen Bentley zaskakująco pewnie trzymała się na nogach. Dotknęła skroni, próbując oderwać zakrwawiony kosmyk włosów,

który lepił się do skóry. Grymas bólu zniknął równie szybko, jak się pojawił. Chrząknęła, przenosząc wzrok z Hannę na Inger Johanne i z powrotem.

- Jestem tu bezpieczna?

- Całkowicie - zapewniła Hannę. - Nie mogła pani trafić w bardziej odizolowane miejsce, a jednocześnie wciąż pozostawać w centrum Oslo.

- To znaczy, że jestem w Oslo?

-Tak.

Pani prezydent poprawiła zniszczony żakiet. Pierwszy raz, odkąd się tu pojawiła, na jej twarzy odmalowało się zakłopotanie.

- Oczywiście, zadbam o to, by naprawiono wszelkie szkody, i tu - wskazała dłonią ciemne plamy na kanapie - i... w... piwnicy?

- Tak. Siedziała pani w piwnicy. W nieczynnym studiu nagraniowym.

- To wyjaśnia te dziwne ściany. Były takie miękkie. Czy mogłaby pani zaprowadzić mnie do łazienki? Muszę się trochę obmyć.

I znów po spuchniętej twarzy przebiegł uśmiech.

Hannę odpowiedziała uśmiechem.

Inger Johanne była zupełnie oszołomiona. Nie potrafiła uwierzyć w pozorną samokontrolę Helen Bentley. Kontrast między jej godnym pożałowania wyglądem a uprzejmym, zdecydowanym tonem był za duży. Inger Johanne najbardziej pragnęłaby wziąć tę kobietę za rękę, przytrzymać i zwilżoną ciepłą wodą ściereczką zetrzeć jej krew z twarzy. Z całego serca chciała pomóc, ale nie miała pojęcia, jak pocieszyć kogoś takiego jak Helen Lardahl Bentley.

- Nikt mnie tak naprawdę nie skrzywdził - oświadczyła nagle pani prezydent, jakby odczytując myśli Inger Johanne. - Musiałam zostać czymś odurzona, miałam związane ręce. Trochę to wszystko dla mnie niejasne. Ale wiem, że spadłam z krzesła i bardzo mocno się uderzyłam. I straciłam... - urwała. -Jaki dzisiaj dzień?

- Osiemnasty maja - odparta Hannę. - Dwadzieścia po dziewiątej wieczorem.

- Prawie dwie doby. - Pani prezydent mówiła jakby do siebie. - Mam sporo do załatwienia. Czy jest tu łącze internetowe?

- Owszem - powiedziała Hannę. - Ale jak już wcześniej mówiłam, muszę prosić o wyjaśnienie.

- Czy przypuszczają, że nie żyję?

- Nie. Chyba nie mają jeszcze żadnych konkretnych przypuszczeń. Panuje raczej... oszołomienie. W USA skłaniają się do...

- Ma pani moje słowo. - Pani prezydent wyciągnęła szczupłą dłoń. Zachwiała się przy tym lekko i musiała wysunąć stopę, żeby odzyskać równowagę. - Ma pani moje słowo na to, że najważniejsze jest, by nikt się nie dowiedział, że się odnalazłam. A moje słowo powinno wystarczyć.

Hannę też wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń. Okazała się lodowata.

Popatrzyły na siebie. Pani prezydent znów się zachwiała, jakby jedno kolano ją zawiodło, i próbowała się wyprostować, co przypominało komiczne dygnięcie. Puściła rękę Hannę i szepnęła:

- Nigdzie nie dzwońcie. Na miłość boską, nie pozwólcie, żeby ktoś się dowiedział.

Powoli osunęła się na kanapę. Upadła bokiem, bezwładnie jak szmaciana lalka. Głową trafiła w poduszkę. Tak leżała, z jedną ręką na biodrze, drugą wciśniętą pod policzek. Jakby nagle się zdecydowała, że odpocznie.

- Jest zupa - oznajmiła Marry.

Zatrzymała się na środku pokoju z parującą miseczką w dłoniach.

- Biedaczka musi być śmiertelnie zmęczona - orzekła i zawróciła. - A jeśli ktoś jeszcze chce zjeść, to niech przyjdzie do kuchni.

- Musimy zadzwonić - powiedziała zrozpaczona Inger Johanne, kucając przy nieprzytomnej pani prezydent. - W każdym razie musimy sprowadzić lekarza!

Majowa noc na dobre spowiła Oslo. Szaroczarne chmury zawisły tak nisko nad miastem, że górne piętra hotelu Plaža zniknęły, zupełnie jakby smukły, strzelisty wieżowiec pod niebem rozplywał się w nicość. Powietrze było chłodne, ale powiewy cieplejszego wiatru obiecywały przyjemniejszy dzień.

Yngvar Stub0 nigdy do końca nie umiał zaakceptować wiosny. Nie lubił pogodowych kontrastów, nagłych przejść od letniego upału do okropnych trzech stopni poniżej zera, od marznącej mżawki do temperatury pozwalającej na kąpiel. A wszystkie te zmiany bywały w dodatku nagłe i nieprzewidziane. Trudno było się odpowiednio ubrać, wychodził do pracy w swetrze chroniącym przed porannym chłodem, a przed lunchem splotywał potem. Grill przed południem wydawał się świetnym pomysłem, w porze obiadowej - dotkliwym koszmarem.

Uważał, że wiosna ma brzydki zapach, szczególnie w centrum. Odwilż odsłaniała zimowe śmieci, zgniliznę jesieni i odchody niezliczonych psów, które nie powinny być trzymane w mieście.

Yngvar był człowiekiem jesieni. Najbardziej lubił listopad. Deszcz od rana do wieczora, stopniowo obniżająca się temperatura, gwarantująca śnieg przed adwentem. Listopad pachniał zgniłą wilgocią i był na wskroś przewidywalnym ponurym miesiącem, który zawsze wprawiał go w dobry humor.

Maj natomiast to zupełnie inna historia.

Usiadł na ławce i oddychał głęboko. Lustro wody w parku Mid-delalder marszczyło się delikatnie na lekkim wietrze. Dookoła nie było żywej duszy. Nawet ptaki, które o tej porze roku robiły zamieszanie od rana do wieczora, poszły spać. Niewielkie stadko kaczek odpoczywało na wodzie przy brzegu z dziobami wetkniętymi pod skrzydła. Tylko jeden tłusty kaczor krążył zadowolony, pilnując rodziny.

Zdawało się, że wydarzenia ostatniej długiej doby wyzwały z sił nie tylko Oslo, lecz również cały zachodni świat. Yngvar zdążył obejrzeć wieczorne wiadomości. Ulice Nowego Jorku od niepa-miętnych czasów nie były takie puste, miasto, które nigdy nie zasypia, zapadło w śpiączkę, w stan odrętwiałego wyczekiwania. W Waszyngtonie i w Lillesand, w małych miasteczkach i w metropoliach, wszędzie zniknięcie pani prezydent traktowano jak zły omen, zapowiedź czegoś jeszcze gorszego, czegoś naprawdę strasznego, więc najbezpieczniej było schować się w domu, za zamkniętymi drzwiami i opuszczonymi roletami.

Przymknął oczy. Nieziemny szum wielkiego miasta, od czasu do czasu warkot tira na estakadzie po drugiej stronie jeziora, przypominał mu, że jest w centrum stolicy. Gdyby nie to, mógł się znajdować w całkiem innym miejscu. Czuł się zupełnie sam na świecie.

Przez ponad godzinę usiłował złapać Warrena Scifforda. Powrót do domu przed odbyciem tej rozmowy nie miał sensu. Zostawił Warrenowi dwie wiadomości. I w komórce, i w ambasadzie. W hotelu powiedzieli, że pana Scifforda nie widziano od wczesnego popołudnia.

Martwego agenta Secret Service Jeffreyja Williama Huntera znaleziono zaledwie godzinę po tym, jak wzburzony taksówkarz zjawił się na dyżurze kryminalnym z legitymacją służbową, którą znalazł w kieszeni kurtki zmarłej matki. Ponieważ personel karetki potrafił dokładnie wskazać, skąd zabrał kobietę z wylewem, rozpoczęli poszukiwania od tego miejsca.

Agentu znaleziono dwanaście metrów dalej. Leżał w rowie tuż przy drodze. Czaszkę przebiła mu dziewięćmilimetrowa kula z pistoletu SIG-sauer P229, który trzymał w ręku. Technicy badający miejsce zdarzenia przez jakiś czas dziwili się, że prawą rękę ma częściowo ukrytą, wbitą w rozpadlinę między dwoma głazami, co na pierwszy rzut oka zdawało się przeczyć wersji o samobójczej śmierci. Szybka i nieformalna rekonstrukcja zdarzenia przekonała

ich jednak, że mają do czynienia z samobójstwem. Takiego samego zdania był patolog, choć oczywiście zastrzegając się, że minie ładnych kilka dni, zanim będzie mógł przedstawić ostateczne wnioski.

Dochodziło w pół do jedenastej i Yngvar ziewnął przeciągle. Był śpiący, a zarazem pobudzony. Z jednej strony, bardzo chciał się położyć, ciało wydawało się zmęczone i ciężkie. Z drugiej - dręczył go niepokój, który, jak wiedział, nie pozwoli mu zasnąć.

Siedziba policji stała się miejscem nieznośnym. Nikt już nie mówił o niedozwolonych nadgodzinach ani o końcu dyżurów. Ludzie krążyli po korytarzach jak w mrowisku, jakby do wielkiego półkolistego budynku przybywało ich coraz więcej, a nikt z niego nie wychodził. Na korytarzach wprost się roilo. Wszystkie pokoje były zajęte. Nawet niektóre schowki na środki czystości wykorzystywano jako miejsce pracy dla sprowadzonego personelu.

Budynek przypominał obleżoną twierdzę. Miasteczko na wielkim trawniku, ciągnącym się w stronę Grønlandsleiret, stale się rozrastało. Dwie szwedzkie stacje telewizyjne zdecydowały się rozbić obóz po drugiej stronie budynku. Na jakiś czas zablokowały Akebergveien dwoma wozami. Skierowano je na Borggata tuż przy kościele na Grønland, ale boczna ulica była tak ciasna, że przy takim ich ustawieniu radiowozy policyjne nie mogły się wydostać z parkingu. Szwedzi już od trzech kwadransów wyklócali się z sekcją porządkową, gdy Yngvar wreszcie uświadomił sobie, że dłużej tam nie wytrzyma. Potrzebował powietrza.

Przez całe popołudnie opychał się jedzeniem przy każdej okazji. Zanim wyszedł z komendy, żarłocznie poczęstował się lekko już wystygłą pizzą z Peppe's. Płaskie pudełka leżały wszędzie. Policja z Oslo w ciągu niecałych dwóch dni stała się największym klientem wszech czasów tej sieci.

Wciąż czuł się głodny.

Poklepał się po brzuchu. Sporo czasu minęło, odkąd mógł o sobie mówić, że jest potężnej postury. Nie bardzo wiedząc, kiedy to się stało (podobnie było z łysieniem), Yngvar zrobił się gruby

Brzuch ciężko zwisał mu nad paskiem, który rozpinął, gdy tylko uważał, że nikt tego nie widzi. Ostatnie wezwanie do lekarza zakładowego zlekceważył, tłumacząc się brakiem czasu. Bał się tam iść. W duchu cieszył się tylko z niedoskonałych procedur, dzięki którym następnego wezwania mógł się spodziewać dopiero za rok. Od czasu do czasu, gdy budził się w nocy, bo musiał wstać do toalety, dosłownie czuł, jak cholesterol w postaci ohydneho, groźnego dla życia śluzu oblepia ścianki jego naczyń krwionośnych. Miał wrażenie, że czuje podwójne uderzenia serca, lekkie ukłucia za mostkiem i w lewym ramieniu. Dotąd nigdy w życiu nie leżał w nocy, martwiąc się o swoje zdrowie. Gdy przychodził poranek, z ulgą sobie tłumaczył, że to wszystko było jedynie przywidzeniem, i jak zwykle zjadał na śniadanie jajka na bekonie. Był wielkim mężczyzną i potrzebował prawdziwego jedzenia. Poza tym wkrótce znów zamierzał zacząć trenować. Kiedy tylko będzie miał więcej czasu. Zabrzączał telefon.

- Inger Johanne - szepnął i wypuścił komórkę z ręki.

Upadła wyświetlaczem w dół. Nie sprawdził numeru, gdy szybkim krokiem ją podnosił i odbierał połączenie.

- Halo?

- Halo, mówi Warren.

- A, cześć. Próbowałem cię złapać.

- Właśnie dlatego dzwonię.

- Skłamałeś o tym człowieku na taśmie monitoringu.

- Doprawdy?

- Tak. Wiedziałaś, kto to jest. Ten mężczyzna w garniturze był agentem Secret Service. Skłamałeś, a nam się to bardzo nie podobają.

- Rozumiem.

- Znaleźliśmy go. Jeffrey Huntera.

Na drugim końcu linii zrobiło się całkiem cicho. Yngvar utkwił wzrok w kaczorze, który otrząsnął ogon kilka razy, zanim ułożył się

w odległości paru metrów od rodziny na dużej kępie trawy niby na posterunku. W czarnym oku odbiło się światło. Yngvar usiłował mocniej owinąć się płaszczem, ale ten był za ciasny. Postanowił nie poganiać Warren.

- *Shitf* - zaklął wreszcie Amerykanin.

- Istotnie można tak powiedzieć. Facet nie żyje. Przypuszczamy, że chodzi o samobójstwo. Ale ty pewnie się tego domyślałeś.

Znów zupełna cisza.

Kaczor też patrzył na Yngvara. Kwaknął cicho kilka razy, jakby chciał go zapewnić, że ciągle ma się na baczności.

- Wydaje mi się, że dobrze by było się spotkać - zaproponował nagle Warren.

- Już prawie jedenasta.

- Takie dni jak ten nigdy się nie kończą.

Teraz to Yngvar nie odpowiedział.

- Spotkajmy się za dziesięć minut - nalegał Warren. - Salhus, ty i ja. Nikt więcej.

- Nie wiem, ile razy mam ci tłumaczyć, że to śledztwo prowadzi komenda z Oslo. Jej szef albo któryś z jego ludzi powinien być przy tym obecny.

- Skoro tak twierdzisz - powiedział Warren chłodno. Yngvar niemal widział, jak tamten obojętnie i arogancko wzrusza ramionami. - Wobec tego piętnaście po jedenastej?

- Przyjedź do siedziby policji. Ja tam dotrę za dziesięć minut. Zobaczymy, czy komendant i Peter Salhus będą dostępni.

- Powinni - rzucił Warren i rozłączył się.

Yngvar dalej wpatrywał się w telefon. Wyświetlacz po kilku sekundach przygasł. Mężczyzna poczuł dziwny gniew. W żołądku nieprzerwanie mu burczało. Był głodny jak wilk i wściekły. W zasadzie to on miał powody, żeby się złościć na Warren. A jednak Amerykanin w dziwaczny sposób zdołał odwrócić całą sytuację. Yngvar znów mu uległ. Trochę tak, jakby Warren w głębi ducha czuł, że nie jest od nikogo zależny, podobnie jak kraj, z którego

pochodził, i dlatego nie musiał się wstydzić, gdy został przyłapany na prymitywnym, beczelnym kłamstwie.

Telefon znów zadzwonił.

Yngvar przełknął ślinę, gdy zobaczył, że tym razem w telefonie świeci się na niebiesko imię Inger Johanne. Pozwolił, żeby komórka zadzwoniła cztery razy. Zaszumiało mu w uszach, dosłownie czuł, jak rośnie mu ciśnienie. Starął się oddychać spokojnie, w końcu wcisnął zielony przycisk.

- Cześć - odezwał się cicho. - Późno dzwonisz.

- Cześć - odparła równie ściszym głosem. - Jak się czujesz?

- Nieźle. Oczywiście jestem zmęczony, tak jak wszyscy.

- Gdzie jesteś?

-A ty?

- Yngvar - powiedziała cicho. - Przykro mi za to, co się stało rano. Sprawileś mi ogromny ból, było mi bardzo przykro i się wściekłam.

- W porządku. Najważniejsze, żebym się dowiedział, gdzie jesteście i kiedy wrócisz do domu. Mogę po was przyjechać za... powiedzmy, za godzinę. Może za dwie.

- Nie możesz.

- Przyjadę...

- Już jedenasta. Dobrze wiesz, co to znaczy budzić Ragnhild w środku nocy.

Yngvar przyłożył kciuk do jednego oka, a palec wskazujący do drugiego i przycisnął. Nic nie powiedział. Czerwone kropki zatańczyły w pustej ciemności pod powiekami. Czuł się cięższy niż kiedykolwiek, jakby cały niepotrzebny tłuszcz zmienił się w ołów. Ławka cisnęła go w plecy, a prawa noga zaczynała drętwieć.

- W każdym razie muszę wiedzieć, gdzie jesteście.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Ragnhild to moje dziecko. Mam prawo i obowiązek wiedzieć, gdzie przebywa. O każdej porze.

-Yngvar...

- Nie. Nie mogę cię zmusić do powrotu do domu, Inger Johanne. Masz rację, że lepiej nie budzić Ragnhild w środku nocy... Ale chcę... chcę wiedzieć, gdzie jesteście!

Kaczor zakwakał i lekko zatrzepotał skrzydłami. Dwie inne kaczki się obudziły i zawtórowały mu.

- Coś się wydarzyło - poinformowała Inger Johanne. - Coś, co...

- Wszystko z wami w porządku?

- Tak - odparła szybko i głośno. - Z nami obiema wszystko w porządku, ale nie mogę ci powiedzieć, gdzie jestem, nawet gdybym bardzo chciała. Rozumiesz?

-Nie. -

Yngvar...

- Nie ma mowy, Inger Johanne. My nie jesteśmy tacy. Nie uciekamy z dziećmi, nie mówiąc sobie, gdzie jesteśmy. My po prostu tak nie robimy.

W telefonie zapadła cisza.

-Jeśli ci powiem, gdzie jestem - odezwała się wreszcie - to musisz dać mi słowo honoru, że nie przyjedziesz tu, dopóki cię nie wezwę.

- Szczerze mówiąc, mam już naprawdę dość tych obietnic, których stale ode mnie żądasz. - Próbował oddychać spokojnie. - Dorosłe życie nie na tym polega. Różne rzeczy się dzieją, sytuacja się zmienia. Nie można rzucać przysięg na prawo i lewo.

Urwał, kiedy się zorientował, że Inger Johanne płacze. Ściszony szloch zmienił się w zdławione łkanie. Yngvar poczuł lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

-Jest naprawdę aż tak źle? - spytał zdyszany.

- Coś się wydarzyło - wyszłochąła. - Obiecałam, że nic nie powiem. To nie ma żadnego związku z Ragnhild ani ze mną, więc możesz...

Inger Johanne nie mogła już powstrzymać płaczu. Yngvar próbował się podnieść z ławki, ale prawa noga mu zdrętwiała. Skrzywił się, przytrzymał oparcia ławki i wstał, żeby rozruszać ścierpniętą nogę.

- Kochana - powiedział miękko. - Obiecuję. Nie przyjadę do ciebie, dopóki mi nie pozwolisz. I nie będę więcej wypytywał. Ale gdzie jesteś?

- U Hannę Wilhelmsen - zatkała. - Na Kruses gate. Numeru domu nie znam, ale na pewno będziesz umiał go odnaleźć.

- Co... co ty, do cholery, robisz u...

- Obiecałeś, Yngvarze, obiecałeś, że nie...

- W porządku - zapewnił szybko. - W porządku.

- No to dobranoc.

- Dobranoc.

- Trzymaj się.

- Ty się trzymaj.

- Kocham cię.

-Mhm.

Stał z telefonem przy uchu jeszcze długo po tym, jak się rozłączyła. Zaczęło lekko mżyć. W nodze wciąż czuł mrówki. Kacza rodzina odpłynęła, bała się dłużej zostawać w pobliżu.

Dlaczego zawsze pozwalam się ogłupić, pomyślał i kuśtykając, ruszył w stronę ruin kościoła Maryi po wilgotnej, świeżo skoszonej trawie. Dlaczego to zawsze ja muszę ustępować? Zawsze i wszyskim...

28

- Tutaj? Te drzwi tutaj?

Sierżant Silje S0rensen wpatrywała się w przerażonego trzydziestolatka, usiłując stłumić własną irytację. Gwałtownie pokiwał głową.

Oczywiście rozumiała strach tego człowieka. Był z pochodzenia Pakistańczykiem, obywatelem Norwegii. Wszystkie papiery mia! w porządku.

Tylko on.

Sytuacja młodej Pakistanki, z którą niedawno się ożenił, przedstawiała się natomiast znacznie gorzej. Jako nastolatka została wydalona z Norwegii za nielegalny pobyt. Rok później aresztowano ją na lotnisku Gardermoen z fałszywymi dokumentami i sporą ilością heroiny w bagażu. Zaklinała się, że do przemytu zmusili ją zleceniodawcy, którzy teraz ją zabijają, i - o dziwo - skończyło się na kolejnym wydaleniu, tym razem na zawsze. Nie powstrzymało to ojca dziewczyny od wydania jej za mąż za dalekiego kuzyna z norweskim obywatelstwem. Przyjechała do Norwegii kilka tygodni temu, przemknęła przez granicę w Svinesund o świcie, ukryta za czterema paletami soku pomidorowego w tirze jadącym z Hiszpanii.

Ali Khurram naprawdę musi ją kochać, pomyślała Silje S0rensen, przyglądając się drzewom, które jej pokazał. Z drugiej strony, ten jego histeryczny lęk o los żony mógł równie dobrze oznaczać strach przed reakcją jej ojca. Chociaż teść Alego Khurrama mieszkał w Ka-raczi, odległym o prawie sześć tysięcy kilometrów od Oslo, już zdążył napuścić na sierżant S0rensen dwóch adwokatów. Niespodziewanie okazali się dość rozsądni, dotarto do nich, że człowiek, który przemycił amerykańską prezydent w koszu na brudną bieliznę, musi się jakoś z tego wytłumaczyć. Z powagą kiwali głowami, gdy przy wtórze surowych napomnień o obowiązku dochowania tajemnicy pokazano im mikroskopijną cząstkę materiałów ze śledztwa. Jeden z adwokatów, sam z pochodzenia Pakistańczyk, przeprowadził następnie krótką cichą rozmowę z Alim Khurramem w języku urdu. To poskutkowało. Khurram otarł łzy i chętnie wskazał miejsce w piwnicy, w którym zostawił wózek sprzątacza.

Silje S0rensen jeszcze raz spojrzała na plany budynku. Z wielkimi arkuszami trudno było sobie poradzić. Młodszy funkcjonariusz, który jej towarzyszył, przytrzymał je za drugi koniec.

- Tu tego nie ma - poinformował, próbując złożyć niepotrzebny fragment rysunku.

- Na pewno jesteśmy we właściwym korytarzu?

Silje rozejrzała się dokoła. Światło jarzeniówek na suficie było ostre i nieprzyjemne. Długi korytarz od zachodniej strony kończył się drzwiami na tylne schody, które prowadziły na poziom parteru, dwa piętra nad nimi.

- Piwnica ma dwa poziomy - wyjaśnił mężczyzna w średnim wieku, stale przygryzający nerwowo wystrzępione wąsy. - To jest ten dolny, więc... No tak, korytarz jest właściwy.

Kierownik do spraw technicznych hotelu wyglądał tak, jakby zaraz miał narobić w spodnie. Bez przerwy przestępował z nogi na nogę i nie był w stanie zostawić wąsów w spokoju.

- Ale to nie zostało zaznaczone na rysunkach. - Silje z powątpiewaniem wpatrywała się w drzwi, jakby umieszczono je w tym miejscu wbrew wszelkim zasadom logiki.

- Jakie wy właściwie macie plany? - spytał kierownik, próbując dostrzec jakąś datę.

- O czym pan mówi? - zdziwił się policjant, podejmując kolejną próbę zapanowania nad płachtami papieru.

- ...powiedział, że jest z Secret Service, dlatego dałem mu numer swojej komórki - jęczał tymczasem Ali Khurram. - Skąd mogłem wiedzieć, że... Pokazał mi identyfikator, i w ogóle! Takie coś jak w telewizji, ze zdjęciem, gwiazdą i... A wcześniej mi mówił, że mam przyjść na górę, jak tylko zadzwoni. Natychmiast. Przecież on był z Secret Service. Skąd mogłem wiedzieć...

- Powinieneś być zgłosić się do nas, kiedy zrozumiałeś, co się stało - oświadczyła Silje lodowatym tonem i odwróciła się od niego. - Trzeba było od razu wszcząć alarm. Może się pan w tym zorientować? - Ostatnie słowa skierowała do kierownika technicznego.

- No tak, ale moja żona... - ciągnął Ali Khurram. - Byłem przerażony. Co będzie z moją żoną? Wydalicie ją? Nie mogłaby...

- Dość tego gadania. - Silje podniosła rękę. - Zegnajesz już od kilku godzin. Takie marudzenie nie polepszy sytuacji ani twojej, ani twojej żony. Stój tam i nie odzywaj się.

Wskazała ręką miejsce odległe o kilka metrów od drzwi. Ali Khurram poczłapał korytarzem. Rękami zasłaniał twarz, mamrocząc coś w urdu. Umundurowany policjant poszedł za nim.

- Macie nieaktualne plany - oświadczył w końcu kierownik. - To są pierwotne rysunki. Z czasów budowy hotelu. Był gotowy w dwa tysiące pierwszym. Wtedy tych drzwi tu nie było.

Dodał jeszcze uśmiech, który prawdopodobnie miał być rozbijający, jakby drzwiami nie było sensu się przejmować, skoro wyjaśniła się tajemnica niedokładności rysunków.

- Nieaktualne plany - powtórzyła Silje S0rensen bezbarwnym głosem.

- No tak - ożywił się kierownik. - A raczej..- Tych drzwi właściwie nie ma na żadnych planach. W związku z pracami przy budowie opery, z wysadzaniem gruntu itepe, kazano nam przebić drzwi na parking na wypadek, gdyby coś się...

- Na jaki parking? - spytała z rezygnacją Silje.

- Na ten.

Kierownik wskazał na ścianę.

- Na ten? Ten?

Silje S0rensen była niezwykle rzadkim wyjątkiem - bogatą policjantką. Zawsze starała się, jak mogła, ukrywać swoją największą słabość - odrobinę arogancji wynikającej z bezproblemowego dzieciństwa i odziedziczonego majątku. Teraz czekała ją ciężka próba.

Kierownik techniczny to idiota.

Jego marynarka w kolorze bordo była niegustowna i źle skrojona. Spodnie wytarte na kolanach. Wąs śmieszny. Wąski haczykowaty nos przypominał ptasi dziób. Poza tym mężczyzna zachowywał się wobec niej uniesienie. Mimo powagi sytuacji cały czas głupio się uśmiechał. Silje S0rensen czuła do niego wręcz fizyczną odrazę.

Kiedy w przyjaznym geście dotknął jej przedramienia, odskoczyła jak oparzona.

- Ten - powtórzyła, próbując nad sobą zapanować. - To znaczy? O czym pan właściwie mówi?

- O parkingu Dworca Centralnego - wyjaśnił. - Publicznym parkingu. Z hotelu nie ma tam żadnego przejścia, trzeba iść naokoło. Jeśli goście...

- Przed chwilą pan powiedział, że te drzwi tam właśnie prowadzą - przerwała mu i przełknęła ślinę.

- No tak. - Uśmiechnął się. - Te owszem. Ale nie są używane. Po prostu dostaliśmy takie polecenie. Kiedy mieli coś wysadzać w związku z budową opery...

-Już pan to mówił - przerwała mu znów. Poglądziła źle dopasowane listwy wokół drzwi. - Dlaczego tu nie ma klamki?

-Jak mówiłem, te drzwi w zasadzie nie miały być używane. Po prostu kazano nam przygotować jakieś przejście na parking. Ze względów bezpieczeństwa usunęliśmy klamkę, i z tego co wiem, drzwi nigdy nie znalazły się na żadnych planach.

Podrapał się w kark i nachylił. Silje nie mogła pojąć, w jaki sposób drzwi miały funkcjonować jako wyjście awaryjne, skoro nie dało się ich otworzyć, ale nie miała siły o tym dyskutować. Zamiast tego wyciągnęła rękę po luźną klamkę, którą mężczyzna wyjął z obszernej torby z logo hotelu.

- Klucz - powiedziała, wsuwając klamkę na miejsce.

Kierownik usłuchał. Otwarcie drzwi zajęło zaledwie kilka sekund. Silje uważała, żeby nie zostawić odcisków palców. Technicy już jechali sprawdzić, czy uda się znaleźć jakieś ślady. Otworzyła drzwi. Buchnął nieprzyjemny zapach spalin. Silje stała w progu, nie wychodząc na parking.

- Wyjazd jest tam, prawda?

Wskazała na prawo, na wschód.

- Owszem. I muszę dodać... - kierownik uśmiechnął się jeszcze szerzej; jego nerwowość jakby trochę ustępowała, gdy ciągnął:

- .. że ludzie z Secret Service osobiście badali ten rejon. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Dostali nawet własną klamkę i klucz. I do drzwi, i do windy. W ogóle wykonali imponującą pracę. Sprawdzili hotel od piwnicy po dach na kilka dni przed przyjazdem pani prezydent.

- Co pan powiedział? Kto dostał klamkę i klucz? - spytała Silje, nie odwracając się.

- Secret Service.

- Ale kto z Secret Service?

- Kto? - Kierownik roześmiał się krótko. - Przecież tu się Od nich roiło! Nie mogłem zapamiętać wszystkich nazwisk.

Wreszcie Silje się odwróciła. Zamknęła ciężkie drzwi na klucz, wyjęła klamkę i razem z kluczem schowała do własnej torby. Z bocznej kieszonki wyciągnęła jakiś kartonik, który podsunęła kierownikowi pod nos.

- Co pan powie na to?

Mężczyzna lekko zmrużył oczy i nachylił głowę do kawałka sztywnego papieru, nie ruszając się z miejsca. Przypominał sępa.

- To właśnie on! Nazwiska potrafią mi umknąć, ale twarzy ni gdy nie zapominam. Może to jakaś choroba zawodowa. W branży hotelowej...

-Jest pan pewien?

- Oczywiście! - Roześmiał się. - Doskonale go pamiętam. Bardzo miły facet. Był tu na dole dwa razy.

- Sam?

Mężczyzna się zastanowił.

- Taaak - rzekł po chwili wahania. - Tylu ich tu było. Ale jestem pewien, że tę część piwnicy badał osobiście. No, oczywiście, w mojej obecności. Sam sprawdziłem...

- W porządku. - Silje schowała zdjęcie Jeffrey'a Huntera z powrotem do torby. - Czy ktoś schodził tu później?

- Później? To znaczy po zniknięciu pani prezydent?

-Tak.

- Nie - odparł kierownik, ale niepewnie. - Kiedy odkryto zniknięcie, cały budynek dokładnie przeszukano. Oczywiście, nie mam stuprocentowej pewności, ponieważ siedziałem w biurze razem z jakimś policjantem, i sprawdzaliśmy wszystko z tymi rysunkami...

- Ręką wskazał na arkusze wystające z torby Silje. - I wydawałem różne polecenia. Poza tym poziom piwnicy był odcięty.

- Odcięty?

- No tak, oczywiście. - Uśmiechnął się znacząco. - Ze względów bezpieczeństwa.

Brzmiało to jak mantra powtarzana setki razy w ciągu dnia, dlatego straciło całe znaczenie.

- Dolny poziom piwnicy zamknięto na dość długo przed przybyciem pani prezydent. Z tego, co zrozumiałem, Secret Service chciało... zminimalizować ryzyko. Niektóre obszary zachodniego skrzydła równieź kazali zamknąć. Podobnie jak fragmenty ósmego i dziewiątego piętra. To się nazywa... *minimal risk... minimizing risk...* - Na próżno szukał angielskich słów, których niedawno się nauczył. - Strefa zminimalizowanego ryzyka - dokończył zadowolony po norwesku.

- Całkiem zwyczajna rzecz w tych kręgach. Bardzo rozsądne.

- A więc nie jest pewne, czy policja w ogóle tu schodziła - podsumowała Silje. - W ciągu tych godzin po porwaniu.

-No tak...

Znów chyba nie bardzo wiedział, jaką odpowiedź właściwie chciałyby usłyszeć. Wpatrywał się w nią intensywnie, nie znajdując pomocy.

- Cały ten poziom był zamknięty. Na klucz. Żeby zjechać windą aż tutaj, na sam dół, potrzebny jest klucz. Goście nie powinni się tu kręcić. Wyposażenie techniczne i... rozumie pani? Secret Service, oczywiście, miało klucze, ale nikt inny. Nikt oprócz mnie i tych moich pracowników, którzy...

- Czy sprawdzanie odbywało się na podstawie tych planów?

- Silje dotknęła rulonu wystającego z torby.

- Nie. To są oryginalne rysunki. My korzystaliśmy z tych najświeższych, na których uwzględniono przebudowę apartamentu prezydenckiego. Ale plany piwnicy wszędzie są takie same, więc to piętro, które pani ma tam - wskazał na jej torbę - jest identyczne. Piwnica jest taka sama w obu wersjach.

- I na żadnej nie zaznaczono tych drzwi - powtórzyła Silje jeszcze raz, jak gdyby prawda nie mieściła jej się w głowie.

- W pełni współpracowaliśmy z policją - zapewnił ją kierownik.
- To była bliska i dobra współpraca, zarówno przed, jak i po porwaniu.

O Boże, pomyślała Silje. Było nas za dużo. Całe mnóstwo kucharek i wyszedł z tego niezły pasztet. Piwnicę zamknięto. Plany mówią, że nie istnieje stąd żadne wyjście. Gdy szukano drogi ucieczki porywaczy, wszędzie panował chaos. Nic dziwnego, że nie znaleźliśmy tych drzwi.

- Mogę już iść do domu? - spytał Ali Khurram, który wciąż stał kilka metrów dalej pod ścianą. - Chyba mogę już iść?

- Tacy jak ty nigdy nie przestaną mnie zadziwiać - oświadczyła Silje, patrząc na przerażonego Pakistańczyka. - Nic nie rozumiesz, tak? Naprawdę myślisz, że wolno ci popełnić tyle przestępstw, ile ci się żywnie podoba, i spokojnie wracać do domu, do żonki, jakby nic się nie stało? Naprawdę tak myślisz?

Zrobiła krok w jego stronę. Ali Khurram zamilkł. Zerknął tylko na policjanta. Wysoki funkcjonariusz nazywał się Khalid Mushtak i dwa lata wcześniej ukończył Wyższą Szkołę Policyjną z najlepszymi wynikami w swoim roczniku. Teraz oczy mu się zwięziły, a poruszająca się grdyka świadczyła o tym, że z trudem przełyka ślinę. Ale się nie odezwał.

- Mówiąc o takich jak ty - próbowała wyjaśnić szybko Silje, rysując w powietrzu cudzysłów - nie miałam na myśli takich jak ty. Chodziło mi o ludzi, którzy nie nauczyli się, jak działa nasz system. Którzy nie rozumieją... - Urwała.

Monotonny szum ogromnych, odsłoniętych rur wentylacyjnych pod sufitem był jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć. Kierownik techniczny wreszcie przestał się uśmiechać. Ali Khurram nie pociągał już nosem. Khalid Mushtak bez słowa wpatrywał się w sierżant Silje S0rensen.

- Przepraszam - wyjąkała wreszcie. - Naprawdę przepraszam. Po prostu głupio się wyraziłam. - Wyciągnęła rękę do policjanta.

Nie ujął jej.

- Nie mnie powinnaś przepraszać - powiedział obojętnym tonem, zapinając aresztantowi kajdanki. - Tylko jego. Ale jeszcze będziesz miała do tego mnóstwo okazji. Zakładam, że trochę posiedzi.

Uśmiech, który jej posłał, nie był ani zimny, ani pogardliwy. Był współczujący.

Silje S0rensen nie przypominała sobie, kiedy ostatnio czuła się jak kompletna idiotka. Sytuacji nie poprawiał fakt, że znaleźli drogę ucieczki z hotelu Opera, nieznaną nikomu oprócz jednego agenta Secret Service, który odebrał sobie życie.

Przypuszczalnie ze wstydu, pomyślała, czując, że się czerwieni.

Najgorsze jednak było, że na znalezienie tych drzwi potrzebowali ponad półtorej doby.

- Pieprzone drzwi - mruknęła, chociaż nigdy nie przeklinała.
- Ruszyła po schodach za szerokimi plecami Khalida Mushtaka.
- Znalezienie tych pieprzonych drzwi zajęło nam czterdzieści godzin. Czego jeszcze nie znaleźliśmy?

29

- Drzwi. Znaleziono drzwi.

Warren Scifford zakrył ręką oczy. Jego włosy wydawały się wilgotne, jakby przed chwilą je umył. Zamienił garnitur na dzinsy i obszerną granatową bluzę. Na piersi duże litery układały się

w napis *YALE*. Półbuty wyglądały na uszyte z prawdziwej skóry węża. W tym stroju wyglądał na starszego niż w garniturze. W luźnej bluzie zacząłki obwisłości skóry na szyi widać było wyraźniej. Opalenizna nie nadawała mu już świeżego sportowego wyglądu. Przeciwnie, młodzieżowy strój dziwnie kontrastował z całą jego postacią, a nienaturalny o tej porze roku kolor skóry jeszcze to podkreślał. Warren siedział z nogą założoną na nogę, nerwowo poruszając czubkiem buta. Gdyby nie to, zdawałoby się, że zaraz zapadnie w sen. Oparł się o podłokietnik i właściwie bardziej leżał, niż siedział na krześle.

- Drzwi, które, jak się okazuje, zostały sprawdzone przez Secret

Service - poinformował Yngvar Stub0. - Przez Jeffreya Huntera. Kiedy odkryliście, że zniknął?

Warren Scifford powoli się wyprostował. Dopiero teraz Yngvar zauważył, że Amerykanin paskudnie się zaciął. Krew przesiąknęła przez plaster tuż przy lewym uchu. Zapach wody po goleniu był odrobinę za mocny.

- Zgłosił, że jest chory - odparł w końcu Warren.

- Kiedy?

- Rano szesnastego maja.

- Więc był tutaj przed przyjazdem pani prezydent do Norwegii?

- Tak. To on odpowiadał za zabezpieczenie hotelu. Przyjechał

•trzynastego.

Komendant Bastesen mieszał kawę. Jak zafascynowany wpatrywał się w wir w filiżance.

- Myślałem, że ci faceci są kompletnie nieprzekupni - mruknął po norwesku. - Nic dziwnego, że tak utknęliśmy.

- *Pardon me*. - Warren Scifford wyraźnie się zirytował.

- A więc zgłosił, że jest chory - powtórzył Yngvar. - To musiało być coś bardzo poważnego, skoro główna osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo w hotelu, w którym ma przebywać prezydent, zgłasza chorobę na dwanaście godzin przed przybyciem obiektu. To chyba niezwykle rzadka sytuacja. Przypuszczam...

- Secret Service miało dość ludzi - przerwał mu Warren. - Poza tym wszystko odbyło się zgodnie z planem. Hotel został przeszukany, plany opracowane, część obszaru zamknięta, system wdrożony. Secret Service nigdy niczego nie zaniedbuje. Mają *back up* w zasadzie na każdą okoliczność, bez względu na to, jak niewyobrażalna mogłaby się wydawać.

- Ale tu raczej doszło do zaniedbań - zauważył Yngvar. - Skoro jeden z waszych agentów specjalnych uczestniczył w uprowadzeniu wybranej przez naród prezydent Stanów Zjednoczonych.

W pokoju zapadła cisza. Szef służby bezpieczeństwa Peter Salhus odkręcił butelkę z colą. Terje Bastesen wreszcie odsunął filiżankę.

- Podchodzimy do tej sprawy bardzo poważnie - powiedział w końcu, usiłując pochwycić spojrzenie Amerykanina. - Musieliście bardzo wcześnie zauważyć, że jeden z waszych agentów jest w to zamieszany. Że też nie...

- Nie - przerwał mu ostro Warren. - Nie wiedzieliśmy... - Urwał. Znow potarł oczy dłonią. Wyglądało to tak, jakby celowo je ukrywał. - Secret Service zdało sobie sprawę ze zniknięcia Jeffreya Huntera dopiero w ciągu wczorajszego dnia, późno - podjął po chwili milczenia tak długiej, że sekretarka zdążyła zajrzeć do pokoju z jeszcze jedną letnią pizzą i skrzynką wody mineralnej. - Po prostu mieli inne rzeczy na głowie. A choroba rzeczywiście wyglądała na poważną. Wypadnięcie dysku. Facet nie mógł się ruszyć. Rano szesnastego mają próbowali nafaszerować go środkami przeciwbólowymi, ale był w stanie jedynie leżeć w łóżku i drzemać.

- Tak przynajmniej twierdził.

Warren spojrzał na Yngvara i lekko kiwnął głową.

- Tak twierdził.

- Badał go lekarz?

- Nie. Nasi ludzie mają sporą wiedzę medyczną. Dysk to dysk. I niewiele da się zrobić oprócz unieruchomienia i ewentualnej

operacji. A ta i **tak musiałaby zaczekać do zakończenia wizyty pani** prezydent.

- Rentgen ujawniłby prawdę.

Warrenowi nie chciało się odpowiadać. Nachylił się nad pizzą, lekko zmarszczył nos i zrezygnował.

- A jeśli chodzi o nas, czyli FBI - sięgnął po butelkę wody mi neralnej - to nie wiedzieliśmy nic, dopóki nie pokazaliście nam tego filmu. Dziś po południu. Później, oczywiście, zbadaliśmy sprawę. Porównaliśmy nasze wyniki z tym, do czego doszło Secret Service...

Warren wstał i zbliżył się do okna. Siedzieli na siódmym piętrze w biurze komendanta i mieli stąd wspaniały widok na szarą majową noc. Światła w miasteczku mediów na trawniku były teraz ostrzejsze i stale ich przybywało. Najciemniejsza pora doby miała nadejść już za godzinę, ale trawnik pławił się w sztucznym świetle. Drzewa w alei prowadzącej do aresztu zmieniły się w mur na tle ciemności po drugiej stronie parku.

Warren upił trochę wody, ale wciąż milczał.

- Czy może chodzić o rzecz tak prostą jak pieniądze? - spytał Peter Salhus spokojnie. - Pieniądze dla rodziny?

- Gdyby tak było, sprawa rzeczywiście byłaby prosta - powiedział Warren do swego odbicia w szybie. - Chodziło o dzieci. Na jakimś osiedlu między Baltimore a Waszyngtonem siedzi teraz zrozpaczona wdowa i rozumie, że ona i jej mąż zrobili coś strasznego. Mają troje dzieci. Najmłodszy jest autystyczny. Stosunkowo dobrze funkcjonuje. Chodzi do specjalnej szkoły. To kosztuje i Jeffrey Hunter musiał prawdopodobnie każdego dolara obracać dwa razy, żeby wiązać koniec z końcem. Ale żadnych nielegalnych pieniędzy nigdy nie otrzymał. Nic na to nie wskazuje. Natomiast okazuje się, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy chłopiec został dwukrotnie uprowadzony. Za każdym razem pojawiał się, zanim podniesiono pełny alarm, ale zawsze kiedy rodzice zdążyli już

wpaść w panikę. Przesłanie było jasne. Zrób to, o co zostaniesz poproszony w Oslo, inaczej chłopiec zniknie na dobre.

Peter Salhus wyglądał na szczerze wstrząśniętego, gdy pytał:

- Ale czy doświadczony agent Secret Service pozwoliłby wywieść na siebie takie naciski? Nie mógł zadbać o ochronę dla rodziny? Jeśli ktokolwiek jest w stanie oprzeć się tego rodzaju pogróżkom, to chyba właśnie agent specjalny.

Warren wciąż stał odwrócony do nich plecami. Głos miał płaski, jak gdyby nie miał siły opowiadać całej tej historii.

- Za pierwszym razem chłopca zabrano ze szkoły. To z założenia powinno być niemożliwe. Nawet szkoły publiczne, nie mówiąc już o prywatnych, jak było w tym wypadku, są historycznie czujne w kwestii bezpieczeństwa dzieci. Ale komuś jednak się udało. Rodzice ukryli chłopca u dawnej szkolnej przyjaciółki matki w Kalifornii, tam uczył się w domu i nikt, nawet rodzeństwo, nie wiedział, gdzie przebywa. Pewnego popołudnia zniknął i stamtąd. Nie było go zaledwie przez cztery godziny, i ani owa przyjaciółka, ani nikt inny nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób mogło do tego dojść. Ale przesłanie pozostawało jasne jak kryształ. - Warren zaśmiał się krótko, cierpko i wreszcie wrócił na swoje krzesło. - Wiadomo było, że i tak znajdą chłopca. Jeffrey Hunter czuł, że nie ma wyboru. Ale oczywiście z taką zdradą nie dało się żyć. Ze wstydem. Był świadom, że jego udział w porwaniu prędzej czy później wyjdzie na jaw. Że komuś w jakimś momencie przyjdzie do głowy, żeby sprawdzić nagranie z czasu po zniknięciu pani prezydent.

- Krążył po Oslo, aż zrobiło się dostatecznie późno, żeby wsiąść do autobusu jadącego za miasto - podsumował Bastesen. - Wszedł w las, ukrył się w rowie i odebrał sobie życie własnym służbowym pistoletem. Na pewno nie było mu łatwo. Nieszczęśnik. Szedł pod górę w stronę Skar ze świadomością, że zostało mu zaledwie kilka minut życia. Że już nigdy więcej...

Yngvar czuł lekki rumieniec na policzkach, słuchając patetycznej przemowy komendanta, przerwał więc szybko:

- Czy samobójstwo Jeffreya Huntera może tłumaczyć brak wiadomości od porywaczy? Przecież na tej kartce, którą zostawili w apartamencie, napisali, że się odezwą.

- Wątpię - odparł Warren. - Jeffrey Hunter właściwie był jedynie narzędziem. Nie ma absolutnie najmniejszych przesłanek, aby sądzić, że został zamieszany w coś więcej niż wyprowadzenie pani prezydent z hotelu.

- Tu muszę się trochę sprzeciwić - powiedział Yngvar. - Uważam, że informacja o ubraniu pani prezydent pochodziła z wewnątrz.

- O jakim ubraniu? O czym ty mówisz?

- Te dwa samochody, które jeździły... - Yngvar podniósł do góry dwa palce i urwał, nie kończąc zdania. - Odnaleźliśmy zresztą również kierowcę drugiego samochodu, ale udało nam się wycisnąć z niego równie mało, jak z Gerharda Skr0dera. To taki sam drań, tak samo go zwabiono perspektywą oszałamiającej zapłaty.

- No, ale ubranie - powtórzył Warren. - Co z ubranie?

- Czerwony żakiet, eleganckie niebieskie spodnie, biała jedwabna bluzka. Barwy narodowe Stanów Zjednoczonych i Norwegii. Bez względu na to, kto stał za tym porwaniem, musiał wiedzieć, w co pani prezydent będzie ubrana. Te sobowtóry wyglądały tak samo. Miały na sobie rzeczy nie identyczne, ale na tyle podobne, by operacja odwrócenia uwagi się powiodła. Zmarnowaliśmy mnóstwo czasu i sił na szukanie tych cieni. - Yngvar odetchnął głębiej, wahał się przez chwilę, ale podjął: - Uznaję za rzecz oczywistą, że Madam President w podróży towarzyszy fryzjer i garderobiana. Co oni mówią?

Warren Scifford wyraźnie był nieswój. Na twarzy pokerzysty, która zwykle pozwalała mu kłamać bez mrugnienia okiem, pojawił się wyraz rezygnacji i zmęczenia. Usta wydawały się węższe, Yngvar zauważył też napięcie mięśni twarzy.

- Prawdę mówiąc, szczerze podziwiam to, jak konsekwentnie udaje ci się nas nie doceniać - dodał Yngvar cicho. - Sądziłeś,

że się nad tym nie zastanawialiśmy? I że nie przyszło nam już dawno do głowy, że musi chodzić o jakiś *insidejob*? Nie rozumiesz, że bawiąc się w tajemniczość, tylko komplikujesz sprawę?

- Ubrania pani prezydent znajdują się w systemie komputerowym - wyjaśnił ściszym głosem Warren.

- Do którego każdy ma dostęp?

- Nie. Ale jej sekretarka to kontroluje. A jest w bardzo dobrych stosunkach z Jeffreyem Hunterem. Oni są... byli po prostu przyjaciółmi. Na początku maja, podczas nieformalnego lunchu w Białym Domu, rozmawiano o waszym święcie narodowym. Oczywiście, przesłuchaliśmy sekretarkę, ale za nic w świecie nie jest w stanie sobie przypomnieć, kto pierwszy poruszył ten temat. Wspomniała jednak, że pani prezydent w związku z pierwszą wizytą zagraniczną zakupiła sporo nowych ubrań, między innymi żakiet, który zamierzała włożyć w dzień święta narodowego. Podobno miał dokładnie ten sam odcień czerwieni, co na fladze norweskiej. Ktoś nas poinformował, że jesteście na tym punkcie wyjątkowo wrażliwi.

Po twarzy przemknął mu uśmiech, ale nikt nie odpowiedział uśmiechem.

- Macie sto procent pewności, że nikt więcej od was nie był w to zamieszany? Że Jeffrey Hunter działał sam?

- Jesteśmy tak pewni, jak tylko to możliwe - odparł Warren Scifford. - Ale, z całym szacunkiem, muszę powiedzieć, że nie podoba mi się obrót, jaki przybrało to spotkanie. Nie jestem tu po to, żeby się przed wami tłumaczyć jak uczeń w szkole. Przyszedłem, żeby udzielić wam informacji niezbędnych do odnalezienia prezydent Bentley. I, oczywiście, żeby się dowiedzieć, jak daleko posunęliście się w śledztwie.

W jego głosie zabrzmiała lekka ironia. Terje Bastesen chrząknął i znów odsunął filiżankę, żeby coś powiedzieć. Yngyar go uprzedził:

- Nawet nie próbuj udawać. - Mówił spokojnie, ale oczy mu się zwięziły akurat na tyle, by Warren musiał mrugnąć. - Z naszej strony

otrzymujesz wszelkie informacje. Powiadamy cię o wszystkim, gdy tylko uda nam się ciebie złapać. Co dość często okazuje się trudne. Dwa tysiące ludzi... - zadrżał, jakby ogrom tej liczby dotarł do niego dopiero teraz - ...pracuje nad tą sprawą wyłącznie z ramienia policji, nie licząc ministerstw, najwyższych urzędów i w dużej mierze również woj...

- A my mamy dokładnie sześćdziesiąt dwa tysiące Amerykanów... - przerwał mu Warren, nie podnosząc głosu - ...którzy usiłują się dowiedzieć, kto porwał panią prezydent. Ponadto...

- To nie zawody.

Wszyscy popatrzyli na Petera Salhusa. Teraz to on wstał. Yngvar i Warren wymienili spojrzenia jak dwaj chłopcy czubiący się na szkolnym boisku, przyłapani przez dyrektora.

- Nikt nie wątpi, że sprawa jest priorytetowa w obu krajach.

- Głos Salhusa był jeszcze mroczniejszy niż zazwyczaj. - Że wy, Amerykanie, z pewnością doszukujecie się niebezpiecznego spisku i szerszego kontekstu. CIA, FBI i NSA w ciągu ostatniej doby zmieniły... nastawienie, chyba tak to nazwę, w sprawie wymiany informacji. Cóż, nietrudno nam dostrzec, w jakim kierunku to idzie. Wywiady w całej Europie bacznie śledzą, co się dzieje. My też mamy swoje źródła, o czym z pewnością wiecie. I, oczywiście, już wkrótce amerykańscy dziennikarze dowiedzą się o metodach, jakimi się posługujecie.

Warren nawet nie mrugnął.

- To będzie wasz problem. - Salhus wzruszył ramionami. - Od czytuję napływające dane w powiązaniu z tym, czego nie udaje wam się utrzymać w tajemnicy przed opinią publiczną... - Nachylił się i z teczki stojącej na podłodze przy krześle wyjął dokument.

- Znaczne ograniczenie ruchu lotniczego - przeczytał. - Całkowite wstrzymanie lotów z niektórych krajów, w większości muzułmańskich. Rozległe ograniczenia obsady urzędów publicznych. Szkoły zamknięte do odwołania. - Zamachał kartką, zanim schował ją z powrotem do teczki. - Mógłbym wyliczać dalej. Wniosek z tego

jest oczywisty. Spodziewacie się kolejnych ataków. Znacznie groźniejszych niż uprowadzenie pani prezydent.

Warren Scifford otworzył usta i podniósł do góry rękę.

- Oszczędź sobie protestów - doradził szef norweskiej służby bezpieczeństwa. Niski głos aż drżał od wstrzymywanego gniewu.

- Muszę powtórzyć za Yngvarem Stub0: Nie wolno ci nas nie doceniać. - Palec Salhusa zbliżył się na odległość kilku centymetrów do nosa Amerykanina. - Musisz pamiętać... musisz naprawdę pamiętać...

Warren zmarszczył brwi i cofnął głowę. Salhus podszedł jeszcze bliżej. Palec mu drżał.

- ..że to my, norweska policja, mamy szansę rozwiązać tę sprawę. Tę konkretną sprawę. To my, i tylko my, mamy możliwość sprawdzenia, w jaki sposób doszło do uprowadzenia amerykańskiej prezydent z pokoju hotelowego w Oslo. Rozumiesz?

Warren siedział spokojnie.

- A wy możecie sobie spokojnie pracować nad umieszczeniem tej sprawy w szerszym kontekście. Rozumiesz?!

Amerykanin ledwie widocznie kiwnął głową. Salhus oddychał ciężko, ale w końcu opuścił rękę z wygrażającym palcem.

- Niepojęte, nie dość że odmawiacie współpracy - podjął Salhus - to wręcz sabotujecie śledztwo, nie udzielając nam najistotniejszych informacji, jak na przykład ta o zaginięciu agenta Secret Service w tajemniczy sposób. - Stał tuż przed Amerykaninem.

- I gdyby jakaś staruszka, która wybrała się na wędrowkę w góry, nie kręciła się przypadkiem koło rowu w Nordmarka i nie straciła przytomności kilka metrów dalej, nadal szukalibyśmy mężczyzny w garniturze. Wciąż nie mielibyśmy pojęcia... - Chrząknął i urwał na chwilę, jakby musiał wziąć się w garść, żeby naprawdę nie wpaść we wściełość. - W porozumieniu z komendantem Bastesenem, a także naszymi ministrami sprawiedliwości i spraw zagranicznych wystosowaliśmy formalną skargę do twojego rządu - oświadczył na koniec. - Kopię wysłaliśmy do Secret Service i FBI.

- Obawiam się - zaczął Warren obojętnym tonem - że mój rząd, FBI i Secret Service mają poważniejsze zmartwienia niż taka skarga. Ale oczywiście... *Be my guest!* Nie mogę wam zabronić prowadzenia korespondencji, skoro macie czas na takie rzeczy.

- Poderwał się gwałtownie i sięgnął po zieloną sportową kurtkę, przewieszoną przez oparcie krzesła. - W zasadzie już tutaj skończyłem - powiedział z uśmiechem. - Dostałem to, co chciałem. I wy też trochę dostaliście. Innymi słowy, było to owocne spotkanie.

Trzej pozostali mężczyźni byli tak zdumieni tym nagłym zakończeniem, że nie wiedzieli, co odrzec. Warren Scifford musiał dotknąć ramienia Salhusa, żeby ten się odsunął.

- A zresztą... - odezwał się jeszcze Amerykanin od drzwi. Wszyscy pozostali wciąż milczeli. - Mylisz się co do tego, kto może rozwiązać tę sprawę. Tę konkretną sprawę, jak ją nazwałś. Jak gdyby uprowadzenie w ogóle dało się oderwać od motywów, planowania, konsekwencji i kontekstu. - Uśmiechał się szeroko, ale w jego oczach nie było życzliwości. - Możliwość rozwiązania całej sprawy będzie miał ten, kto odnajdzie panią prezydent. Całej sprawy. A ja, niestety, wciąż mam wątpliwości, czy to będziecie wy. To martwi...

- wbił oczy w Salhusa - ...mój rząd, FBI i Secret Service. Ale życzę wam powodzenia. Dobranoc.

Drzwi się za nim zamknęły zatrzaśnięte odrobinę za mocno.

30

- Znalazłyśmy panią prezydent - szepnęła Inger Johanne Vik. -To zupełnie...

Nie przychodziło jej na myśl żadne porównanie i uświadomiła sobie, że jest właściwie bliska histerycznego chichotu, ale ponieważ byłoby to zachowanie równie nieodpowiednie jak śmiech na pogrzebie, próbowała się powstrzymać. Z oczu od razu popłynęły

jej łzy. Czowała się kompletnie wyczerpana, Hannę uparcie trwała przy stanowisku, że nie należy podnosić alarmu. Inger Johanne próbowała wszystkich sposobów, od rozumnej perswazji, poprzez błagania, po groźby. Nic nie pomagało.

- Taka kobieta jak Helen Bentley sama wie najlepiej, jak postąpić - powiedziała Hannę cicho i delikatnie okryła panią prezydent kocem. - Pomóż mi, dobrze?

Helen Bentley oddychała regularnie i głęboko. Hannę przyłożyła dwa palce do jej przegubu, zerkając przy tym na zegarek. Wargi lekko jej się poruszały przy liczeniu, wreszcie ostrożnie odłożyła rękę pani prezydent z powrotem na biodro.

- Puls jest regularny i mocny - szepnęła. - Wydaje mi się, że ona wcale nie zemdląca. Po prostu zasnęła. Padła. Kompletnie wyczerpana. I fizycznie, i psychicznie.

Hannę cicho przejechała wózkiem do sąsiedniego pokoju. Po drodze zgasła sterowane głosem światło:

- Ciemno!

Lampy stopniowo przygasły. Inger Johanne poszła za Hannę i zamknęła za sobą drzwi. Ten pokój był mniejszy. W dużym gazowym kominku płonął ogień, rzucając na pokój niespokojne cienie. Inger Johanne usiadła na głębokim szezlongu i oparła głowę na miękkim zagłówku.

- Helen Bentley nie wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej - oświadczyła Hannę, podjeżdżając wózkiem bliżej niej. -Ale na wszelki wypadek raz na godzinę powinno się do niej zajrzeć. Mogła mieć lekkie wstrząśnienie mózgu. Obejmę pierwszą wachtę. Kiedy Ragnhild zwykle zaczyna się budzić?

- Około szóstej. - Inger Johanne ziewnęła.

- Wobec tego ja będę czuwać pierwsza, a ty się zdrzemiesz przynajmniej parę godzin.

- Dobrze, dziękuję.

Ale Inger Johanne nie ruszyła się z miejsca. Wpatrywała się w płomienie za sztucznymi polanami. Działy na nią wręcz

hipnotyzujące Niebieski przejrzysty woal na dole, przechodzący wyżej w żółtopomarańczowy płomień.

- Wiesz - powiedziała, czując nagle zapach perfum Hanne.

- Wydaje mi się, że nigdy nie spotkałam podobnej osoby.

-Jak ja? - Hanne uśmiechnęła się.

Inger Johanne roześmiała się i wzruszyła ramionami.

-Jak ty też. Ale akurat w tej chwili myślałam o Helen Bentley. Dobrze pamiętam kampanię wyborczą. To znaczy, staram się śledzić...

- Starasz się śledzić! - przerwała jej Hanne Wilhelmsen ze śmiechem. - Przecież ty jesteś chorobliwie zainteresowana polityką amerykańską. Wydawało mi się, że to ja mam fioła na punkcie tego kraju, ale ty jesteś znacznie gorsza. Chcesz... - Przekrzywiła głowę, jakby się zastanawiała, czy pytanie, które zamierza zadać, będzie oznaczało przekroczenie granicy między życzliwością a przyjaźnią. - Nie byłoby miło napić się wina? - spytała jednak, ale zaraz pożałowała. - To pewnie zresztą głupie, już tak późno. Zapomnij o tym.

- Z wielką przyjemnością - zgodziła się Inger Johanne, tłumiąc ziewanie. - Bardzo chętnie.

Hanne podjechała wózką do szafki wbudowanej w ścianę, otworzyła ją, lekko naciskając skrzydło drzwi, i bez wahania wyjęła butelkę czerwonego wina z etykietką, na której widok Inger Johanne szeroko otworzyła oczy.

- Nie otwieraj tego - powiedziała szybko. - Przecież mamy się napić tylko po kieliszku.

- Te wina to zabawka Nefis. Ucieszy się, kiedy zobaczy, że i ja się poczęstowałam czymś dobrym.

Otworzyła butelkę, wsunęła ją między uda, położyła na kolanach dwa kieliszki, zamknęła szafkę i podjechała z powrotem do szezlonga. Nalała im obydwu.

- To był właściwie cud, że ją wybrano - powiedziała Inger Johanne i wypila haust. - Fantastyczne. To znaczy wino.

Uniosła kieliszek w dyskretnym toaście i pociągnęła jeszcze łyk.

- Dzięki czemu, według ciebie, wygrała? - spytała Hanne. - Jak jej się to udało? Przecież wszyscy komentatorzy bez wyjątku twierdzili, że jeszcze za wcześnie na prezydenta kobietę.

Inger Johanne się uśmiechnęła.

- Przede wszystkim czynnikiem X.

- Czynnikiem X?

- To, czego się nie da wyjaśnić. Suma zalet, których właściwie nie sposób wymienić. Ona je posiadała. Jeśli jakakolwiek kobieta miała szansę wygrać, to ona. I tylko ona.

- A Hillary Clinton?

Inger Johanne przełknęła małe łyżeczki wina, który miała w ustach.

- Chyba nigdy w życiu nie piłam nic lepszego - orzekła, wpatrując się w kieliszek. - Dla Hillary było jeszcze za wcześnie, sama to rozumiała. Ale jej czas może nadejść. Później. Cieszy się dobrym zdrowiem i może startować, nawet kiedy dobiegnie do siedemdziesiątki. Jeszcze trochę czasu upłynie. Atutem Hillary jest to, że wszystkie związane z nią sprawy znane są od podszewki. Po drodze, zanim została first lady, całe jej życie wywrócono na lewą stronę. Nie mówiąc już o ośmiu latach w Białym Domu. Wszelkie męty dawno już wypłynęły na powierzchnię. Jednak, oczywiście, ludzie muszą mieć czas, by nabrać do tego dystansu.

- Ale przecież Helen Bentley też sprawdzano. - Hanne próbowała poprawić się na wózku. - Czepiali się jej jak krwiozercze psy.

- Naturalnie. Rzecz w tym, że nic nie znaleźli. Nic ważnego. Miała dość rozumu, by przyznać, że w okresie studiów nie prowadziła klasztornego życia. Powiedziała o tym głośno, zanim ktokolwiek zdążył spytać. I w dodatku z uśmiechem. I jeszcze puściła oko do Larry'ego Kinga, na żywo. Ucięła wszystko. Genialne posunięcie.

Inger Johanne podniosła kieliszek na wysokość płomieni kominika i zapatrzyła się w grę kolorów, od intensywnej czerwieni po jasną ceglastą barwę przy brzegach.

- Helen Bentley miała też swój epizod wietnamski. - Inger Johanne znów się uśmiechnęła. - W 1972 roku. Miała wtedy dwa dzieci a dwa lata. Rozsądnie nie wspomniała o tym, dopóki jakiś czupurny kogucik, a może raczej powinnam powiedzieć jastrząb, na początku kampanii wyborczej nie przypominał, że Stany Zjednoczone prowadzą wojnę z Irakiem, więc Commander in Chief koniecznie powinien mieć doświadczenie wojenne, co oczywiście jest kompletną bzdurą. No bo spójrz tylko na Busha. Pokręcił się trochę w mundurze lotnika jako młody chłopak i nigdy nie wysunął skrzydła, że tak to ujmę, poza USA. Ale wiesz... Helen Bentley wykonała zręczną woltę. W telewizji oświadczyła z powagą, że przyczyną, dla której nigdy głośno się nie chwaliła dwunastoma miesiącami spędzonymi w Nam, był szacunek dla okaleczonych fizycznie i psychicznie weteranów, którzy mieliby za nic służbę polegającą w przeważającej mierze na siedzeniu przy maszynie do pisania. Zaciągnęła się, nie będąc do tego zmuszona, bo uważała to za swój obowiązek, wróciła jako dojrzała i o wiele mądrzejsza osoba, przekonana, że cała wietnamska operacja była fatalnym posunięciem. Podobnie wojna w Iraku; chociaż początkowo ją popierała, rozwinęła się ona w koszmar, z którego należy znaleźć honorowe i rozsądne wyjście, poświęcając na to wszystkie siły. I to jak najszybciej.

Inger Johanne błyskawicznym ruchem zakryła kieliszek, kiedy Hannę chciała jej dolać.

- Nie, dziękuję. Jest pyszne, ale niedługo muszę iść spać.

Hannę nie nalegała, zakorkowała butelkę.

- Pamiętajsz, jak siedziałyśmy tu i oglądałyśmy razem ce remonię objęcia prezydentury? - spytała. - I rozmawiałyśmy o tym, jak idealnie ci ludzie muszą planować swoje życie. Pamiętajsz?

- **Tak - odparła Inger Johanne. - Byłam chyba... bardziej poruszona niż ty.**

- To dlatego, że nie jesteś aż tak cyniczna. Wciąż pozwalasz, żeby coś budziło twój podziw.

- Nie mogło być inaczej. Hillary Clinton zмага się z wizerunkiem twardej, upartej i samowolnej osoby...

- Cóż, ciężko pracuje, żeby to zmienić.

- O tak, zdecydowanie. Ale to wymaga czasu. Helen Bentley ma w sobie coś... - Inger Johanne przekrzywiła głowę, wsunęła włosy za ucho i dopiero teraz zorientowała się, że całe szkła jej okularów pokrywają ślady paluszków Ragnhild. Zdjęła je i zaczęła przecierać brzegiem bluzki - ...niemożliwego do zdefiniowania - dokończyła po chwili. - Czynniki X. Jest ciepła, piękna, kobieca, a jednocześnie przez swoją karierę i udział w wojnie udowodniła, że nie brak jej siły. Z pewnością jest twarda i ma wielu wrogów, ale traktuje ich... inaczej? - Włożyła okulary na nos i zerknęła na Hannę. - Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak. - Hannę kiwnęła głową. - Innymi słowy, potrafi oszukiwać ludzi. Skłonić nawet najbardziej zagorzałych przeciwników do tego, by uwierzyli, że odnosi się do nich z należyтым szacunkiem. Ale ciekawi mnie, co z nią jest nie tak.

- Nie tak? O co ci chodzi?

- Daj spokój. - Hannę uśmiechnęła się. - Nie myślisz chyba, że jest aż tak nieskazitelna, jak się wydaje.

- Ma przecież... Gdyby coś było na rzeczy, z pewnością dawno by to już wykopano. Amerykańscy dziennikarze są najlepsi, to znaczy, najgorsi pod tym względem na świecie.

Hannę, o dziwo, po raz pierwszy w okresie ich kruchej znajomości wyglądała na zadowoloną, jakby obecność zagubionej prezydent Ameryki, pogrążonej w głębokim śnie na kanapie, wydobyla ją z nieprzeniknionej skorupy życzliwej obojętności, w której zawsze się chroniła. Cały świat wstrzymywał oddech w narastającym lęku o to, co mogło się stać z Helen Lardahl Bentley, a Hannę

Wilhelmsen najwyraźniej z przyjemnością przedłużała te udreki. Inger Johanne sama nie bardzo wiedziała, jak ma to rozumieć ani czy jej się to podoba.

- Nonsens! - Hannę nachyliła się, żeby szturchnąć ją w bok. - Nie ma takich ludzi. Nie istnieje na świecie człowiek, który nie miałby się czego wstydzić. Czegoś, o czym inni nie powinni wiedzieć. Im wyżej się zajdzie, tym niebezpieczniejszy staje się nawet banalny błąd popełniony w przeszłości. A nasza przyjaciółka z całą pewnością też ma coś takiego na koncie.

- Idę spać - oświadczyła Inger Johanne. - Ty się nie kładziesz?

- Nie, posiedzę jeszcze, przynajmniej dopóki ty się nie obudzisz. Pewnie trochę się zdrzemnę na wózku, ale mam tu coś do czytania.

- Dopóki Ragnhild się nie obudzi - poprawiła ją Inger Johanne, ziewnęła jeszcze raz i szurając stopami w pożyczonych kapciach, ruszyła do kuchni po wodę.

W drzwiach się odwróciła.

- Hannę - odezwała się cicho.

- Słucham.

Kobieta nie odwróciła wózka. Wciąż siedziała zapatrzona w płomienie. Nalała sobie jeszcze wina i podniosła kieliszek.

- Dlaczego tak się upierasz, żeby nikogo nie powiadamiać o tym, że ona tu jest?

Hannę odstawiła kieliszek i wolno obróciła wózek w stronę Inger Johanne. W pokoju panował półmrok. Źródłem światła były jedynie płomienie na kominku i ostatnie blade resztki majowego wieczoru, który wciąż uparcie wciskał się przez okno. Wśród cieni twarz Hannę wydawała się jeszcze szczuplejsza, oczu nie było widać.

- Ponieważ jej to obiecałam - powiedziała. - Nie pamiętasz? Podala mi rękę. Potem zemdląca. A jak się coś obieca, to trzeba dotrzymać słowa. Zgadzasz się ze mną?

Inger Johanne uśmiechnęła się.

- Tak. Akurat pod tym względem się zgadzamy.

31

Na Wschodnim Wybrzeżu była punktualnie szósta.

Al Muffet pozwolił najmłodszej córce przygotować posiłek. Dziewczynka uważała, że przyjazd stryja należy uczcić, bo przecież po śmierci babci prawie nie mieli kontaktu z rodziną ojca. Louise się uparła, a Al z zamkniętymi oczami w duchu odmówił modlitwę do wszystkich kuchennych bogów, widząc, jak córka raz po raz otwiera szafkę z delikatesami.

No i już po gęsiej wątróbce.

A teraz ostatnia puszka rosyjskiego kawioru, który dostał od pewnej bawiącej tu na wakacjach rodziny za wyleczenie ich szczeniaka z zaparcia.

- Louise - powiedział ściszym głosem. - Nie musisz podawać absolutnie wszystkiego, co mamy. Przyhamuj trochę, bardzo cię proszę.

Dziewczynka zrobiła obrażoną minę.

- Tobie nie bardzo zależy na rodzinie, ale ja uważam, że po winniśmy uczcić tę wizytę, tato. Kogo będziemy częstować tymi smakołykami, skoro nie wolno nam ich podać, kiedy przyjechał tu mój stryj? Mój stryj, tato! Mój własny rodzony stryj!

Ale Muffet wydał policzki i powoli wypuścił powietrze.

- Pamiętaj, że to muzułmanin. Nie zaserwuj przypadkiem wie-przowiny.

- A ty tak lubisz żeberka! Wstydz się!

Uwielbiał, kiedy się śmiała. Odziedzyczyła śmiech po matce. Ostatnią rzecz, jaka po niej pozostała, gdy Al Muffet zamykał oczy i usiłował odtworzyć w pamięci obraz żony, nie widząc jednocześnie wychudzonego cienia, w jaki się zmieniła

w ostatnich miesiącach życia. Nigdy mu się to nie udało. Twarz żony zniknęła. Potrafił jedynie poczuć leciutki aromat perfum, które jej podarował, gdy się zaręczyli, i których od tamtej pory stale używała.

I ten śmiech. Melodyjny i perlisty niczym muzyka dzwonek. Louise go odziedziczyła, a on od czasu do czasu wygłupiał się albo opowiadał jakiś dowcip tylko po to, by móc zamknąć oczy i się w niego wsłuchiwać.

- Co tu się dzieje? - spytał Fayed, stając w drzwiach. - Ty jesteś szefem kuchni w tej rodzinie?

Podszedł do kuchennego blatu i zmierzwił Louise włosy. Uśmiechnęła się, sięgając po bakłazana, którego z wprawą zaczęła kroić.

Mnie nigdy nie pozwalała na takie gesty, pomyślał Al Muffet. W ten sposób nie traktuje się dwunastolatki na progu dorosłości. W każdej razie dwunastolatki, którą ledwie się poznało.

- Masz wspaniałe córki. - Fayed postawił butelkę wina na solidnym dębowym stole pośrodku kuchni. - Pomyślałem sobie, że będzie smakowało. A gdzie Sheryl i Catherine?

- Sheryl ma dwadzieścia lat - mruknął Al. - W zeszłym roku wyprowadziła się z domu.

- Aha. - Fayed zachwiał się lekko, usiłując otworzyć szufladę.

■ Jest w tym domu korkociąg?

Alowi wydało się, że już czuje zapach alkoholu. Gdy brat odwrócił się w jego stronę, Al zauważył, że Fayed ma wilgotne oczy, a wargi lekko obwisłe.

- Ty pijesz? - spytał. - Myślałem...

- Prawie nigdy - przerwał mu Fayed energicznie. - Ale w taki dzień jak dzisiejszy... - Znów się roześmiał i lekko szturchnął brata nicę. - Widzę, że posiłek będzie naprawdę uroczysty. Zgadza się, że trzeba to uczcić. Przywiozłem dla was prezenty, dziewczynki. Po kolacji możemy je rozpakować. Naprawdę bardzo się cieszę, że was wszystkich widzę.

- Na razie widziałeś się tylko z nami dwojgiem. - Al wyciągnął szufladę. - Ale Catherine niedługo wróci. Mówiłem jej, że kolacja będzie około siódmej. Miała mecz po południu, powinien już się skończyć.

Korkociąg zahaczył o ubijaczkę. Alowi udało się w końcu rozdzielić przybory, podał korkociąg bratu.

- Coś takiego! - zawołał Fayed wesoło. - Moja bratanica gra w piłkę, a ty nic mi o tym nie powiedziałaś? Przecież mogliśmy iść pokibicować. Moje dzieci nie interesują się takimi rzeczami. - Pokręcił głową skrzywiony. - Ani jedno. Nie mają instynktu rywalizacji.

Louise uśmiechnęła się zakłopotana.

Fayed otworzył butelkę i rozejrzył się za kieliszkami. Al wyjął z szafki jeden i postawił na stole.

- Ty nie pijesz? - zdziwił się Fayed.

- Muszę jutro rano wstać.

- Tylko jeden kieliszek - nalegał Fayed. - Do licha, możesz chyba wypić kieliszek wina. Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Al wziął głęboki oddech. W końcu wyjął jeszcze jeden kieliszek i postawił obok pierwszego.

- Ale tylko tyle. - Pokazał dwa centymetry od dna. - Już.

Fayed sobie nalał do pełna.

- Nasze zdrowie. Za ponowne połączenie rodziny Muffasa.

- My się nazywamy Muffet - sprostowała cicho Louise, nie patrząc na *stryja*.

- Muffet, Muffasa, *same thing*.

Wypił.

Ty jesteś pijany, pomyślał Al zdziwiony. Ty, bardziej religijny z nas dwóch. Nigdy nie widziałem, żebyś wypił chociaż piwo z chłopakami. Pojawiasz się nagle jak diabeł z pudełka, chociaż wcześniej przez trzy lata nie dawałeś znaku życia. I upijasz się czymś, co sam przywiozłeś.

- Możemy siadać do stołu - zaprosiła Louise. Wydawała się bardzo skrępowana. Jakby nagle zrozumiała, że ze stryjem coś jest nie w porządku. Kiedy nachylił się do niej, żeby pogłaskać ją po plecach, usunęła się z nieśmiałym uśmiechem.

- Zapraszam! - Wskazała na jadalnię.

- Nie zaczekamy na Catherine? - spytał Al uspokajającym tonem.

- Już jestem! - rozległ się okrzyk i głośno trzasnęły drzwi. - Wygrałyśmy! Zdobyłam *home run*!

Fayed zabrał kieliszek do salonu.

- Catherine - powiedział z czułością i zatrzymał się, żeby przyrzec się bratanicy.

Piętnastolatka znieruchomiała. Ze zdziwieniem wpatrywała się w mężczyznę niemal identycznego jak ojciec, z wyjątkiem oczu, błyszczących i jakichś nieodgadnionych. Poza tym stryj nosił wąsy, które jej się nie podobały; gęste i wilgotne na końcach, opadały i zakrywały usta.

- Cześć - odparła cicho.

- Mówiłem ci, że stryj Fayed może nas dzisiaj odwiedzić - przypomniał Al z udawaną wesołością. - No i jest. Siadajmy do stołu. Louise przygotowała kolację, więc wiesz, czego można się spodziewać.

Cathrine uśmiechnęła się lekko.

- Zostawię tylko rzeczy w pokoju i umyję ręce - powiedziała i czterema susami pokonała schody na górę.

Louise przysła z kuchni, niosąc dwa talerze w rękach, a kolejnymi dwoma balansując na szczupłych przedramionach.

- No proszę! - roześmiał się Fayed. - Prawdziwa profesjonalistka!

Usiedli. Catherine zeszła z góry równie szybko, jak tam wbiegła. Miała krótko obcięte włosy, śliczną, wyrazistą twarz i szerokie ramiona.

- A więc grasz w softball - zrobił zbyteczną uwagę Fayed i wsuwał do ust pierwszy kęs gęsiej wątróbki. - Twój ojciec swego czasu w to grał. To już lata temu, prawda, Ali?

Od śmierci babci nikt nie nazywał ojca Alim. Dziewczynki wymieniły spojrzenia. Louise, zasłaniając usta ręką, stłumiła chichot. Al Muffet mruknął pod nosem coś, co miało uciąć rozmowę o jego żalosalnej karierze sportowej.

Fayed opróżnił kieliszek. Louise już wstawiała, by iść do kuchni po butelkę, ale ojciec wstrzymał ją, kładąc jej rękę na udzie.

- Stryj Fayed ma już dość wina - powiedział łagodnie. - A tu jest świeża zimna woda.

Napełnił dużą szklankę i podsunął ją bratu siedzącemu po przeciwnej stronie stołu.

- Chętnie wypiję jeszcze trochę wina. - Fayed uśmiechnął się, nie tykając wody.

- Myślę, że nie powinieneś. - Al wbił w niego spojrzenie. Coś było nie tak. To, że Fayed pił, mogło oczywiście oznaczać, że zmienił się w ciągu tych lat, kiedy się nie widzieli. Ale to raczej nieprawdopodobne. Poza tym najwyraźniej źle znosił alkohol. Chociaż przypuszczalnie wypił coś przed przyjściem do kuchni, tym jednym kieliszkiem wina upił się jeszcze bardziej. Nie był przyzwyczajony do alkoholu. Al nie mógł pojąć, co się z bratem dzieje.

- No tak. - Fayed przerwał kłopotliwe milczenie. - Masz całkowitą rację. Więcej nie będę pił. Wino jest dobre w małych ilościach. W dużych staje się niebezpieczne.

Mówiąc „niebezpieczne”, żartobliwie pogroził palcem obydwu bratanicom, siedzącym przy krótszych bokach stołu.

- Co słyhać u rodziny? - spytał Al z pełnymi ustami.

- Co słyhać... - Fayed znów zaczął jeść. Żuł powoli, jak gdyby musiał się koncentrować, na każdym kęsie. - Prawdopodobnie dobrze im się wiedzie. Jeśli w tym kraju w ogóle komukolwiek może dobrze się wieść. Z naszym pochodzeniem...

Al natychmiast stał się czujny. Odłożył nóż i widelec, oparł się łokciami o stół i nachylił.

- My nie mamy żadnych problemów - powiedział, uśmiechając się do córek.

- Ja też nie mówię o takich jak ty - odparł Fayed, nie bełkocząc już tak jak poprzednio.

Al miał ochotę się odciąć bratu, ale w ostatniej chwili powstrzymał się ze względu na dziewczynki. Spytał, czy wszyscy skończyli już przystawkę, i zaczął zbierać brudne talerze. Louise poszła za nim do kuchni.

- Czy on jest chory? - spytała szeptem. - Bo taki jakiś dziwny. Taki... nieprzeliczalny.

- Nieobliczalny - poprawił ją ojciec cicho. - Zawsze taki był. Nie oceniaj go zbyt surowo, Louise. Nie jest mu tak łatwo jak nam.

Fayed nigdy nie pogodził się z jedenastym września, pomyślał. Piął się coraz wyżej po szczeblach kariery, miał coraz odpowiedzialniejszą i coraz lepiej płatną pracę. Po katastrofie wszystko to runęło. Z łaski pozwolono mu zachować stanowisko. Fayed to człowiek rozgoryczony. Louise jest za młoda, by narażać ją na kontakt z kimś takim.

- On w gruncie rzeczy jest miły - rzekł tylko do córki z uśmiechem. - I sama powiedziałaś, że to twój rodzony stryj.

Wrócili do salonu, niosąc rosyjski kawior z siekaną szalotką z przydomowego ogródka.

- ...i tej niesprawiedliwości nigdy nie zdołali się przeciwstawić. I nigdy nie zdołają. - Fayed pokręcił głową i przyłożył palec do skroni.

- O czym rozmawiacie? - spytał Al.

- O czarnych - odparł Fayed.

- O Afroamerykanach? Masz na myśli Afroanierykanów?

- Możesz ich sobie nazywać, jak chcesz. Pozwalają się wykorzystywać, tak już zostali stworzeni. Nigdy nie zdołają się podnieść.

- Takie rozmowy są w tym domu zabronione - oświadczył Al spokojnie, stawiając talerz przed gościem. - Proponuję zmianę tematu.

- To uwarunkowane genetycznie - ciągnął Fayed niezrażony. - Niewolnicy musieli być pracowici i silni, nie potrzebowali dużo myśleć. Jeśli znalazł się wśród nich ktoś bystry, biali dawali mu wolność. To sprawa genów: czarni nie nadają się do niczego innego poza sportem. I przestępczością. Z nami to co innego. My nie musimy się na wszystko godzić.

Trzask.

Al Muffet z hukiem postawił swój talerz na stole.

- Zamknij się! - syknął. - Nikt, nawet mój rodzony brat, nie ma mojego zezwolenia na wygadywanie takich bredni. Nie tutaj. Nigdzie. Rozumiesz? Rozumiesz?

Dziewczynki siedziały bez ruchu, tylko ich oczy przesuwwały się od ojca do stryja. Nawet Freddy, mały terier uwiązany na podwórzu, który zawsze czekał podczas posiłku, do jakiego nie był dopuszczany, ucichł.

- Może coś zjemy? - odezwała się wreszcie Louise głosem cieńszym niż zwykle. - Tatusiu, oddam ci swoją porcję. Właściwie nie bardzo lubię kawior. A poza tym uważam, że Condoleezza Rice czy Colin Powell są bardzo inteligentni. Chociaż się z nimi nie zgadzam. Jestem demokratką.

Dwunastolatka uśmiechnęła się ostrożnie, obaj mężczyźni milczeli.

- Proszę. - Podała talerz ojcu.

- Masz rację - powiedział wreszcie Fayed. Wzruszył ramionami, jakby w ten sposób chciał przeprosić. - Zmieńmy temat.

To się okazało trudne. Długo siedzieli, jedząc w milczeniu. Gdyby ojciec zerknął na Louise, zauważyłby lzy wiszące na rzęsach dziewczynki i lekkie drżenie jej dolnej wargi. Catherine natomiast wyglądała tak, jakby uważała całą tę sytuację za niezmiernie intere-

sującą. Nieustannie wpatrywała się w stryja, jak gdyby nie bardzo mogła pojąć, skąd się tu wziął.

- Jesteście do siebie strasznie podobni - odezwała się nagle. - Oczywiście, z wyjątkiem wąsów.

Mężczyźni wreszcie podnieśli głowy znad talerzy.

- Słyszeliśmy o tym od dzieciństwa. — Al sięgnął po kawałek chleba, żeby wytrzeć talerz. - I to mimo różnicy wieku.

- Nawet nasza matka potrafiła się pomylić - powiedział Fayed.

Al popatrzył na brata z niedowierzaniem.

- Matka? Ona nigdy nas nie pomyliła. Przecież jesteś ode mnie o cztery lata starszy, Fayed.

- Kiedy umierała... - W głosie Fayed'a pojawił się ton, jakiego Al nigdy nie słyszał i nie wiedział, co się za nim kryje. - Naprawdę wzięła mnie za ciebie. Przypuszczalnie dlatego, że zawsze kochała cię bardziej i chciała, żeby to jej ukochany syn czuwał przy niej i rozmawiał z nią w ostatnim momencie jej życia. Ale ty... ty nie zdażyłeś. - Uśmiechnął się dwuznacznie.

Al Muffet odłożył sztućce. Pokój zaczął wolno wirować. Czuł, jak krew odpływa mu z głowy, a do każdego mięśnia, do każdego nerwu w ciele gwałtownie dociera adrenalina. Dłonie jakby przykleiły się do stołu. Musiał się trzymać, żeby nie spaść z krzesła.

- Ach tak? - powiedział bezbarwnym głosem, starając się nie przestraszyć dziewczynek, które wpatrywały się w niego, jakby nagle wyrósł mu nos klauna. - Sądziła...

- Taki jesteś dziwny, tatusiu. Co się z tobą dzieje?

Louise wychyliła się przez stół i dotknęła dużej dłoni ojca.

-Ja... Wszystko w porządku. W porządku.

Zmusił się do grymasu, który w zamierzeniu miał być uspokajającym uśmiechem, ale zrozumiał, że powinien się jakoś wyflumaczyć.

- Rozboleł mnie nagle brzuch - wykręcił się. - Może kawior mi zaszkodził. To zaraz przejdzie.

Fayed nie spuszczał z Ala wzroku. Jego oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle, spoglądały jak gdyby z wielkiej głębi, co nadawało twarzy ponury, niemal przerażający wyraz. Al pamiętał to spojrzenie brata. Dokładnie tak samo patrzył, kiedy byli mali, a Fayed coś spsocił i kłamał, aż się kurzyło, podczas powtarzających się, a z latami coraz bardziej gwałtownych reprimend ojca. Al rozumiał, co to może oznaczać.

Nagle też uświadomił sobie, co może oznaczać to, że matka na łożu śmierci pomyliła synów.

Za nic na świecie jednak nie był w stanie zrozumieć, dlaczego brat postanowił do niego przyjechać akurat teraz, po trzech latach, kompletnie bez powodu. Dlaczego zachowywał się jak obcy i zakłócał spokojne, dostatnie życie, które Al Muffet stworzył sobie wraz z córkami w tym północno-wschodnim zakątku Stanów Zjednoczonych.

- Chyba powinienem iść się na chwilę położyć. Tylko na parę minut.

Coś się dzieje, pomyślał, idąc schodami na piętro. Coś bardzo, bardzo złego. Muszę wziąć się w garść.

Ali Shaeed Muffasa, musisz myśleć.

32

Abdallaha al-Rahmana obudził jego własny śmiech.

Zwykle spał głęboko przez siedem godzin, od jedenastej wieczorem do szóstej rano. Z rzadka potrafił zbudzić go niepokój, stresujące poczucie, że nie trenował tyle, ile powinien. Czasami życie płynęło zbyt szybko, nawet dla człowieka, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat nauczył się przekazywać tyle odpowiedzialności innym, ile to w ogóle możliwe. Łącznie był właścicielem ponad trzystu spółek na całym świecie, różnej wielkości i w różnym stopniu wymagających jego osobistego nadzoru. Większość prowadzili

ludzie niedomyślający się nawet jego istnienia. Już dawno temu uznał, że najlepszym posunięciem będzie ukrycie przeważającej części tych firm przy pomocy armii adwokatów, w większości amerykańskich lub brytyjskich, zamieszkałych na Kajmanach i posiadających imponujące kancelarie, luksusowe rezydencje i anorektyczne żony, którym nie miał ochoty nawet podawać ręki.

Oczywiście, od czasu do czasu musiał pracować, i to dużo. Zbliżał się do pięćdziesiątki i był uzależniony od dwóch godzin ostrego codziennego treningu, by zachować formę, którą jego zdaniem powinien mieć mężczyzna taki jak on. Trening zapewniał mu błogosławieństwo głębokiego, gwarantującego wypoczynek snu. Bez niego noce bywały niespokojne. Na szczęście należały do rzadkości.

Nigdy wcześniej nie obudził go własny śmiech.

Zdumiony usiadł na łóżku.

Spał sam.

Jego o trzynaście lat młodsza żona, matka wszystkich jego synów, miała w pałacu własny apartament. Często ją odwiedzał, na ogół wcześnie rano, gdy nocny chłód wciąż tkwił w ścianach, przez co jej łóżko stawało się jeszcze atrakcyjniejsze.

Ale sypiał zawsze sam.

Cyfrowy zegarek pokazywał punktualnie 03:00.

Abdallah usiadł i potarł twarz.

W Norwegii jest teraz północ, pomyślał. Akurat nadchodzi: czwartek dziewiętnastego maja.

Dzień przed tym najważniejszym.

Siedział nieruchomo, usiłując przypomnieć sobie sen, który go zbudził. Nie udało się. Nic nie pamiętał. Ale był w znakomitym humorze.

Po pierwsze, wszystko poszło tak jak powinno. Nie tylko uprowadzenie zrealizowano według planu. Zagrały również wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Kosztowało to niemałe pieniądze, co jednak ani trochę go nie martwiło. Większym kosztem było

zlikwidowanie aż tylu ogniwi systemu. Ale to też nie odgrywało istotnej roli.

Tak po prostu musiało być. Starannie wybrane obiekty z założenia mogły być wykorzystane tylko jeden raz. Niektóre, rzecz jasna, były cenniejsze niż inne. Większość, jak ludzie, których wynajął w Norwegii, to drobni kryminaliści. Kupieni i opłaceni za wykonanie roboty tuż za rogiem. Nie warto poświęcać im nawet jednej myśli. Przygotowanie i odpowiednia obróbka innych trwały wiele lat.

Niektórymi, tak jak Tomem O'Reilly, zajmował się osobiście.

Ale wszyscy byli *dispensable*.

Przypomniał sobie dowcip, który kiedyś opowiedział mu hałaśliwy Szwajcar o czerwonej twarzy podczas biznesowego spotkania w Houston. Siedzieli na najwyższym piętrze wieżowca, gdy nagle na zewnątrz olbrzymich panoramicznych okien opuszczono w koszu czyściciela szyb. Korpulentny mężczyzna z Genewy powiedział wówczas, że lepsi by byli jednorazowi Meksykanie. Pozostali uczestnicy spotkania popatrzyli na niego zdziwieni. Wybuchnął śmiechem i opisał wijącą się na dachu kolejkę Meksykanów ze szmatami w rękach, których można by po kolei zrzucić z góry. Każdy z nich wyczyściłby swój kawałek szyby i w ten sposób rozwiązałby się problem i z Meksykanami, i z brudnymi oknami.

Nikt się nie śmiał. To dopiero by było, gdyby obecni tam Amerykanie wybuchnęli śmiechem. Dowcip ani trochę ich nie rozbawił, a Szwajcara przez pół godziny zżerał wstyd za niepoprawny politycznie żart.

Jeśli chce się traktować ludzi jak przedmioty jednorazowego użytku, to pożytek z nich powinien być większy niż czyste okna, pomyślał Abdallah.

Wstał z łóżka. Dywan, ten wspaniały kobierzec, utkany dla niego przez matkę, jedyna rzecz, która nigdy, w żadnych okolicznościach nie mogła zostać sprzedana, swoją miękkością pieścił stopy.

Abdallah stał przez kilka sekund, zanurzając palce w mięsisty chłodny jedwab. Gra kolorów zachwycała, nawet w ciemnym pokoju. Poświata z zegarka i wąska szpara światła w oknie wystarczyły, by odcienie się zmieniały, gdy wolno szedł w stronę wielkiego plazmowego ekranu, przy którym na zdobionym złotym stoliku leżał pilot.

Abdallah włączył telewizor i wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej, wrócił do łóżka i ułożył się wysoko, podparty poduszkami.

Czuł się podniecony, wręcz szczęśliwy.

Bogini szczęścia zawsze stoi po stronie zwycięzców, pomyślał, otwierając butelkę. Na to, że Warren Scifford zostanie wysłany do Norwegii, nie mógł na przykład wcześniej liczyć. Początkowo nawet uważał to za bardzo niekorzystny zbieg okoliczności, teraz jednak wszystko wskazywało na to, że lepiej stać się nie mogło. Okazało się, że o wiele łatwiej włamać się do norweskiego pokoju hotelowego niż do mieszkania jednego z szefów FBI w Waszyngtonie. Oczywiście zwrot zegarka zabranego przez sowicie opłaconą rudowłosą dziewczynę do towarzystwa wcale nie był koniecznością.

Ale to zabawny szczegół.

Tak jak to studio dźwiękowe w najlepszej dzielnicy Oslo. Znalezienie go zajęło dużo czasu, ale pomieszczenie nadawało się idealnie. Odizolowane w podwójnym rozumieniu tego słowa i opuszczone, na dodatek w dzielnicy, w której ludzie prawie nie zauważali, co robi sąsiad, dopóki niczym się nie odróżniał od nich samych. Najlepiej stałoby się, rzecz jasna, gdyby Jeffrey Hunter zabił panią prezydent, zanim ją zamknął w piwnicy. Ale Abdallah nawet nie wysnuł tej myśli do końca. Już samo nakłonienie agenta Secret Service do udzielenia pomocy w porwaniu obiektu, dla którego ochrony poświęciłby życie, wymagało niezwykle surowych środków perswazji, namówienie go zaś na zabicie własnej prezydent byłoby kompletnie niemożliwe.

To, co możliwe, zawsze jest najlepsze, pomyślał Abdallah. A wybór studia dźwiękowego wydawał się całkiem słuszny. *Wyjazd* gdzieś daleko na wieś byłby znacznie bardziej ryzykowny. Im więcej czasu upłynęłoby przed uwięzieniem prezydent, tym bardziej zagrożony stałby się cały projekt.

Wszystko poszło zgodnie z planem.

CNN przez całą dobę na okrągło nadawało program o porwaniu i wszystkich jego konsekwencjach, przerywany jedynie co godzinę krótką prezentacją innych wiadomości, które tak naprawdę nikogo nie interesowały. Akurat w tej chwili toczyła się dyskusja na temat giełdy nowojorskiej, której notowania w ciągu ostatnich dwóch dni opadały niczym ołowiany ciężarek. Większość analityków uważała wprawdzie, że tak gwałtowny spadek to super-nerwowa reakcja na nagły kryzys i że nie będzie on długotrwały, lecz mimo to wszyscy bardzo się niepokoiłi. Zwłaszcza że ceny ropy równie gwałtownie szły w górę. W środowisku polityków krążyły plotki o natychmiastowym ochłodzeniu już i tak napiętych stosunków USA z krajami, które były najważniejszymi producentami ropy na Bliskim Wschodzie. Nie trzeba wielkiej orientacji politycznej, by rozumieć, że rząd amerykański na tych właśnie krajach arabskich skupia uwagę, prowadząc śledztwo w sprawie porwania. Uporczywe pogłoski o szczególnym skoncentrowaniu się na Arabii Saudyjskiej i Iranie doprowadziły do gorączkowej aktywności dyplomatów tych państw. Trzy dni wcześniej, przed zniknięciem Helen Bentley, cena za baryłkę ropy wynosiła czterdzieści siedem dolarów. Na ekranie jakiś starszy mężczyzna z orlim nosem i tytułem profesorskim wbił wzrok w prowadzącego i oświadczył:

- 75 dollars within afew days. Thafs my prediction. A hun-dred in a couple ofweeks ifthis doesn't cool down.

Abdallah napił się jeszcze wody. Trochę rozlał i odrobina lodowatego płynu pociekła mu po nagiej piersi. Wzdrygnął się i uśmiechnął jeszcze szerzej.

Znacznie młodszy mężczyzna w studiu nerwowo usiłował podkreślać, że Norwegowie to również naród produkujący ropę. Ten marny kraj na obrzeżach Europy zarobi miliardy na zniknięciu pani prezydent.

Humoru Abdallaha nie pogorszyła kłopotliwa atmosfera, jaka zapanowała w studiu. Starszy doradca z amerykańskiego Banku Centralnego wygłosił pod adresem młodego człowieka trzydziestosekundowe pouczenie. Rzeczywiście Norwegia zarobi na zwiększonych cenach ropy. Norweska gospodarka jest jednak do tego stopnia uzależniona od gospodarki światowej, że kryzys na giełdzie w Nowym Jorku, który oczywiście wywarł już wpływ na giełdy w innych miejscach świata, oznacza katastrofę również dla niej.

Młody człowiek uśmiechnął się bez przekonania i zerknął w swoje notatki.

Oto prawdziwe amerykańskie wartości, pomyślał Abdallah. Konsumpcja. Teraz zbliżamy się do sedna.

Po szesnastu latach w Europie Zachodniej, sześciu w Wielkiej Brytanii i dziesięciu w USA wciąż się dziwił, gdy słyszał, jak wykształceni ludzie wypowiadają się na temat wartości amerykańskich w przekonaniu, że chodzi o rodzinę, pokój i demokrację. Podczas trwającej w ubiegłym roku kampanii wyborczej był to temat wiodący. Sprawy owych wartości stanowiła jedyny atut Busha, umożliwiający mu reelekcję. Ludzie już zaczęli odczuwać zmęczenie wojną i w gruncie rzeczy byli otwarci na prezydenta, który wyciągnie Amerykanów z Iraku, byle tylko nastąpiło to z zachowaniem godności narodowej. George Bush próbował nawet z krwawej, nieudanej i niemającej końca wojny uczynić kwestię wartości. Coraz liczniejsi młodzi amerykańscy chłopcy, odsyłani do domów w trumnach owiniętych flagą, stali się ofiarami koniecznymi dla obrony idei Ameryki. Przeciągająca się walka o pokój, wolność i demokrację w kraju, który większość Amerykanów ani trochę nie obchodził, odległym o ponad dziesięć tysięcy kilometrów od najbliższego punktu na ich wybrzeżu, w retoryce Busha stała się bitwą o zachowanie najistotniejszych wartości amerykańskich.

Ludzie długo mu wierzyli. Za długo. Zaczęli się o tym przekonywać, gdy do walki wyborczej przystąpiła Helen Lardahl Bentley, proponując im lepsze rozwiązanie. A że później wyjście z tego piekła, jakim Irak stał się dla Amerykanów, okazało się trudniejsze, niż kandydatka na prezydenta z przekonaniem twierdziła, to zupełnie inna sprawa. Wojska amerykańskie wciąż przecież pozostawały w Iraku, ale Bentley już została wybrana.

Abdallah przeciągnął się w łóżku. Sięgnął po pilota i odrobinę ściszył odbiornik. Ekranem zawładnął sztab CNN w Oslo, który najwyraźniej rozbił obóz w jakimś ogrodzie przy długim budynku.

Zamknął oczy i myślami cofnął się w przeszłość.

Pamiętał tamtą rozmowę, jakby odbyła się w zeszłym tygodniu.

Było to w czasach Stanfordu, na przyjęciu, gdzie jak zwykle krążył na obrzeżach, z butelką wody mineralnej w ręce, i spod półprzymkniętych powiek obserwował śmiejących się, tańczących i pijących Amerykanów. Czterech chłopaków przy stole zastawionym pustymi i niedopitymi butelkami po piwie przywołało go do siebie. Podeszedł z wahaniem.

- Abdallah! - zachichotał jeden. - Ty jesteś taki cholernie mądry, nie stąd. Siadaj, człowieku, napij się piwa.

- Nie, dziękuję - odmówił Abdallah.

- No to przynajmniej posłuchaj. Danny, który, moim zdaniem jest cholernym komunistą...

Pozostali wybuchnęli śmiechem. Nawet Danny odgarnął za ucho długie, zaniedbane włosy i uśmiechnął się, podnosząc butelkę piwa w leniwym toaście.

- Otóż on twierdzi, że cała ta gadanina o amerykańskich wartościach to *bullshit*. Mówi, że gównu nas obchodzi pokój, rodzina, demokracja, prawo do samoobrony...

W tym miejscu pamięć go zawiodła, nie pozwalając wymienić dalszych głównych wartości, więc urwał na chwilę, wymachując pustą butelką.

- *Whaterer*. Nasz Danny twierdzi, że... - Chłopak czknał. Abdallah pamiętał, że chciał stamtąd wyjść. Nie należał do ich świata, zresztą nigdy nie czuł, by do czegokolwiek w Ameryce należał.

- On mówi, że Amerykanie w gruncie rzeczy mają tylko trzy potrzeby - bełkotał chłopak, ciągnąc Abdallaha za rękaw. - Po pierwsze, jeździć samochodem wszędzie tam, gdzie się chce, kiedy się chce, no i w dodatku tanio.

Pozostali roześmiali się tak głośno, że do stolika zaczęły podchodzić kolejne osoby, by dowiedzieć się, dlaczego tamtym tak wesoło.

- Druga sprawa to możliwość robienia zakupów, gdzie się chce, kiedy się chce, no i oczywiście tanio.

Teraz już dwóch chłopaków trzymało się za brzuchy w konwulsjach śmiechu. Ktoś odrobinę ściszył muzykę, a grupka osób skupionych wokół Abdallaha usiłowała pojąć, co tak rozbawiło tych studentów drugiego roku, że pokładają się ze śmiechu.

- No i trzecia! - zawołał chłopak, dając znak dwóm pozostałym.

- Oglądać telewizję, kiedy się chce, co się chce, no i żeby było tanio - zawyli chórem.

Teraz śmiali się już prawie wszyscy. Ktoś znów podkreślił muzykę. Danny wstał. Skłonił się elegancko z jedną ręką płasko na brzuchu, a z drugą zaciśniętą na butelce piwa.

- I co ty na to, Abdallah? Naprawdę tacy jesteśmy?

Ale Abdallaha już tam nie było. Wycofał się niepostrzeżenie, przepchnął się po cichu między rozchichotanymi podchmielonymi dziewczętami, które obserwowały go z zainteresowaniem, co skłoniło Abdallaha do znacznie wcześniejszego powrotu do domu, niż planował.

Zdarzyło się to w 1979 roku i nigdy tego nie zapomniał.

Danny miał całkowitą rację.

Abdallah poczuł się głodny. Nigdy nie jadał nocą, uważał, że to źle wpływa na trawienie. Teraz jednak poczuł, że musi czymś napełnić żołądek, jeśli chce mieć jakąkolwiek szansę na dalszy sen. Sięgnął po telefon wbudowany w łóżko. Po dwóch dzwonekach

usłyszał senny głos na drugim końcu. Cicho wydał polecenie i odłożył słuchawkę.

Znów odchylił się na łóżku z rękami splecionymi na karku.

Danny, długowłosa, niechlujny i bystry student Uniwersytetu Stanforda, postrzegał rzeczywistość tak jasno, że nieświadom tego, co robi, dał Abdallahowi cenną wskazówkę, która przydała mu się ponad ćwierć wieku później.

Abdallah al-Rahman znał historię wojen. Ponieważ bardzo wcześnie musiał przejąć rozległe imperium finansowe ojca, kariera wojskowa była w jego wypadku wykluczona. Ale stale śnił o żołnierskim życiu, szczególnie gdy był młodszy. Przez pewien czas zaczytywał się w książkach o wielkich wodzach. Fascynowała go zwłaszcza chińska sztuka wojenna, a za największego z największych uważał Sun Tzu. Pięknie oprawiony egzemplarz napisanej niemal dwa i pół tysiąca lat temu *Sztuki wojny* zawsze leżał przy łóżku Abdallaha.

Sięgnął po niego teraz i zaczął przeglądać. Sam kazał na nowo przetłumaczyć tę książkę na arabski, a tom, który trzymał w dłoniach, był jednym z trzech egzemplarzy, jakie powstały. Wszystkie trzy stanowiły jego własność.

Na ogół lepiej tak prowadzić wojnę, aby zdobyte państwo zachować bez uszczerbku - zaczął czytać. - Zniszczenie go jest gorszym rozwiązaniem. Dlatego sto zwycięstw w stu bitwach nie jest szczytem umiejętności. Szczytem umiejętności jest pokonanie przeciwnika bez walki.

Pogładził dłonią gruby, czerpany papier. Potem zamknął książkę i odłożył ją na miejsce.

Osama, dawny kolega z dzieciństwa, pragnął jedynie zniszczenia. Bin Laden uważał, że jedenastego września wygrał, ale Abdallah wiedział lepiej. Katastrofa na Manhattanie była ogromną klęską. Nie zniszczyła Stanów Zjednoczonych. Po prostu ten kraj zmieniła.

Na gorsze.

Dla Abdallaha było to gorzkie doświadczenie. Ponad dwa miliardy dolarów z jego majątku w amerykańskich bankach natychmiast zamrożono. Uwolnienie większości kapitału trwało kilka lat i kosztowało ogromne kwoty, ale skutki, owe kręgi na wodzie całkowitego i długotrwałego zastoju w dynamicznie przedtem działających spółkach, były katastrofalne.

Mimo to Abdallah przetrwał. Jego imperium biznesowe było różnorodne. Miało wiele filarów, na których mógł się oprzeć. Straty poniesione w Stanach Zjednoczonych udało się do pewnego stopnia zrekompensować dzięki wzrostowi cen ropy naftowej i zręcznym inwestycjom w innych rejonach świata.

Abdallah był człowiekiem cierpliwym, a interesy stawiał ponad Wszystko - oprócz synów. Czas płynął. Amerykańska gospodarka nie mogła na zawsze odciąć się od krajów arabskich. Nie była w stanie tego wytrzymać. Choć lata, które upłynęły od 2001 roku, Abdallah poświęcił na wycofanie się z rynku amerykańskiego, przed niespełna rokiem uznał, że nadszedł czas, by spróbować ponownie. Tym razem stawka była większa, posunięcie śmielsze i ważniejsze niż kiedykolwiek.

To Helen Bentley stanowiła jego szansę. Wprawdzie nigdy do końca nie ufał osobie z Zachodu, lecz w jej oczach dostrzegł siłę, jakiś błysk uczciwości, na który zdecydował się postawić. W listopadzie 2004 roku Helen Bentley najwyraźniej zmierzała ku zwycięstwu i w pełni zasługiwała na opinię osoby rozsądnej. To, że była kobietą, nigdy Abdallahowi nie przeszkadzało. Przeciwnie, gdy wychodziła ze spotkania, mimo pewnej dozy niechęci czuł zarazem podziw dla tej silnej, niezwykle interesującej damy.

Zawiodła go tydzień przed wyborami; wiedziała, że jej posunięcie jest konieczne, by wygrać.

Sztuka wojny to niszczenie wroga bez walki.

Walka ze Stanami Zjednoczonymi w sposób tradycyjny byłaby próżnym działaniem. Abdallah rozumiał, że Amerykanie mają tylko jednego prawdziwego wroga: siebie samych.

Odbierz przeciętnemu Amerykaninowi samochód, zakupy i telewizor, a odbierzesz mu radość życia, pomyślał i wyłączył plazmowy ekran. Na moment znów stanął mu przed oczami Danny ze Stanfordu, ze swoim krzywym uśmiechem i butelką piwa w ręce: Amerykanin świadom samego siebie.

Jeśli odbierzesz Amerykaninowi ochotę do życia, wpadnie we wściekłość. Wściekłość popłynie z dołu, od pojedynczych ludzi, od wyrobników, od tych, co harują pięćdziesiąt godzin tygodniowo, a mimo to nie stać ich na marzenia inne niż te, które sączą się z ekranu telewizora.

Tak rozmyślał Abdallah, leżąc z zamkniętymi oczami.

Wówczas nie zewrą szeregów, nie skierują swojej wściekłości na innych, „tych, którzy nie są tacy jak my i którzy chcą naszej krzywdy”. Nie.

Wtedy zwrócą się przeciwko tym, co na górze. Zbuntują się przeciwko swoim rodakom. Skierują agresję na tych, którzy są temu wszystkiemu winni i za wszystko odpowiedzialni. Za wszystko. Za system, za to, że urzędnicy mają działać, samochody jeździć, a marzenia istnieć nawet w smętnym, monotonnym życiu.

Na górze zaś panuje chaos. Nie ma najwyższego dowódcy, a żołnierze kręcą się w kółko bez celu, w próżni, jaka powstaje, kiedy wódz nie jest ani żywy, ani martwy.

Kiedy po prostu zniknął.

Otępiający cios w głowę. Następnie śmiertelne uderzenie w samo serce. Precyzyjne i skuteczne.

Abdallah otworzył oczy. Służący wszedł po cichu z tacą. Postawił przy łóżku owoce, ser, okrągły płaski chleb i dużą karafkę soku. Lekko skinął głową przy drzwiach i wyszedł. Nie odezwał się ani słowem, Abdallah mu nie podziękował.

Pozostało jeszcze półtorej doby.

Czwartek, 19 maja 2005

1

Helen Lardahl Bentley otworzyła oczy i w pierwszej chwili nie mogła pojąć, gdzie jest.

Leżała niewygodnie. Prawa ręka, wciśnięta pod policzek, całym jej zdrętwiała. Ostrożnie usiadła, ciało miała zeszywniałe i musiała czekać, aż krew w ręce na powrót zacznie krążyć. Kiedy zawirowało jej przed oczami, zamknęła je i wtedy przypomniała sobie, co się wydarzyło.

Słabość ustąpiła. Głowa wciąż wydawała się dziwnie lekka, ale gdy poruszyła rękami i nogami, zrozumiała, że nie jest ciężko ranna. Nawet skaleczenie na skroni już tak nie dokuczało. Dotknęła palcami guza i zorientowała się, że jest mniejszy, niż kiedy zasypiała.

Zasypiała?

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, było podanie ręki tej niepełnosprawnej kobiecie. Tamta jej obiecała...

Zasnęłam na stojąco? Zemdlałam?

Dopiero teraz poczuła, że jest wciąż brudna. Odór nagle stał się nieznosny. Powoli, opierając się lewą ręką o kanapę, wstała. Musi się umyć.

- Dzień dobry, Madam President - odezwał się od drzwi cichy kobiecy głos.

- Dzień dobry - odpowiedziała Helen Bentley zaskoczona.
- Byłam tylko w kuchni, żeby zaparzyć kawę.
- Czy... czy pani siedziała tu przez całą noc?
- Tak. - Kobieta na wózku uśmiechnęła się. - Obawiałam się, że może pani mieć wstrząśnienie mózgu, więc parę razy panią budziłam. Była pani z tego bardzo niezadowolona. Kawy?

Wyciągnęła w stronę Helen parującą filiżankę. Madam President powstrzymała ją gestem wolnej ręki.

- Muszę wziąć prysznic. I jeśli... - Przez moment wyglądała na zdezorientowaną, potarła oczy - .. Jeśli dobrze pamiętam, proponowała mi pani czyste ubranie.

- Oczywiście. Da pani radę iść sama, czy mam zbudzić Mar-ry?

- Marry - mruknęła pani prezydent. - Pomoc domową?

- Tak. A ja się nazywam Hannę Wilhelmsen, na pewno pani zapomniała. Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Hannę.

- Hannah - powtórzyła Helen Bentley.

- W porządku.

Helen Bentley zrobiła na próbę kilka kroków, kolana jej drżały, ale trzymała się na nogach. Pytająco spojrzała na gospodynię.

- Dokąd mam iść?

- Za mną - odparła Hannę życzliwie.

- Czy... - Prezydent urwała. Szarówka za oknem wskazywała, że wciąż jeszcze musi być bardzo wcześnie, a jednak ona była tu już długo. Zapewne kilka godzin. Kobieta na wózku najwyraźniej dotrzymała obietnicy, nie podniosła alarmu. Helen Bentley wciąż mogła zrobić to, co powinna, zanim się ujawni. Wciąż miała możliwość rozwiązania tej sprawy, ale żeby to się udało, nikt nie może wiedzieć, że ona żyje.

- Która godzina? - spytała, gdy Hannę Wilhelmsen otworzyła drzwi do łazienki. -Jak długo... - Musiała oprzeć się o futrynę.

- Piętnaście po czwartej. Spała pani trochę ponad sześć godzin. Na pewno za krótko.

-I tak dużo dłużej niż zazwyczaj. - Helen zmusiła się do uśmiechu.

Łazienka była imponująca. Królowała w niej podwójna wanna, wpuszczona w podłogę, przypominająca nieduży basen. Obok, w obszernej niszy, pani prezydent dostrzegła radio, a także ekran niedużego telewizora. Podłogę pokrywały kafelki układające się w orientálną mozaikę, nad dwiema zaś marmurowymi umywalkami wisiało olbrzymie lustro w ciężkich złożonych ramach. Kobieta mówiła chyba, że jest emerytowaną policjantką, ale w tym mieszkaniu niewiele świadczyło o policyjnej pensji. Chyba że ten kraj jako jedyny na świecie płacił swojej policji tyle, ile była warta.

- Proszę korzystać ze wszystkiego - zachęciła Hannę Wilhelmsen.
- W tamtej szafce są ręczniki. Ubranie położeń za drzwiami, może je pani wziąć, kiedy już się pani wykąpie. I proszę się nie śpieszyć.

Wyjechała z łazienki i zamknęła drzwi.

Madam President rozbierała się powoli. Mięśnie wciąż miała zbite i obolałe. Przez chwilę się zastanawiała, co zrobić z brudnym ubraniem, ale zauważyła, że Hannę położyła przy umywalce worek na śmieci.

Dziwna kobieta, pomyślała. Ale były chyba dwie. Trzy, licząc z gosposią.

Rozebrała się do naga, wepchnęła ubranie do worka i starannie go zawiązała. Miała wielką ochotę na kąpiel w wannie, ale prysznic wydawał się rozsądniej szym rozwiązaniem, zważywszy na to, jak bardzo była brudna.

Gorąca woda chlusnęła z prysznicza wielkości talerza obiadowego. Helen Bentley aż jęknęła, częściowo z przyjemności, a częściowo z bólu, który przeszył ciało, gdy odchyliła głowę, by woda poląła jej się na twarz.

Wczoraj wieczorem była tu na pewno jeszcze jedna kobieta. Chciała wezwać policję. Rozmawiały z Hanną po norwesku, a jej udało się wychwycić jedynie słowo przypominające *police*. Kobieta na wózku musiała tamtą przekonać.

Woda pomagała.

To było prawdziwe czyszczenie. Otworzyła prysznic na całą moc. Ciśnienie znacznie wzrosło. Strumienie wody zmieniły się w masujące strzały. Znow jęknęła. Wypluła usta, a potem zaczęła się nacierać rękawicą z konopi, przyjemną w dotyku. Skóra zaczerwieniła się pod wpływem zbyt gorącej wody, zaogniła w miejscach zetknięcia z ostrymi konopiami. Piekło jeszcze intensywniej w miejscach obrażeń.

Tak samo było w późny jesienny wieczór 1984 roku, w tamten wieczór, z którego nigdy nikomu się nie zwierzyła i o którym nikt nigdy nie mógł się dowiedzieć.

Po powrocie do domu spędziła wówczas pod prysznicem prawie czterdzieści minut. Była północ, dobrze to pamiętała. Szorowała się gąbką do krwi, jak gdyby dało się zedrzeć ze skóry wspomnienia i sprawić, by zniknęły na dobre. Gorąca woda się skończyła, ale ona dalej stała pod lodowatą, aż do chwili, gdy przyszedł zdziwiony Christopher, żeby spytać, czy nie chce przygotować Billie do snu.

Na dworze padał deszcz. Lał się z nieba z ogłuszającym hałasem wody siekającej o asfalt, o samochód, o dachy domów i drzewa, i o urządzenia dla dzieci na placyku po drugiej stronie drogi, tam gdzie szarpana wiatrem huśtawka kołysała się w przód i w tył i gdzie czekała ta kobieta.

Chciała odebrać Billie.

Córkę Helen urodziła inna kobieta. Wszystkie dokumenty były w porządku.

Helen pamiętała swój własny krzyk: „Papiery są w porządku!”, i wyciągnięty z torebki portfel, którym machała przed bladą, zaciętą twarzą tamtej, wołając: „Ile pani chce? Ile chce pani za zostawienie mnie w spokoju?”.

Biologiczna matka Billie twierdziła, że nie chodzi o pieniądze. Wiedziała, że dokumenty są w porządku, ale nie napisano w nich nic o ojcu Billie. O ojcu, który właśnie wrócił.

Powiedziała to z uśmiechem, z triumfalną miną, jakby wygrała jakiś konkurs i koniecznie chciała się tym pochwalić.

„Ojciec. Ojciec! Przecież pani nie podała nazwiska ojca. Mówiła pani, że nie jest pewna, że ojciec tak czy owak jest już za górami, za lasami, że to nieodpowiedzialny łajdak, przed którym należy chronić Billie. Twierdziła pani, że chce dla Billie jak najlepiej, a to znaczyło, że mała będzie z nami. Z Christopherem i ze mną. I wszystkie dokumenty są w porządku. Przecież pani je podpisała! Podpisała pani, a Billie ma teraz własny pokój z różową tapetą i białą kołyską, z karuzelką, do której się uśmiecha i próbuje do niej sięgać”.

Kobieta powiedziała, że ojciec dziecka chce się zająć nimi obydwoma, nią i córką. Musiała przekrzykiwać hałas deszczu. Obiecał, że zatroszczy się o Billie i o jej prawdziwą mamę. Ojcowie też mają swoje prawa. Niemądrze postąpiła, nie podając jego nazwiska zaraz po porodzie, bo wtedy dałoby się uniknąć tych nieprzyjemności. Przykro jej, ale co zrobić. On właśnie wyszedł z więzienia i wrócił do niej, wszystko się odmieniło. Prawnik, a przecież Helen Bentley była prawniczką, powinien to zrozumieć.

Niestety, musi odebrać Billie.

Madam President dotknęła dłońmi ścianki kabiny.

Nie miała siły tego rozpamiętywać. Przez ponad dwadzieścia lat usiłowała wyprzeć wspomnienie paniki, jaka ogarnęła ją, gdy odwróciła się od tamtej kobiety i pobięła do samochodu stojącego po drugiej stronie drogi po brylantowy naszyjnik, który tego samego wieczoru dostała od ojca. Świątowali pojawienie się Billie. Ojciec miał czerwoną, spoconą twarz i śmiał się z zachwytem, pochylony nad małą wnuczką, a wszyscy dookoła nieustannie powtarzali, jaka jest śliczna, jaka cudowna jest Billie Lardahl Bentley.

Naszyjnik wciąż leżał w schowku na rękawiczki i Helen Bentley i pomyślała, że może zdoła kupić swoje dziecko jeszcze raz. Zapłacić brylantami i kartą kredytową.

Niech ta kobieta weźmie kartę kredytową. Nie jedną, trzy. Niech weźmie wszystkie.

Mocując się z kluczykiem, usiłowała zapanować nad płaczem i paniką, które ją dusiły, gdy nagle usłyszała silny huk. Przerażający dźwięk kazał jej się odwrócić akurat w porę, by zobaczyć postać w czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym szybującą w powietrzu. Rozległ się kolejny głuchy odgłos, gdy ciało kobiety uderzyło o asfalt.

Nieduży samochód już zniknął za rogiem. Helen Bentley nawet nie zauważyła jego koloru. Zrobiło się cicho.

Nie słyszała już deszczu. Nie słyszała niczego. Odruchowo przeszła na drugą stronę ulicy, zatrzymała się dopiero w odległości metra od ubranej na czerwono kobiety.

Ta leżała w dziwnej pozycji, skrzycona w nienaturalny sposób, i nawet w słabym świetle ulicznej latarni Helen widziała, że krew płynie z rany na głowie, miesza się szybko z wodą deszczową i ciemną strugą spływa do rynsztoka. Oczy kobiety były otwarte, a jej usta się poruszały.

- Pomóż mi.

Helen Lardahl Bentley cofnęła się o dwa kroki.

Odwróciła się i pobiegła do samochodu, szarpnięciem otworzyła drzwiczki, wsiadła i odjechała. Wróciła do domu i przez czterdzieści minut stała pod prysznicem, gąbką szorując skórę do krwi.

Nigdy więcej nie słyszeli o biologicznej matce Billie, a dokładnie dwadzieścia lat później, w listopadową noc w 2004 roku, Helen Bentley ogłoszono zwyciężczynią wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Córka stała razem z nią na trybunie. Wysoka, jasnowłosa młoda kobieta, która zawsze była dla swoich rodziców wyłącznie powodem do dumy.

Madam President zdjęła konopną rękawicę, sięgnęła po butelkę szamponu i namydliła włosy. W oczach zapiekło. To dobrze. Za-

mglił się obraz kobiety na mokrym asfalcie, z głową *zalaną* krwią i brudną deszczową wodą.

Jeffrey Hunter, gdy nad ranem obudził ją w hotelu, pokazał jej list. Była kompletnie oszołomiona, a on położył jej palec na ustach w zdecydowanie zbyt intymnym geście.

W liście napisano, że wiedzą o dziecku. Że ujawnią jej tajemnicę. Ma iść z Jeffreyem. „Troja ruszyła”. A oni zdradzą sekret, który ją zniszczy. List podpisał Warren Scifford.

Helen Bentley uczepiła się tego nazwiska. Zaciśnęła zęby i podsunęła twarz pod strumień gorącej wody.

Warren Scifford.

Nie może myśleć o kobiecie w czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym. Musi myśleć o Warrenie. Wyłącznie o nim. Musi się na nim skoncentrować. Powoli się obróciła, podstawiając pod strugi wody obolałe plecy. Potem spuściła głowę i oddychała głęboko. Wdech i wydech.

Amicus verus rara avis est.

Prawdziwy przyjaciel to rzadki ptak.

To ją przekonało. Jedyńie Warren znał inskrypcję na odwrocie zegarka, który podarowała mu tuż po wyborach. Był starym, dobrym przyjacielem i skontaktował się z nią przed decydującą debatą telewizyjną z Georgem W Bushem. Sondáže przeprowadzone w ostatnich dniach przechylały się na korzyść urzędującego prezydenta. Wprawdzie ona wciąż wygrywała, ale notowania Teksańczyka szły w górę. Jego retoryka, dotycząca bezpieczeństwa, najwyraźniej zaczęła trafiać do ludzi; przedstawiał się jako zdolny do działania, zrównoważony mężczyzna, posiadający odpowiednie doświadczenie i wiedzę, niezbędne dla rządzenia krajem pogrążonym w wojnie i kryzysie. Reprezentował ciągłość. Pokazał już, kim jest, a z tą Bentley nic nie wiadomo. Trudno orzec, co może zaproponować, nie ma przecież doświadczenia w polityce zagranicznej.

- Musisz zrezygnować z Arabian Port Management - oświadczył Warren, ujmując ją za rękę.

To samo powtarzali jej wszyscy doradcy, i wewnątrzni, i zewnątrzni. Upierali się, wściekali i błagali. Mówili, że czas jeszcze nie dojrzał. Może później, kiedy w rzekach upłynie więcej wody po 11 września. Ale nie teraz.

Nie chciała się ugiąć. Zarejestrowana w Dubaju, ale pozostająca własnością Arabii Saudyjskiej spółka była solidna i skuteczna, już wcześniej zarządzała ważnymi portami na całym świecie, od Okinawy po Londyn. Dwie firmy, w tym jedna brytyjska, które do tej pory prowadziły największe porty w Stanach Zjednoczonych, były zainteresowane sprzedażą. Spółka Arabian Port Management chciała kupić je obie. Jedna przekazałaby Arabom zarząd nad portami w Nowym Jorku, New Jersey, Baltimore, Nowym Orleanie, Miami i Filadelfii. Druga oddałaby Charleston, Savannah, Houston i Mobile. Innymi słowy, arabska spółka posiadałaby znaczącą kontrolę nad wszystkimi najważniejszymi portami na Wschodnim wybrzeżu i w Zatoce Meksykańskiej.

Helen Bentley uważała to za dobry pomysł.

Po pierwsze, spółka była najlepsza, a transakcja zdecydowanie najbardziej opłacalna. Stanowiłaby ponadto ważny krok w normalizacji stosunków z tymi siłami na Bliskim Wschodzie, z którymi Stany Zjednoczone powinny być na dobrej stopie. Poza tym, a dla Helen Bentley być może przede wszystkim, przyczyniłaby się do odnowienia szacunku dla dobrych Amerykanów pochodzenia arabskiego.

Ci bowiem już dostatecznie długo cierpieli, uważała, uparcie obstając przy swoim. Odbywała spotkania z zarządem arabskiej spółki i chociaż nie była na tyle naiwna, by coś obiecywać, zdecydowanie dała wyraz swojej dobrej woli. Szczególnie cieszyło ją, że spółka, pomimo niepewności związanej z akceptacją transakcji, już poczyniła ogromne inwestycje na amerykańskiej ziemi, by jak najlepiej *się* przygotować do ewentualnego przejęcia portów.

Warren **mówił cicho i nie puszczając jej ręk, głęboko patrzył** w oczy:

- Popieram twój cel. W pełni. Ale nigdy go nie osiągniesz, jeśli wszystko teraz zmarnujesz. Musisz zadać kontruderzenie, Helen. Powinnaś zaatakować Busha w punkcie, w którym on się tego najmniej spodziewa. Poświęciłem lata na analizę tego człowieka. Znam go tak dobrze, jak tylko można go znać, nie stykając się z nim bezpośrednio. On też pragnie tej sprzedaży! Ale ma po prostu dosyć doświadczenia, żeby na razie się z tym nie zdradzać. Rozumie, że takie posunięcie może wyzwolić reakcję społeczną, z którą nie ma żartów. Musisz go zaskoczyć. Posłuchaj, co powinnaś zrobić...

Nareszcie czuła się czysta.

Skóra piekła, łazienka pełna była gorącej pary. Helen wyszła spod prysznicza i sięgnęła po ręcznik. Owinęła nim ciało, mniejszym - głowę. Lewą ręką przetarła spory kawałek zaparowanego lustra.

Guz wciąż był wyraźny, ale krew z twarzy zniknęła i oko się otworzyło. Właściwie najgorzej wyglądały nadgarstki. Wąskie plastikowe zaciski wpiły się tak głęboko w ciało, że w kilku miejscach ziały otwarte rany. Będzie musiała poprosić o jakiś środek dezynfekujący i porządny bandaż.

Posłuchała wtedy rady Warrena. Chociaż miała wielkie wątpliwości.

Na pytanie prowadzącego debatę, co myśli o zagrożeniu bezpieczeństwa, wiążącym się ze sprzedażą tak istotnej części amerykańskiej infrastruktury, spojrzała prosto w kamerę i wygłosiła czterdziestopięciosekundową płomienną tyradę o konieczności zbratania się z „naszymi arabskimi przyjaciółmi”, szczególnie podkreślając wagę ochrony podstawowej amerykańskiej wartości, jaką jest równe traktowanie wszystkich dobrych Amerykanów, bez względu na to, z jakiego miejsca na świecie przybyli ich przodkowie i jaką oni sami wyznają religię.

Potem wzięła głęboki oddech. Jedno spojrzenie na urzędującego prezydenta powiedziało jej, że Warren miał całkowitą rację. Bush uśmiechał się zwycięsko. Uniósł ramiona w dziwnym, charakterystycznym geście, z rękami lekko odsuniętymi od ciała. Był pewien, co teraz usłyszy.

Usłyszał coś zupełnie innego.

Helen Bentley spokojnie powiedziała, że jeśli chodzi o infrastrukturę, to sprawa przedstawia się zupełnie odmiennie. Ona oświadczyła, że żadna jej część nie powinna trafić w ręce inne niż Amerykanów i ich absolutnie najbliższych sprzymierzeńców. Musimy dążyć do tego, by wszystko, od głównych dróg po lotniska, porty, posterunki celne, przejścia graniczne i koleje, zawsze i na wieczność pozostawało własnością amerykańską, pod zarządem rodzimych spółek.

Najważniejsze jest bezpieczeństwo narodowe.

Na koniec z lekkim uśmiechem dodała, że osiągnięcie takiego celu będzie oczywiście wymagać czasu i wielkiej woli politycznej. Zwłaszcza że George W. Bush sam przychylnie się wyrażał o sprzedaży portów spółkom arabskim w pewnym wewnętrznym dokumencie, który przez kilka sekund przytrzymała przed kamerą, po czym odłożyła go na mównicę i wykonała zapraszający gest w stronę prowadzącego. Już skończyła.

Helen Lardahl Bentley wygrała debatę jedenastoma punktami. Tydzień później była już Madam President, tak jak o tym marzyła od dziesięciu lat. Warren Scifford wkrótce potem został szefem nowo utworzonej BS-Unit.

Stanowisko nie było nagrodą.

Był nią natomiast zegarek.

A Warren zawiódł. Oszukał ją, wykorzystując jej osobistą deklarację przyjaźni.

Amicus verus rara avis est. Te słowa okazały się prawdziwsze, niż przypuszczała.

Podeszła do drzwi i ostrożnie je otworzyła. Rzeczywiście tuż za nimi leżał stosik złożonych ubrań. Schyliła się po nie tak szybko, jak tylko pozwalało na to obolałe ciało, wróciła do łazienki i przekreśliła klucz w drzwiach.

Bielizna była całkiem nowa, jeszcze z metkami. Zwróciła uwagę na ten elegancki gest, zanim włożyła majtki i biustonosz. Dżinsy też wyglądały na nowe, leżały idealnie. Kiedy wciągała przez głowę bladoróżowy kaszmirowy sweter z wycięciem w szpic, znów poczuła, jak pieką ją rany na nadgarstkach.

Przejrzała się w lustrze. Wentylacja wyciągnęła już większość wilgoci i w łazience było chłodniej niż pięć minut temu, gdy wychodziła spod prysznic. Z przyzwyczajenia pomyślała o makijażu. Przy umywalce stało otwarte japońskie pudełko z laki, pełne kosmetyków.

Zrezygnowała jednak z umalowania się. Usta wciąż miała opuchnięte, a pęknięta dolna warga wyglądałaby jeszcze gorzej pokryta szminką.

Wiele lat temu, podczas pierwszej prezydentury Billa Clintona, Hillary Rodham Clinton zaprosiła Helen Bentley na lunch. Po raz pierwszy spotkały się wtedy w bardziej osobistych okolicznościach. Helen pamiętała, jak okropnie się denerwowała, ponieważ było to zaledwie kilka tygodni po wygraniu przez nią walki o fotel senatora i na razie niewiele jeszcze wiedziała o zwyczajach i tradycjach, obowiązujących w Białym Domu. Mało znacząca młoda pani senator musiała błyskawicznie się uczyć, by przetrwać w polityce.

Lunch z First Lady minął jak w bajce. Hillary była tak życzliwa, uważna i interesująca, jak chcieli ją postrzegać zwolennicy. Arogancji, chłodu i wyrachowania, które przypisywali jej wrogowie, zupełnie nie dało się zauważyć. Oczywiście, musiał być w tym spotkaniu jakiś cel, bo w Waszyngtonie zawsze o coś chodzi, ale Helen Bentley zdawało się, że Hillary Rodham Clinton przede wszystkim pragnie jej dobra. A jeśli senator Bentley dodatkowo zechciałaby rzucić okiem na dokument dotyczący reformy służby

zdrowia, mającej poprawić sytuację przeciętnego Amerykanina, to sprawi First Lady wielką przyjemność.

Helen Bentley doskonale to zapamiętała.

Już wstały po posiłku. Hillary Clinton dyskretnie zerknęła na zegarek, oficjalnie ucałowała Helen w policzek i przytrzymała jej rękę.

-I jeszcze coś - powiedziała, nie puszczając jej dłoni. - W tym świecie nikomu nie możesz ufać, z wyjątkiem jednej osoby. Twojego męża. Dopóki jest twoim mężem, pozostaje jedynym człowiekiem, który zawsze będzie pragnął twojego dobra. Jedynym, któremu możesz zaufać. Nigdy o tym nie zapominaj.

Helen nie zapomniała.

Dziewiętnastego sierpnia 1998 roku Bill Clinton przyznał, że zdradził nie tylko cały świat, lecz również żonę. Parę tygodni później Helen po jakimś spotkaniu w Białym Domu natknęła się przypadkiem na Hillary w korytarzu w Zachodnim Skrzydle. First Lady właśnie wróciła z Martha's Vineyard, gdzie cała prezydencka rodzina schroniła się w tym strasznym czasie.

Przystanęła, wzięła ją za rękę i przytrzymała, tak jak podczas ich pierwszego spotkania przed laty. Helen powiedziała:

-I'm sorry, Hillary. I'm truly sorry for you and Chelsea.

Innych słów nie znalazła. Pani Clinton milczała. Oczy miała zaczerwienione, usta jej drżały, ale zmusiła się do uśmiechu, skinęła głową i poszła dalej. Dumna, wyprostowana, ze wzrokiem wytrzymującym spojrzenie każdego, kto ośmielił się popatrzeć jej w oczy.

Helen Bentley nigdy nie zapomniała rady żony prezydenta. Ale jej nie usłuchała. Nie potrafiła żyć, nikomu nie ufając. Z całą pewnością nie mogłaby wyruszyć w tę długą drogę ku najwyższemu urzędowi w Stanach Zjednoczonych, nie mając pełnego zaufania do garstki wiernych współpracowników, wybranej grupy przyjaciół, pragnących wyłącznie jej dobra.

Jednym z nich był Warren Scifford.

Zawsze w to wierzyła. Ale on skłamał. **A z wagi tego kłamstwa** nie zdawał sobie sprawy nawet on sam.

Trojanie nie mogli wiedzieć tego, co sugerował w liście. Nikt o tym nie wiedział. Nawet Christopher. To była jej tajemnica, jej brzemię, które dźwigała sama od ponad dwudziestu lat. Niepodobna było tego pojąć. Tylko panika, ów paralizujący lęk, który ją ogarnął, gdy Jeffrey Hunter pokazał jej list, uniemożliwił jej zrozumienie wszystkiego już wtedy.

Warren kłamał. Coś było bardzo źle.

Nikt nie mógł wiedzieć.

Miała wrażenie, że zęby porosły jej jakby aksamitnym futrem, w ustach czuła nieprzyjemny smak. Z wahaniem rozejrzała się po łazience. W końcu spostrzegła, że Hannę Wilhelmsen postawiła jej przy lustrze szklanę z nową szczoteczką do zębów i napoczętą tubką pasty. Musiała się mocować z opornym opakowaniem i skaleczyła palec o twardy *plastik, zanim wy/ęła szczoteczkę*. Wyszczrzyła zęby do lustra.

- *You bastard* - szepnęła. - Niech cię diabli porwą, Warrenie Sciffordzie! Dla takich jak ty jest osobne miejsce w piekle!

2

Warren Scifford czuł się naprawdę paskudnie.

W półmroku próbował wymacać ręką komórkę, odgrywając mechaniczną wersję czegoś, co miało przypominać pianie koguta. Hałas nie ustawał. Oszołomiony usiadł w łóżku. Znów przed pójściem spać zapomniał zasłonić okna, ale szarówka za lekkimi zasłonami nie powiedziała mu nic o porze doby.

Kogut piał coraz głośniej. Warren zaklął soczyście, obmacując nocną szafkę. Wreszcie zobaczył telefon. Wyświetlacz pokazywał 05:07. Aparat musiał upaść na podłogę w ciągu trzech godzin jego niespokojnego snu. Nie pojmował, jak mógł się

tak pomylić, kiedy nastawiał budzik. Kogut miał zapać pięć po siódmej.

Po paru bezskutecznych próbach wreszcie uciszył komórkę. Zrezygnowany opadł na łóżko. Zamknął oczy, ale od razu poczuł, że już nie zaśnie. Myśli wirowały, zderzały się, tworzyły chaos, od którego ucieczka w sen była niemożliwa. Podniósł się więc, poszedł do łazienki i przez blisko kwadrans stał pod prysznicem. Skoro nie może być wypoczęty, to niech będzie przynajmniej jako tako przytomny.

Wytarł się, włożył bokserki i T-shirt.

Szybko rozstawił przenośne biurko. Zasłonił okno, ale sufitowej lampy nie zapalał, lampki nocne i ta na biurku wystarczały do pracy. Kiedy wszystko było gotowe, napełnił czajnik i oparty o regał czekał, aż woda się zagotuje. Przez chwilę zastanawiał się nad kawą, ale proszek wydawał się stary i pozbawiony aromatu, sięgnął więc po torebkę herbaty i wrzucił ją do filiżanki, którą po brzegi napełnił wrzątkiem.

Żadnych nowych e-maili.

Usiłował liczyć wstecz. Położył się około drugiej w nocy, czyli ósmej wieczorem w waszyngtonie. Teraz w kraju była jedenasta. Wszyscy pracowali na pełny gaz, a nikt mu nic nie przysłał od czterech godzin.

Próbował uspokajać się tłumaczeniem, że pewnie myślą, że śpi.

Nie pomogło. Odstawianie go na boczny tor stawało się coraz wyraźniejsze. W miarę jak płynął czas, a pani prezydent wciąż pozostawała zaginiona, rola Warrena Scifforda stale słabła. Wprawdzie wciąż odpowiadał za kontakty z miejscową policją, ale najwyraźniej aktywność w ambasadzie na Drammensveien zwiększyła zasięg i siłę, a jego o tym nie poinformowano. Operacyjni śledczy, których FBI wysłało do Norwegii kilka godzin po jego wyjeździe, królowali. Mieszkali w ambasadzie, byli wyposażeni w najnowszy sprzęt, przy którym jego maleńkie biuro z kilkoma komórkami

i zakodowanym komputerem przypominało smutną przesyłkę do muzeum techniki.

Mieli gdzieś policję norweską.

Wprawdzie niektórzy wciąż pojawiali się na zebraniach, które usiłował organizować cztery razy dziennie, podejmując próbę skoordynowania działań Amerykanów z hipotezami policji norweskiej. Kiedy poinformował o znalezieniu zwłok Jeffrey'a Huntera, doczekał się przynajmniej odrobiny uwagi. Po minie ambasadora poznał, że musiało dojść niemal do kryzysu dyplomatycznego w związku z wydaniem ziemskich szczątków agenta. Norwegowie chcieli je zatrzymać w celu przeprowadzenia dokładniejszych badań. Stany Zjednoczone całkiem po prostu się na to nie godziły.

- Gównu mnie to obchodzi - szepnął Warren Scifford, pocierając twarz.

Ostrzegął ambasadora Wellsa.

- Pękną ze złości, kiedy zrozumieją, co robicie - ostrzegł zrezygnowany Warren, gdy spotkali się w ambasadzie dzień wcześniej. - Wprawdzie ich rząd sprzyja Stanom Zjednoczonym, ale z tego, co rozumiem, to kraj, w którym jest silna opozycja. Może są uparci, tak jak mnie uprzedzałeś, ale to nie są idioci. Po prostu nie możemy...

Ambasador spojrzał na niego lodowatym wzrokiem, a ton jego głosu kazał Warrenowi zamilknąć.

- To ja znam ten kraj, Warrenie. To ja jestem przedstawicielem Stanów Zjednoczonych w Norwegii. Trzy razy dziennie spotykam się z norweskim ministrem spraw zagranicznych, rząd tego kraju jest na bieżąco informowany o wszystkim, co robimy. O wszystkim.

To było kłamstwo czystej wody i obaj doskonale o tym wiedzieli.

Warren wypił łyk herbaty. Nie była zbyt mocna, ale przynajmniej gorąca. W pokoju też było gorąco. Za gorąco. Podszedł do panelu na ścianie i spróbował obniżyć temperaturę. Nigdy zbyt dobrze się

nie orientował w tym systemie ze stopniami Celsjusza. Teraz przełącznik ustawiony był na dwadzieścia pięć, i to było zdecydowanie za dużo. Może piętnaście będzie lepiej. Przyłożył rękę do filtra na ścianie. Powietrze natychmiast zrobiło się chłodniejsze.

Zawahał się chwilę, w końcu wyłączył komputer. Na biurku leżały dwa dokumenty. Jeden gruby jak książka, drugi liczący zaledwie dwadzieścia stron. Wziął obydwie i ułożył się w łóżku, podparty wszystkimi poduszkami.

Najpierw zaczął przeglądać ściśle tajne sprawozdanie ze stanu śledztwa. Liczyło ponad dwieście stron i wbrew wszelkim instrukcjom nie otrzymał go zaszyfowaną pocztą elektroniczną. Kiedy przypadkiem odkrył, że coś takiego istnieje, podsłuchując urywki pewnej rozmowy w głównej kwaterze w ambasadzie, musiał się wykląć o wgląd. Conrad Victory, sześćdziesięcioletni agent specjalny, kierujący siłami w ambasadzie, uważał, że Warrenowi ten dokument nie jest w ogóle potrzebny. W sytuacjach takich jak obecna działano wyłącznie według *need-to-knowpolicy*, co Warren ze swoim doświadczeniem powinien zrozumieć. Pełnił funkcję łącznika między policją norweską a amerykańską. Sam się skarżył, jak trudno oprzeć się naciskom Norwegów, którzy chcą uzyskać informacje zdobyte przez amerykański wywiad. Im mniej będzie wiedział, tym mniej policja z Oslo z niego wycisnie.

Ale Warren nie ustąpił. Kiedy nic innego nie skutkowało, postanowił się powołać na swoje bliskie i osobiste stosunki z panią prezydent. Oczywiście w sposób zawołowany. To zadziało. Wreszcie.

O drugiej zwałił się do łóżka, ledwie rzuciwszy okiem na dokument. Zaczął go czytać dopiero teraz.

Okazał się przerażającą lekturą.

Rysowała się w nim coraz wyraźniejsza perspektywa o wiele poważniejszego ataku terrorystycznego, który nastąpi po zniknięciu pani prezydent. Ani FBI, ani CIA, ani żadna inna z licznych organizacji pod parasolem Homeland Security nie chciała użyć

nazwy, którą BS-Unit Warrena Scifforda **naadała potencjalnemu** atakowi: „Troja”.

Na razie bali się to jakkolwiek nazywać.

Nie mieli nawet śmiałości napisać, że ten atak na pewno nastąpi.

Problem polegał na tym, że nikt nie wiedział, na co lub na kogo może być skierowany. Prowadzono zmasowane działania wywiadowcze, analizowano przytłaczający zalew raportów i zgłoszeń, spekulacji i teorii. Mimo to posiadane informacje były fragmentaryczne, mylące, a poza tym w dużej mierze sprzeczne ze sobą.

Mogło chodzić o spisek islamski.

Przypuszczalnie o to właśnie chodziło.

O muzułmanów.

Raporty świadczyły o pełnej kontroli władz nad wszystkimi innymi potencjalnymi przestępcami, zamachowcami i czynnymi terrorystami, przynajmniej w takim stopniu, w jakim w ogóle można mówić w tym kontekście o pełnej kontroli. Fanatyczne ugrupowania amerykańskie zawsze stanowiły uśpioną groźbę. Udowodnił to przecież Timothy McVeigh. Ten weteran wojny w Zatoce, zwariowany na punkcie broni, zabił sto sześćdziesiąt osiem osób w Oklahoma City w 1995 roku. Rzecz w tym, że nie stwierdzono oznak nadzwyczajnej aktywności wśród wielu ultrareakcyjnych ugrupowań w Stanach Zjednoczonych. Wciąż dogłębnie je infiltrowano, nawet po 11 września, kiedy to większość uwagi skierowano na zupełnie inne cele. Również w środowiskach zagorzałych obrońców praw zwierząt i gotowych posunąć się do ostateczności aktywistów walczących o ochronę przyrody nic nie wskazywało na przejście od nielegalnych, dokuczliwych działań do konkretnych aktów terrorystycznych. Ugrupowania fanatyków religijnych istniały w całych Stanach, z reguły jednak stanowiły zagrożenie przede wszystkim dla siebie. Poza tym również wśród nich nie dawało się dostrzec żadnych nadzwyczajnych ruchów.

Porwanie amerykańskiej prezydent z pokoju hotelowego w Norwegii było poza tym o lata świetlne odległe od możliwości, zarówno logistycznych, jak i finansowych, jakiegokolwiek znanego amerykańskiego ugrupowania.

To musiał być spisek islamski.

Warren poprawił okulary.

Raport był widocznie podszyty strachem. Po ponad trzydziestu latach w FBI Warren Scifford jeszcze się nie zetknął z profesjonalną analizą sytuacji, charakteryzującą się w takim stopniu myśleniem katastroficznym. Wyglądało to tak, jakby nagle cały system Homeland Security uświadomił sobie, że komuś udało się to, co niemożliwe. Co nie do pomyślenia. Ktoś wykradł amerykańską Commander in Chief, a teraz Bóg jeden wie, co jeszcze są w stanie zrealizować te mroczne siły.

Strach dotyczył ewentualnego ataku skierowanego na rozmaite, lecz niezidentyfikowane instalacje na amerykańskiej ziemi. Miał źródło w całym szeregu raportów i wydarzeń, ale raporty były niepewne, a wydarzenia dwuznaczne.

Najbardziej niepokojące i mylące były zgłoszenia od ludności. Amerykańskie władze otrzymywały regularnie tego rodzaju informacje. Na ogół nie zawierały żadnych rewelacji. Mieszkańcy domku jednorodzinnego, którzy mieli ochotę dokuczyć sąsiadowi i zafundować mu policyjną rewizję, potrafili wymyślić najbardziej fantastyczne historie o tym, co zobaczyli przez płot. Podejrzane wizyty, dziwne odgłosy nocą, nienormalne zachowanie, przechowywanie jakichś paczek, w których z całą pewnością znajdują się materiały wybuchowe, a może nawet i bomby. Chciwi właściciele nieruchomości uważali, że w pozbyciu się kłopotliwego najemcy najlepiej pomoże im FBI. Ludzka fantazja nie miała granic. Arabowie wchodzący i wychodzący o każdej porze doby, rozmowy w obcych językach i transport skrzynek zawierających Bóg jeden wie co. Nawet młodzież ze szkoły średniej potrafiła donieść o terroryście, którym miał być kolega ze szkoły, tylko dlatego, że chłopak

okazał się na tyle bezczelny, by poderwać dziewczynę, od której powinien był trzymać się z daleka.

Obecnie liczba tych doniesień znacznie wzrosła.

W ciągu ostatnich dni do *field offices* FBI napłynęła niezwykle liczba anonimowych zgłoszeń. Niektórzy dzwonili, inni posługiwali się pocztą elektroniczną. Treść ostrzeżeń bywała rozmaita. Ale wszystkie te informacje przepowiadały, że coś się wydarzy, coś, przy czym dzień 11 września zblednie. We wszystkich też podkreślano słabość narodu amerykańskiego, który nie potrafi uchronić nawet pani prezydent. Amerykanie sami są winni temu, że w murze powstał wyłom. Tym razem katastrofa nie dotknie konkretnego, ograniczonego obszaru. Ucierpią całe Stany Zjednoczone, bo to one sprowadziły cierpienie na resztę świata.

It was payback time.

Najbardziej niepokoił fakt, że nadawcy owych doniesień byli nieuchwytni.

To było nie do pojęcia.

Liczne instytucje, dbające o bezpieczeństwo narodowe, dysponowały - w swoim mniemaniu - najbardziej zaawansowanym technologicznie sprzętem, umożliwiającym wyśledzenie każdej rozmowy telefonicznej w Ameryce. Zazwyczaj zidentyfikowanie komputera nadawcy również nie wymagało długiego czasu. Dzięki daleko idącym pełnomocnictwom, o jakie zatroszczył się George Bush po roku 2001, NSA stworzyła niemal totalny system kontroli komunikacji telefonicznej i elektronicznej. Tym, że w wysiłkach zmierzających do osiągnięcia pełnej skuteczności posuwano się dalej, niż zezwalały na to pełnomocnictwa, Agencja zupełnie się nie przejmowała. Agenci mieli robotę do wykonania. Ich zadaniem było dbać o bezpieczeństwo ojczyzny. Nieliczni, którzy mogli ujawnić bezprawne działania NSA i tupnąć nogą, woleli przemykać oczy.

Wróg był potężny i niebezpieczny.

Stany Zjednoczone należało chronić za wszelką cenę.

Autorów przerażających doniesień nie udawało się jednak wysledzić. Doskonała technologia błyskawicznie ujawniała adres IP komputera albo numer telefonu, lecz przy dokładniejszym sprawdzeniu informacje te okazywały się błędne. Rozmowa, podczas której niski męski głos ostrzegał władze amerykańskie przed arogancją i szykanowaniem uczciwych obywateli, co to nie zrobili w życiu nic złego oprócz tego, że mieli ojca Palestyńczyka, okazywała się przeprowadzona z aparatu telefonicznego siedemdziesięcioletniej kobiety z Lakę Placid w stanie Nowy Jork. W chwili połączenia telefonicznego z jednym z biur FBI na Manhattanie starszka urzędowała właśnie herbatkę dla czterech swoich równie sympatycznych przyjaciółek. Żadna nawet nie zbliżała się do telefonu, gotowe były to przysięgać na Boga, a biling miejscowej spółki telekomunikacyjnej to potwierdzał: abonentka mówiła prawdę - w danym czasie z aparatu telefonicznego nikt nie korzystał.

Herbata trochę wystygła i Warren upił łyk. Para na moment przylgnęła jak oddech do okularów i zaraz zniknęła.

Szybko przerzucił techniczną część raportu. Niewiele z niej rozumiał, zresztą nie interesowały go szczegóły. Szukał konkluzji i znalazł ją na stronie 173.

Manipulowanie adresami mailowymi czy numerami telefonów rzekomych informatorów w taki sposób, jak to zrobiono, okazało się w pełni możliwe.

A więc to zbędna konkluzja, pomyślał Warren. Przecież udokumentowaliście ponad sto trzydzieści takich przypadków.

Poprawił poduszkę pod głową i czytał dalej.

Takie manewry wymagały ogromnych środków.

No tak, nikt przecież nie uważał, że to dzieło nędzarza.

I prawdopodobnie własnego satelity telekomunikacyjnego. Albo wynajęcia lub kradzieży mocy satelity.

Satelita? Jakiś pieprzony statek kosmiczny?

Warren zmarł. Piętnaście stopni Celsjusza to najwyraźniej zbyt niska temperatura. Znów wstał, żeby skorygować termostat

na panelu. Tym razem zdecydował się na dwadzieścia stopni i zaraz wrócił do łóżka.

Ponieważ satelity tego rodzaju umieszczano na orbicie geostacjonarnej, odległej o około czterdzieści tysięcy kilometrów od powierzchni Ziemi, a wszystkie telefony i wiadomości elektroniczne pochodziły ze Wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, wskazywało to na wykorzystanie jakiegoś satelity arabskiego.

Arabski satelita nie dotarłby dalej w głąb lądu.

Ale na Wschodnie Wybrzeże tak.

Oto trop, pomyślał Warren, niecierpliwie przerzucając strony. Miliardy idą na technologie, jakimi dysponujemy, więc co ze śledzeniem i rekonstrukcją tych rozmów i e-maili?

Warren Scifford był profilerem.

Szanował technikę. A w ciągu lat ścigania seryjnych zabójców i sadystów mordujących na tle seksualnym zrodził się w nim głęboki szacunek dla patologów sądowych i ich czarodziejskich sztuczek w dziedzinie chemii, fizyki, elektroniki i technologii. Podziwiając te umiejętności, od czasu do czasu pozwalał sobie na obejrzenie odcinka *CSI*.

Ale sam się na tym nie znał. Potrafił uruchomić komputer, nauczyć się kilku kodów i był zadowolony, że techniką zajmują się inni.

Jego dziedziną była dusza.

A tego tutaj nie potrafił pojąć.

Czytał dalej.

Zgłoszenia urwały się gwałtownie o 09:14 rano czasu wschodniego. Punktualnie w chwili, gdy pracownicy FBI odwiedzili pierwszy namierzony adres, do jakiego dotarli. Według rejestru NSA, ktoś dzwonił z niedużego domku na skraju Everglades na Florydzie do głównej kwatery FBI w Quantico z groźnym ostrzeżeniem, że Stany Zjednoczone czeka upadek.

W domku mieszkał staruszek, który słabo widział i nic nie słyszał. Jego telefon nie był nawet podłączony. Aparat kurzył się

w piwnicy, ale abonament wciąż opłacano, ponieważ to syn starszuszka regulował w Miami jego bieżące rachunki, najwyraźniej nie zastanawiając się nad tym, czy to ma sens. Prawdopodobnie od lat nie odwiedzał ojca.

A więc zgłoszenia urwały się dokładnie w tej chwili.

Od tamtej pory panowała kompletna cisza.

Autor raportu kończył stwierdzeniem, że prace nad analizą głosu i języka trwają. Na razie trudno wyciągnąć wnioski interesujące dla śledztwa, nie da się nic powiedzieć o nagraniach zawierających groźby ani o blisko sześćdziesięciu e-mailach o podobnej treści. Głosy zostały zmiksowane i zniekształcone, nie należało więc robić sobie wielkich nadziei. Z niejaką pewnością można jedynie stwierdzić, że wszyscy dzwoniący byli mężczyznami. Pleć nadawców listów elektronicznych z oczywistych przyczyn trudniej określić.

Na tym raport się kończył.

Warren zgłodniał.

Wziął z minibaru czekoladę i otworzył butelkę coli. Ani jedno, ani drugie mu nie smakowało, ale przynajmniej podniosło poziom cukru we krwi. Lekki ból głowy, spowodowany niedostatkim snu, minął.

Warren wrócił do łóżka. Gruby dokument zsunął się na podłogę. Według instrukcji, należało go natychmiast zniszczyć. Ale to musiało poczekać. Sięgnął teraz po cieńszy plik kartek i trzymał je na odległość wyciągniętej ręki. W końcu opuścił ją na kołdrę.

Ten mały raport stanowił arcydzieło.

Rzecz w tym, że nikt nie był nim zanadto zainteresowany, a co dopiero skłonny do podjęcia odpowiednich działań.

Warren znał go prawie na pamięć, chociaż przeczytał tekst zaledwie dwa razy. Raport został opracowany przez BS-Unit w Waszyngtonie, i on sam pomagał przy jego tworzeniu, stąd, z tego kraju, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Warren zatęsknił za domem. Zamknął oczy.

Ostatnio coraz częściej czuł się stary, nie starszy, ale po prostu stary. Był zmęczony, a przyjmując nową pracę, rzucił się na zbyt głęboką wodę. Chciał wrócić do Quantico, do Wirginii, do rodziny. Do Kathleen, która przez tyle lat znosiła jego niezliczone, bolesne i upokarzające skoki w bok. Do dorosłych dzieci, które zamieszkały w pobliżu domu swego dzieciństwa. Do własnego domu i ogrodu. To pragnienie powrotu wywołało przykry ucisk w dołku, ucisk który wcale nie zniknął, chociaż Warren kilkakrotnie przełknął ślinę.

Ten cienki raport był profilem.

Jak zawsze wyszli od konkretów. BS-Unit poruszała się wzdłuż osi czasu, sięgając też w głąb. Znajdowała kontekst dla wydarzeń, wnikliwie analizowała przyczyny i skutki, badała koszty. Każdy szczegół przebiegu wydarzeń rozważano we wszystkich możliwych aspektach, bo jedynie ten sposób gwarantował wykrycie w końcu przyczyn i celów działania ludzi, którzy stali za porwaniem Madam President.

Obraz, który powoli wyłaniał się z tych dwudziestu stron, niepokoił Warrena i jego wiernych towarzyszy z BS-Unit w takim samym stopniu, w jakim gruby raport - resztę FBI.

Sędzili, że będą szkicować profil jakiejś organizacji, grupy ludzi, komórki terrorystycznej. Możliwe, że nawet małej armii. Armii, która wyruszyła na świętą wojnę z gniazdem Szatana, Stanami Zjednoczonymi.

Zamiast tego rysował się wyraźnie profil człowieka.

Pojedynczego człowieka.

Oczywiście, ten człowiek nie mógł być sam. Wszystko, co się wydarzyło, odkąd w BS-Unit po raz pierwszy, około sześciu tygodni temu, dostrzeżono nieznaczące ślady „Troj”, wskazywało, że osób zaangażowanych w akcję jest bardzo wiele.

Problem polegał na tym, że ci ludzie wydawali się niepowiązani ze sobą. Pod żadnym względem. BS-Unit dostrzegła nie organizację terrorystyczną, lecz sylwetkę pojedynczego sprawcy, który

korzystał z ludzi, tak jak inni z narzędzi. Nie biorąc pod uwagę ludzkich emocji swoich pomocników, traktując ich całkowicie instrumentalnie. Wykorzystanych pozostawiono następnie własnemu losowi. Kiedy odegrali już swoją rolę, nie trafiali pod niczyje skrzydła. Gerhard Schröder został rzucony wilkom na pożarcie, podobnie jak pakistański sprzątac i każdy, kto stanowił tego rodzaju narzędzie.

Co bez wątpienia musiało oznaczać, że ci ludzie nie mieli pojęcia, dla kogo pracują.

Warren ziewnął, pokręcił głową i szeroko otworzył oczy, by powstrzymać łzy. Ręka, w której wciąż trzymał raport, zrobiła się ciężka jak ołów. Wziął się jednak w garść, podniósł ją i przesunął wzrokiem po pierwszej stronie tekstu.

Na samej górze kartki widniał skromny tytuł. Czcionka była tej samej wielkości co w reszcie tekstu, tylko pogrubiona.

The Guilty. A profile of the abductor

Winny.

Warren nie był pewien, czy podoba mu się słowo, które wybrali. Z drugiej jednak strony, było przynajmniej neutralne, bez żadnych zabarwień etnicznych czy narodowościowych. Jeszcze raz poprawił się na łóżku i czytał dalej.

/ . i. The abduction.

Jak zwykle, wychodzili od samego zdarzenia.

Porwanie pani prezydent samo w sobie narzucało kierunek sporządzania przez BS-Unit profilu sprawcy. Już od chwili, gdy o bezbożnej porze obudził Warrena w jego waszyngtońskim mieszkaniu agent, który poinformował go, że pani prezydent najprawdopodobniej została porwana w Norwegii, czuł, że całkiem się pogubił. W samolocie do Europy miał niemal absurdalną nadzieję, że gdy dotrze na miejsce, otrzyma wiadomość o śmierci Madam President.

Już wtedy wykluczał, że odnajdą ją żywą.

Głównym pytaniem przez cały czas pozostawało, dlaczego ją porwano. Dlaczego Helen Bentley nie została zabita? Zamach na jej życie był przecież o wiele łatwiejszy do zrealizowania, a przez to znacznie mniej ryzykowny. Pełnienie funkcji Commander in Chief Stanów Zjednoczonych było zdecydowanie zajęciem wysokiego ryzyka, choćby dlatego, że pełna ochrona pojedynczej osoby przed nagłym atakiem jest niemożliwa, chyba że się ją zamknie w izolatce.

Sam akt porwania musiał mieć określone znaczenie. Zapewne płynął jakiś istotny dodatkowy zysk z utrzymywania Stanów Zjednoczonych w niepewności, zamiast pozwolenia, by Amerykanie zjednoczyli się we wspólnym oszołomieniu i żalobie po zamordowanej przywódczyni.

To oczywiście, że na skutek zniknięcia pani prezydent kraj pozostawał bardziej wrażliwy i odsłonięty na nowe ataki.

Już na samą myśl o tym Warrenowi przebiegł po kręgosłupie zimny dreszcz.

Przerzucił stronę, po czym napił się coli. Wciąż czuł w żołądku ssanie, choć nie był pewien, czy to głód; przez chwilę rozważał nawet, czy nie zamówić czegoś do jedzenia. Zegar w komórce pokazywał za trzy szóstą, więc zrezygnował. Za godzinę zaczął serwować śniadanie.

Wykorzystanie agenta Secret Service Jeffreya Huntera było w swej prostocie posunięciem genialnym. Wprawdzie porwanie pani prezydent bez pomocy kogokolwiek z wewnątrz może i byłoby teoretycznie możliwe, ale w praktyce niewykonalne. Fakt, że Winny dysponował w Stanach siatką zdolną zrealizować dwa uprowadzenia autystycznego chłopca, by wzbudzić lęk w agencji służby bezpieczeństwa i skłonić go do współpracy, wpisywał się w szereg elementów, dzięki którym profil stawał się coraz wyraźniejszy. I coraz bardziej przerażający.

Zadzwoił telefon.

Sygnal tak zaskoczył Warrena, że butelka z colą, którą trzymał między udami, wyrzuciła się. Zaklął z wściekłością, ale ocalił resztki ciemnej lepkiej cieczy, i dopiero wtedy sięgnął po telefon.

- Halo - stęknął, wolną ręką wycierając kołdrę.

- Warren? - spytał głos z daleka. -

Tak.

- Mówi Colin.

- Cześć, Colin. Marnie cię słyszać.

- Muszę się streszczać.

- Nie szepcz. Mów głośniej.

- Cholera, Warren, posłuchaj **mnie. Nie patrz na nas łaskawym okiem.**

-Ja też tutaj to odczuwam.

Colin Wolf i Warren Scifford, równolatki, pracowali razem od prawie dziesięciu lat. Gdy Warren tworzył BS-Unit, właśnie tego agenta specjalnego wybrał jako pierwszego współpracownika. Colin wywodził się ze starej szkoły, nazywał się Wolf i wyglądał jak niedźwiedź, a był opanowany, dokładny i przewidywalny. Teraz mówił odrobinę wyższym głosem niż zwykle, opóźnienie zaś w przekazie dźwięku wyraźnie go peszyło.

- Oni nie chcą nas słuchać - poinformował. - Już się zdecydowali.

- Na co? - spytał Warren, chociaż z góry znał odpowiedź.

- Że za tym wszystkim stoi jakaś islamska organizacja. A teraz, cholera, wpadli nawet na ślad Al-Kaidy. Al-Kaidy! Przecież tamci mają z tą sprawą tyle wspólnego, co IRA albo na przykład skauci! Ale nasi zwąchali krew, dlatego dzwonię.

- Co się stało?

- Pojawiło się konto.

- Konto?

- Jeffrey Huntera. Żonie przekazano pieniądze.

Warren przełknął ślinę. Brunatna plama po coli na jego bokserkach w kroku była ohydna. Lepką ręką pociągnął za koldrę, żeby się zakryć.

- Halo?

-Jestem, jestem! - krzyknął Warren. - Niech to cholera!

- No właśnie. Ale to za piękne, żeby mogło być prawdziwe.

- O czym mówisz?

- Posłuchaj, muszę się streszczać, ale chcę, żebyś o tym wiedział. Chodzi o dwieście tysięcy dolarów. Pieniądze oczywiście zostały po drodze wyprane, ale i tak udało nam się prześledzić całą ich drogę wstecz, aż do ofiarodawcy. Chłopakom z Pennsylvania Ave-nue zabrało to mniej niż pięć godzin.

- I do kogo dotarli?

- Przytrzymaj się czegoś.

- Leżę w łóżku.

- Do kuzyna saudyjskiego ministra od ropy. Mieszka w Iranie. - *Shit!*

- Trafnie to ująłeś.

Warren sięgnął po raport. Papier lepił się do ręki. To się po prostu nie zgadzało. Nie mogło się zgadzać. To oni mieli rację, Colin, Warren i reszta małej, zepchniętej na bok grupy profilerów, których nikt nie chciał słuchać.

- To po prostu nie może się zgadzać - powiedział cicho Warren.

- Winny nigdy nie zachowałby się tak po amatorsku, nie pozwoliliby prześledzić drogi tych pieniędzy.

- Słucham?

- To się nie może zgadzać.

- No właśnie, dlatego dzwonię. To za **proste, Warren. Ale** jakbyśmy odwrócili wszystko do góry nogami...

- Co? Nie słyszę!

- Do góry nogami! - zawołał Colin. - Założmy, że ślad prowadzący do Arabii Saudyjskiej pozostawiono celowo... Jeśli mamy rację i chodziło o to, żebyśmy znaleźli pieniądze i ich źródło...

...to wszystkie klocki układają się na swoim miejscu, pomyślał Warren, i wziął głęboki oddech. Właśnie w ten sposób pracuje Winny. Właśnie tego chce. Pragnie chaosu. Sytuacji kryzysowej. On jest...

- Rozumiesz? Zgadzasz się ze mną?

Głos Colina dochodził z bardzo daleka. Warren słuchał niezbyt uważnie.

- To wkrótce wycieknie - powiedział Wolf. Połączenie z każdą chwilą się pogarszało. - Obserwowałeś giełdę?

- Trochę.

- Kiedy ujawniony zostanie fakt, że Arabia Saudyjska i Iran mają związek z porwaniem...

Ceny ropy, pomyślał Warren. Wystrzelał w górę jak jeszcze nigdy w historii.

- ...dramatyczny spadek Dow Jones, tak nagły, że...

- Halo? - zawołał Warren.

- Jesteś tam jeszcze? Muszę kończyć, Warren. Śpieszę się, bo...

Trzaski się wzmaczały. Warren odsunął słuchawkę o kilka centymetrów od ucha. Nagle głos Colina wrócił. Połączenie po raz pierwszy stało się krystalicznie czyste.

- Mówią o stu dolarach za baryłkę - oznajmił Colin ponuro. - Przed końcem przyszłego tygodnia. On do tego zmierza. To się zgadza, Warren. To wszystko się zgadza. Muszę pędzić. Zadzwoń do mnie.

Rozłączył się.

Warren wstał z łóżka. Musiał się znów wykapać. Na szeroko rozstawionych nogach, żeby lepkie uda się nie stykały, podszedł do walizki.

Wciąż jeszcze tak naprawdę się nie rozpakował.

Winny to właściciel ogromnego majątku i wielkiej wiedzy o zachodnim świecie, cytował w myślach z profilu. Z pewnością ponadprzeciętnie inteligentny, obdarzony niezwykłą cierpliwością

oraz zdolnością dalekosięznego planowania i myślenia. Twórca imponującej międzynarodowej, bardzo skomplikowanej siatki pomocników, prawdopodobnie zorganizowanej przy wykorzystaniu szantażu, przekupstwa i kosztownego wyrabiania kontaktów. Istnieją wszelkie powody, by przypuszczać, że jedynie nieliczne osoby wiedzą, kim jest Winny. Jeśli w ogóle ktoś to wie.

Warren nie znalazł czystych bokserek. Zrezygnowany przeszukiwał bez sensu boczne kieszonki walizki. Nagle palce natrafiły na coś twardego. Zawahał się na moment, ale zaraz wyciągnął przedmiot z kieszeni.

Zegarek?

Amicus verus rara avis est.

A myślał, że już na dobre go zgubił. Strata niepokoiło go bardziej, niż chciał się do tego przyznać nawet przed sobą. Lubił ten zegarek i był dumny, że dostał go od Madam President.

Nigdy go nie zdejmował.

Jedynie podczas seksu.

Seks jakoś nie pasował do upływu czasu. Dlatego Warren zawsze wtedy ściągał zegarek.

W głębi ducha podejrzewał, że ukradła mu go tamta kobieta z rudymi włosami. Nie pamiętał już, jak miała na imię, chociaż minął zaledwie tydzień, odkąd się poznali.

W barze. Zdaje się, że pracowała w reklamie. A może w filmie?

Nieważne, uznał i wsunął bransoletkę na nadgarstek.

W walizce nie było czystych bokserek.

Będzie musiał radzić sobie bez nich.

Najprawdopodobniej to nie jest Amerykanin. Warrenowi zdało się, że słyszy głos, jakby raport zawierający profil przesuwał mu się w głowie niczym taśma magnetofonowa. Jeżeli to muzyłmanin, to skłania się raczej ku zeświecczonym wiernym niż ku fanatykom. Prawdopodobnie mieszka na Bliskim Wschodzie, ale może też tymczasowo przebywać w Europie.

Było trzy po wpół do siódmej, a Warren Scifford nie czuł się już ani trochę senny.

3

Al Muffet, zbliżając się do pokoju gościnnego, zerknął przez balustradę w dół na stojący zegar w holu. Było trzy po wpół do pierwszej. Czytał gdzieś, że ludzie najgłębiej śpią między trzecią a piątą. Ponieważ jednak brat poprzedniego wieczoru tak się upił, Al liczył, że będzie mocno spał już teraz.

Nie miał cierpliwości, by dłużej czekać.

Z największą ostrożnością starał się unikać trzeszczących desek w podłodze. Był boso, ale żałował, że nie włożył skarpetek. Wilgotne stopy odrywały się od drewnianej podłogi z lekkim ssącym odgłosem. Nawet jeśli Fayed go nie usłyszy, to przecież dziewczynki, zwłaszcza Louise, mają bardzo lekki sen. Tak było od śmierci ich matki, która nastąpiła dziesięć po trzeciej w listopadową noc.

Na szczęście poprzedniego wieczoru zdołał nad sobą zapanować. Chociaż słowa Fayed'a o matce na łożu śmierci kompletnie wytrąciły go z równowagi, poszedł do łazienki i tam obmył dłonie i twarz lodowatą wodą. Potem był już w stanie zejść ponownie do brata i córek; w miarę przytomnie przetrwał ten wieczór. Wysłał dziewczynki do łóżek o dziesiątej bez większych protestów z ich strony i ucieszył się, gdy Fayed zaledwie pół godziny później oznajmił, że też chciałby się położyć.

Al Muffet zbliżał się do drzwi pokoju, w którym spał brat.

Matka nigdy nie pomyliła swoich dwóch synów.

Różnica wieku to raz. Poza tym Ali i Fayed mieli zupełnie różne osobowości. Al wiedział, że matka uważała, iż on bardziej przypomina ją samą, jest życzliwy, otwarty na różne sprawy i ludzi.

Fayed był trochę jak kukulcze piskłę. W nauce zdolniejszy od brata, w zasadzie najzdolniejszy w całej szkole, jako pomocnik

w warsztacie był beznadziejny. Ojciec wcześniej uznał, że nie ma sensu zmuszać Fayeda do pracy. Mały Ali natomiast doskonale znał zasady działania silnika samochodowego, jeszcze zanim skończył osiem lat. Kiedy w wieku szesnastu lat zrobił prawo jazdy, skonstruował sobie własny samochód ze starych części, które dał mu ojciec.

Nieufne usposobienie brata wywarło wpływ również na jego fizjonomię. Na świat zerkał spod oka, co sprawiało, że ludzie na ogół wątpili w to, czy ich słucha. Poza tym chodził z lekko wysuniętym ramieniem, jakby stale spodziewał się ataku i chciał być na niego przygotowany, zawczasu nastawiając barku.

Z twarzy jednak byli do siebie bardzo podobni. Ale matka nigdy ich z tego powodu nie pomyliła. To niemożliwe, pomyślał Al Muffet, ostrożnie przekręcając gałkę.

Gdyby naprawdę tak się stało na minuty przed jej śmiercią, gdyby straciła jasność widzenia i myślenia, mogłoby to oznaczać prawdziwą katastrofę.

Pokój był pogrążony w całkowitym mroku. Al przez kilka sekund czekał, aż wzrok mu się przyzwyczai. Wreszcie na tle ściany zarysowały się kontury łóżka. Fayed leżał na brzuchu, z jedną nogą wysuniętą poza krawędź łóżka i z lewą ręką wciśniętą pod głowę. Pochrapывał miarowo.

Al z kieszonki na piersi wyjął latarkę. Zanim ją włączył, stwierdził, że walizka brata stoi na niskiej komodzie przy drzwiach do najmniejszej w całym domu łazienki.

Zasłonił światło palcami. Jedyne wąska smuga padła na podłogę, umożliwiając mu zbliżenie się do walizki bez potknięcia się o coś.

Walizka była zamknięta.

Spróbował jeszcze raz. Szyfrowy zamek nie dawał się otworzyć.

Fayed zachrapał głośno i się odwrócił. Al znieruchomiał. Nie miał nawet odwagi zgasić latarki. Przez kilka minut wsłuchiwał się w oddech brata, który znów stał się rytmiczny i spokojny.

Walizka była zwyczajna, czarna, marki Samsonite, średniej wielkości.

Zwyczajny zamek może mieć najzwyczajniejszy szyfr ze wszystkich.

Zwykły szyfrowy zamek, pomyślał Al i obrócił kółeczka tak, by cyfry ułożyły się w datę urodzenia brata.

Kliknięcie.

Powtórzył kombinację cyfr na lewym zamku. Pokrywa dała się otworzyć. Uniósł ją powoli, bez najmniejszego szmeru. Zobaczył ubrania. Na wierzchu dwa swetry, pod nimi spodnie, kilka par slipów i trzy pary skarpetek. Wszystko starannie poukładane. Al włożył rękę pod ubrania i odsunął je na bok.

Na dnie walizki leżało osiem telefonów komórkowych, laptop i terminarz.

Nikt nie potrzebuje ośmiu komórek, chyba że się utrzymuje z ich sprzedaży, pomyślał Al. Poczuł, że puls jeszcze bardziej mu przyspiesza. Wszystkie telefony były wyłączone. Przez moment kusił go, by zabrać komputer i przyjrzeć mu się bliżej, ale szybko z tego pomysłu zrezygnował. Prawdopodobnie i tak jest pełen zabezpieczeń, których nie umiałby złamać, a ryzykowałby, że brat się obudzi, zanim on odłoży laptop na miejsce

Terminarz był z czarnej skóry, zamykany na pętelkę na zatrask, stanowiący jednocześnie uchwyt na elegancki długopis. Al wziął latarkę do ust, skierował światło na terminarz i otworzył go.

To był zwyczajny filofax. Strony po lewej podzielono na pola przeznaczone na trzy pierwsze dni tygodnia. Cztery pozostałe dni mieściły się po prawej stronie. Pole dla niedzieli było mniejsze od innych; o ile Al zdołał się zorientować, brat niedziele miewał wolne.

Po cichu przerzucał kartki. Zapiski nic mu nie mówiły oprócz tego, że brat jest zajęтым człowiekiem. Ale to wiedział już wcześniej.

Nagły impuls kazał mu otworzyć część z kalendarzami rocznymi, z jedną linijką na każdy dzień na większych składanych

arkuszach. We własnym terminarzu miał je na końcu, ale brat najwyraźniej uznał za celowe umieszczenie ich z przodu. Fayed zachował takie kalendarze z pięciu ostatnich lat. Ważne dni zaznaczono wyraźnie. W 2003 roku rodzina Fayed obchodziła święto 4 Lipca w Sandy Hook. Labor Day w roku 2004 spędził na Cape Cod u kogoś, kto się nazywał Collies.

Dzień 11 września 2001 roku był zaznaczony czarną gwiazdką.

Al poczuł, że oblewa go pot, chociaż w pokoju było chłodno. Brat wciąż spał głęboko, cicho chrapiąc. Alowi drżały ręce, gdy przewracał kartki, szukając daty śmierci matki. Kiedy zobaczył, co brat tam zapisał, jego obawy się potwierdziły.

Oczy przez kilka sekund nie odrywały się od zapisków. W końcu zamknął terminarz i odłożył go na miejsce. Ręce pracowały teraz sprawnie i szybko. Zamknął wieko walizki i ustawił szyfr.

Równie cicho jak przyszedł, na palcach przemknął do drzwi. Tam przystanął i zapatrzył się na śpiącą w łóżku postać. W okresie dorastania często przyglądał się bratu z własnego łóżka w nocy, kiedy sam nie mógł spać. Wspomnienie stało się teraz bardzo wyraźne. Po długich, wyczerpujących dniach wojny toczącej się między rodzicami a Fayedem Al siadywał wpatrzony w plecy brata, które powoli podnosiły się i opadały w drugim kącie pokoju. Czasami nie spał godzinami. Niekiedy po cichu płakał. Tak naprawdę pragnął jedynie zrozumieć tego zbuntowanego, pokręconego starszego brata, obrażonego, nieokiełzanego nastolatka, który zawsze wzbudzał w ojcu tak wielki gniew, a matkę doprowadzał do rozpacz.

Al Muffet, stojąc w drzwiach pokoju, w którym spał brat, poczuł się tak samo smutny jak wtedy. Kiedyś kochał Fayeda. Dopiero teraz pojął, że łączące ich więzi przestały istnieć. Nie wiedział, kiedy to się stało, w którym momencie wszystko się popsulo.

Może wtedy, gdy umarła matka?

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Musiał się zastanowić. Musiał się dowiedzieć, co brat wie o porwaniu Helen Lardahl Bentley.

- Coś nowego?

Inger Johanne Vik odwróciła się do Helen Lardahl Bentley i uśmiechnęła, przyciszając telewizor.

- Dopiero przed chwilą włączyłam. Hannę musiała się położyć. A tak w ogóle, dzień dobry. Wygląda pani bardzo...

Inger Johanne urwała, zaczerwieniła się i wstała. Przyglądała rękami koszulę. Okruszki po śniadaniu Ragnhild posypały się na podłogę.

- Madam President... - zaczęła i w ostatniej chwili powstrzymała się od dygnięcia.

- Dajmy spokój formalnościom - powstrzymała ją natychmiast Helen Bentley. - To przecież sytuacja, którą możemy uznać za nadzwyczajną. Proszę się do mnie zwracać Helen.

Jej wargi nie były już tak opuchnięte i mogła się uśmiechać. Wciąż wyglądała na zmaltretowaną, ale prysznic i czyste ubranie zupełnie ją odmieniły.

- Czy jest tu jakieś wiaderko i środki czystości? - spytała pani Bentley, rozglądając się dokoła. - Chciałabym spróbować usunąć... szkody. - Drobną dłonią wskazała na salon z czerwoną kanapą.

- A, o to chodzi - zorientowała się Inger Johanne. - O tym możesz zapomnieć. Marry już się wszystkim zajęła. Coś pewnie trzeba będzie oddać do czyszczenia chemicznego, ale to...

- Marry - powtórzyła Helen Bentley odruchowo. - Pomoc domowa.

Inger Johanne kiwnęła głową. Pani prezydent podeszła bliżej.

- A ty jesteś?... Przepraszam, ale wczoraj wieczorem nie byłam całkiem...

- Inger Johanne. Vik. Inger Johanne Vik.

- Inger. - Helen Bentley wyciągnęła rękę. - A ta malutka to...

Ragnhild siedziała na podłodze z pokrywką garnka, chochlą i skrzynką klocków duplo. Zadowolona gaworzyła do siebie.

- To moja córka. - Inger Johanne uśmiechnęła się. - Ma na imię Ragnhild. Zwykle nazywamy ją Agni, bo sama tak o sobie mówi.

Dłoń pani prezydent była sucha i ciepła. Inger Johanne przytrzymała ją odrobinę za dłużej.

- Czy to coś w rodzaju... - Helen Bentley najwyraźniej nie chciała nikogo urazić, dlatego się zawahała - ..komuny?

- Nie, nie. Ja tu nie mieszkam. Moja córeczka i ja jesteśmy tu tylko z kilkudniową wizytą.

- Aha. Więc ty nie mieszkasz w Oslo?

- Owszem, mieszkam. To jest mieszkanie Hannę Wilhelmsen i Nefis. Jej partnerki. Życiowej partnerki. Nefis jest Turczynką i zabrała teraz Idę, ich córkę, do Turcji w odwiedziny do dziadków. Ale to one tu mieszkają. Ja jestem tylko...

Pani prezydent podniosła ręce, a Inger Johanne gwałtownie urwała.

- Dobrze, rozumiem - powiedziała Helen Bentley. - Mogę obejrzeć z tobą telewizję? Macie tu CNN?

- Nie chcesz... czegoś zjeść? Wiem, że Marry już...

- Jesteś Amerykanką? - spytała nagle zdumiona Helen Bentley.

W oczach kobiety pojawił się jakiś nowy wyraz. Do tej pory jej spojrzenie było czujne, ale neutralne, jakby przez cały czas miała się przed czymś na baczności, by zachować przewagę nad otoczeniem. Nawet wczoraj, przyprowadzona przez Marry z piwnicy, kiedy nie mogła samodzielnie ustać na nogach, spoglądała mocno i dumnie.

Teraz w oczach błysnęło jej coś na kształt lęku. Inger Johanne nie mogła pojąć dlaczego.

- Nie, nie - zapewniła natychmiast. - Jestem Norweżką. Rodowitą.

- Mówisz z amerykańskim akcentem.

- Studiowałam w Stanach. Przynieść ci coś? Coś do jedzenia?
- Pozwól mi zgadnąć - powiedziała pani prezydent. Cięń lęku zniknął. - W Bostonie. - Przeciągnęła „o” tak, że zabrzmiało niemal jak „a”.

Inger Johanne uśmiechnęła się leciutko.

- No proszę, tu już życie aż kipi - mruknęła Many, kuśtykając z kuchni z zastawioną tacą. - Nie ma jeszcze siódmej, a wszyscy na nogach. W mojej umowie nie ma nic o nocnej zmianie.

Pani prezydent zafascynowana wpatrywała się w Many, gdy ta stawiała tacę na stole.

- Kofi - wyrecytowała gosposia, pokazując palcem. - Pankejks. Eg. Bejkon. Milk. Orendzus. Bardzo proszę. - Przysłoniła ręką usta i szepnęła do Inger Johanne: - Te naleśniki to widziałam w telewizji. Oni zawsze jedzą naleśniki na śniadanie. Dziwni ludzie.

Pokręciła głową, pogłaskała Ragnhild po włoskach i podreptała z powrotem do kuchni.

- To dla mnie czy dla ciebie? - spytała pani prezydent, siadając do jedzenia. - wygląda zresztą, że wystarczyłoby i dla trzech osób.

- Jedz - zachęciła Inger Johanne. - Będzie obrażona, jeśli wszystko nie zniknie, kiedy wróci.

Pani prezydent sięgnęła po sztućce. Zdawało się, że nie bardzo wie, jak się zabrać do tak obfitego posiłku. Zaczęła dłubać w zwinętym naleśniku z konfiturami i śmietaną, z wierzchu posypanym cukrem jak śniegiem.

- Co to jest? - spytała cicho. -Jakiś rodzaj *crepes Suzelte*?

- My to nazywamy naleśnikami - wyjaśniła Inger Johanne. - Many uważa, że Amerykanie zawsze je jedzą na śniadanie.

- Mhm. Smaczne. Ale bardzo słodkie. Kto to jest?

Helen Bentley ruchem głowy wskazała telewizor, w którym pokazywano powtórkę wczorajszego programu Redakcji 1. Zarówno stacja NRK, jak i TV2 nadawały w kółko nadzwyczajne wydania wiadomości. Około pierwszej w nocy przekładali plik taśm

i wieczorne audycje powtarzali aż do pierwszych najświeższych informacji o wpót do ósmej.

Wencke Bencke znów była w studio. Zażarcie dyskutowała z emerytowanym policjantem, który po niezbyt udanej karierze prywatnego detektywa grał teraz rolę eksperta komentującego sprawę kryminalne. W ostatnich dniach oboje krążyli niezmordowanie pomiędzy studiami największych stacji telewizyjnych. Zawsze mieli coś do powiedzenia i przyciągali uwagę publiczności.

Nie znosili się nawzajem.

- Ona właściwie jest pisarką. - Inger Johanne sięgnęła po piłota. - Spróbuję znaleźć CNN - dodała.

Pani prezydent zeszywniała.

- *Wait! Zaczekaj!*

Inger Johanne znieruchomiała z pilotem w rękę. Przeniosła wzrok z pani prezydent na telewizor i z powrotem. Helen Bentley siedziała z lekko przechyloną głową, słuchając w skupieniu.

- Czy ta kobieta powiedziała „Warren Scifford”? - spytała szeptem.

- Słucham?

Inger Johanne podkreśliła głośność i też zaczęła się przysłuchiwać płynącym z telewizora słowom.

- ...i nie ma absolutnie żadnych powodów, żeby oskarżać FBI o wykorzystywanie nielegalnych środków - mówiła Wencke Bencke. - Wspominałam już, że dobrze znam szefa agentów FBI, którzy obecnie współpracują z policją norweską, Warrena Scifforda. Scifford...

- Teraz - szepnęła Helen Bentley. - Co ona mówi?

Sześćdziesięciolatek w ciemnych okularach i jasnoróżowej koszuli nachylił się ku prowadzącemu.

- Współpracują? Współpracują? Gdyby nasza pani pisarka... -wypluło to słowo, jakby miało smak skwaśniałego mleka - ...miała

bodaj cień pojęcia o tym, co się obecnie **dzieje w kraju**, w **którym** obce siły policyjne pozwalają sobie...

- Co oni mówią? - spytała ostro pani prezydent. - O czym rozmawiają?

- Kłóć się - szepnęła Inger Johanne, jednocześnie usiłując słuchać.

- O co?

- Zaczekaj!

Wstrzymała Helen Bentley gestem.

- A zatem... - usiłował dojść do głosu prowadzący. - A zatem kończymy, bo i tak już przekroczyliśmy limit czasu. Jestem pewien,

że ta dyskusja będzie trwała jeszcze przez następne dni i tygodnie. Dziękuję i dobranoc.

Ukazały się końcowe napisy. Pani prezydent wciąż siedziała z widelcem w powietrzu. Z kawałka naleśnika skapywały na stół konfitury, ale ona nawet tego nie zauważyła.

- Ta kobieta mówiła o Warrenie Sciffordzie - powtórzyła.

Inger Johanne sięgnęła po serwetkę i wytarła blat przed panią prezydent.

- Tak - potwierdziła cicho. - Niewiele słyszałam z tej dyskusji, ale wynikało z niej, że... nie zgadzają się w kwestii tego, czy FBI... Kłócili się o... No tak, czy FBI przypadkiem nie za dużo sobie po zwala na terytorium Norwegii. To zresztą dyżurny temat, poruszany

stale w ciągu ostatniej doby.

-Ale... to znaczy, że Warren jest tutaj? W Norwegii?

Dłoń Inger Johanne zamarała w pół gestu. Pani prezydent nie wyglądała już ani trochę na opanowaną. Rozchyliła usta, zdumiona i zaskoczona.

- Tak... - Inger Johanne nie wiedziała, co robić. Podniosła Ragnhild i posadziła ją sobie na kolanach. Dziewczynka zaczęła wić się jak piskorz, ale matka nie chciała jej puścić.

- Na dół! - wyla Ragnhild. - Mama, Agni ce na dół!

- Znasz go? - spytała Inger Johanne, głównie dlatego, że **nic** innego nie przyszło jej do głowy. - To znaczy, osobiście...

Pani prezydent nie odpowiedziała. Kilka razy odetchnęła głęboko, po czym wróciła do jedzenia. Powoli i ostrożnie, jakby zucie sprawiło jej ból, zjadła pół naleśnika i trochę bekonu.

Inger Johanne nie zdołała dłużej utrzymać Ragnhild, musiała ją puścić do zabawek. Helen Bentley jednym haustem wypila sok i przelała mleko ze szklanki do filiżanki.

- Wydawało mi się, że go znam - powiedziała, podnosząc filiżankę do ust.

Głos miała dziwnie spokojny, zważywszy na to, że przed chwilą robiła wrażenie osoby w szoku. Inger Johanne wydało się jednak, że mimo wszystko wychwytuje w tym głosie leciutkie drżenie, gdy Helen Bentley, przyglądziwszy włosy, ciągnęła:

- Chyba proponowałyście mi skorzystanie z Internetu. Oczywiście, będę potrzebowała również komputera. Najwyższy czas, żebym zaczęła zaprowadzać porządek w tej żalosalnej sprawie.

Inger Johanne przełknęła ślinę. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Czowała, że pani prezydent na nią patrzy. Położyła jej dłoń na przedramieniu.

- Ja też go kiedyś znałam - szepnęła Inger Johanne. - Mnie też się kiedyś wydawało, że znam Warrena Scifforda.

Może to dlatego, że Helen Bentley była obca, że nie należała do jej życia, do Oslo i do Norwegii, Inger Johanne zdecydowała się o tym opowiedzieć. Madam President w końcu wróci do domu, jutro czy pojutrze, w każdym razie niedługo. Już nigdy więcej się nie spotkają. Za rok czy dwa nie będzie nawet pamiętać, kim jest Inger Johanne Vik. Może to dzieląca je ogromna odległość, zarówno geograficzna, jak i w zajmowanych pozycjach społecznych, skłoniła wreszcie Inger Johanne, po trzynastu latach milczenia, do opowiedzenia tej kobiecie o tym, jak strasznie zawiódł ją Warren i jak straciła dziecko, którego się spodziewali.

Kiedy skończyła swoją relację, Helen Bentley pozbyła się resztek wątpliwości. Delikatnie przyciągnęła Inger Johanne do siebie, objęła ją i zaczęła gładzić po plecach. Gdy płacz Inger Johanne wreszcie ucichł, wstała i cicho poprosiła o możliwość skorzystania z komputera.

5

To sam Abdallah al-Rahman wymyślił nazwę „Troja”. Pomysł szczerze go rozbawił. Nazwa w zasadzie nie była w ogóle potrzebna, ale bardzo ułatwiła nakłonienie Madam President do opuszczenia pokoju hotelowego. Odkąd stało się wiadome, że Helen Bentley w połowie maja jedzie do Norwegii, nękał amerykański wywiad taktyką partyzancką.

Błyskawiczny wypad. I równie szybki odwrót.

Przekazywane przez niego informacje były fragmentaryczne i w zasadzie nic niemówiące. Mimo to świadczyły o tym, że coś się dzieje. Dzięki sprytnemu użyciu takich wyrażeń jak „od wewnątrz”, „nieoczekiwany atak wewnętrzny”, a na dodatek słowa „koń” w notatce znalezionej przez CIA przy zwłokach wyrzuconych na brzeg morza we Włoszech, Abdallah ściągnął ich dokładnie tam, gdzie chciał. Kiedy informacja dotarła do Warrena Scifforda i jego ludzi, połknęli haczyk. Stało się na nazwie „Troja”, tak jak to sobie wymyślił.

Niedawno Abdallah wrócił do biura po konnej przejażdżce. Poranek na pustyni uważał za jedno z najpiękniejszych doznań. Koń mógł się porządnie wybiegać, a później obaj, i on, i ogier wykapali się w sadzawce pod palmami koło stajni. Koń był jednym z najstarszych w stajni i miło było poczuć, że wciąż ma w nogach prędkość, sprężystość i radość życia.

Dzień zaczął się dobrze. Abdallah już zdążył załatwić sporą część zwykłych interesów. Odpowiedział na e-maile,

przeprowadził telekonferencję, przeczytał nieciekawe sprawozdanie zarządu. W miarę jak poranek przechodził w przedpołudnie, zorientował się, że jest trochę zmęczony. Zwięźle poinformował sekretariat, żeby mu nie przeszkadzano, i wylogował się z komputera.

Niemy plazmowy ekran na ścianie był ustawiony na CNN.

Na drugiej ścianie wisiała ogromna mapa Stanów Zjednoczonych.

Powbijano w nią mnóstwo szpilek z kolorowymi łepkami.

Abdallah swobodnym krokiem podszedł do mapy i zaczął prześwadczać po niej ręką. Zatrzymał się na Los Angeles.

To jest być może Erie Ariyoshi, pomyślał Abdallah al-Rahman, lekko głaszcząc palcem żółty łepkę szpilki. Erie zaliczał się do *sensei*, trzeciego pokolenia Amerykanów pochodzenia japońskiego. Czterdziestopięciolatek, nie miał rodziny. Żona opuściła go w 1983 roku po czterech tygodniach małżeństwa, kiedy stracił pracę, i od tamtej pory mieszkał z rodzicami. Erie Ariyoshi mimo wszystko nie pozwolił się złamać. Podejmował się różnych zajęć dorywczych, jakie tylko mógł zdobyć, aż do czasu, gdy jako trzydziestolatek ukończył szkołę wieczorową i został fachowcem od montowania kabli.

Prawdziwy kryzys przyszedł, gdy umarł jego ojciec.

Podczas drugiej wojny światowej ojciec Erica został internowany na Zachodnim Wybrzeżu. Wówczas zaledwie chłopiec, wraz z rodzicami i dwiema małymi siostrami przesiedział w obozie jenieckim trzy lata. Większość internowanych nigdy nie zrobiła nic złego. Od urodzenia byli dobrymi Amerykanami. Jego matka, a babka Erica, zmarła, zanim uwolnili całą rodzinę w czterdziestym piątym. Ojciec Erica nigdy się z tym nie pogodził. Kiedy dorósł i osiedlił się na obrzeżach Los Angeles, gdzie prowadził niedużą kwiaciarnię, z której dochód ledwie starczał na życie dla niego, żony i dwojga dzieci, zaczął się procesować z państwem amerykańskim. Proces się przeciągał. I okazał się bardzo kosztowny.

Gdy ojciec Erica zmarł w 1994 roku, okazało się, że spadek po zmarłym składa się z samych długów. Wszystkie dochody Erica od blisko piętnastu lat pochłaniała spłata rat za domek, który stanowił teraz własność banku, a Erie jeszcze raz musiał zaczynać wszystko od początku. Sprawa wytoczona państwu amerykańskiemu o bezpodstawne internowanie skończyła się fiaskiem. Słuchanie rad coraz droższych adwokatów przyniosło staremu Danielowi Ariyoshi jedynie życie pełne rozgoryczenia i śmierć w kompletnej ruinie finansowej.

Z raportów wynikało, że Erie łatwo dał się namówić do współpracy.

Oczywiście, chciał pieniędzy. Dużo pieniędzy, licząc według jego skromnej miary, ale też i w pełni na nie zasłużył.

Abdallah przesunął palec do kolejnej szpilki.

W przeciwieństwie do Osamy bin Ladena nie chciał wykorzystywać fanatycznych samobójców do podkładania bomb i ataków na Stany Zjednoczone, których nienawidzili i nigdy nie zrozumieli.

On, Abdallah, zaczął budować milczącą armię Amerykanów. Niezadowolonych, zdradzonych, uciemżonych, oszukanych Amerykanów, zwykłych ludzi, należących do tego kraju. Wielu z nich tutaj się urodziło. Byli obywatelami USA, ale ojczyzna nigdy nie nagrodziła ich niczym innym niż zdrada i upokorzenie.

- *The spring of four discontent* - szepnął Abdallah.

Zatrzymał palec przy zielonej szpilce koło Tucson w stanie Arizona. Być może oznaczała Jorge Gonzalesa, którego najmłodszego syna zastrzelił zastępca szeryfa podczas napadu na bank. Chłopczyk miał sześć lat i przypadkiem przejeżdżał tamtędy na rowerze. W lokalnej prasie szeryf oświadczył buńczucznie, że jego zastępca wziął chłopca za jednego z rabusiów, a poza tym w zamieszaniu wszystko odbyło się bardzo szybko.

Mały Antonio miał cztery stopy i dwa cale wzrostu, a kiedy został zastrzelony, znajdował się w odległości sześciu metrów

od policjanta. Siedział na zielonym dziecięcym rowerku i był ubrany w trochę za duży T-shirt ze Spidermanem na plecach.

Nikt nigdy nie został za to ukarany.

Nie wniesiono nawet oskarżenia.

Ojciec - który pracował w supermarkecie Wal-Mart, odkąd jako trzynastolatek przyjechał do krainy swoich snów z Meksyku - nigdy nie pogodził się ze śmiercią synka oraz brakiem szacunku ze strony tych, których obowiązkiem była ochrona jego rodziny. Gdy otrzymał propozycję sumy umożliwiającej mu powrót do ojczyzny, i to jako człowiek zamożny, w zamian za przysługę, która nie budziła żadnych zastrzeżeń, chętnie skorzystał z tej szansy.

Abdallah mógłby ciągnąć takie opowieści długo.

Każda kolejna szpilka oznaczała los jeszcze jednego człowieka, jeszcze jedno życie. Oczywiście, żadnego ze swoich sprzymierzeńców nigdy nie poznał osobiście, a oni nie wiedzieli, kim on jest, i nigdy nie mieli się dowiedzieć. Mniej więcej trzydziestoosobowa grupa ludzi, która od 2002 roku pracowała nad rekrutowaniem owej armii, budowanej ze straconych nadziei i rozwianych złudzeń, również nie wiedziała, skąd pochodzą rozkazy i pieniądze.

Czerwone refleksy z ekranu telewizyjnego kazały Abdallahowi się odwrócić.

Pokazywano pożar.

Wrócił do biurka i włączył głos.

.. .pożar stodoły w pobliżu Fargo. Już drugi raz w ciągu dwunastu godzin nielegalny magazyn benzyny pali się w tej okolicy. Miejscowe władze twierdzą, że...

A więc Amerykanie już zaczęli chomikować paliwo.

Abdallah usiadł. Położył nogi na olbrzymim biurku i sięgnął po butelkę wody mineralnej.

Z powodu cen benzyny szybujących w górę w ciągu zaledwie kilku godzin i ponurych wiadomości o wymianie coraz ostrzejszych dyplomatycznych not z krajami Bliskiego Wschodu, ludzie

w panice ruszali po zapasy paliwa. W Stanach Zjednoczonych wciąż trwała noc, a mimo to zdjęcia pokazywały kolejki rozszoszczonych kierowców w samochodach wyładowanych kanistrami, wiadrami, starymi beczkami po nafcie i plastikowymi pojemnikami. Reporter, który stanął przed półciężarówką zbliżającą się wreszcie do pomp, musiał uskoczyć na bok, żeby nie zostać przejechanym.

- Oni nie mogą ot tak, po prostu, uniemożliwić nam zakupu benzyny! - wrzeszczał otyły farmer do kamery. - Skoro władze nie potrafią zadbać o przyzwoite ceny paliwa, to my mamy prawo stosować własne zasady!

- Co zamierza pan w tej sytuacji zrobić? - spytał dziennikarz, a kamera przesunęła się na dwóch młodych mężczyzn, bijących się o kanister.

- Najpierw napełnię to! - zawołał farmer i walnął ręką w jedną z pięciu beczek po ropie, ustawionych na ciężarówce. - A potem opróżnię je do mojego nowego silosu. Będę jeździł po naszym stanie przez całą noc i cały jutrzejszy dzień, dopóki jeszcze gdzieś zostanie kropla benzyny!

Dźwięk ucięto, reporter zdezorientowany spojrział w kamerę. Reżyser błyskawicznie przełączył do studia.

Abdallah opróżnił butelkę i spojrział na mapę ze szpilkami. Ze wszystkimi swoimi żołnierzami.

Oni nie mieli nic wspólnego z ropą czy benzyną. Większość z nich pracowała w telewizji kablowej.

Wielu też było zatrudnionych w sieciach Sears albo Wal-Mart.

Pozostali znali się na komputerach. Byli wśród nich młodzi hakerzy, gotowi na wszystko za niewielkie pieniądze, a także bardziej doświadczeni programiści. Niektórzy stracili pracę, bo uznano ich za zbyt starych. W przemyśle nie było już miejsca dla wiernych, gotowych do ciężkiej harówki pracowników, którzy uczyli się komputerów jeszcze wtedy, gdy wykorzystywało się karty perforowane, i omal ducha nie wyzionęli, żeby dotrzymać kroku rozwojowi technologicznemu.

Najwspanialsze z tego wszystkiego, pomyślał Abdallah, sięgając po zdjęcie zmarłego brata Rashida, jest to, że żaden z łepków od szpilki nie wie o innych. Wktad każdego z nich sam w sobie był niewielki. Bagatelka. Ot, wykroczenie, którego popełnienie warto zaryzykować dla solidnego wynagrodzenia.

Ale suma tych działań miała przynieść fatalne skutki.

Ofiarą padnie nie tylko ogromna liczba *headends*, instalacji, z których pobierano sygnał telewizyjny i przesyłano dalej do abonentów. Bezzałogowe urządzenia okazały się celem łatwiejszym, niż Abdallah sobie wyobrażał. Również wzmacniacze sygnału i kable zostaną narażone na sabotaż w takim zakresie, że ich naprawa zapewne potrwa tygodnie, a może nawet miesiące.

W tym czasie wściekłość będzie narastać.

Jeszcze gorzej się stanie, kiedy przestaną funkcjonować systemy bezpieczeństwa i urządzenia kasowe największych sieci supermarketów. Atak na handel detaliczny miał być przeprowadzany stopniowo, szybkimi uderzeniami na wybrane obszary, po których następować będą kolejne, w innych rejonach, nieprzewidywalne pod względem strategicznym, jakby dokonywała ich skutecznie działająca partyzantka.

Niewidzialna armia Amerykanów rozrzuconych po całym kontynencie i nic niewiedzących o sobie nawzajem otrzymała dokładne instrukcje, co powinni zrobić, gdy padnie sygnał.

Miało to nastąpić jutro.

Opracowanie szczegółowej strategii zabrało Abdallahowi tydzień. Siedział tu, w tym gabinecie, nad długimi listami rekrutów. Przesuwał ich po mapie, obliczał i kalkulował. Oceniał siłę uderzenia i maksymalny efekt. Kiedy w końcu przelał wszystko na papier, pozostawało jedynie sprowadzenie do Rijadu Toma O'Reilly.

I Williama Smitha. I Davida Coacha.

Wezwał trzech kurierów. Przebywali w pałacu jednocześnie, nie wiedząc o swojej obecności. Różnymi samolotami, odlatującymi w odstępach zaledwie półgodzinnych, zostali odesłani do Europy.

Abdallah **uśmiechnął się, myśląc o tym, i delikatnie pogładził** zdjęcie brata.

Nigdy **nie** można być pewnym niczego na świecie, lecz poświęcił swoje trzy najwyższe karty, by uzyskać możliwie największą szansę na to, że przynajmniej jeden z listów dotrze do wybranej amerykańskiej skrzynki pocztowej.

Wykorzystał trzech kurierów i wszyscy trzej zginęli tuż po wysłaniu identycznych listów. Koperty miały tego samego adresata, a treść nic by nikomu nie powiedziała. Nawet gdyby wbrew przewidywaniom listy gdzieś zabłądziły.

Niestety, właśnie w tym tkwił najsłabszy punkt planu: jeden i ten sam adresat.

Jak każdy dobry generał, Abdallah znał swoje mocne strony i słabości. Na siłę składały się przede wszystkim jego cierpliwość, ogromne pieniądze i fakt, że pozostaje niewidzialny. To ostatnie stanowiło jednocześnie jego największą słabość. Był uzależniony od działania za pośrednictwem wielu ogniów i podstawionych osób, z wykorzystaniem elektronicznych dróg okrężnych, manewrów przykrywkowych, a czasami fałszywych tożsamości.

Abdallah al-Rahman był szanowanym biznesmenem. Przeważającą część swych interesów prowadził legalnie, mógł więc korzystać z pomocy najlepszych pośredników w Europie i w Stanach. Otaczała go wprawdzie tajemnicza aura niedostępności, lecz nigdy nikt ani nic nie podważało jego opinii kapitalisty, inwestora i gracza giełdowego.

I tak miało pozostać.

Ale potrzebował sprzymierzeńca. Jednego wtajemniczonego.

Operacja „Troja” była zbyt skomplikowana, by dało się nią sterować na odległość, a ponieważ żaden ślad nie mógł prowadzić do niczego, co znajdowało się w pobliżu Abdallaha, on sam nie odwiedzał Stanów od ponad dziesięciu miesięcy.

Pod koniec czerwca 2004 roku uczestniczył w spotkaniu z kandydatką demokratów na prezydenta. Robiła wrażenie usposobionej

przychylnie. Arabian Port Management budził podziw tej kobiety, Abdallah od razu to poznał. Spotkanie trwało pół godziny dłużej, niż zaplanowano, ponieważ kandydatka chciała dowiedzieć się czegoś więcej o spółce. W samolocie powrotnym do Arabii Saudyjskiej po raz pierwszy od śmierci brata pomyślał, że może nie będzie potrzeby wprowadzania całego planu w życie; niewykluczone że tych trzydzieści lat, poświęconych na drobiazgowo planowanie, układanie strategii i utrzymywanie siatki uspioanych agentów w całych Stanach Zjednoczonych pójdzie na marne. Dotknął czołem okna prywatnego odrzutowca i zapatrzył się w pokrywę chmur w dole, zabarwioną na intensywny róż przez słońce, od którego się oddalali. To nie ma żadnego znaczenia, pomyślał. W życiu jest mnóstwo inwestycji, które nie przynoszą zysku. Przejęcie kontroli nad prowadzącą liczbą amerykańskich portów i tak będzie warte zachodu.

Ona właściwie wówczas już obiecała mu kontrakt.

A potem go zdradziła. Dla zwycięstwa w wyborach.

Istniał odbiorca listów, człowiek, który miał uruchomić całą akcję według szczegółowych planów. Abdallah ufał swemu pomocnikowi. Długo się znali. Od czasu do czasu przykro mu się robiło na myśl, że nawet i ta ostatnia wątła więź, łącząca go ze Stanami Zjednoczonymi, będzie musiała zostać zerwana, gdy tylko operacja „Troja” zostanie zrealizowana.

Abdallah delikatnie przetarł rękawem koszuli szkło w ramce, zanim odstawił fotografię Rashida z powrotem na biurko.

Wprawdzie ufał Fayedowi Muffasie, ale z drugiej strony, nie lubił być zmuszonym do ufania żywym.

6

- Weil, isn't this a Kodak moment?

Prezydent Helen Bentley siedziała na krześle z Ragnhild na kolanach. Dziewczynka spała. Jasne włoski miała odgarnięte do tyłu,

buzię szeroko otwartą, a pod cieniutkimi powiekami gałki oczne poruszały się szybko z boku na bok. Pochrapywała leciutko.

- Nie chodziło o to, żeby...

Matka wyciągnęła ręce po dziecko.

- Zostaw mi ją - powiedziała Helen Bentley. - Potrzebowałam chwili przerwy.

Przesiedziała przy komputerze ponad trzy godziny. Sytuacja była, delikatnie mówiąc, poważna. Znacznie poważniejsza, niż sobie to Helen wyobrażała. Lęk przed tym, co może się wydarzyć, gdy za kilka godzin nastąpi otwarcie giełdy nowojorskiej, był ogromny, a media w ciągu ostatniej doby bardziej interesowały się gospodarką niż polityką. Jeśli w ogóle da się te dwie sprawy rozdzielić, pomyślała Helen Bentley. W niemal wszystkich dostępnych stacjach telewizyjnych i internetowych wydaniach gazet wciąż przekazywano opinii publicznej aktualne informacje z Oslo na temat wprowadzenia pani prezydent. W pewnym sensie jednak losy Helen Bentley zostały zepchnięte na obrzeża ludzkiej świadomości. Teraz ważniejsze stały się sprawy podstawowe: ropa, benzyna, kursy walut i miejsca pracy. W wielu miejscach doszło do demonstracji, niemal zamieszek, a dwa pierwsze samobójstwa na Wall Street już stały się faktem. Rządy Arabii Saudyjskiej i Iranu zaciekle protestowały. Jej własny sekretarz stanu musiał wielokrotnie uspokajać świat, że łączenie tych dwóch krajów z porwaniem pani prezydent nie ma żadnego poparcia w faktach.

Po jego wczorajszym oświadczeniu niedługo panowała cisza. Konflikt szybko jeszcze bardziej się zaostrzył.

Helen Bentley na razie ograniczała się do surfowania po stronach dostępnych dla ogółu. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała wejść na te strony, od których w Białym Domu natychmiast rozdzwonią się dzwonki alarmowe, lecz chciała się z tym wstrzymać jak najdłużej. Wciąż czuła pokusę utworzenia konta na hotmailu i wysłania uspokajającej wiadomości na pry-

watną skrzynkę Christophera. Na szczęście **miała dość sił, by się jej oprzeć.**

Nadal zbyt wielu rzeczy nie rozumiała.

Już samo to, że Warren prowadził podwójną grę, było dostatecznie niepojęte. Życie nauczyło ją jednak, że ludzie od czasu do czasu potrafią fiknąć koziołka. Jeśli ścieżki Boga są niezbadane, to cóż dopiero można powiedzieć o ścieżkach śmiertelników.

Nie potrafiła zrozumieć fragmentu o dziecku.

W liście, który pokazał jej Jeffrey Hunter o świcie tamtego dnia, odległego już o całe wieki, napisano, że wiedzą. Że Trojanie wiedzą o dziecku. Było tam coś takiego. Za nic nie potrafiła sobie przypomnieć dokładnie tych słów. Kiedy je czytała, przed oczami stanęła jej nagle biologiczna matka jej córki, ubrana na czerwono postać w deszczu, kobieta o szeroko otwartych oczach, błagająca o pomoc, której się nie doczekała.

Malutka Ragnhild usiłowała się obrócić.

Dziecko było śliczne. Miało jasne, delikatne jak puch włosy, bielusińkie ząbki, czerwone, wilgotne usteczka, a rzęsy długie i pięknie wygięte.

Przypominało Billie.

Helen Bentley uśmiechnęła się i ułożyła dziewczynkę wygodniej. Cóż to za niezwykle miejsce. Jaka cisza. 2 dala dobiegał szum tego świata, przed którym się ukryła. Tu, wewnątrz, siedziało pięć osób i nie rozmawiało ze sobą.

Dziwaczna gosposia ulokowała się pod oknem. Szydełkowała. Od czasu do czasu cmokała ze złością, zerkając na ogromny dąb. Potem mamrotała coś do siebie bezgłośnie i znów wracała do swojej jaskraworóżowej robótki.

Matka dziecka była niezwykłą kobietą. Kiedy opowiadała historię o Warrenie, mogło się wydawać, że nigdy wcześniej z nikim się nią nie dzieliła. Helen czuła, że to jej do siebie zbliżyło.

Paradoksalnie, ponieważ jej tajemnica dotyczyła własnej zdrady, Inger Johanne natomiast została zdradzona.

My, kobiety, i nasze przekłete tajemnice, pomyślała. Dlaczego tak jest? Dlaczego odczuwamy wstyd bez względu na to, czy mamy do tego powody, czy nie? Skąd się bierze to przytłaczające poczucie nieustannej winy?

Kobieta na wózku pozostawała nieodgadniona.

Siedziała teraz po drugiej stronie kuchennego stołu z gazetą na kolanach i filiżanką w ręku. Ale chyba nie czytała. Gazeta wciąż była otwarta na tych samych stronach co kwadrans wcześniej.

Helen nadal nie całkiem rozumiała, kto był z kim związany w tym domu. Z jakiegoś powodu jednak wcale jej to nie przeszkadzało. Kiedy indziej tak u niej silna potrzeba kontroli nad wszystkim uczyniłaby tę sytuację nieznośną. Tymczasem teraz czuła się spokojna, jak gdyby wśród tych tajemniczych konstelacji jej własny niespodziewany pobyt tutaj wydawał się bardziej naturalny.

Kobiety nie zadały jej ani jednego pytania, odkąd obudziła się o świcie. Ani jednego.

Niewiarygodne.

Dziecko na jej kolanach usiadło. Przez moment poczuła zapach mleka i snu, ale zaspana dziewczynka zaraz popatrzyła na nią nieufnie i powiedziała:

- Mama. Do mamy.

Gospościa podniosła się szybko mimo swego wychudzenia i kalectwa.

- Chodź do cici Marry. Poszukamy zabawek Idy. A panie niech tu sobie dalej siedzą z gębami na kłódkę.

Ragnhild roześmiała się, wyciągając do niej rączki.

wyszły do salonu. Głosik gaworzącego dziecka i mamrotanie gospoście stawały się coraz cichsze, aż w końcu całkiem umilkły w głębi mieszkania.

Najwyraźniej matka i córka muszą tu często bywać, pomyślała Helen Bentley Dziecko uwielbia tę starą czarownicę.

Musi wrócić do komputera. Konieczne jest dotarcie w jakiś sposób do brakujących ogniw. Trzeba szukać dalej. Gdzieś w tym chaosie informacji krążących w cyberprzestrzeni powinna znaleźć odpowiedź, zanim sama się ujawni i pozwoli, by świat wrócił na zwykłą orbitę.

Oczywiście, nic z tego nie będzie, dopóki nie wejdzie na własne strony.

Zorientowała się, że wpatruje się w swoje dłonie. Skórę miała wysuszoną, jeden paznokieć złamany. Obrączka wydawała się za duża, dawała się luźno obrócić. Mogła się zsunąć z palca.

Helen wolno podniosła głowę.

Kobieta na wózku patrzyła na nią. Miała najdziwniejsze oczy, jakie Helen Bentley widziała. Niebieskie jak lód, niemal bezbarwne, lecz jednocześnie głębokie i ciemne. Z jej spojrzenia nie dało się niczego wyczytać, żadnych pytań, żadnych żądań. Nic. Kobieta po prostu siedziała i patrzyła na nią. W Helen Bentley wzbudziło to niepokój, próbowała więc spuścić wzrok. Okazało się to niemożliwe, Hannę przytrzymała ją spojrzeniem.

- Podeszli mnie - wyznała Helen cicho. - Wiedzieli, co zrobić, żeby wzbudzić we mnie panikę. Zgodziłam się iść z nimi.

- Powiesz mi, co się stało? - spytała Hannę Wilhelmsen, wolno składając gazetę.

- Chyba muszę - odparła Helen Bentley, zaczerpnąwszy głęboko tchu. - Nie mam wyboru.

7

- I to wszystko, co masz do powiedzenia? - Szef służby bez pieczęstwa Peter Salhus do niezadowolonej miną podrapał się po ostrzyżonej na jeża głowie.

Yngvar Stub0 rozłożył ręce, próbując wygodniej usiąść na niewygodnym krześle. Odbiornik telewizyjny na szafce z dokumentami

był włączony, ale trzeszczący dźwięk **przyciszono, a poza tym Yngvar** widział to już cztery razy.

- Poddaję się - oświadczył. - Po wczorajszym wieczornym incydencie z Warrena Scifforda nie daje się nic wyciągnąć. Zaczynam wierzyć plotkom, że FBI porusza się swoim własnym torem. W kantine ktoś twierdził, że w nocy włamali się nawet do jakiegoś mieszkania. Na Huseby. Czy raczej do willi.

- To tylko plotki - mruknął Peter Salhus i wyciągnął szufladę. - Pozwalają sobie na wiele, ale wiedzą, że nie mogą się tu swobodnie bawić w kowbojów. Otrzymalibyśmy raport, gdyby do czegoś takiego rzeczywiście doszło.

- Bóg jeden wie. Uważam, że to wszystko jest okropnie frustrujące.

- Ale co? To, że Amerykanie tak się panoszą na cudzym terytorium?

- Nie. A zresztą tak. Ale... Ach, dziękuję! - Wyciągnął rękę do czerwonego pudełka, które podsunął mu Peter Salhus. Z wielką ostrożnością, jakby przyjmował drogocenny skarb, wziął stamtąd grube cygaro i wpatrywał się w nie przez kilka sekund, zanim podsunął je pod nos.

- CAO Maduro No. 4 - powiedział uroczyście, -*Sopranos*. Ale... czy tutaj wolno palić?

- Stan wyjątkowy - odparł Salhus krótko, wyjął gilotynę i pudełko długich zapalek. - Z całym szacunkiem, ale gównu mnie obchodzi wszelkie zakazy.

Yngvar roześmiał się głośno i wprawnie przygotował cygaro, zanim je zapalił.

- Chciałeś coś powiedzieć - przypomniał Peter Salhus, odchylając się na krześle.

Miękkie kłęby dymu z cygara uniosły się pod sufit. Wciąż było jeszcze wczesne przedpołudnie, ale Yngvar nagle poczuł się senny jak po obfitym obiedzie.

- Wszystko - mruknął, wydmuchując kółko z dymu.

- Słucham?

-Wszystko mnie frustruje. Mamy Bóg wie ilu ludzi szukających rozwiązania zagadki, kto porwał panią prezydent i jak do tego doszło, a w gruncie rzeczy to bez znaczenia.

- Oczywiście, że to ma znaczenie. Przecież...

- Patrzyłeś ostatnio w to pudło? - Yngvar ruchem głowy wskazał telewizor. - To wszystko zmieniło się w wielką politykę.

- A czego się spodziewałeś? Że ta sprawa zostanie potraktowana jak każde inne pierwsze lepsze zaginięcie?

- Nie. Ale dlaczego właściwie my zaharowujemy się, ścigając tego taniego drania, Gerharda Skrodera, i Pakistańczyka, który robi w portki, ledwie na niego spojrzymy, skoro Amerykanie już i tak przesądzili o tym, co się wydarzyło?

Salhus wydawał się rozbawiony. W milczeniu wsunął cygaro do ust i położył nogi na stole.

- Chodzi mi o to... - ciągnął Yngvar, rozglądając się za czymś, co mogłoby posłużyć za popielniczkę - ...że wczoraj wieczorem trzech ludzi przez pięć godzin układało puzzle ukazujące, jak Jeffrey Hunter schował się w kanale wentylacyjnym. To było skomplikowane. Mnóstwo luźnych elementów. Kiedy apartament prezydencki był ostatnio sprawdzany, kiedy przyszły psy, kiedy odkurzano z uwagi na alergię pani prezydent, kiedy zostały włączone i wyłączone kamery, kiedy wyszli... Sam rozumiesz. W końcu im się to udało. Ale jaki jest sens tego wszystkiego?

- Sens jest taki, że mamy sprawę, którą trzeba rozwiązać.

- Amerykanów nic to nie obchodzi. - Nieufnie popatrzył na plastikowy kubek, który podał mu Salhus. W końcu wzruszył ramionami i delikatnie strzepnął do niego popiół. - Policja z Oslo zwija jednego bandytę po drugim - ciągnął. - I okazuje się, że wszyscy byli zamieszani w to porwanie. Znaleźli tego drugiego kierowcę. W ich szpony wpadła nawet jedna z kobiet, które udawały panią prezydent. Nikt z zatrzymanych nie ma do powiedzenia nic oprócz tego, że dostali zlecenie do wykonania w zamian za duże pieniądze.

Nie wiadomo skąd. Zanim dzień minie, będziemy mieć piwnicę pełną cholernych porywaczy.

Peter Salhus śmiał się głośno i serdecznie.

- Tylko kto w ogóle jest tym zainteresowany? - spytał Yngvar retorycznie, pochylając się nad biurkiem. - Czy Drammensveien wykazuje bodaj cień zainteresowania tym, co robimy? Czy ma ochotę przyjąć od nas chociaż okruchy informacji? Nie, nie. Robi swoje, bawi się w Teksas, podczas gdy świat na zewnątrz kompletnie wypada z szyn. Ja się poddam. Po prostu się poddam.

Znów zaciągnął się cygarem.

- Masz opinię flegmatyka - przypomniał Salhus. - Podobno jesteś najbardziej opanowanym człowiekiem w całej Kripos. Muszę stwierdzić, że twoja renoma wydaje się teraz raczej niezasłużona. Co mówi o tej sprawie twoja żona?

- Moja żona? Inger Johanne?

- A masz jakąś inną?

- Nie wypowiada się na ten temat.

- Z tego, co wiem, zrobiła doktorat z kryminologii, a w przeszłości miała jakieś związki z FBI. - Salhus podniósł ręce do góry w obronnym geście. - Podejrzewam, że potrafiłaby wydać jakąś opinię w tej sprawie.

- Możliwe. - Yngvar zapatrzył się w drobinki popiołu, które spadły mu na spodnie. - Ale, prawdę mówiąc, nie wiem, co ona myśli.

- Tak to jest. - Peter Salhus przesunął plastikowy kubek jeszcze bliżej Yngvara. - W ciągu ostatnich dni żaden z nas prawie nie był w domu.

- Tak to jest - powtórzył Yngvar i zgaślił cygaro, nim wypaliło się do końca, jakby uważał, że zakazana przyjemność nie może trwać za długo.

Była już za dwadzieścia jedenasta, a Inger Johanne wciąż się nie odzywała.

Inger Johanne nie miała pojęcia, która jest godzina. Czują się przeniesiona w inną rzeczywistość. Szok na widok zmaltretowanej pani prezydent, przyprowadzonej poprzedniego wieczoru przez Marry, zmienił się w poczucie absolutnego oderwania od wszystkiego, co dzieje się na zewnątrz, poza ścianami mieszkania na Kruses gate. Od czasu do czasu Inger Johanne oglądała wiadomości w telewizji, ale po gazety nie wychodziła.

Mieszkanie było zamkniętą twierdzą. Nikt nie przychodził, nikt nie wychodził. Jakby stanowcza decyzja Hannę o spełnieniu prośby pani prezydent, by nie podnosić alarmu, sprawiła, że otoczyła je fosa. Inger Johanne musiała sobie przypominać, czy jest poranek, czy wieczór.

- I\i musi chodzić o coś innego - oświadczyła nagle. - Skupiłaś całą uwagę na niewłaściwej tajemnicy.

Wcześniej długo milczała. Po cichu przysłuchiwała się dwóm pozostałym kobietom. Śledziła chwilamiżywioną, kiedy indziejrefleksyjną i pełną wahań wymianę zdań Helen Bentley z HannęWilhelmsen, sama nie włączając się w nią ani na moment, tak że mogły zapomnieć o jej obecności.

Hannę uniosła brwi. Helen Bentley je ściągnęła z niedowierzającą miną, przez co oko w zranionej części twarzy się zamknęło.

- Co masz na myśli? - spytała Hannę.

- Że chodzi o inną tajemnicę.

- Nie rozumiem - oznajmiła Helen Bentley, odchylając się i krzyżując ręce na piersi, jak gdyby nagle urażona. - Słyszę, co mówisz, ale co to właściwie znaczy?

Inger Johanne odstawiła filiżankę i wsunęła włosy za ucho. Przez chwilę wpatrywała się w jakiś punkt na stole, wstrzymując oddech, jakby nie bardzo wiedziała, od czego zacząć.

- My, ludzie, wszystko odnosimy do siebie - odezwała się wreszcie z rozbrajającym uśmiechem. - A kobiety chyba szczególnie.

Musiała się zastanowić. Przechyliła głowę i nawinęła kosmyk włosów na palec. Hannę i Helen wciąż patrzyły na nią nieufnie. Gdy Inger Johanne podjęła wątek, głos miała niższy niż zwykle.

- Mówisz, że obudził cię ten Jeffrey, którego znałaś. Oczywiście, byłaś bardzo zaspana. W pierwszej chwili poczułaś się dezorientowana. Całkowicie dezorientowana. To nic dziwnego. Sytuacja musiała ci się wydawać bardzo... niezwykła. - Inger Johanne zdjęła okulary i zmrużyła oczy krótkowidza. - Pokazał ci list. Nie pamiętasz dokładnie jego treści. Pamiętasz jedynie, że wpadłaś w panikę.

- Nie - zaprzeczyła zdecydowanie Helen Bentley. - Pamiętam, że...

- Chwileczkę. - Inger Johanne podniosła rękę. - Bardzo cię proszę, najpierw zechciej mnie wysłuchać. Tak naprawdę właśnie o tym mówisz. Przez cały czas podkreślasz, że wpadłaś w panikę. Tak, jakbyś... przeskakiwała jakiś element. Jakbyś... tak bardzo się wstydziła, że nie poradziłaś sobie z sytuacją, że nie jesteś nawet w stanie w całości jej odtworzyć.

Inger Johanne gotowa była się założyć, że na twarz pani prezydent z wolna występuje rumieniec.

- Helen - powiedziała, wyciągając do kobiety rękę.

Po raz pierwszy zwróciła się do pani prezydent po imieniu. Jej zwrócona wnętrzem do góry dłoń pozostała jednak na blacie osamotniona. Szybko ją cofnęła.

-Jesteś prezydentem Ameryki. Już wcześniej byłaś na wojnie, i to dosłownie.

Po twarzy Helen Bentley przemknął cień uśmiechu.

- Panika w takiej sytuacji - kontynuowała Inger Johanne z na myśłem - nie przystoi prezydentowi. W twojej opinii. Za surowo się osądzasz, Helen. Nie rób tego. To nie ma sensu. Nawet taka osoba jak ty ma swoje słabe punkty. Wszyscy je mamy. Fatalne

w tej sprawie jest po prostu to, że uznałaś, iż oni odkryli twój czuły punkt. Spróbujmy cofnąć się o krok. Zobaczmy, co się wydarzyło w sekundach poprzedzających twoje uczucie, że świat się wali.

- Przeczytałam list od Warrena - powiedziała krótko Helen Bentley.

- Tak. I było tam coś o dziecku. Więcej nie pamiętasz.

- Owszem. Że wiedzą. Że Trojanie wiedzą. O dziecku.

Inger Johanne zaczęła czyścić okulary serwetką, która musiała być zatłuszczona, bo kiedy je włożyła, ujrzała pokój jakby przez mglisty filtr.

- Helen... - zaczęła jeszcze raz - ..rozumiem, że nie możesz nam powiedzieć, o co chodzi w tej trojańskiej historii. W pełni szanuję również to, że chcesz zachować dla siebie tajemnicę doty czącą dziecka, tę, o której, jak sądzisz, oni wiedzą. I przez którą się pogubiłaś. Ale czy możliwe... czy może być...

Zawahała się i skrzywiła twarz.

- Strasznie kręcisz - zauważyła Hanę.

-Wiem.

Inger Johanne spojrzała na Helen Bentley.

- Czy to możliwe, że w pierwszym odruchu pomyślałaś o tej tajemnicy... - powiedziała szybko, żeby kobiety jej nie przerwały - ..pomyślałaś właśnie o niej, dlatego że właśnie ta jest najgorsza? Najpaskudniejsza?

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz - oświadczyła Helen Bentley.

Inger Johanne podeszła do zlewu. Wycisnęła po kropelce płynu do naczyń ZALO na każde ze szkielek, odkręciła ciepłą wodę i przemyła okulary palcami.

- Mam drugą córkę, prawie jedenastoletnią - zaczęła znów, starannie wycierając szkła. - Jest niepełnosprawna umysłowo. Nie bardzo wiemy, co jej dolega. Ona jest... moim najczulszym punktem. Stale mi się wydaje, że nie dość dobrze się nią zajmuję.

Że za mało się o nią troszcze, że nie potrafię sobie z nią poradzić. Jestem bardzo przewrażliwiona na jej punkcie. Dlatego odnoszę wszystko do siebie: kiedy przypadkiem usłyszę fragment rozmowy o nienależytej opiece, od razu mi się wydaje, że chodzi właśnie o mnie. Kiedy oglądam w telewizji program o stosowanej w Stanach cudownej terapii dla ludzi cierpiących na autyzm, czuję się złą matką, która nie spróbowała podobnego leczenia. Ta informacja zmienia się w osobisty wyrzut wobec mnie. Nie śpię potem całą noc i czuję się okropnie.

I Helen Bentley, i Hannę uśmiechnęły się. Inger Johanne znów usiadła przy stole.

- Same widzicie - powiedziała, odpowiadając im uśmiechem.

- Do was także się to odnosi. Wszyscy w mniejszym lub większym stopniu tacy jesteśmy. I wydaje mi się, że ty, Helen, pomyślałaś o tej tajemnicy, która stanowi twój najczulszy punkt. Ale list wcale nie jej dotyczył. Dotyczył czegoś innego. Może jakiejś innej tajemnicy. Albo innego dziecka.

- Innego dziecka? - powtórzyła pani prezydent zdumiona.

- Tak. Uparcie twierdzisz, że nikt, absolutnie nikt nie mógł wiedzieć o... o tym zdarzeniu, tak odległym w czasie. Nawet twój mąż. Logiczne jest więc... - Inger Johanne przechyliła się nad stołem.

- Hannę, przez tyle lat pracowałaś w policji. Czy to nie rozsądne przyjąć, że skoro coś jest niemożliwe, to... to jest po prostu nie możliwe? Trzeba wtedy szukać innego rozwiązania.

- Aborcja - powiedziała Helen Bentley.

Cisza, która zapadła, trwała krepująco długo. Helen Bentley spoglądała przed siebie nieruchomym wzrokiem. Usta miała półotwarte, czoło przecięła jej głęboka zmarszczka. Wcale nie wyglądała na wystraszoną czy zawstydzoną.

Była tylko głęboko zamyślona.

- Poddadaś się aborcji - odezwała się wreszcie Inger Johanne powoli, po kilku minutach milczenia. - To nigdy nie wyszło

na jaw, przynajmniej ja tego nie wychwyciłam, a śledzę wszystko, co ma związek z tobą, bardzo uważnie.

Nagle rozległ się jasny, dźwięczny odgłos.

Ktoś dzwonił do drzwi.

- Co teraz zrobimy? - spytała szeptem Inger Johanne.

Helen Bentley zdrętwiała.

- Zaczekajcie. Marry otworzy. Wszystko będzie dobrze.

Wstrzymały oddech, po części z napięcia, po części dlatego, że chciały podsłuchać rozmowę Marry z tym, kto przyszedł. Żadna jednak nie była w stanie rozróżnić słów.

Upłynęło pół minuty, nim drzwi się z powrotem zamknęły. Chwilę później w drzwiach do kuchni stała Marry z Ragnhild usadowioną na biodrze.

- Kto to był? - spytała Hannę.

- Sąsiad - prychnęła Marry i sięgnęła po szklanekę z wodą, stojącą na blacie.

- I czego chciał?

- Zawiadomić, że nasza piwnica jest otwarta. Niech to cholera! Zapomniałam tam zejść wczoraj wieczorem. Boże kochany, nie mogłam przecież ciągnąć Madam korytarzem z powrotem, by zamknąć drzwi do piwnicy!

- I co powiedziałaś sąsiadowi?

- Podziękowałam za informację. Ale jak zaczął marudzić o jakichś rozwalonych drzwiach, to znaczy, czy coś mi o tym wiadomo, kazałam mu nie wtykać nosa w nie swoje sprawy, i tyle.

Odstawiła szklanekę i wyszła.

- *What?* - spytała zdenerwowana Helen Bentley. - *What was all that about?*

- Nic. - Hannę machnęła ręką. - Chodziło o otwarte drzwi do piwnicy. Nie przejmuj się.

- Mówiliśmy o innej tajemnicy - przypomniała Inger Johanne.

- Nigdy nie traktowałam tego jako tajemnicy - wyjaśniła Helen Bentley spokojnie, wręcz ze zdziwieniem. - Po prostu uważałam to za sprawę, która nikogo nie powinna obchodzić. To bardzo odległa przeszłość. Lato 1971 roku. Miałam dwadzieścia jeden lat, byłam na studiach. Na długo przed poznaniem Christophera. On, oczywiście, o tym wie, więc to nie żadna... tajemnica. W każdym razie nie w tym sensie.

-Ale aborcja... - Inger Johanne pogładziła blat palcami i powtórzyła. - Aborcja! Czy twoja kampania wyborcza nie poszłaby na marne, gdyby to wyszło na jaw? I czy cały czas nie stanowiłoby to wielkiego problemu? Kwestia aborcji to punkt zapalny i wciąż dzieli Stany...

- Myślę, że nie - zaprzeczyła Helen Bentley zdecydowanie. - W każdym razie byłam przez cały czas przygotowana. Wszyscy wiedzą, że *jestempro-choice*. Przez moment wydawało się, że stanowisko, jakie zajęłam w debacie, mogło mnie kosztować sporo głosów...

- Oględnie powiedziane - orzekła Inger Johanne. - Bush robił, co mógł, żeby cię utracić akurat w tym punkcie.

- Owszem, masz rację. Ale poszło dobrze, zwłaszcza że przyciągnęłam wiele głosów kobiet z gorzej sytuowanych środowisk. Jeśli chcesz wiedzieć, badania pokazują, że otrzymałam mnóstwo głosów kobiet, które wcześniej nigdy się nawet nie zarejestrowały jako wyborcy. Poza tym określiłam się wyraźnie jako zdecydowana przeciwniczka późnych aborcji, dzięki czemu łatwiej to przełknęli nawet jej najzagorzalsi przeciwnicy. I ani trochę się nie bałam, że ktoś odkryje, że sama miałam zabieg. Ryzyko się opłaciło. Bo ja się tego nie wstydzę. Byłam na drugim roku studiów, za młoda na to, żeby mieć dziecko. Nie kochałam jego ojca. Aborcja została przeprowadzona w Nowym Jorku legalnie, w siódmym tygodniu ciąży. Byłam i jestem zwolenniczką prawa kobiety do decyzji o aborcji w pierwszym trymestrze ciąży i odpowiadam za to, co zrobiłam.

Wzięła głęboki oddech, a gdy znów zaczęła **mówić**, Inger Johanne wychwyciła w jej głosie leciutkie drżenie.

- Ale drogo za to zapłaciłam. Bezpłodnością. Jak wiecie, moja córka Billie jest adoptowana. Nikt nie mógłby mi zarzucić różnicy między słowami a czynami. A koniec końców, dla nas, polityków, właśnie to jest najważniejsze.

- Ale ktoś mógł mimo wszystko uznać to za wielką bombę - zauważyła Inger Johanne.

- Masz rację - odparła Helen Bentley. - I to wiele osób. Tak jak mówisz, kwestia aborcji dzieli Stany Zjednoczone. To bardzo delikatny i nigdy niewyczerpany temat. Gdyby ujawniono sprawę mojego zabiegu, może musiałabym się wycofać, ale jak mówiłam...

- Kto o tym wie?

- Kto wie...

Zamyśliła się, marszcząc czoło.

- Nikt - powiedziała w końcu z wahaniem. - No, oczywiście, Christopher. Dowiedział się, zanim się pobraliśmy. I wiedziała też moja najbliższa przyjaciółka, Karen. Była fantastyczna i bardzo mnie wspierała. Rok później, kiedy wyjechałam do Wietnamu, zginęła w wypadku samochodowym. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Karen mogła komukolwiek to zdradzić. Była...

- No, a szpital? Istnieją chyba jakieś karty pacjentów?

- Budynek spłonął w siedemdziesiątym drugim albo trzecim. Aktywiści *pro-life* podczas demonstracji posunęli się trochę za daleko. To czasy jeszcze sprzed rewolucji informatycznej, więc przypuszczam...

- A więc kart nie ma - podsumowała Inger Johanne. - Przyjaciółki nie ma. - Zaginała kolejne palce. Wreszcie po chwili wahania odważyła się zadać kolejne pytanie: - A co z ojcem dziecka? On coś wiedział?

-Tak, oczywiście. On...

Zamyśliła się. Twarz jej złagodniała, zmiękła. Wokół zmrużonych oczu pojawiły się leciutkie zmarszczki, ale wyglądała teraz młodziej.

- Chciał się ze mną ożenić. Bardzo pragnął tego dziecka, lecz kiedy zrozumiał, że mówię o aborcji poważnie, wspierał mnie pod każdym względem. Pojechał ze mną do Nowego Jorku. - Podniosła głowę, łzy przelały się z oczu. Nie zrobiła nic, by je wytrzeć. - Nie kochałam go. Chyba nawet nie byłam w nim zakochana. Ale to był taki dobry człowiek... Chyba najlepszy, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Troskliwy, mądry. Obiecał mi, że nigdy nic nikomu nie powie. Po prostu nie wyobrażam sobie, żeby mógł złamać obietnicę. To by musiało oznaczać, że całkowicie się zmienił.

- Takie rzeczy się zdarzają - szepnęła Inger Johanne.

- Nie z nim - zaprzeczyła Helen Bentley. - Jeśli kiedykolwiek spotkałam człowieka honoru, to właśnie jego. Znałam go przez prawie dwa lata, zanim zaszłam w ciążę.

- Ale od tamtego czasu minęły trzydzieści cztery lata - przypomniała Hannę. - W ciągu tylu lat człowiek może przejść różne przemiany.

- Nie on. - Helen Bentley zdecydowanie kręciła głową.

- Jak się nazywał? Pamiętasz?

- Ali Shaeed Muffasa - odparła Helen. - Zdaje mi się, że później zmienił nazwisko na jakieś bardziej angielsko brzmiące. Ale dla mnie został Alim, najlepszym chłopakiem na świecie.

9

Nareszcie było wpół do ósmej rano. I na szczęście czwartek. Obie dziewczynki musiały być wcześniej w szkole. Louise, żeby przed lekcjami zagrać w szachy, a Catherine, żeby dodatkowo potrenować na siłowni. Pytały o stryja, ale ucichły, gdy ojciec

napomknął, że Fayed poprzedniego **wieczoru wypił trochę za dużo** wina. Po prostu musiał się wyspać.

W domu przy Rural Route nr 4 w Farmington w stanie Maine nigdy nie było całkiem cicho. Drewno trzeszczało, większość drzwi się wypaczyła, niektóre trudno się otwierały, inne zbyt słabo przylegały do framugi i stale się telepały w wiecznym przeciągu z nieszczelnych okien. Na tyłach posesji ogromne klony zostały posadzone tak blisko domu, że ich gałęzie uderzały o dach przy najmniejszym powiewie wiatru. Dom żył własnym życiem.

Al Muffet nie musiał już się skradać. Wiedział, że nikt się nie pojawi, dopóki listonosz nie zrobi swojej rundy. Zwykle było to nie wcześniej niż o drugiej. Al odwiózł dziewczynki do szkoły. Po powrocie zajrzał do gabinetu. Sekretarce powiedział, że nie czuje się najlepiej, boli go gardło i ma lekką gorączkę, więc, niestety, muszą odwołać dzisiejsze wizyty. Sekretarka popatrzyła na niego ze współczuciem i życzyła mu szybkiego powrotu do zdrowia.

Wziął to, czego potrzebował, pożegnał się, kaszląc, i wrócił do domu.

- Wygodnie ci?

Al Muffet zerknął na brata, który miał ręce przytwierdzone do wezgłowia mocną taśmą do pakowania, a stopy spętane liną okręconą wokół wysokich nóg łóżka i zaciągniętą w ciasne supły. Usta Al zalepił bratu szerokim kawałkiem szarej taśmy klejącej.

- Mmf... mfm... - Fayed energicznie pokręcił głową. Dźwięki stłumił zmywak wetknięty pod taśmę.

Al Muffet rozsunał zasłony, do pokoju gościnnego wlało się poranne światło. Kurz zatańczył nad zniszczonymi deskami w podłodze. Al się uśmiechnął i odwrócił do brata.

- Leżysz wygodnie, prawie się nie obudziłeś, kiedy w nocy zrobiłem ci usypiający zastrzyk w tyłek. Tak łatwo dałeś się obez władnic, że z trudem cię poznawałem, Fayed. Kiedyś to ty byłeś walczącym olbrzymem, nie ja.

-Mmmfff!

Przy oknie stało krzesło, stare i krzywe, siedzenie miało zniszczone po Bóg wie ilu latach użytkowania. Było w tym domu, gdy Al go kupował. Podobnie jak wiele innych starych, pięknych sprzętów, które pomogły rodzinie zapuścić tu korzenie szybciej, niż się spodziewali.

Przyciągnął krzesło do łóżka i usiadł.

- To, co tutaj mam - powiedział spokojnie, zbliżając strzykawkę do szeroko otwartych oczu brata, który patrzył na niego z niedowierzaniem - to o wiele niebezpieczniejszy środek niż ten, którym cię nafaszerowałem w nocy. To... Rozumiesz?

- Powoli wciska! tłok strzykawki, dopóki z końca cieniuseńkiej igły nie wytrysnęło kilka maleńkich kropelek. - To ketoveni-don, silnie działający preparat morfinowy. Bardzo skuteczny. I mam go tu... - zmrugał oczy, podniósł strzykawkę do światła

- ..sto pięćdziesiąt mililitrów. Innymi słowy, śmiertelna dawka dla człowieka.

Fayed wybałuszył oczy, na próżno starając się uwolnić ręce.

- A w tej... - Al z torby, którą postawił obok siebie na podłodze, wyjął jeszcze jedną strzykawkę - ..mamy naxolon. To znaczy antidotum.

Tę drugą strzykawkę położył na nocnej szafce i na wszelki wypadek odsunął ją od łóżka.

- Niedługo wyjmę ci knebel - oświadczył, usiłując pochwycić spojrzenie brata. - Ale najpierw podam ci trochę tej morfiny. Po czujesz to bardzo szybko. Ciśnienie krwi i tętno ci spadną. Możesz mieć problemy z oddychaniem. Potem będziesz mógł wybrać. Albo odpowiesz na moje pytania, albo zaaplikuję ci więcej tego środka. Tak to będzie wyglądało. Bardzo proste, prawda? Kiedy już podasz mi wszystkie informacje, których potrzebuję, dostaniesz antidotum. Ale tylko wtedy, rozumiesz?

Brat rozpaczliwie wiał się na łóżku. Z oczu płynęły mu łzy, Al zorientował się też, że Fayed ma spodnie mokre w kroku.

- I jeszcze jedno - dodał, wbijając igłę w udo brata przez piżamę. - Możesz sobie wrzeszczeć i krzyczeć, ile tylko chcesz. To zmarnowany czas. Do najbliższego sąsiada jest więcej niż mila, zresztą on wyjechał. Jest dzień powszedni i nikt nie wybiera się tu na spacer, więc możesz zapomnieć o krzykach. Już...

Wyjął strzykawkę, sprawdził, ile wstrzyknął. Zadowolony kiwnął głową, odłożył strzykawkę na nocną szafkę koło tamtej drugiej i jednym szarpnięciem zerwał taśmę z ust brata. Fayed usiłował wypchnąć zmywak językiem, ale odruch wymiotny kazał mu odwrócić głowę na bok. Al dwoma palcami wyciągnął mu gąbkę z ust.

Fayed ciężko łąpał powietrze, zachłystywał się nim, wyraźnie usiłując coś powiedzieć, ale z ust wydobywał mu się tylko charkot.

- Nie mamy dużo czasu - powiedział Al. - Powinieneś więc odpowiadać szybko.

Oblizwał wargi i zastanowił się.

- Czy to prawda, że matka przed śmiercią wzięła ciebie za mnie?

Fayed ledwie zdołał kiwnąć głową.

- Powiedziała ci coś, co, jak zrozumiałeś, miało być przeznaczone wyłącznie dla moich uszu, tak?

Brat próbował teraz wziąć się w garść, był spokojniejszy, może wreszcie zrozumiał, że nie ma sensu się szarpać. Przez chwilę leżał nieruchomo, tylko grdyka się poruszała, jak gdyby starał się wyprodukować dość śliny po tylu godzinach spędzonych z zatkanyimi ustami.

- Proszę. - Al przysunął mu do ust szklankę z wodą.

Fayed wypił kilka łyków, potem mocno odkasznął i splunął rozwodnioną śliną prosto w twarz brata.

-*Fuckyou!* - warknął i opuszczył głowę na poduszkę.

- Nie jesteś zbyt rozsądny. - Al wytarł twarz rękawem.

Fayed milczał. Mogło się wydawać, że się zastanawia, ocenia, w jaki sposób wynegocjować uwolnienie.

- Spróbujmy jeszcze raz - odezwał się Al. - Czy matka powie działa coś o moim życiu, sądząc, że ty to ja?

Fayed wciąż nie odpowiadał, ale przynajmniej leżał spokojnie. Morfina zaczęła działać. Źrenice wyraźnie mu się zwały. Al podszedł do komody przy drzwiach łazienki, otworzył sztywne zamki walizki i spod ubrań wyjął terminarz Fayed. Odnalazł kalendarz na cały rok 2002 i wyrwał go lekkim szarpnięciem.

- Proszę - powiedział, wracając do łóżka. - Tu jest data śmierci matki. A co ty tu zapisałeś, Fayed? W dzień śmierci matki, kiedy przy niej siedziałeś. - Podsunął bratu kartkę pod oczy, a Fayed odwrócił głowę. - Zapisałeś czerwiec 1971 w Nowym Jorku. Co dla ciebie znaczy ta data? To matka ci ją podała? To ona ją wymieniła, gdy przy niej czuwałeś?

Wciąż nie było odpowiedzi.

- Wiesz... - Al wymachiwał kalendarzem - ... śmierć z przedawkowania morfiny wcale nie jest aż tak przyjemna, jak ludzie opowiadają. Czujesz już, że płuca zaczynają słabnąć? Że trudniej ci oddychać?

Brat syknął. Próbował wygiąć ciało w łuk, ale brakowało mu siły.

- Matka jedyna o tym wiedziała. Ale nie robiła mi wyrzutów. Nigdy. Moja tajemnica nią wstrząsnęła, ale nigdy nie wykorzystwała jej przeciwko mnie. Była moją pocieszycielką, tak jak mogła być twoją, gdybyś zachowywał się choć trochę przyzwoicie. Gdybyś przynajmniej próbował pozostać członkiem rodziny. Ale ty robiłeś wszystko, by do niej nie należeć.

- Bo nigdy nie należałem - wysyczał Fayed. - O to ty się zatroszczyłeś. - Był teraz blady, leżał spokojnie, z zamkniętymi oczami.

-Ja? Ja?!

Al zdecydowanym ruchem sięgnął po strzykawkę z morfiną, wbił ją w udo Fayed i wstrzyknął jeszcze dziesięć mililitrów.

- Szkoda czasu. Co ma się stać, Fayed? Dlaczego tu jesteś? Po co po tylu latach do mnie przyjechałeś i do czego, u diabła, wykorzystasteś informację o aborcji Helen?

Fayed wreszcie zaczął naprawdę się bać. Usiłował złapać oddech, ale mięśnie przestały go słuchać. Na usta wystąpiła mu piana, jakby nie miał siły nawet na przełknięcie własnej śliny.

- Pomóż mi - szepnął. - Musisz mi pomóc. Nie mogę...

- Odpowiedz na moje pytania.

- Pomóż. Nie mogę... Wszystko pójdzie nie... cały plan...

- Plan? Jaki plan? Fayed, o jakim planie ty mówisz?

Umierał. Widać to było wyraźnie. Alowi nagle zrobiło się gorąco. Czuł, że ręce mu się trzęsą, gdy sięgał po strzykawkę z naxolonem.

- Fayed. - Wolną ręką chwycił mocno brata za brodę, chcąc go zmusić, by na niego spojrział. - Teraz naprawdę jesteś w kłopotach. Mam tu antidotum. Odpowiedz mi na jedno pytanie. Powiedz mi tylko jedną rzecz. Po co tu przyjechałeś? Dlaczego akurat do mnie?

- Listy - wyrzucił Fayed. Jego oczy już wydawały się martwe. - Listy przyjdą tutaj. Gdyby coś miało pójść źle...

Nie oddychał. Al mocno uderzył go w pierś. Płuca Fayedego podjęły jeszcze jedną próbę walki ze śmiercią.

- Pociągnę cię za sobą - wymamrotał Fayed. - To ciebie ko chali.

Al sięgnął do torby po nóż i przeciął taśmę przytrzymującą prawą rękę Fayedego przy wezłowie łóżka. Zastrzyk morfiny robił domięśniowo, ale teraz potrzebował żyły. Powoli wstrzyknął antidotum w przedramię brata, po czym szybko, żeby samemu się nie załamać, z powrotem przywiązał jego rękę do łóżka. Wstał, zrobił kilka kroków. Nie potrafił już dłużej powstrzymać łez.

- Niech to cholera! Nie pragnąłem w życiu niczego innego niż tylko spokoju. Nie chciałem kłótni, awantur. Znalazłem ten mały zakątek świata, gdzie dobrze jest i mnie, i dziewczynkom. A tym czasem ty przyjeżdżasz i...

Szlochał. Nie przywykł do płaczu. Nie wiedział, co zrobić z rękami. Zwiślały bezwładnie wzdłuż ciała. Ramiona mu drżały.

- O jakich listach mówisz, Fayed? Co zrobiłeś? Fayed, co ty zrobiłeś?

Nagle przebiegł przez pokój i pochylił się nad bratem. Przyłożył dłoń do jego policzka. Wąsy, wielkie idiotyczne wąsy, których Fayed jeszcze nie miał, kiedy widzieli się ostatnio, łaskotały go, gdy gładził twarz brata.

- Co wymyśliłeś tym razem? - pytał gorączkowym szeptem.

Ale brat nie odpowiedział. Już nie żył.

10

Ledwie minęła druga, kiedy Helen Bentley wróciła do kuchni. Wyglądała fatalnie. Przedtem sześć godzin snu i długi prysznic dokonały cudów, ale teraz była chorobliwie blada. Oczy miała matowe, podsinione; półksiężycowate cienie sięgały aż kości policzkowych. Ciężko usiadła na krześle i chciwie sięgnęła po filiżankę z kawą, którą zaproponowała jej Inger Johanne.

- Do otwarcia giełdy w Nowym Jorku zostało półtorej godziny - westchnęła. - To będzie czarny czwartek. Może najgorszy od lat trzydziestych.

- Znalazłaś coś? - spytała Inger Johanne ostrożnie.

- Mam w każdym razie pewne rozeznanie. Wyraźnie widać, że nasi przyjaciele z Arabii Saudyjskiej nie są mimo wszystko zbyt przyjaźnie do nas nastawieni. Uporczywe pogłoski potwierdzają, że to oni za tym stoją, razem z Iranem. Ale nikt z mojej administracji oczywiście nie chce tego przyznać.

Zmusiła się do uśmiechu. Wargi miała niemal równie blade jak twarz.

- Co oznacza, że Warren musiał sprzedać się Arabom - podsunęła Inger Johanne, wciąż ściszonego głosem.

Pani prezydent skinęła głową i zasłoniła oczy ręką. Siedziała tak przez kilka sekund, nim wreszcie podniosła głowę.

- Nie będę w stanie się zorientować, jak to wszystko się ze sobą wiąże, dopóki nie wejdę na zablokowane strony Białego Domu. Muszę użyć własnych kodów. I tak zresztą do wielu rzeczy nie będę mogła dotrzeć, bo do tego byłby mi potrzebny inny sprzęt. Ale... muszę sprawdzić, czy Warren jest spalony. I co moi ludzie wiedzą o tym wszystkim. Dopiero potem się ujawnię. Jeśli nie mają pojęcia o jego...

- On działa na pełny gaz tu, w Norwegii - poinformowała Inger Johanne. - Wiedziałabym, gdyby coś mu się stało. To znaczy, gdyby został aresztowany czy coś w tym rodzaju. - Zawahała się na chwilę, zerknęła na swoją komórkę i dodała: - Przynajmniej tak sądzę.

- Ich brak działania nie musi oznaczać nic złego - wyjaśniła pani prezydent. - Jeżeli moi ludzie wiedzą, że Warren jest w to zamieszany, mogli uznać, że lepiej będzie się z tym nie zdradzać. Ale jeżeli nie wiedzą... - Westchnęła głęboko. - Może być niebezpieczny, kiedy się zgłoszę. Po prostu muszę dostać się na własne strony. Muszę.

- Wystarczy kilka sekund, by to odkryli - zauważyła Inger Johanne sceptycznie. - Zobaczą adres IP i zorientują się, że komputer stoi tutaj. Zacznie się sądny dzień.

- No tak... Czy można by... Nie. Właściwie nie potrzebuję dużo czasu. Wystarczą mi dwie godziny. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Drzwi do salonu otworzyły się i wjechała Hannę Wilhelmsen na wózku.

- Godzinka snu tu, godzinka tam. - Ziewnęła wymownie. - Można odpocząć, nawet śpiąc krócej. Jakie rezultaty? - zwróciła się do Helen Bentley

- Całkiem niezłe. Ale teraz mam problem. Muszę się dostać na zakodowane strony, jeśli jednak użyję twojego komputera, po pierwsze, natychmiast zdradzę, że w ogóle żyję, a po drugie, gdzie jestem.

Hannę pociągnęła nosem i potarła go palcem.

- To rzeczywiście problem. Co zrobimy?

- Mój komputer - powiedziała nagle Inger Johanne, zdziwiona własnym odkryciem. - Może on się nada?

- Twój komputer?

- Masz komputer? Tutaj?

Patrzyły na nią z niedowierzaniem.

- W samochodzie - wyjaśniła Inger Johanne. - Jest własnością uniwersytetu w Oslo. Oczywiście, adres IP też jest widoczny, ale dłużej potrwa, zanim... Najpierw będą musieli skontaktować się z uniwersytetem, potem ustalić, kto wypożyczył sprzęt, no, a na koniec odszukać moje miejsce pobytu. A o nim na razie wie... - znów z miną winowajczyni popatrzyła na komórkę - ...tylko Yngvar - zakończyła ciszej. - Chociaż on też nie wie wszystkiego.

- Całkiem dobry pomysł - orzekła pani prezydent. - Potrzeba mi naprawdę nie więcej niż dwie godziny, a tyle, sądzę, możemy sobie zapewnić, korzystając z cudzego komputera.

Hannę jednak wciąż pozostawała nieprzekonana.

- Nie bardzo się znam na adresach IP i podobnych sprawach, ale czy jesteście pewne, że to się może udać? Że to nie samo łączy da się wytropić?

Inger Johanne i Helen Bentley wymienili spojrzenia.

-Ja nie jestem pewna - odparła pani prezydent. -Ale po prostu muszę zaryzykować. Możesz go przynieść? - Zwróciła się do Inger Johanne.

- Oczywiście. - Inger Johanne wstała. - Wracam za pięć minut.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Helen Bentley podeszła do krzesła przy wózku Hannę i usiadła. Zdawało się, że nie bardzo umie znaleźć właściwe słowa. Hannę nie ponaglała jej.

- Hannah, czy ty... Mówisz, że jesteś emerytowaną policjantką. Masz w domu broń?

Hannę cofnęła wózek od stołu.

-Broń? Po co ci...

- Ciiicho. - W głosie pani prezydent pojawił się nagle władczy ton; Hannę zeszywniała. - Bardzo cię proszę. Wolalabym, żeby Inger nic o tym nie wiedziała. Ja też bym nie chciała, żeby moja roczna córeczka przebywała w mieszkaniu, gdzie jest naładowana broń. Oczywiście, nie sądzę, by zaszła konieczność jej użycia. Ale musisz pamiętać, że...

- Wiesz, dlaczego tu siedzę? Czy takie pytanie w ogóle przyszło ci do głowy? Siedzę na tym przeklętym wózku, ponieważ zostałam postrzelona. Kula uszkodziła rdzeń kręgowy. Mój stosunek do broni trudno nazwać serdecznym.

- Hannah! Posłuchaj mnie!

Hannę zacisnęła usta i wbiła spojrzenie w Helen Bentley.

- Zazwyczaj jestem jedną z najbardziej strzeżonych na świecie osób - powiedziała pani prezydent ściszym głosem, jakby w obawie, że Inger Johanne mogła już wrócić. - Przez cały czas, wszędzie i zawsze, otacza mnie uzbrojona po zęby ochrona. To nie zabawa, Hannah. To po prostu konieczność. W chwili gdy wyjdzie na jaw, że przebywam w tym mieszkaniu, stanę się kompletnie bezbronna. Dopóki właściwi ludzie nie przyjdą po mnie i nie zapewnią mi ochrony, muszę być w stanie bronić się sama. Sądzę, że to zrozumiesz, jeśli się przez chwilę zastanowisz.

Hannę pierwsza musiała odwrócić wzrok.

- Mam broń - przyznała w końcu. - I amunicję. W mojej stałej szafce... Dobra w tym jesteś?

Pani prezydent uśmiechnęła się lekko.

- Moi instruktorzy zaprotestowaliby, słysząc jakieś przechwałki. Ale potrafię się obchodzić z bronią palną. *I'm the Cotnmander in Chief, remember?*

Hannę wciąż siedziała z twarzą bez wyrazu, patrząc w stół.

-I jeszcze jedno. - Helen Bentley położyła rękę na jej ramieniu. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wszystkie stąd wyjdziecie. Opuście to mieszkanie. Na wypadek, gdyby coś się miało wydarzyć.

Hannę podniosła głowę i spojrzała na nią z miną wyrażającą przesadne niedowierzanie. W końcu zaczęła się śmiać. Śmiała się głośno, odchyliła głowę i dosłownie zanosila się śmiechem.

- Możesz próbować nas stąd wyrzucić. Powodzenia! - wykrztusiła wreszcie. - Ja na pewno nie pozwolę się ruszyć. A jeśli chodzi o Marry, to jej przestrzeń życiowa ogranicza się do tej w promieniu trzydziestu metrów. Za nic, powtarzam, za nic nie skłonisz jej, żeby stąd wyszła. Bardzo rzadko mi się zdarza namówić ją na zejście do piwnicy, ale tobie się to nie uda. Natomiast...

-Jestem! - oznajmiła zdyszana Inger Johanne. - Na dworze jest prawdziwe lato!

Postawiła laptop na kuchennym stole. Sprawnie zainstalowała zewnętrzną mysz, wyjęła podkładkę, podłączyła komputer do prądu i uruchomiła.

- *Voild!* - powiedziała po zalogowaniu. - Bardzo proszę, Madam President. Oto komputer, którego odnalezienie zajmie trochę czasu.

Była tak uradowana, że nie zwróciła uwagi na zmartwioną minę Hannę, gdy ta cofała się od stołu, odwracała wózek i powoli wyjeżdżała z kuchni. Gumowe kółka lekko zapiszczały na parkiecie. Odgłos zamilkł dopiero wtedy, gdy trzasnęły drzwi w głębi ogromnego mieszkania.

11

Młody człowiek, który siedział przy monitorze w maleńkim pokoiku niedaleko Situation Room w Białym Domu, poczuł, że litery i cyfry zaczynają mu tańczyć przed oczami. Mocno je zacisnął, kilka razy pokręcił głową i spróbował jeszcze raz. Wciąż trudno było utrzymać wzrok na jednym rzędku, na jednej kolumnie. Spróbował rozmasować sobie kark. Nieprzyjemny zapach zastarzałego potu buchnął spod pach, każąc mu

natychmiast przycisnąć ręce do boków z nadzieją, że nikt tu nie wejdzie.

Nie po to kończył studia na uniwersytecie. Kiedy jako doskonale wykształcony inżynier informatyk, mający jednak tylko dwa lata praktyki w prywatnej firmie, otrzymał posadę w Białym Domu, ledwie mógł uwierzyć we własne szczęście. Teraz, pięć miesięcy później, miał już tego dość. Zaprezentował swoje zdolności w niewielkiej firmie komputerowej, do której został zwerbowany po dyplomie, i sądził, że to jego błyskotliwe umiejętności programisty skłoniły administrację prezydent Bentley do zatrudnienia go. Tymczasem od blisko pół roku czuł się głównie jak chłopiec na posyłki.

A teraz siedział tu, w ciasnym pokoju bez okien, spocony i cuchnący, i dwudziestą trzecią godzinę wpatrywał się w kody migające na ekranie w chaosie, w którym kazano mu zaprowadzić pewien porządek. W każdym razie ważne było, by je śledził.

Przyłożył palce do oczu i przycisnął powieki.

Czuł się tak zmęczony, że nie był już nawet senny. Miał wrażenie, że mózg powiedział mu „stop”, że nie zgadza się na więcej, jakby jego własny twardy dysk się wyłączył, pozwalając, by ciało szło dalej własnym kursem. Ręce miał odrętwiałe, a od wielu godzin czuł na dodatek kłujący ból w krzyżu.

Powoli wypuścił powietrze i szeroko otworzył oczy, by zmusić je do wytworzenia choć odrobiny wilgoci. Właściwie powinien więcej pić, ale przerwę mógł sobie zrobić dopiero za kwadrans. Musi spróbować gdzieś się wykapać.

Nagle pojawiło się coś dziwnego.

Nie bardzo wiedział co to takiego.

Zamrugał, błyskawicznie przebiegł palcami po klawiaturze. Obraz na ekranie zastygł, a on z wahaniem uniósł rękę i palcem wskazującym zaczął sunąć wzdłuż jednego z rzędów od lewej do prawej, po czym znów rzucił się na klawiaturę.

Ukazał się kolejny obraz.

To nie mogła być prawda.

Ale to była prawda, i właśnie on to zauważył. On, który nagle przestał żałować zmiany pracy, odkrył to pierwszy, przed wszystkimi innymi. Znów zastukał w klawiaturę. W końcu kliknął w ikonę „drukuj” i sięgnął po telefon, w napięciu czekając na następny obraz.

- *Sbe's alive* - szepnął, zapominając o oddychaniu. - *She's fucking alive!*

12

- To najładniejsze miejsce w całym Oslo. Pomyślałem, że oby dwu nam przyda się trochę świeżego powietrza. - Yngyar Stub0 wskazał na pojedynczą ławkę nad wodą.

Lato przypuściło atak na miasto. W ciągu jednej doby temperatura podniosła się o dziesięć stopni. Słońce eksplodujące światłem barwiło prawie całe niebo na biało. W ciągu przedpołudnia drzewa nad rzeką Aker nabrały intensywniejszego zielonego koloru, a w powietrzu unosiło się tyle pyłków, że Yngyarowi oczy zaczęły łzawić, gdy tylko wysiadł z samochodu.

- Czy to jest park? - spytał Warren Scifford, nie wykazując szczególnego zainteresowania. - Duży park?

- Nie, to skraj miasta. A raczej skraj lasu, jeśli wolisz to ująć w ten sposób. W tym miejscu drzewa i domy się spotykają. Ładnie tu, prawda? Siadaj.

Warren nieufnie spojrzął na brudną ławkę. Yngyar wyjął chusteczkę i usunął pozostałości hucznych obchodów Siedemnastego Maja - zastygłe resztki lodów czekoladowych, rozmazany ketchup i coś, nad czym nie miał ochoty dłużej się zastanawiać.

- No już, możesz usiąść.

Z plastikowej torebki wyjął dwie ogromne podwójne kanapki w folii i dwie puszkę coli light.

- Muszę myśleć o wadze - powiedział, wykładając zapasy na ławkę. - Tak naprawdę wolę prawdziwą colę. *The real thing*. Ale wiesz...

Poklepał się po brzuchu. Warren milczał. Nie tknął jedzenia. Śledził wzrokiem trzy bernikle kanadyjskie. Po rozległym trawiastym zboczach goniły niedużego psa, o połowę mniejszego od ptaków. Psu najwyraźniej się to podobało. Za każdym razem, gdy największa gęś przepędzała go, kłapiąc dziobem, pies zawracał i biegł z powrotem, poszczekując.

- Nie będziesz jadł? - spytał Yngvar z pełnymi ustami.

Warren wciąż się nie odzywał.

- Posłuchaj. - Yngvar przełknął duży kęs. - Mam polecenie, żeby ci towarzyszyć. Coraz bardziej oczywiste się staje, że nie masz ochoty informować mnie o czymkolwiek, a raczej informować nas. Czy nie moglibyśmy więc po prostu... - ugryzł potężny kawał bułki - ...miło spędzać czasu? - zakończył z pełnymi ustami.

Psu wreszcie się znudziło. Porzucił gęgające ptaki i ruszył wzdłuż brzegu z nosem przy ziemi, kierując się ku Maridalsvannet.

Yngvar dalej posilał się w milczeniu. Warren odwrócił twarz do słońca, założył nogę na nogę i zmrużył oczy, chroniąc je przed światłem.

- O co chodzi? - spytał Yngvar, skończywszy jedną kanapkę i połowę drugiej, przeznaczonej dla Warrena. Zmiał plastikowe opakowanie, wrzucił je do torby i otworzył puszkę napoju. - Co się właściwie z tobą dzieje? - powtórzył, próbując stłumić beknę cie.

Warren wciąż siedział nieruchomo.

- Jak sobie chcesz - skapitulował Yngvar i wyjął z kieszonki na piersi ciemne okulary.

- Jest pewien diabeł - odezwał się wreszcie Warren, nie zmieniając pozycji.

- Niejeden. - Yngvar pokiwał głową. - Moim zdaniem, jest ich aż za dużo.

- To ktoś, kto chce nas zniszczyć.

- Ach tak?

-Już zaczął swoje dzieło. Problem w tym, że nie wiem, jakie ma dalsze zamiary. W dodatku nikt mnie nie chce słuchać.

Yngvar próbował usiąść wygodnie na twardej drewnianej ławce. Oparł stopę na kolanie jak Warren. Brzuch zaprotestował przeciwko takiemu naciskowi, Yngvar zaraz więc znów ją opuścił.

- Zamieniam się w słuch - powiedział.

Warren wreszcie się uśmiechnął. Osłonił dłonią oczy przed słońcem i rozejrzał się wkoło.

- Naprawdę pięknie tu - rzekł z uznaniem. - Co słyszać u In-ger Johanne?

- Wszystko dobrze. Bardzo dobrze.

Yngvar pogrzebał w torbie i wyjął tabliczkę czekolady. Rozpakował ją i zaproponował Warrenowi.

- Nie, dziękuję. Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że była naj lepszą, najbystrzejszą studentką, jaką kiedykolwiek miałem.

Yngvar zerknął na czekoladę. W końcu z powrotem ją zawinał i wrzucił do torby.

- Inger Johanne miewa się dobrze - powtórzył. - Zimą zeszłego roku urodziła nam się córeczka. Zdrowe, wspaniałe dziecko. To tyle. Uważam, że raczej powinniśmy unikać tego tematu.

-Jest aż tak źle? Czy ona wciąż...

Yngvar zdjął okulary.

- Owszem. Jest aż tak źle. Nie chcę z tobą rozmawiać o Inger Johanne. To by było po prostu nielojalne. Poza tym nie mam na to najmniejszej ochoty, w porządku?

-Jasne. - Amerykanin wykonał lekki skłon ciała i przepaszając machnął ręką. - Moja największa słabość - uśmiechnął się z przymusem - to kobiety.

Yngvar nie odezwał się. Zaczął wątpić w sens całej tej wycieczki. Godzinę wcześniej, gdy Warren nagle pojawił się w gabinecie Petera Salhusa, bez uprzedzenia i właściwie nie mając nic

do przekazania, Yngvar uznał, że być może obejście procedur na powrót umożliwi im rozmowę.

Ale nie o Inger Johanne zamierzał rozmawiać.

- Wiesz - ciągnął Warren - od czasu do czasu, kiedy nie mogę spać w nocy i pot mnie oblewa na myśl o błędach, jakie popełniłem w życiu, uświadamiam sobie, że one wszystkie mają związek z kobietami. A teraz znalazłem się w takiej sytuacji, że jeśli prezydent Bentley nie zostanie odnaleziona żywa, moja kariera się skończy. Kobieta trzyma w rękach całe moje życie. - Westchnął demonstracyjnie. - Kobiety. Nie rozumiem ich. Nie można się im oprzeć, ale pojąć ich także nie.

Yngvar uświadomił sobie, że zgrzyta zębami. Skupił się na tym, by przestać, ale bez skutku. Potarł więc ręką policzek, by się rozluźnić.

- Widzę, że się ze mną nie zgadzasz - zauważył Warren ze śmiechem.

- Nie. - Yngvar gwałtownie wstał. - Nie - powtórzył. - Doprawdy, bardzo, ale to bardzo rzadko któraś wydaje mi się nieodparta. Większość też wcale nie tak trudno pojąć. Nie zawsze, nie przez cały czas, oczywiście, lecz na ogół tak. Ale... - Rozłożył ręce i spojrzał w inną stronę. - Tak jest, naturalnie, pod warunkiem że traktuje się je jak osoby równorzędne.

- *Touchó*. - Warren szeroko uśmiechnął się do słońca. - Superpoprawność polityczna. Bardzo... skandynawskie.

W świergot ptaków i szum rzeki wdarł się nagle przenikliwy dźwięk. Yngvar zaczęła obmacywać kieszenie w poszukiwaniu telefonu.

- Halo? - warknął, gdy go wreszcie znalazł.

- Yngvar? -

Tak.

- Mówi Peter.

- Słucham?

- Peter Salhus.

- Cześć.

Yngvar już miał wstać i odejść od ławki, gdy nagle uświadomił sobie, że Warren nie zna norweskiego.

- Coś nowego? - spytał.

- Tak. Tylko ma pozostać wyłącznie między nami. Mogę na tobie polegać?

- Oczywiście. O co chodzi?

- Nie wdając się w szczegóły, muszę chyba przyznać, że my... No cóż, mamy niezłe pojęcie o tym, co się dzieje w ambasadzie amerykańskiej. Pozwolisz, że tak to ujmę.

Pauza.

Oni ich podsłuchują, pomyślał Yngvar, sięgając po napoczętą puszkę z colą. Do jasnej cholery, podsłuchują ambasadę zaprzyjaźnionego kraju na terytorium norweskim. Co, u diabła, chcą...

- Niewykluczone, że pani prezydent żyje.

Yngvar poczuł, że puls odrobinę mi przyśpiesza. Chrząknął i spróbował przybrać minę pokerzysty, w końcu na wszelki wypadek odwrócił się od Warrena.

- I gdzie niby miałyby być?

- Właśnie w tym rzecz, Yngvarze. Otóż pani prezydent weszła na strony internetowe, do których potrzebne są kody. Albo ona, albo ktoś inny, kto od niej te kody wyciągnął. I nawet gdyby to ostatnie było prawdą, może również stanowić potwierdzenie, że ona żyje.

-Ale... nie bardzo rozumiem...

- Zostawiony przez nią ślad prowadzi do adresu IP twojej żony. Oni na szczęście jeszcze o tym nie wiedzą.

- Ing... - Urwał. Nie mógł wypowiedzieć jej imienia w obecności Warrena.

- Wytropili adres IP komputera należącego do uniwersytetu. Teraz kłócą się z władzami uczelni, żeby ujawniły, kto z tego komputera korzysta. Może uda się ich trochę powstrzymać, ale nie na długo. Pomyślałem jednak... Namówię Bastesena,

żeby podesłał patrol do ciebie do domu, tak na wszelki wypadek. Gdyby mimo wszystko coś się kryło w plotkach o tym, że FBI działa na własną rękę. No i na twoim miejscu wracałbym do domu.

- Tak, oczywiście. Dziękuję.

Zakończył rozmowę, nie myśląc o tym, że patrol należałoby wysłać zupełnie gdzie indziej. Inger Johanne nie było w domu. Razem z Ragnhild ukryła się gdzieś na Frogner.

Poderwał się gwałtownie.

- Muszę jechać - oświadczył i ruszył przed siebie szybkim krokiem.

Plastikową torbę z nieotwartą puszką zostawił. Warren spojrzał na nią zdziwiony, po czym pobiegł za Yngvarem.

- O co chodzi? - spytał, gdy go dogonił.

- Podrzucę cię do miasta, dobrze? Muszę koniecznie coś sprawdzić.

Jego potężne ciało trzęsło się, gdy biegł do samochodu. W chwili, gdy wsiadali do wozu, zadzwonił telefon Warrena, który odpowiadał rozmówcy jedynie półsłówkami. Po półtorze minuty się rozłączył. Gdy Yngvar na sekundę oderwał oczy od drogi i spojrzał na Amerykanina, zamarł. Warren był popielatoszary na twarzy. Siedział z rozchylonymi ustami, a oczy jakby coraz bardziej zapadały mu się w głąb czaszki.

- Twierdzą, że wiedzą gdzie jest pani prezydent - wyjaśnił bez dźwięcznie, wsuwając telefon do kieszeni.

Yngvar zmienił bieg i wjechał na Frysjaveien.

- Wiele wskazuje na to, że jest razem z Inger Johanne - dodał Warren tym samym bezbarwnym głosem. - Czy jedziemy do ciebie do domu?

Jasna cholera, pomyślał Yngvar zrozpaczony. Już im się udało. Nie można było ich jeszcze trochę powstrzymać?

- Wysadzę cię w mieście - powtórzył. - Dalej musisz sobie radzić sam.

Jechali w stronę Maridalsveien. Mimo dużej prędkości trzymając kierownicę jedną ręką, próbował jednocześnie połączyć się z Sal-husem. Sygnał zdawał się buczeć całe wieki, po czym włączyła się automatyczna sekretarka.

- Peter, tu Yngvar - burknął. - Oddzwoni do mnie natychmiast. Natychmiast, zrozumiałeś?

Prawdopodobnie najlepiej było pojechać obwodnicą do Sme-stad, przedzieranie się przez miasto o tej porze mogło trwać bez końca. Wepchnął się na rondo na pętli nad obwodnicą numer trzy i przyspieszył, kierując się na zachód.

- Posłuchaj - zaczął Warren cicho. - Zdradzę ci pewną tajemnicę.

- Najwyższy czas, żebyś wreszcie coś powiedział - mruknął Yngvar, ledwie go słuchając.

- Wszedłem w konflikt z moimi kolegami, i to bardzo zdecydowanie.

- O tym z całą pewnością powinieneś z kimś porozmawiać, ale nie ze mną.

Zmienił pas, żeby wyminąć ciężarówkę, i o mało nie zderzył się z niedużym fiatem, który za bardzo się wysunął. Zaklął ostro, wyprzedził fiata i jeszcze bardziej przyspieszył.

-Jeśli jedziesz teraz do Inger Johanne - ciągnął Warren - to powinieneś wziąć mnie ze sobą. Sytuacja jest, łagodnie mówiąc, niebezpieczna. A ja...

- Nie ma mowy.

- Yngvar! Yngvar!

Yngvar gwałtownie zahamował. Warren, który nie zapiął pasów, uderzył o deskę rozdzielczą, ale zdążył się przytrzymać rękami. Yngvar wjechał w zatoczkę tuż przy stanowisku pobierania opłat za przejazd poniżej Szpitala Centralnego.

- Co z tobą?! - wrzasnął Amerykanin. - Co ty, do cholery, wyprawiasz? Nie możesz jechać sam, ostrzegam cię. Dla twojego własnego dobra!

- Wsiadaj! Wylaż z samochodu. Już!

- Teraz? Tutaj? Na środku autostrady? -

Tak!

- Chyba nie mówisz tego poważnie, Yngvarze! Posłuchaj mnie...

-Wsiadaj!

- Posłuchaj! - W jego głosie pojawiła się desperacja.

Yngvar usiłował oddychać równo, obie dłonie mocno zaciskał na kierownicy, bo miał wielką ochotę uderzyć Warrena.

- Tak jak ci powiedziałem przed chwilą w parku, idiota ze mnie, jeśli chodzi o kobiety. Popełniłem tyle... - Wstrzymał na moment oddech. Kiedy znów zaczął mówić, wyrzucał słowa z wściekłą prędkością. -Ale czyżbyś wątpił w moje kompetencje jako agenta FBI? Uważasz, że gdybym ich nie miał, mógłbym dojść do stanowiska, które teraz zajmuję? Naprawdę uważasz, że lepiej jest znaleźć się samemu w sytuacji, gdy nie masz o niczym zielonego pojęcia, niż wziąć ze sobą agenta z trzydziestoletnim doświadczeniem, na dodatek uzbrojonego?

Yngvar przygryzł wargę. Spojrzał na Warrena, potem wrzucił pierwszy bieg i skręcił na drogę. Wystukał numer Inger Johanne. Nie odbierała. Automatyczna sekretarka też nie chciała się włączyć.

- Niech to cholera! - syknął przez zaciśnięte zęby i wybrał numer informacji. 1881. - Niech to jasna cholera!

- Słucham? - odezwał się głos na drugim końcu linii. - Co pan powiedział?

- Poproszę o adres w Oslo. Hanne Wilhelmsen. Kruses gate, ale nie znam numeru domu.

Zagniewana kobieta podała mu go po kilku sekundach.

Kiedy skręcili z obwodnicy na estakadę przy Smestad, wybrał jeszcze jeden numer. Tym razem do dyżurnego policji kryminalnej.

Nie zamierzał sam pakować się w niebezpieczną sytuację.

Ale nie miał też zamiaru zabierać ze sobą cudzoziemca, którego, jak w końcu uznał, nie lubił. I to bardzo.

13

Po wejściu na zakodowane strony internetowe Helen Lardahl Bentley była bardziej zdezorientowana niż przedtem. Tyle rzeczy się tu nie zgadzało. BS-Unit najwyraźniej odsunięto na bok. Oczywiście powodem mogło być odkrycie poczynañ Warrena. Może FBI uznało za celowe wstrzymanie się od ujawnienia prawdy, a jednocześnie postanowiło zmarginalizować jego możliwości manipulowania śledztwem. Ponadto Helen nie mogła pojąć, dlaczego profil opracowany przez ludzi Warrena został do tego stopnia zdyskredytowany przez resztę systemu. Dokument zdawał się niezwykle starannie przygotowany. W zasadzie potwierdzał wszystko, czego obawiali się od samego początku, kiedy pierwsze niejasne informacje o „Troi” dotarły do FBI sześć tygodni temu.

Ten profil przeraził ją najbardziej.

Ale coś tu się nie zgadzało.

Z jednej strony, wyglądało to tak, jakby wszyscy uznali, że atak na Stany Zjednoczone jest bardzo realny. Z drugiej jednak, żadna z potężnych jednostek, tworzących Homeland Security, nie znalazła nawet cienia śladu prowadzącego do jakiejś istniejącej, znanej organizacji. Wszyscy z miejsca uczepili się pieniędzy dla Jeffreya Huntera, które dało się powiązać z kuzynem saudyjskiego ministra ropy i firmą consultingowa w Iranie, stanowiącą jego własność. Ale to koniec. Nikt nie posunął się dalej tym tropem. Helen robiło się na przemian zimno i gorąco, gdy zaczęła się domyślać, jak gwałtownie rząd amerykański, z wiceprezydentem na czele, wystąpił przeciwko tym dwóm państwom. Bez sprzętu do szyfrowania nie zdołała wejść na strony, na których przechowywano

samą korespondencję, lecz i tak z całą **powagą uświadamiała sobie**, ku jakiej katastrofie zmierza jej kraj.

Siedziała w gabinecie w głębi mieszkania.

Dlatego kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, ledwie go usłyszała. Nastawiła uszu. Ktoś zadzwonił jeszcze raz. Ostrożnie wstała i sięgnęła po naładowany pistolet, który dała jej Hanne. Nie odbezpieczyła go jednak, tylko wsunęła broń za pasek spodni i obciągnęła sweter.

Coś było bardzo, ale to bardzo nie tak.

14

Pod drzwiami mieszkania Hanne Wilhelmsen na Kruses gate stali Warren Scifford i Yngvar Stub0, głośno się kłócąc.

- Czekamy - oświadczył gniewnie Yngvar. - Patrol może tu być w każdej chwili.

Warren wyrwał się z mocnego uścisku Norwega.

- To moja prezydent - odwarknął wściekły. -1 mój obowiązek sprawdzić, czy znajduje się ona za tymi drzwiami. Od tego zależy moje życie, Yngvarze. Ona jedna mi wierzy. Nie mam zamiaru czekać na bandę zadowolonych z możliwości postrzelania sobie mundurowych...

- Tak? - rozległ się ochryply głos. - O co chodzi?

Drzwi uchyliły się na dziesięć centymetrów. Stalowy łańcuch na wysokości twarzy napiął się, przez szparę szeroko otwartym okiem przyglądała im się jakaś starsza kobieta.

- Proszę nie otwierać - powiedział szybko Yngvar. - Na miłość boską, niech pani zamknie!

Warren kopnął w drzwi. Kobieta odskoczyła jak oparzona, ale na mężczyzn posypał się grad przekleństw. Drzwi ani drgnęły. Yngvar złapał Warrena za marynarkę, poślizgnął się jednak i stracił równowagę. Upadł i na próżno usiłował wstać. Próbował chwycić

Warrena za nogi, ale tamten był znacznie zwinniejszy. Uwalniając nogę, jednocześnie z całej siły kopnął klęczącego Yngvara w krocze. Norweg osunął się na ziemię. Zemdlął. Dziwna kobieta za drzwiami gwałtownie ucichła, kiedy kolejny kopniak zerwał łańcuch. Drzwi się otworzyły, uderzając ją i odpychając na półkę na buty.

Warren wbiegł do środka z bronią w uniesionej ręce. Zatrzymał się przy następnych drzwiach i przywarłszy do ściany, zawołał:

- *Helen! Helen! Madam President, are you there?*

Nikt nie odpowiedział. Wtedy energicznie wszedł do następnego pomieszczenia.

Znalazł się w wielkim salonie. Pod oknem siedziała kobieta na wózku, nie poruszała się, a twarz miała kompletnie bez wyrazu. Zauważył jednak, że jej oczy skierowane są na drzwi w głębi pokoju. Na kanapie, odwrócona plecami, siedziała jeszcze jedna kobieta, z dzieckiem na kolanach. Przyciskała je do siebie i wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

Dziecko płakało.

- Warren.

Madam President weszła do pokoju.

- Bogu niech będą dzięki. - Warren zbliżył się do niej,

chowając

broń do kabury. - *Thank God, you 're alivd*

- Nie ruszaj się.

-Co?

Znieruchomiał, gdy Helen wyciągnęła pistolet, kierując go w niego.

- *Madam President* - szepnął. - To ja, Warren.

- Zdradziłeś mnie. Zdradziłeś Amerykę.

-Ja? Przecież ja...

- Jak się dowiedziałeś o tej aborcji, Warrenie? **I jak mogłeś** wykorzystać coś takiego przeciwko mnie, ty...

- Helen...

Jeszcze raz spróbował się zbliżyć, ale cofnął się **o krok, gdy** kobieta uniosła broń.

- Wywabiono mnie z hotelu, pokazując list.
- Słowo honoru... nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Podnieś ręce do góry, Warrenie. -

Ja...

- Podnieś ręce!

Usłuchał z wahaniem.

- *Amicus verus rara avis est* - wyrecytowała Helen Bentley.
- Nikt inny nie znał słów inskrypcji. Tymi słowami został podpisany list. Tylko my dwoje o nich wiedzieliśmy, Warrenie. Tylko my dwoje.

- Zgubiłem ten zegarek. Został... skradziony. Ja...

Dziecko ryczało jak opętane.

- Inger - poprosiła pani prezydent - zabierz córeczkę i idźcie obie do gabinetu Hannah. Już!

Inger Johanne wstała i wybiegła z salonu, nawet nie zerkając na Warrena.

- Jeśli twój zegarek został skradziony, to co masz na lewym przegubie?

Odbezpieczyła broń.

Bardzo powoli, jak gdyby nie chcąc nikogo prowokować, odwrócił głowę. Rękaw bluzy lekko mu się obsunął, kiedy podniósł ręce do góry. Na lewej miał zegarek. Omega oyster z brylantami w miejscu cyfr i z inskrypcją na odwrocie.

- On... Zrozum... myślałem, że... go...

Opuścił ręce.

- Nie rób tego - ostrzegła prezydent. - Podnieś ręce do góry!

Popatrzył na nią. Ręce zwiślały mu bezwładnie wzdłuż ciała. Już miał wyciągnąć do niej dłonie w błagalnym geście.

Madam President strzeliła.

Huk przestraszył nawet Hannę Wilhelmsen. Zadudniło echo, ogłuszając ją na moment. W uszach miała tylko przeciągły świst.

Warren Scifford leżał na podłodze na wznak, bez ruchu. Hannę podjechała do niego, nachyliła się i dotknęła palcami jego szyi. Potem się wyprostowała i pokręciła głową.

Warren się uśmiechał, lekko uniesione brwi jak gdyby sugerowały, że w chwili śmierci myślał o czymś zabawnym, z ironią, której nikt nie potrafił pojąć.

W drzwiach stanął Yngvar Stub0. Trzymał się za krocze, twarz miał białą jak kreda. Widząc martwą postać, jęknął i z trudem ruszył do przodu.

- Kim pan jest? - spytała spokojnie Helen Bentley. Wciąż stała na środku pokoju z uniesioną bronią.

- To jest *goodguy* - rzuciła błyskawicznie Hannę. - Policjant. Mąż Inger Johanne. Nie...

Prezydent podała broń Yngvarowi.

- Lepiej, żeby pan ją wziął. I jeśli to nie będzie zbyt wielki kłopot, chciałabym teraz zadzwonić do mojej ambasady.

W oddali rozległo się głośnie wycie syren.

Coraz głośniejsze.

15

Al Muffet zniósł zwłoki brata do piwnicy i umieścił je w starym ozdobnym kufrze, który prawdopodobnie stał tam, odkąd zbudowano dom. Kufer był za krótki. Al musiał ułożyć Fayedę na boku, ze zgiętymi kolanami i karkiem, w pozycji płodowej. Brzydziło go takie bezczeszczenie zwłok, ale wreszcie zdołał zamknąć pokrywę. Walizka brata stała w głębi schowka pod schodami. Ani brat, ani jego rzeczy nie zostaną tu zbyt długo. Najważniejsze to usunąć wszelkie ślady przed powrotem dziewczynek ze szkoły. Nie powinny oglądać zmarłego stryja ani patrzeć, jak aresztują ich ojca. Będzie musiał je dokądś wyprawić. Powie, że ma nieoczekiwaną konferencję lub jakieś inne spotkanie poza miastem, a córki wyśle

w odwiedzinach do siostry zmarłej matki do Bostonu. Są za małe, żeby zostawić je w domu same. Później zadzwoni na policję.

Ale najpierw musi gdzieś bezpiecznie ulokować dziewczynki.

Najgorsza sprawa z samochodem wynajętym przez Fayeda. Al miał kłopot ze znalezieniem kluczyków, okazało się jednak, że leżały pod łóżkiem. Może pierwotnie były na nocnej szafce, ale spadły podczas szamotaniny, kiedy to Fayed miał zdradzić, co wie o zniknięciu prezydent Bentley.

Al Muffet siedział na schodach swojego malowniczego domu w stylu nowoangielskim, zasłaniając twarz rękami.

Co ja zrobiłem? A jeśli się pomyliłem? Jeśli to wszystko jest tylko fatalnym nieporozumieniem? Dlaczego mi tego nie powiedzialesz, Fayed? Czyż nie powinienesz mi po prostu powiedzieć, zanim będzie za późno?

Al mógł schować samochód w starej, rozpadającej się stodole, dziewczynki nie miały żadnego powodu, by tam teraz chodzić. Z tego, co wiedział, żadna dzika kotka ostatnio się nie okociła, a jedynie kocięta mogły zwabić Louise do stodoły pełnej pajaków, których panicznie się bała.

Nie był nawet w stanie płakać. Lodowaty pazur zacisnął się na piersi od środka, utrudniając myślenie i uniemożliwiając mówienie. Z kim zresztą miałbym rozmawiać, pomyślał obezwładniony. Kto może mi teraz pomóc?

Spróbował się wyprostować i wziąć głęboki oddech.

Chorągiewka na skrzynce sterczała pionowo.

Fayed mówił o jakimś liście.

O listach.

Ledwie wstał. Powinien przestawić samochód. Usunąć ostatni ślad Fayed Muffasy, wziąć się w garść przed spotkaniem z córkami. Była już trzecia i przynajmniej Louise wkrótce wróci do domu.

Nogi ledwie go niosły, gdy szedł podjazdem. Rozejrzył się w obie strony. Nigdzie ani śladu obecności ludzi, tylko daleki odgłos piły motorowej.

Otworzył skrzynkę. Dwa rachunki i trzy identyczne koperty.

Fayed Muffasa, c/o Al Muffet.

I adres. Trzy jednakowe, dość grube koperty, wysłane do Fayed na jego, Ala, adres.

Zadzwoniła komórka. Al włożył listy z powrotem do skrzynki i spojrzął na wyświetlacz. Nieznany numer. Nikt do niego nie dzwonił w ciągu całego tego straszego dnia. Nie chciał z nikim rozmawiać. Nie był pewien, czy zdoła zapanować nad głosem, schował więc telefon z powrotem do kieszeni, wyjął listy ze skrzynki i skierował się w stronę domu.

Osoba, która dzwoniła, nie dawała za wygraną.

Al usiadł na schodach. Musiał zebrać siły, żeby przestawić ten przeklęty samochód.

Telefon dzwonił i dzwonił. Al nie mógł dłużej wytrzymać głośnego i przenikliwego dźwięku, przyprowadzającego o dreszcz. W końcu wcisnął guzik z zieloną słuchawką.

- Halo? - odezwał się, ledwie panując nad głosem. - Halo?

-Ali?AliShaeed?

Milczał.

- Ali, to ja, Helen Lardahl.

- Helen - szepnął. -Jak...

Nie oglądał telewizji, nie słuchał radia, nie zbliżał się do komputera. Przez cały dzień rozpaczał nad śmiercią brata, usiłując wymyślić, co zrobić, by życie jego córek miało jeszcze jakiś sens po tym, co się stało.

W końcu zaczął płakać.

- Ali, posłuchaj mnie. Jestem teraz w samolocie nad Atlantykiem. Dlatego połączenie jest takie marne.

-Ja cię nie zdradziłem! - zawołał. - Przynależem, że nigdy cię nie zdradzę, i dotrzymałem obietnicy.

- Wierzę ci - odparła spokojnie. - Ale z pewnością rozumiesz, że musimy to zbadać dokładniej. Przede wszystkim chcę, że byś...

- To mój brat. Mój brat był przy matce, kiedy umierała, i...

Urwał, wstrzymując oddech. W oddali usłyszał szum silnika. Za wzgórzem, na którym rosły wielkie klony, unosiła się chmura kurzu. Głuchy warkot kazał mu spojrzeć na zachód. Nad wierzchołkami drzew krążył helikopter, pilot najwyraźniej szukał miejsca do lądowania.

- Posłuchaj mnie - powiedziała Helen Bentley. - Słuchaj, co mówię.

- Dobrze. - Al Muffet wstał. - Słucham.

- To FBI do ciebie jedzie. Nie bój się, dobrze? Otrzymali rozkazy bezpośrednio ode mnie. Będą z tobą rozmawiać. Opowiedz im prawdę. Jeśli nie jesteś w to zamieszany, wszystko będzie dobrze. Wszystko. Obiecuję.

Czarny samochód skręcił na podjazd i zbliżał się powoli.

- Nie bój się, Ali. Powiedz im tylko to, co masz do powiedzenia.

Rozmowa została przerwana.

Samochód się zatrzymał. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach, jeden zbliżył się z uśmiechem i wyciągnął rękę.

- *Al Muffet, Ipresume!*

Al ujął dłoń, ciepłą i mocną.

- Słyszałem, że jest pan przyjacielem Madam President - powiedział agent, nie puszczać jego ręki. - A przyjaciel pani prezydent jest moim przyjacielem. Wejdziemy na chwilę do środka?

- Wydaje mi się... - zaczął Al Muffet i przełknął ślinę - ...wydaje mi się, że powinien pan się zająć tym. - Podał agentowi trzy koperty.

Mężczyzna spojrział na nie z obojętną miną, ujął je za sam skraj i dał znać koledze, by przyniósł torebkę na dowody.

- Fayed Muffasa - odczytał, przechylając głowę. - Kto to jest?

- Mój brat. Leży martwy w kufrze w piwnicy. Ja go zabiłem.

Agent FBI długo na niego patrzył.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli wejdziemy do środka - powtórzył i poklepał Ala po ramieniu. - Najwyraźniej sporo rzeczy należy uporządkować.

Helikopter wylądował i wreszcie zapadła cisza.

16

Z czwartku 19 maja 2005 roku pozostała zaledwie godzina. Intensywne letnie ciepło utrzymało się przez cały dzień i zamieniło w łagodny, bezwietrzny wieczór. Ingerjohanne pootwierala wszystkie okna w salonie. Wykąpała się razem z Ragnhild, która szczęśliwa i bardzo zmęczona zasnęła, gdy tylko się znalazła we własnym znajomym łóżeczku. Inger Johanne cieszyła się niemal tak samo jak córka. Powrót do domu był niczym oczyszczenie. Już stając w drzwiach, rozplakała się z ulgą. Trzymano ich w siedzibie służby bezpieczeństwa tak długo, że Yngvar w końcu wezwał Petera Salhusa i zagroził, że podrze na strzepy cały plik oświadczeń o dochowaniu tajemnicy, jeśli nie zostaną natychmiast wypuszczeni do domu.

- Wygląda na to, że nie będziemy mieć więcej dzieci - oświadczył Yngvar. Stąpał na szeroko rozstawionych nogach, nosił obszerne spodnie od piżamy, które na wszelki wypadek zostały rozcięte w kroku. - W życiu nie czułem takiego bólu.

- Spróbowałbyś urodzić dziecko. - Inger Johanne poklepała kanapę obok siebie. - Lekarz twierdził, że wszystko będzie dobrze. Sprawdź, czy możesz usiąść.

- *...okazało się spiskiem w szeregach Amerykanów. Podczas konferencji prasowej na lotnisku Gardermoen prezydent Bentley poinformowała...*

Telewizor był włączony, odkąd wrócili do domu.

- Nie wiadomo z całą pewnością, czy tak było - zauważyła Inger Johanne. - To znaczy, nie wiadomo, czy byli w to zamieszani wyłącznie Amerykanie.

- Oni chcą, abyśmy taką właśnie prawdę znali. Akurat w tej chwili ta wersja jest najbardziej opłacalna. Bo doprowadzi do szybkiego spadku cen ropy.

Postępując, usiadł z rozsuniętymi nogami.

- ...w wyniku dramatycznej strzelaniny naKrusesgate w Oslo, w której amerykański agent FBI Warren Scifford...

Zdjęcie, które pokazywali, musiało być zdjęciem paszportowym. Warren wyglądał na nim jak przestępca, z groźną miną i półprzymkniętymi oczami.

- ...został zastrzelony przez norweskiego oficera śledczego, którego nazwiska nie ujawniono. Źródła zbliżone do ambasady amerykańskiej w Norwegii podają, że w spisek zamieszana była nieliczna grupa ludzi i wszyscy oni są już w tej chwili w rękach władz.

- Najbardziej w tym wszystkim imponuje to, jak zdołali upichcić całą tę historię w tak krótkim czasie - zauważyła Inger Johanne. - Zwłaszcza o tym, że pani prezydent wcale nie została porwana, tylko sama uciekła, żeby rozpracować i ujawnić planowany zamach. Myślisz, że mają tego rodzaju scenariusze zawsze pod ręką?

- Być może. Ale raczej nie. W najbliższych dniach zobaczymy, jak po mistrzowsku mydli się ludziom oczy. Bo jeśli nawet brak takich historyjek na podporządku, to z pewnością są tacy, którzy potrafią je stworzyć. Szlifują je i obrabiają, aż w końcu powstaje gotowa opowieść, którą większość ludzi kupi. Potem pojawia się teorie spiskowe. To dopiero będzie pożywka dla paranoików! Ale ich przecież nikt nie słucha. Tak więc świat będzie dalej z oporami toczył się naprzód, aż w końcu przestanie być wiadomo, co jest prawdą, a co kłamstwem. Zresztą nikogo to już nie będzie obchodzić, bo tak jest o wiele przyjemniej. Dla wszystkich. O cholera, ależ to boli!

Skulił się.

- ...spodziewamy się, że prezydent Bentley, która już za parę godzin wyląduje w ojczyźnie, oficjalnie przeprosi Arabię

Saudyjską i Iran. Zapowiedziano również, że jutro pani prezydent wygłosi orędzie do narodu o godzinie...

- Wyłącz to już. - Yngvar objął Inger Johanne i delikatnie po całował ją w czoło. - Dość się nasłuchaliśmy. Same kłamstwa. Nie mam ochoty dłużej się tym karmić.

Inger Johanne sięgnęła po pilota, zrobiło się cicho. Przytuliła się do męża i lekko go pogładziła po owłosionym przedramieniu. Długo tak siedzieli. Inger Johanne chłonęła jego zapach, uszczęśliwiona, że wreszcie przyszło lato.

- Posłuchaj - odezwał się, kiedy prawie zasnęła. - Chcę wie dzieć, co takiego Warren ci zrobił.

Nie odpowiedziała. Ale też się od niego nie odsunęła, jak zwykle bywało na najmniejszą wzmiankę o tym, co dzieliło ich od samego początku, od chwili gdy się poznali w pewien ciepły wiosenny dzień prawie pięć lat temu. Nie wstrzymała oddechu, nie odwróciła się. Yngvar nie mógł teraz zobaczyć jej twarzy, ale czuł, że żona nie zamknęła się w sobie i nie zacisnęła ust, jak zawsze dotąd.

- Wydaje mi się, że już najwyższa pora. - Przynsunął usta tuż do jej ucha. - Najwyższa pora, Inger Johanne.

- Masz rację. Najwyższa pora.

Odetchnęła głęboko.

- Miałam zaledwie dwadzieścia trzy lata i byliśmy w Waszyng tonie, żeby...

Kiedy się kładli spać, dochodziła trzecia. Nad drzewami na wschodzie zapowiadał się nowy dzień. Yngvar nigdy się nie dowiedział, że nie jest pierwszą osobą, która poznała bolesną tajemnicę Inger Johanne.

Ona uznała, że to nie ma żadnego znaczenia.

Pierwszą osobą była prezydent Ameryki, której nigdy już mieli nie spotkać.

Piątek, 20 maja 2005

Kiedy w czwartek wieczorem czasu europejskiego wiadomość o tym, że prezydent Bentley żyje, obiegła świat, Abdallah al-Rahman przerwał swoje zwykłe zajęcia i zamknął się w biurze we wschodnim skrzydle.

Była już szósta rano następnego dnia. Nie czuł się specjalnie zmęczony, choć czuwał przez całą noc. Kilka razy próbował się zdrzemnąć na niskiej otomanie przed telewizorem, ale narastający niepokój nie pozwalał mu zasnąć.

Prezydent właśnie lądowała w Stanach na wojskowym lotnisku, którego nazwy nie podano. Komentatorzy CNN jeden przez drugiego zgadywali, gdzie tak naprawdę może to być. Operatorzy US Air Forces, którzy przekazywali bezpośrednie relacje do najrozmaitszych stacji telewizyjnych na świecie, bardzo uważali, by przypadkiem nie pokazać otoczenia i budynków, pozwalających domyślić się, w którym miejscu pani prezydent postawi stopę na amerykańskiej ziemi.

Jeszcze nie wszystko się skończyło.

Abdallah, nie ścisząc telewizora, usiadł przy komputerze.

Wstukał szereg haseł szósty raz w ciągu sześciu godzin. Wyniki szły w tysiące, ograniczył więc wyszukiwanie. Teraz miał już tylko kilkaset. Ogarnięty wątpliwościami wpisał w pole wyszukiwarki jeszcze jedno słowo.

Pięć trafień.

Szybko przejrzał cztery pierwsze.

Nie zawierały nic interesującego.

Piąte powiedziało mu, że atak Trojan nigdy nie nastąpi.

Zrozumiał to już po kilku liniijkach, lecz zmusił się do przeczytania całego artykułu trzy razy, zanim się wylogował i wyłączył komputer.

Położył się na otomanie i zamknął oczy.

FBI przeprowadziło akcję w pewnym miasteczku w stanie Maine. Z helikopterami i dużą liczbą zaangażowanych agentów. Miejscowi dziennikarze mieli dość fantazji, by powiązać tę sprawę z zaginięciem Helen Bentley, i nie minęła godzina, gdy już miejsce otoczyli reporterzy z całego stanu. Lokalna policja po pewnym czasie jednak uspokoiła opinię publiczną komunikatem, że chodziło o coś zupełnie innego. We współpracy z FBI od dawna ścigano rzekomo grupę kłusowników polujących na ptaki zagrożonych gatunków, którymi następnie handlowali oni na czarnym rynku. W śledztwie bardzo dopomógł miejscowy weterynarz. Niestety, podczas zatrzymania jeden z kłusowników zginął, ale obecnie policja ma już wszystko pod kontrolą. Zdjęcie weterynarza, dołączone do artykułu, ukazywało mężczyznę niezwykle podobnego do Fayeda. Nie miał tylko wąsów.

Fayed zawiódł.

To on miał zainicjować atak zgodnie z instrukcjami znajdującymi się w zaszyfrowanych listach, za których przesłanie Abdallah poświęcił życie trzech kurierów.

Teraz zaś nie żył, a Madam President wróciła cała i zdrowa na swoje stanowisko.

Abdallah al-Rahman otworzył oczy i wstał z otomany. Powoli zaczął wrywać szpilki z mapy. Sortował je według kolorów. Mogły się jeszcze przydać.

Usłyszał lekkie pukanie do drzwi.

Pora była dziwna, ale otworzył. W drzwiach stał jego najmłodszy syn w stroju do konnej jazdy. Płakał.

- Tato! Mieli mnie zabrać na przejażdżkę, no i spadłem z konia, a oni pojechali. Powiedzieli, że jestem za mały, i...

Wciąż szlochając, pokazał ojcu paskudne otarcie na łokciu.

-Już dobrze, dobrze. - Abdallah przykucnął przy synku. - Musisz jeszcze raz spróbować. Nigdy niczego nie osiągniesz, jeśli stale nie będziesz próbował. Pójdę teraz z tobą, pojedziemy na przejażdżkę.

- Ale... przecież leci mi krew.

- Rashid -Abdallah dmuchnął na skaleczenie - nie możemy się poddawać po takiej małej porażce. Przez chwilę będzie bolało, ale potem znów trzeba próbować. Próbować, aż się uda, rozumiesz?

Chłopczyk kiwnął głową i otarł łzy.

Abdallah wziął syna za rękę. Gdy zamykał drzwi, jego spojrzenie padło na wielką mapę Ameryki. Tu i ówdzie tkwiły w niej jeszcze krzywo wbite szpilki, jakby ktoś umieścił je tam bez żadnego ładu i składu.

Rok 2010, pomyślał, zastanawiając się nad tą datą. Do tego czasu będę dostatecznie silny, żeby ponowić próbę. Tak, 2010.

- Co powiedziałaś, tato?

- Nic. Chodźmy.

Już podjął decyzję.

Posłowie autorki

Pisząc tę powieść, pozwoliłam sobie na dość swobodne potraktowanie niektórych osób publicznych, wkładając w ich usta słowa, których w rzeczywistości nie wypowiedziały. Starłam się to zrobić z zachowaniem należytego szacunku i mam nadzieję, że to mi się udało.

Na podobnie swobodne podejście pozwoliłam sobie również wobec pewnego budynku w Oslo, hotelu Thon Opera, który w książce nazywa się po prostu Opera. Wykorzystałam hotel, by móc opowiedzieć tę historię, i opisałam rzeczywistą architekturę budynku od zewnątrz oraz jego lokalizację. Jednakże wewnątrz jest jedynie wytworem mojej wyobraźni. To samo dotyczy, rzecz jasna, pracowników hotelu, pojawiających się w powieści.

Larvik, czerwiec 2006

Anne Holt (ur. 1958) ukończyła prawo na Uniwersytecie w Oslo. Pracowała jako dziennikarka w telewizji, młodszy prokurator policji w Oslo, a następnie prowadziła własną praktykę adwokacką. W latach 1996-97 była ministrem sprawiedliwości w Norwegii. Jako pisarka zadebiutowała w roku 1993. W swoim dorobku ma 15 książek, a jej powieści kryminalne cieszą się ogromną popularnością wśród czytelników na całym świecie. „Wybór pani prezydent” ukazał się dotychczas w Stanach Zjednoczonych i czternastu krajach europejskich.